

Anna Kańtoch

*Miasto w zieleni
i błękicie*



Fabryka Słów

Anna Kańtoch

**MIASTO
W ZIELENI
I BŁĘKICIE**



PROLOG

Każdego roku w pierwszych dniach maja, gdy było już wystarczająco ciepło, w ruinach rozciągających się na wschód od Quinson urządzano piknik.

Ruiny Miasta Snów ciągnęły się wzdłuż morskiego brzegu aż po horyzont. Turysta, który zabłądził w te strony, mógł rozpoznać wśród zwałów gruzu zarysy dawnych ulic i alei rozchodzących się gwiazdźście od szerokich placów, a wśród budowli – resztki monumentalnych pałaców i świątyń pnących się ku górze tarasami i schodami. Miasto, choć zrujnowane, nadal było imponujące, świadcząc o potędze ludzi zamieszkujących dawniej te ziemie. Leżące teraz na ziemi kolumny niegdyś sięgać musiały nieba, mury budynków zbudowane były z olbrzymich kamiennych bloków, a ściany domów z mniejszych, precyzyjnie obrobionych kamieni. Przemiatane morskim wiatrem place wyłożone były mocno już wyblakłą, a dawniej barwną mozaiką. W labiryncie strzaskanych ścian, olbrzymich płyt tarasów, które osunęły się na ziemię, i kamiennych schodów, w miejscach, gdzie nie docierała słońca bryza, zachowały się jeszcze resztki pięknych malowideł i płaskorzeźb.

Peyre Fau, wyrośnięty, niezgrabny czternastolatek, nudził się. Był zbyt poważny, by wraz z wrzeszczącymi i śmiejącymi się dziećmi gonić po ruinach, a jednocześnie zbyt młody, by uczestniczyć w rozmowie dorosłych.

Przyłączył się więc, bardzo niechętnie, do grupy, która zwiedzała Miasto Snów. Xavier d'Aleume, jedyny prawdziwy Neahelita w tym gronie, nakazał służbie zapalić pochodnie i powiódł wycieczkowiczów w głąb podziemnej części dawnej świątyni.

Peyre włókł się na samym końcu, przyspieszając tylko wtedy,

gdy blask ostatniej pochodni nił za załomem ciemnego korytarza. Co jakiś czas pełniący rolę przewodnika don Xavier zatrzymywał grupę przed szczególnie interesującym freskiem czy płaskorzeźbą. Peyre trzymał się wtedy z boku, demonstrując wzbierającą w nim niechęć.

Neahelicka sztuka była tak obca, inna od okcytańskiej. Dawni mieszkańcy Miasta Snów nie przestrzegali zasad perspektywy ani skali. Peyre oglądał malowidła, na których to, co powinno znajdować się na planie pierwszym, mieszało się z rzeczami z planu drugiego bez żadnego ładu i składu, a ludzie bywali wielokrotnie więksi od domów, przez co dzieło upodabniało się nieco do rysunków dziecka. Ale to był jedynie pozór. W rzeczywistości każda postać, każdy przedmiot czy budynek oddane były z przesadnym wręcz naturalizmem. Rośliny wyglądały tak, jakby nieznany twórca przy rysowaniu posługiwał się mikroskopem, sylwetki ludzkie i zwierzęce śmiało mogłyby znaleźć się w atlasie anatomii, a budynki sprawiały wrażenie nakreślonych przez architekta. Chłopak widział grupę cudacznych ludzi, których głowy rysowane były z profilu, a ciała od przodu, i mężczyznę jedzącego posiłek w swoim domu – przy czym osobliwość malowidła polegała na tym, że pokój narysowany był osobno, a mężczyzna osobno, tak aby sylwetka uczującego nie przesłaniała najdrobniejszego szczegółu precyzyjnie odmalowanego wnętrza. Widział też biegnącego jelenia, którego zad i tylne nogi obdarte były ze skóry, aby pokazać pracujące mięśnie, a także obraz przedstawiający ciężarną kobietę – nad nią, niczym groteskowy balonik, unosił się kilkumiesięczny płód połączony pępowiną z zaokrąglonym brzuchem.

Najgorszy jednak okazał się ostatni, trzyczęściowy fresk. Prawa strona ukazywała wnętrze świątyni i ludzi trzymających w rękach tabliczki z prośbami, a lewa magów w czerwonych szatach, którzy uzdrawiali chorych. Pośrodku zaś widniała szczególna postać. Był to wysoki i bardzo szczupły młodzieniec o charakterystycznej głowie – szerokiej w górnej części i zwężającej się ku dołowi, przez co twarz przypominała trójkąt. Jego oczy, pomimo upływu czasu wciąż intensywnie błękitne,

zdawały się spoglądać na wycieczkowiczów z chłodną ciekawością. Pod wpływem tego wzroku Peyre odwrócił głowę.

– To Djevra, bóg magii – powiedział don Xavier, po czym przetłumaczył znajdujący się pod malowidłem napis: „Dla nas śmierć nie jest końcem, lecz zaledwie początkiem”.

Bóg magii, wzdrygnął się chłopiec. Jego ojciec zaszczepił mu wystarczająco silną nienawiść do wszystkiego, co wiązało się z czarami.

Nie powinniśmy tego oglądać, nie powinniśmy nawet o tym myśleć. Powinniśmy zniszczyć te obrazy, zrównać z ziemią całe Miasto Snów, przemknęło mu przez głowę.

Gdy znaleźli się z powrotem na rozświetlonej powierzchni, usiadł na ciepłym kamieniu, nadal z dala od reszty towarzystwa, powoli odzyskując dobry humor.

Xavier d’Aleume ze śmiechem opadł na rozłożony koc, tuż obok usiadła jego córka, trzynastoletnia Melisandra. Dziewczynka nie była podobna do ojca. Don Xavier wyglądał jak typowy Neahelita – jasnowłosa i wysoki, Mel zaś była smągła i drobna. Miała wąskie, lekko skośne oczy, wystające kości policzkowe i usta o wygiętych w górę kącikach, zbyt szerokie jak na jej delikatną buzię. Twarz ta nieodparcie kojarzyła się z popularnym wizerunkiem fauna.

Dziewczynka śmiało wtrącała się do rozmowy dorosłych. Powiedziała coś, czego Peyre nie dosłyszał, a otaczający ją ludzie wybuchnęli śmiechem. Nie zabrała głosu tak jak to czynią niektóre kapryśne i rozpieszczone dzieci, przekonane, że wszystko ujdzie im na sucho. Nie, ona po prostu wiedziała, że jest tu na równych prawach z dorosłymi.

Peyre naburmuszył się znowu i odwrócił wzrok w stronę morskiego brzegu. Niektórzy goście przybyli do Miasta Snów powozami, inni, bardziej rozmiłowani w podziwianiu uroków krajobrazu i wysiłku fizycznym, wybrali jachty i łódki. Chłopiec zastanowił się. Z żaglami nie radził sobie zbyt dobrze, ale wiosła to co innego.

Podszedł do grupy dorosłych.

– Chciałbym popływać łódką. Może tato pozwoli? – zwrócił się do ojca.

Starszy pan łaskawie skinął głową. Peyre chciał odejść, ale don Xavier powstrzymał go gestem dłoni.

– Może Melisandra wybierze się z tobą. Miałabyś ochotę? – Spojrzał na córkę.

Peyre, wbrew zasadom dobrego wychowania, skrzywił się. Dziewczynka przytaknęła, a chłopiec z niechęcią pomyślał, że Mel, widząc jego minę, zrobiła mu po prostu na złość.

Melisandra usiadła na ławeczce. Peyre zdjął buty, podwinął do kolan nogawki spodni i zepchnął łódkę z płycizny. Wskoczył do środka, kilkoma pociągnięciami wiosel nadał jej właściwy kierunek. Płynęli teraz wzdłuż brzegu. Fale chlupotały pod dnem, łódka wznosiła się i opadała jak na huśtawce.

Peyre odłożył wiosła, wstał i mocniej rozkołysał pokład. Mel, wbrew temu, czego się spodziewał, nie zaczęła wrzeszczeć.

– Mógłbym nas wyrzucić, wiesz? – powiedział.

Skinęła głową. Na jej ustach pojawił się kpiący uśmiech, w wąskich oczach zabłysło wyzwanie. Wyglądała zupełnie jak złośliwy chochlik.

– Wiem. Ale nie bardzo mi się chce wierzyć, że masz teraz ochotę na kąpiel.

Zniechęcony Peyre usiadł. Po lewej mijali wystające ponad powierzchnię morza ruiny Miasta Snów. Wyglądzone przez słońcą wodę i wiatr niewiele różniły się od przybrzeżnych skał. Peyre nie zastanawiał się długo. Głębiej zanurzył prawe wiosło i skierował łódź pomiędzy ruiny.

Szybko zorientował się, że popełnił błąd. Łódka podskoczyła niczym narowisty koń i z powrotem osiadła na falach. W twarz dziewczynki bryznęła struga zimnej wody. Krzyknęła wreszcie, ale chłopcu nie sprawiło to żadnej przyjemności. Następna fala pchnęła ich w stronę niewysokiego muru, lewa burta ze zgrzytem zdarła z kamieni warstwę muszli i wodorostów. Zamknięte w pułapce fale uderzały o ruiny, wzbijając w niebo chmury słonych kropel. Peyre desperacko machał prawym wiosłem, ale dziób łódki, jak przyciągany magnesem, wracał wciąż w to samo miejsce. Stopy chłopca tkwiły już po kostki w wodzie. Przyszła mu do głowy szalona myśl. Do diabła z tą łódką. Mogliby wdrapać się na mur i w ten sposób dotrzeć do

brzegu. Przy odrobinie szczęścia zdarliby sobie tylko skórę z kolan i dłoni. Ale jak wytłumaczyłby ojcu fakt, że pozwolił łódce zatonać?

– Odepchnę nas, a ty wiosłuj z tamtej strony! – krzyknęła Mel.

Wstała, wbiła pióro wiosła w szparę pomiędzy kamieniami i napała z całej siły. Dziób powoli, niechętnie zaczął skręcać, odległość pomiędzy murem a burtą powiększała się z każdą chwilą.

W tym momencie łódką znów szarpnęło. Mel, mocno wychylona w bok, straciła równowagę i nim zdążyła krzyknąć, znalazła się w wodzie. Odruchowo wyciągnęła ręce i chwyciła się burty.

Peyre rzucił wiosło na dno i złapał jej nadgarstki.

– Połamie mi żebra – wykrztusiła, czując, jak spychana kolejnymi falami łódka coraz bardziej przypiera ją do muru. Dygotała z zimna. O tej porze roku woda wciąż jeszcze była chłodna.

– Spróbuj przepłynąć na drugą stronę! – krzyknął Peyre.

Skinęła głową, nabrała powietrza w płuca i zanurkowała. Nie potrafiła pływać, ale miała na tyle rozsądku, by oprzeć stopy o mur, a dłonie o dno łódki i odepchnąć się mocno. Siła rozpędu pozwoliła jej przepłynąć kilka stóp. Spojrzała w górę. Czarny kształt łodzi został z boku, nad sobą miała teraz falującą powierzchnię morza. Oglądane od spodu fale wyglądały przedziwnie, niemal baśniowo.

Na jeden krótki moment zachwyił ją ten widok. Potem poczuła, jak coś ściąga ją w głąb, nie pozwalając wypłynąć. Przerazona spojrzała na własne stopy, szukając oplątanych wokół kostek wodorostów, może jakiejś liny czy sznura. Niczego takiego nie znalazła. Zamarła na chwilę, z sercem szybko bijącym ze strachu.

Jej ciało, łagodnie obracając się wokół własnej osi, osuwało się w dół.

Przypomniła sobie opowieści o wirach, które niosą zgubę nieostrożnym pływakom. Zaczęła miotać się, młóćąc rękami, z głową wciąż zadartą, wpatrzona w zielonoblękitną, zbawczą powierzchnię, tak bliską, tak niesamowicie bliską, iż wystarczy

sięgnąć, by dłoń znalazła się ponad wodą. Wystarczy wyciągnąć rękę, a Peyre będzie wiedział, gdzie jej szukać, i z pewnością przyjdzie jej z pomocą.

Ruchy dziewczynki z każdą sekundą stawały się słabsze, w płucach odzywał się coraz silniejszy ból. Wiedziała, że za chwilę będzie musiała otworzyć usta. Z całej siły zaciskała wargi, kręcąc głową jak dziecko odmawiające kolejnej porcji owsianki. Przez głowę przelatywały jej strzępy modlitw.

O Boże, nie pozwól mi umrzeć. Nie tak, proszę, proszę... Nie chcę umierać...

Otworzyła usta. Zimna, słona woda wdarła się do płuc, wypełniła przełyk i żołądek. Nim szok litościwie pozbawił ją przytomności, w jednej krótkiej chwili, gdy jej niepokorne ciało wciąż jeszcze próbowało walczyć, Melisandra zrozumiała, że to już koniec.

WIOSNA

MALIVERN

Hrabia Guillem Pasquiés d'Equille de Fontmartis kochał pannę Isabel d'Aleume. Kochał ją od pierwszej chwili, od tamtego wieczoru, gdy po raz pierwszy zobaczył jej szczupłą, dziewczęcą figurkę w przegrzanej sali balowej. Tańczyła lekko jak motyl, a gdy zbliżył się, by spojrzeć jej w twarz, przekonał się, że rysy dziewczyny najzupełniej odpowiadają doskonałej sylwetce. Był oczarowany, olśniony. Namówił wspólnego znajomego, by go przedstawił i od tej pory bywał częstym gościem w domu matki Isabel.

Maria Loisa d'Aleume miała w żyłach dobrą, szlachecką krew i otrzymała staranne wychowanie, ale od córki różniła się jak ziemia od nieba. Była gadatliwa, roztrzepana, co tu dużo mówić – zwyczajnie głupia. Hrabia wiedział także, że zmarły prawie trzy lata temu ojciec dziewczyny był ekscentrykiem, który w skandaliczny sposób wychowywał córki, a co gorsza, był także zdrajcą. To jednak nie zniechęciło hrabiego. Wręcz przeciwnie, fakt, że rodzina d'Aleume do dziś nosiła piętno skandalu, wzmocnił jego uczucie dla dziewczyny. Pragnął ocalić Isabel, uratować ją, zapewniając los, na który zasługiwała.

I nie obchodziło go, co o tym powiedzą ludzie.

Następnego dnia po tym, jak Isabel zgodziła się zostać jego żoną, hrabia jadł śniadanie ze swoją babką.

Baronowa de Lesterlou wysłuchiwała wnuka cierpliwie, po czym wzięła ze srebrnego talerzyka rogalik, oderwała kawałek mięszu od skórki i włożyła go do ust, językiem przesuwając do tyłu. Ostatnio jeden z przednich zębów, nielicznych, które jej pozostały, zaczął się chwiać i wołała nie ryzykować.

– Cóż – uśmiechnęła się złośliwie – masz już trzydzieści dwa lata i najwyższy czas, żebyś się ożenił. Nie mam nic przeciwko

małej Isabel. Zastanawia mnie tylko jedno. Taki człowiek jak ty powinien dwa razy pomyśleć, zanim zwiąże się z taką rodziną.

Spoglądała na niego drwiąco, przechylając głowę niczym bezczelna sroka. Twarz baronowej, zniszczona przez wiek i lata używania ostrego makijażu, dawno już straciła urodę, ale jej oczy patrzyły bystro, a umysł funkcjonował sprawnie. Jak na swoje siedemdziesiąt lat, kobieta trzymała się znakomicie.

Hrabia wiedział, o czym staruszka mówi. Trzydzieści lat temu dziadek Isabel d'Aleume, czystej krwi Neahelita, sprzedał swój majątek na północy i wraz z dwunastoletnim synem przeniósł się do Quinson. Pieniądzy starczyło mu akurat na tyle, by ludzie tytułowali go „don”, ale już nie na to, by kupić sobie jakiś porządny szlachecki tytuł. Nawrócił się, od miejscowości, obok której leżały jego ziemie, przyjął nazwisko d'Aleume, a syna ochrzcił Xavierem. Mały Xavier otrzymał wykształcenie już okcytańskie, a gdy dorósł i odziedziczył pieniądze ojca, rozsądnie postanowił ożenić się z Okcytanką. Jego starsza córka była dzieckiem obdarzonym niezwykłą pamięcią. Odkąd skończyła osiem lat, ojciec zabierał ją na wszystkie wieczorki, przyjęcia, a nawet na trwające całą noc bale. Tam dziewczynka popisywała się wiadomościami z historii, geografii czy filozofii, znajomością obcych języków oraz powtarzaniem z pamięci skomplikowanych ciągów liczb i tekstów. Myśl o dziecku, które zmuszono do tego, by niczym niedźwiedź na łańcuchu czy tresowana małpa bawiło dorosłych, budziła w Guillemie de Fontmartis wstręt.

Ale i tak najgorsze było to, co don Xavier zrobił, gdy Melisandra d'Aleume umarła.

Hrabia de Fontmartis z trudem zapanował nad odrazą.

– Dòna Isabel nie odpowiada za czyny swoich bliskich – odparł chłodno. – Wręcz przeciwnie, cenię ją i Kocham tym bardziej za to, że potrafiła zachować niewinność, wzrastając w takim środowisku.

– A więc tak to widzisz.

– Tak, właśnie tak. Nic tak nie niszczy dobrego imienia rodziny, a zwłaszcza reputacji młodej panny, jak fakt, że jej nazwisko pojawia się w gazecie i to jeszcze w takim kontekście!

Ale z pewnością nie było w tym winy Isabel, na Boga, była wtedy dzieckiem! A co do Xaviera d'Aleume, to jakkolwiek sam chętnie założyłbym mu sznur na szyję, to jego los nie leży już w ludzkich rękach. Bóg osądził go z całą surowością.

– Xavier d'Aleume – powiedziała baronowa spokojnie – wykazał się sporą odwagą, podejmując taką, nie inną decyzję. Nasz świat wybacza różne ekstrawagancje, ba, czasem nawet ich szuka, ale są pewne granice, których przekraczać nie wolno. On o tym wiedział, a mimo to zdecydował się to zrobić.

– Odwagą? – parsknął hrabia. – Jakiej to odwagi trzeba, by oddać pogańskiemu demonowi własne dziecko wychowane w wierze chrześcijańskiej? Gdyby Xavier d'Aleume wpadł w moje ręce, potraktowałbym go tak, jak traktuje się zdrajców: kulą w łeb. I, do licha, nawet nie miałbym z tego powodu poczucia winy!

Czcigodna Merenmūt, przełożona Domu Ciemnego Księżyca, z trudem wspinała się po kamiennych schodach.

„Może ci pomóc?“, zaszeptał jej w głowie kuszący głos. Przymknęła oczy i pozwoliła, by *ush'māy* napełnił ją swoją siłą. Resztę schodów pokonała szybko i sprawnie, dopiero na piętrze zatrzymała się i wyrzuciła demona ze swego umysłu. Zaciśnęła zęby, starając się dzielnie znieść ból przeforsowanych mięśni. Nie powinna tego robić, nie teraz, gdy była już tak słaba. Ale w miarę jak się starzała, pokusa korzystania z magicznej pomocy stawała się coraz silniejsza. Niestety, zawsze trzeba było za nią płacić.

Odetchnęła głęboko, wciągając w płuca charakterystyczne dla starych budynków wilgotne i zatechłe powietrze, po czym ruszyła korytarzem.

Otworzyła pierwsze z rzędu drzwi. Znalazła się w dużej sali, wzdłuż jej ścian ciągnęły się wypełnione książkami drewniane półki. Wąskie, wysoko umieszczone okno wpuszczało niewiele światła i siedząca na podłodze ciemnowłosa dziewczyna musiała używać świecy. Na widok Merenmūt zerwała się i stanęła przed nią w przepisowej pozycji: głowa pochylona, ręce

złożone na piersiach. Staruszka przyglądała się jej przez chwilę. Postawie dziewczyny nic nie można było zarzucić, a mimo to z całej jej postaci biło coś tak nieuchwytnie aroganckiego, że Merenmūt odezwała się znacznie bardziej szorstko niż zamierzała:

– Czekam na ciebie na dole, Ekhne–tai. Musimy porozmawiać.

Dziewczyna złożyła książkę, którą wcześniej trzymała na kolanach, i wsunęła na półkę pomiędzy pozostałe. Wszystkie pisane były ręcznie, ale, co dziwniejsze, na współczesnym papierze. Nigdzie na Serralangue nie było drukarni, mogącej drukować teksty zapisane alfabetem neahelickim, a gdyby nawet istniała taka możliwość, *soutzene* z pewnością by ją odrzucili. Woleli sami przepisywać księgi, w miarę jak poprzednie egzemplarze niszczały pod wpływem czasu i wilgoci.

Zeszły na dół kolejno, Merenmūt pierwsza, kilka kroków za nią Ekhne–tai. Na zewnątrz przecięły niewielki placyk porośnięty młodą, wczesnowiosenną trawą, potem przeszły kładką nad potokiem, który niedawne deszcze zamieniły niemal w małą rzekę.

Po drugiej stronie strumienia znajdował się budynek złośliwie nazywany przez niektórych „stajnią”, a Ekhne–tai kojarzący się przede wszystkim z wojskowymi koszarami. Podłużny i przysadzisty, w środku podzielony był na kilka pomieszczeń: osobne sypialnie dla dziewcząt i chłopców, wspólna sala, pokoje gościnne, kuchnia, a także skromne pomieszczenie służące jako świątynia i pokój wróżb. *Soutzene* przeprowadzili się do nowego domu trzy lata temu, gdy stało się jasne, że w starym nie można już mieszkać. Zimą nie sposób było tam ogrzać wielkich sal, a wiosną i jesienią deszcz wdzierał się do środka. Teraz więc nieliczne suche pomieszczenia dawnej siedziby służyły już tylko jako magazyn książek.

– Przygotuj mi *ba'svebe* – rzuciła staruszka, siadając na drewnianej ławeczce przed nowym domem.

Ekhne–tai weszła do kuchni, rozdmuchała żar w piecu i zagrzała wody w małym garnuszku. Potem dosypała ziół,

zamieszała i przelała napój do cynowego kubka.

Merenmūt piła powoli, rozkoszując się tyleż ciepłem rozchodzącym się po jej starych kościach, co faktem, że właśnie wystawia cierpliwość Ekhne–tai na próbę. Niech uczy się opanowania, myślała, mrużąc oczy. Ale dziewczyna bynajmniej nie wyglądała na zniecierpliwioną. Wręcz przeciwnie, stała przed przelożoną uśmiechnięta, patrząc na nią wyzywająco, jakby dawała do zrozumienia, że wie doskonale, co za chwilę usłyszysz, i że te kilka minut zwłoki nie robi jej żadnej różnicy. Merenmūt otaksowała wzrokiem wychowankę i skrzywiła się. Ekhne–tai ubrana była w za dużą męską koszulę z podwiniętymi do łokci rękawami. Szerokie poły sięgały niemal brzegu krótkiej spódnicy, od której oddarto pas materiału. Na stopach miała skórzane sandały, z których jeden, zamiast rzemieniem, związany był kawałkiem sukna – bez wątpienia tym właśnie, którego brakowało u dołu spódnicy. Ciemne włosy dziewczyny były nierówno przycięte na wysokości ramion. Drżała lekko, a jej łydki i ramiona pokrywała gęsia skórka, bo w powietrzu, mimo słonecznej pogody, wciąż czuło się chłód.

– Rozmawiałam dziś rano z Djevra – powiedziała Merenmūt. Neahelici co prawda pielęgnowali cnotę cierpliwości i nigdy się nie spieszyli, ale kiedy już zdecydowali się mówić, robili to bez żadnych ogródek. – Dał ci wolny wybór. Możesz odejść, dokąd chcesz.

– Wracam więc do Quinson.

– Nie powinnaś. *Soutzene* nigdy nie wracają do miejsca, w którym się urodzili.

– W Quinson mam rodzinę.

– Twoją rodziną są *soutzene*.

Przez moment twarz dziewczyny, mimo odmiennych rysów, przybrała typowo neahelicki wyraz zamaskowanego chłodem uprzejmości upor.

– Czy jesteś w stanie mnie powstrzymać, czcigodna?

– Jeśli Djevra dał ci wolny wybór – nie.

– A więc nie mamy o czym mówić.

– Postępujesz wbrew liczącej tysiące lat tradycji. Kto wie, jakie będą tego skutki.

Dziewczyna uśmiechnęła się kpiąco.

– Może najwyższy czas, by ktoś wreszcie się na to zdecydował? Jeśli naprawdę spotka mnie coś złego, będziecie przynajmniej mieli czym straszyć przyszłe pokolenia.

– To nie jest temat do żartów.

Ekhne–tai roześmiała się. Teraz już w niczym nie przypominała Neahelitki.

– Zaczekaj chwilę. Mam coś dla ciebie.

Merenmüt zniknęła we wnętrzu budynku, a dziewczyna zajęła jej miejsce na ławeczce. W tym samym czasie z lasu wyszła grupka jasnowłosych dziewcząt. Ubrane w jaskrawe sukienki i obwieszone sznurami tanich koralii przypominały stado kolorowych papug. Szły wolno, obejmując się. Wchodząc do domu, najmłodsza odwróciła się i rzuciła kilka niewybrednych epitetów. Ekhne–tai nie zareagowała. Przyzwyczyła się, one zresztą też i nie wkładały już w wyzwiska tyle serca co niegdyś.

Staruszka pojawiła się po chwili, niosąc w rękach obwiązaną sznurkiem paczkę. Ekhne–tai ostrożnie odwinęła papier. W środku był *lenhal*, rodzaj rozciętej po bokach tuniki. Ten tutaj, dłuższy, ze sznurowanym staniczkiem, przeznaczony był dla kobiety. Miał czerwony kolor, kolor krwi i magii, który wolno było nosić jedynie *soutzene*. Uszyto go z delikatnego jedwabiu, a wzdłuż szwów pociągnięto zielone taśmy haftowane misternie w kwiaty inkarwilli. Nie była to z pewnością szata do codziennego użytku.

– Dziękuję, czcigodna.

– Nie musisz. Mam tylko nadzieję, że okażesz się godna go nosić.

Dziewczyna niespodziewanie objęła staruszkę i serdecznie ucałowała w policzek. Ta odsunęła się, niepewna, czy nawet teraz wychowanka po prostu sobie z niej nie kpi.

– Ekhne–tai?

– Tak, czcigodna?

– Nie pochlebiaj sobie, sądząc, że umiesz już wszystko. Wróc do Quinson, jeśli koniecznie chcesz, ale potem jedź do Domu Snów i oddaj się pod opiekę tamtejszego przełożonego. On będzie umiał tobą pokierować. Obiecay mi, że tak zrobisz.

Słowa staruszki nie spodobały się dziewczynie, choć o wizycie w Domu Snów od dawna już myślała.

– Będę o tym pamiętać, czcigodna, ale nie mogę niczego obiecać – powiedziała i ukłoniła się sztywno na pożegnanie.

Przynajmniej jest szczerą, pomyślała Merenmüt, starając się zapanować nad gniewem.

Weszła do kuchni i przez chwilę grzała dłonie nad piecem. Zastanawiała się, jakie błędy popełniła w ciągu minionych sześciu lat. Niegdyś, gdy Djevra zesłał ją na to odludzie, miała w sobie wiele goryczy. Była jedną z najzdolniejszych i najlepiej wykształconych *soutzhau*, a w jej ręce trafiały przeważnie wiejskie dzieci, chłopcy i dziewczynki z różnych stron wyspy. Oczywiście i oni mieli swoje zalety. Byli bardzo młodzi, większość z nich nie miała więcej niż cztery–pięć lat, ukształtowanie ich osobowości zgodnie z tradycją nie przedstawiało więc żadnego problemu. Gorzej, że były to zwyczajnie dzieci mało zdolne. Merenmüt z trudem wbijała im do głowy podstawy magii, a po kilkunastu latach, gdy osiągnęły granice swych możliwości, wypuszczała w świat, by mogli zarabiać na życie jako uzdrowiciele, Przewodnicy Dusz czy podrzędni wróżbici i zaklinacze. Marzyło jej się czasem, by w Domu Ciemnego Księżyca zjawił się ktoś, komu mogłaby przekazać pełnię swojej wiedzy. I ktoś taki się znalazł, owszem, tyle tylko, że w najśmielszych marzeniach nie przypuszczała, że przyjdzie jej uczyć półkrwi Okcytanke, dziewczynę, która przybyła tu, mając już trzynaście lat, przesiąknięta obcymi wpływami, gardząca neahelicką tradycją.

Już w pierwszych dniach Merenmüt zorientowała się, że dziewczyna jest bardzo utalentowana. Miała fenomenalną pamięć i niesłychanie plastyczną wyobraźnię – dwie cechy tak potrzebne przy nauce magii. W ciągu sześciu lat Merenmüt przekazała jej wszystko, co sama wiedziała. Niestety, nie zdołała wpoić uczennicy żadnej z cech, które powinny charakteryzować prawdziwą *soutzhau*. Dziewczynie obca była cierpliwość, sztuka panowania nad sobą czy głęboki szacunek dla dawnych zwyczajów. W dodatku nie potrafiła z godnością znieść bólu i cierpienia, a cechę tę *soutzene* także cenili bardzo

wysoko.

Ale przynajmniej nie kłamie, pocieszyła się Merenmūt po raz wtóry. Tamci – a poprzez „tamtych” stara *soutzhau* rozumiała Okcytańczyków – mają obrzydliwy zwyczaj uciekać się do kłamstwa, by uniknąć najmniejszej choćby przykrości czy bólu. A dziewczyna jest szczerą, to trzeba przyznać.

Niestety, zamiłowanie do szczerości było jedyną cechą, jaką Ekhne–tai odziedziczyła po neahelickim ojcu.

– Jest ładna? – zapytał Marcelin, opierając się na łokciach i odchylając głowę do tyłu.

Leżał wyciągnięty na trawie, spoglądając spod przymrużonych powiek na kuzynkę. Isabel, przez rodzinę i przyjaciół nazywana czasem Beliną, pół kroku dalej rozłożyła się na pasiastym leżaku, osłonięta koronkową parasolką, która w pierwszym naprawdę ciepłym dniu tej wiosny chroniła ją przed utratą białej cery. Dziewczyna świadoma była faktu, że promienie słońca przenikające przez koronki parasola tworzą na jej twarzy uroczą grę światła i cieni. Żałowała nieco, że tak piękny widok marnuje się dla leżącego obok chłopaka, który właśnie zdjął but i palcami stopy usiłował chwycić źdźbła trawy. Pomędzy kuzynami widać było wyraźne podobieństwo. Oboje mieli ciemne włosy i jasną cerę, byli drobnokościści i delikatni, dysponujący raczej zręcznością niż siłą.

– Kto?

– Daj spokój, Belino. Mam na myśli Melisandrę, twoją siostrę. Od rana w tym domu nie mówi się o nikim innym.

Była to przesada, ale niewielka. Odkąd z poranną pocztą przyszedł ten list, cały dom stanął na głowie. Isabel znała na pamięć każde słowo:

Mam nadzieję, że ucieszy Was wiadomość, iż Wasza córka marnotrawna wraca wkrótce do domu. Spodziewam się na przywitanie uczyć z utuczonego cielęcia.

Mel

Na wspomnienie lekkiego tonu listu Isabel znów poczuła irytację. Melisandra pisała, jakby wyjechała po prostu w długą podróż. Jakby nie było wszystkich tych lat, gdy cała rodzina próbowała pogodzić się z jej utratą. (Śmiercią, poprawiła się zaraz w myślach. Tak zawsze mówił tata. Mel umarła).

Cieszę się, myślała Isabel. Naprawdę się cieszę, że znów ją zobaczę. Ale jednocześnie na dnie jej duszy zbudziło się paskudne uczucie. W końcu, po wielu latach, miała to, czego chciała: spokojne, poukładane życie, narzeczonego, ludzki szacunek.

A powrót Mel przewróci wszystko do góry nogami. Ludzie znów zaczną szeptać, wytykać ją i matkę palcami.

Stłumiła tę myśl i wyrzuciła z głowy.

– Isabel? – Głos kuzyna wyrwał ją z zamyślenia. – Pytałem, czy twoja siostra jest ładna.

Czy Melisandra, taka jaką zapamiętała z dzieciństwa, była ładna? Isabel wątpiła, ale gdyby teraz zaprzeczyła, mogłoby to wyglądać tak, jakby była o siostrę zazdrosna.

– Jest... oryginalna – odparła więc po chwili wahania.

– A więc brzydka – zasmucił się chłopak. – Szkoda. W powieściach czarownice są zawsze albo młode i bardzo piękne, albo stare i szpetne.

– *Soutzene* nie przypominają czarowników z powieści.

– A więc jacy są? Opowiedz, proszę... – Porzucił trawę i palcami stopy zaczął podciągać do góry brzeg spódnicy dziewczyny.

– Przestań! – szarpnęła się.

Zachichotał.

– Bo co, naskarżysz ciotce? Nic mi nie zrobi. Za bardzo mnie lubi – powiedział z absolutną pewnością człowieka, który ma tyle uroku osobistego, że nikt nie może się na niego gniewać. – No mów! – ponaglił ją. Marcelin przypląnął z kontynentu ledwo pół roku temu i powieści o prawdziwej magii wciąż go fascynowały.

Isabel westchnęła z rezygnacją.

– *Soutzene* to czarownicy, słudzy Djevry – wyjaśniła. – Magia zawsze jest darem jakiegoś boga czy innej istoty z tamtego

świata. Albo świętego...

– Wiem o tym. Tam, gdzie się urodziłem, sporo księży uprawia magię. Choć – znów zachichotał – oni nigdy nie nazywają tego „magią”.

– Nie przerywaj mi, dobrze? – Nadąsana Isabel wyglądała zupełnie jak dziecko.

– Już nic nie mówię. Ani słóweczka.

– W każdym razie – ciągnęła – większość z tych istot, w tym i święci, obdarowuje ludzi już przy narodzinach. Djevra jest inny. On wybiera swoje sługi spośród umarłych. Najczęściej są to małe dzieci. Djevra przywraca im życie, a rodzice takiego ożywionego dziecka wiedzą, że to znak od boga. Wiedzą, że muszą oddać dziecko *soutzene* i uznać je za zmarłe. Odtąd nikt nie mówi o nim inaczej jak tylko „mój zmarły brat” czy „syn”.

– A Melisandra? Naprawdę umarła?

– Tak.

– Opowiesz?

Przymknęła oczy. Nie chciała o tym mówić.

– Niewiele pamiętam – wykręciła się. – Zapytaj Mel, gdy przyjedzie.

Melisandra wzdrygnęła się, gdy kolejna kropla deszczu, przesączywszy się przez nieszczelne okno powozu, spadła na jej policzek. Wcisnęła się głębiej w skórzane oparcie. Siedząca obok kobieta spała, pochrapując cicho. Głowa opadała jej coraz niżej, aż w końcu dotknęła ramienia Mel. Dziewczyna bez namysłu wbiła łokieć w bok sąsiadki. Kobieta ocknęła się i wymamrotała przeprosiny.

Pozostali pasażerowie, niedawno jeszcze gadający jak najęci, teraz siedzieli osowiali, wymęczeni całodzienną podróżą. Dobry nastrój pogarszał się w miarę jak psuła się pogoda. Padać zaczęło, gdy wjechali w góry. Strugi deszczu i błoto tryskające spod kół niemal całkowicie przesłoniły okno powozu. W środku było ciemno, twarze pasażerów oświetlała jedynie zawieszona u sufitu lampka, chybocząca się z każdym drgnięciem dylizansu.

Podróż z północnego krańca Serralangue na południowy

trwała zazwyczaj pięć dni, z czego ponad dwa zabierała przeprawa przez góry, które ciągnąc się przez środek wyspy, dzieliły ją na dwie części – cieplejszą południową oraz nieco chłodniejszą północną. Wsiadając do dylizansu, dziewczyna zdecydowała, że nie ma sensu mówić współpasażerom, kim naprawdę jest. Chcąc uniknąć pełnej lęku ciekawości, jaka otacza każdego maga, wymyśliła sobie tożsamość jednej z tych biednych dziewcząt, które tłumnie ruszają na południe w poszukiwaniu pracy. Zapomniała jednak o tym, że ludzie podróżujący dylizansem często zabijają nudę rozmową. Wypytywana bezustannie o swoją fikcyjną przeszłość i równie fikcyjne plany na przyszłość, Mel czuła, jak wzbiera w niej złość.

Szczyściem, kiedy była już u kresu wytrzymałości, do dylizansu wsiadł pewien ksiądz, chudy i niewysoki, w okularkach na cieniutkim nosku. Duchowny okazał się prawdziwą duszą towarzystwa, sypał anegdotami jak z rękawa i odciągnął uwagę od Melisandry. Potem pomógł jej deszcz, który zamknął wszystkim usta. Do Rourrissòl, ostatniej miejscowości przed przejazdem przez najwyższą partię gór, dotarła więc zmęczona, ale w sumie w nie najgorszym nastroju.

O tym, że w Rourrissòl czekają na dylizans jeszcze jacyś podróżni, dowiedziała się rano, gdy służąca przyniosła jej śniadanie. Dalej mieli ruszyć w piątkę – ona, dowcipny ksiądz i pewna rodzina składająca się z matki, dorosłego syna i córeczki. Jechali z Touzery i wiadomość ta przeraziła Melisandrę nie na żarty. Touzery było niewielkim, położonym w górach miasteczkiem, sławnym tylko z jednego powodu – znajdował się tam kościół świętego Crispina Cudotwórcy.

Wyjrzała przez okno. Jej pokój leżał na parterze, miała więc dobry widok na służących, którzy wozili bagaże podróżnych na taczkach. Dalej woźnica przywiązywał kufry do dachu dylizansu. Ksiądz biegł już do powozu, śmiesznie przeskakując przez błotniste kałuże. Za nim spieszyli nowi podróżni, eskortowani przez służącego, który bezbłędnie rozpoznał w nich najbogatszych gości w gospodzie i spodziewał się hojnego napiwku. Dziewczyna przyjrzała się im dokładnie. Kobieta była

wysoka i przygarbiona, a na jej chudej sylwetce elegancka suknia – teraz co prawda dość ubłocona – zwisała jak szmata. Jej syn mógł być parę lat starszy od Mel. Postawą bardzo przypominał matkę i wyglądał na mola książkowego. Twarz miał białą jak wapno, ale być może nie była to oznaka choroby, a jedynie zwyczajna bladość charakterystyczna dla kogoś, kto rzadko wychodzi z domu. Trzecia osoba, mniej więcej dwunastoletnia dziewczynka, szczęściem była znacznie ładniejsza i weselsza niż tamtych dwoje. Ani matka, ani syn – pomimo ponurych min – nie sprawiali wrażenia chorych, a podskakująca radośnie dziewczuszka z całą pewnością była zdrowa jak rydz. Co prawda na jej szyi wisiało mnóstwo talizmanów i medalików z wizerunkiem świętego Crispina, ale w uzdrowiskach takich jak Touzery amulety kupowali wszyscy, zdrowi i chorzy, po prostu jako rodzaj oryginalnej pamiątki.

Mel chwyciła spakowaną torbę i wyszła z pokoju. Mijając salę jadalną, dostrzegła na jednym ze stołów gazetę, najwyraźniej porzuconą przez któregoś z gości. Był to „Reporter” sprzed tygodnia, quinsonska popołudniówka specjalizująca się głównie w skandalach towarzyskich. Złożyła gazetę i wsunęła do kieszeni płaszcza.

Wrzuciła torbę na dach dylizansu i wskoczyła na swoje dawne miejsce. Naprzeciw siedziała już dziewczynka, z rączkami grzecznie złożonymi na kolanach. Jej matka nadal tkwiła po kostki w błocie, wymyślając woźnicy, który, jej zdaniem, źle wiązał bagaże. Obok matki stał syn, nieruchomy, ze wzrokiem wbitym w odległe szczyty, które otulała mgła. Twarz miał długą i bardzo wąską, jakby ktoś ścisnął ją w imadle, i haczykowaty nos.

Tymczasem kobieta otworzyła drzwi dylizansu i pierwszą osobą, na którą padł jej nieprzychylny wzrok, była Melisandra.

– To miejsce mojego syna – warknęła.

– A gdzie to jest napisane? – odpaliła bez namysłu dziewczyna.

Kobieta sapnęła z irytacją, opanowała się i powiedziała już spokojniej:

– Flavian lubi w czasie jazdy podziwiać widoki, biedak ma

taką poetycką, romantyczną naturę. Niech panna zrobi mi grzeczność i przesiądzie się na drugą stronę, pannie to przecież wszystko jedno – ciągnęła, mimo iż Flavian, nagle poczerwieniały, szarpał ją za rękaw, powtarzając: „Daj spokój, mamó”.

– Przykro mi – odparła zimno Mel. – Ja też jestem bardzo poetycka i romantyczna. Niech ona się przesiądzie. – Wskazała dziewczynkę, która również siedziała po właściwej stronie.

– Chcę zostać tutaj! – zawołało dziecko. – Mamó, powiedz tej pani, że nigdzie nie pójdę!

– Oczywiście, że nie, kochanie – kobieta czym prędzej uspokoiła córkę. Wzrokiem poszukała pomocy u woźnicy i służącego z gospody, a ci, jak na komendę, odwrócili głowy. Wsiadła więc do dyliżansu, mamrocząc pod nosem coś o klasach niższych, które z każdym dniem stają się coraz bardziej aroganckie.

Powóz wspinał się wąską, górską drogą. Z jednej strony ciągnęło się kamieniste, strome zbocze, na którym nie rosło nic prócz poskręcanych wiatrem niskich krzewów, z drugiej strony zaś stok opadał gwałtownie w dół, odsłaniając wspaniały widok. Melisandra z początku podziwiała leżące w dolinach maleńkie miasteczka i śledziła bieg górskich strumieni. Szybko jednak znudził ją krajobraz, spróbowała więc czytać. Ale w gazecie, którą zabrała z gospody, nie było nic ciekawego, jedynie opisy balów i strojów pań z towarzystwa, plotki o romansach znanych ludzi i środek jakiejś bzdurnej powieści, w której zamordowana żona wracała pod postacią ducha, by mścić się na mężu–zabójcy i jego kochance.

Dziewczynka okazała się małą kapryśnicą. Otworzyła okno i wysunęła przez nie głowę, a potem spróbowała precyzyjnie przycisnąć tułów. Matka z okrzykiem przestrawienia chwyciła ją w pasie, ale mała dzielnie opierała się wszelkim próbom posadzenia z powrotem na miejscu. Dopiero gdy przekonała się, że okno naprawdę jest zbyt wąskie, by mogła przez nie wyskoczyć, usiadła i pozwoliła księdzu bawić się żartami. Mel dowiedziała

się z ich rozmowy, że dziewczynka nazywa się Paulina Delmay. Jej brat, Flavian, czytał jakąś małą książeczkę. Faktycznie, był to tomik poezji.

To przyszło powoli, nie tak gwałtownie jak wtedy, gdy spotykała kogoś cierpiącego na silny ból. Uczucie narastało i wkrótce zmieniło się w rozpacz, cichą, jednostajną rozpacz człowieka, który wie, że nie ma już dla niego ratunku i który z tą wiedzą nauczył się żyć. Wkrótce Melisandrze udało się zlokalizować źródło tej rozpacz. Był nim Flavian, pozornie pogrążony w lekturze poezji, który jednak jak dotąd nie przewrócił ani jednej kartki, i jego matka o ustach zaciśniętych w wąską kreskę.

Zwinęła mokre od potu dłonie w pięści, głowę oparła o ścianę powozu, pragnąc znaleźć się jak najdalej od źródła rozpacz. Oddychała płytko i coraz bardziej spazmatycznie, gwałtownymi haustami wciągając powietrze. W tej rodzinie stało się coś złego, myślała. Któreś z nich musi być bardzo chore, a święty Crispin nie zdołał im pomóc.

A potem zamiast współczucia poczuła nagłą złość. Jakim prawem ci ludzie skazują ją na cierpienie, którego nie może uniknąć? Och, wiedziała oczywiście, że to nie ich wina, ale nie zmieniało to faktu, że z chęcią otworzyłyby teraz drzwiczki dyliżansu i wyrzuciła oboje na pustą, górską drogę. Do szału doprowadzał ją śmiech Pauliny, drażnił posepny wzrok pani Delmay. Wypełniająca ją złość czekała tylko na pretekst, by znaleźć sobie ujście. Zamknęła oczy, udając, że śpi, i choć w ten sposób próbując odizolować się od reszty pasażerów. Uszu, niestety, zatkać nie mogła.

Stopniowo fala złego samopoczucia, a z nią i złość zaczęły mijać. Dziewczynie udało się oddzielić rozpacz tamtych dwojga od własnych uczuć, wyrzucić ze swego umysłu, choć nadal była świadoma jej istnienia i mogłaby, gdyby tylko zechciała, ponownie otworzyć się na ten smutek i poczuć go jak własny.

Na przełęczy świętego Crispina przewidziany był krótki postój, by konie mogły odetchnąć przed dalszą drogą. Gdy powóz

zatrzymał się, Mel pierwsza znalazła się na zewnątrz. Stała na skraju drogi i mocniej naciągnęła na głowę kaptur. Nie padało, ale powietrze przesiąknięte było wilgocią. Zimny, porywisty wiatr łatwo przenikał cienki płaszcz. Pożałowała, że nie kupiła sobie czegoś cieplejszego. Za plecami usłyszała głosy podróżnych, domagających się od woźnicy zdjęcia kufrów z dachu powozu.

Odwróciła się i brnąc przez zmieszane z błotem resztki mokrego śniegu, ruszyła w stronę półotwartej, niskiej chaty. Tutaj także było zimno, ale przynajmniej nie dokuczał jej wiatr. Wzdłuż trzech ścian szałasu ciągnął się drewniany stół, otaczające go ławy zbudowane były z przeciętych na pół pni drzew. Na środku krąg kamieni zaznaczał poczerńiałe miejsce, w którym palono ogień.

Wkrótce dołączyli do niej pozostali podróżni. Mel omal nie parsknęła śmiechem. Pani Delmay miała na sobie dwa płaszcze, a wokół głowy zamotaną szeroką chustę, dzięki czemu wyglądała, jakby bolały ją zęby, mała Paulina nosiła eleganckie, najpewniej matczyne futro, które ciągnęło się za nią po ziemi, a ksiądz i Flavian przypominali wiejskie baby okutane we wszystko, co znalazło się pod ręką.

– Nie ma sensu, żebyśmy wszyscy tutaj stali – powiedział rozsądnie Flavian. – Może mama pójdzie z Pauliną do powozu. Tam jest cieplej, mała będzie mogła się położyć i trochę odpocząć.

Gdy obie odeszły, Mel niepewnie usiadła na ławie. Drewno wydawało się wilgotne, ale w rzeczywistości było jedynie zimne. Obok przysiedli ksiądz i Flavian.

Dziewczyna skupiła się na myśli o tym, jak ciepło ogarnia jej ciało, wyobraziła sobie falę gorąca, pełznącą powoli od czubków zlodowaciałych stóp w górę.

Ktoś szarpnął ją za ramię, wyrываяc tym samym z transu. W jednej chwili zimno przeniknęło ją aż do kości. Zadygotała.

– Czego? – warknęła.

– Mam dla panny coś na rozgrzewkę – usłyszała głos woźnicy. Dla pewności, czy zrozumiała, o co chodzi, mężczyzna usiłował wepchnąć jej w rękę pękatą flaszkę.

– Nie chcę.

Woźnica zwrócił się więc do Flaviana, a gdy i ten odmówił, zaproponował flaszkę księdzu.

– Chodźmy, siadziem na koźle i napijem się – zachęcał.

Ksiądz przyjął propozycję. Flavian i Melisandra zostali sami.

– Może rozpalimy ogień? – zaproponowała po chwili dziewczyna, wskazując na rzuconą w kącie kupę pociętych gałęzi.

– Ale nie mam zapalek.

– Ja mam.

Przyciągnęli drewno na środek. Cienkie, cierniste gałązki nie chciały się palić. Jedynie wpłątane pomiędzy nie pomarszczone, jesienne liście zajmowały się na chwilę płomieniem i zaraz gasły.

– Proszę chwilę poczekać – powiedziała Mel.

Podeszła do dylizansu i otworzyła drzwiczki. Nie była przygotowana na falę rozpacz, która uderzyła w nią gwałtownie, odbierając oddech i niemal wyciskając łzy z oczu.

Paulina spała spokojnie, nakryta futrem, z dłonią podłożoną pod różowy policzek. A jej matka, klęcząc, przyciskała czoło do skórzanego siedzenia i szlochała cicho, ale tak rozpaczliwie, jakby za chwilę miało pęknąć jej serce.

– Przepraszam – wymamrotała dziewczyna. – Ja tylko... bardzo przepraszam...

Porwała leżącą na siedzeniu gazetę i uciekła. Kobieta chyba nawet jej nie zauważyła.

Stała przez chwilę przy powozie, starając się uspokoić. Cierpienie pani Delmay wyciekało z niej jak woda z sita. A potem, niespodzianie, jego miejsce zajęło inne uczucie.

Było tak, jakby ktoś zdjął obudowę zegara i Mel ujrzała znajdujący się w środku mechanizm: kółka i trybiki, śrubki i sprężynki.

Ona, pani Delmay i Flavian. Może nawet mała Paulina. W chwili, gdy Delmayowie i Melisandra znaleźli się w tym samym dylizansie, oplątały ich i połączyły dawno przygotowane więzy. Wszyscy byli częścią jakiegoś planu. Przez krótką chwilę Mel znalazła się blisko boga, jak wtedy, gdy stała przed nim naga i martwa. Wiedziała teraz, że Djevra na coś liczy, czeka, ma

nadzieję.

Wzdrygnęła się, ulotne wrażenie minęło i Mel nie zdążyła dostrzec niczego więcej.

W chacie Flavian rozpałił ogień, używając „Reportera” jako podpalki. Mel kucnęła przy ognisku, ściskając między kolanami rozdygotane dłonie.

– Było tam coś ciekawego? – zapytał Flavian.

– Proszę?

– W tej gazecie. Od dawna nie miałem w rękach prasy.

– Nie. Tylko plotki i takie tam bzdury. Nic, co mogłoby pana zainteresować.

Uśmiechnął się.

– Sądzę, że możemy mówić sobie po imieniu. Jesteśmy przecież prawie w tym samym wieku. Jak się nazywasz?

Biorąc pod uwagę fakt, że uważał ją za wiejską dziewczynę, była to niezwykła propozycja. Mel poczuła się mile zaskoczona i, może ujęta jego serdecznością, a może zwyczajnie zmęczona ciągłym udawaniem, postanowiła powiedzieć prawdę.

– Melisandra. I nie jestem tym, za kogo mnie pewnie uważasz.

– Spiesząc się, zanim nadejdą pozostali, powiedziała mu o swojej śmierci, o *soutzene* i o tym, że bóg w końcu podarował jej wolność. Czekwała na pełne zdumienia pytania, może na odruch milczącej niechęci. Nic takiego nie nastąpiło. Mężczyzna milczał, ale nie wyczuwała w nim lęku.

– Flavian? – powiedziała niepewnie.

– Wiesz, że jesteśmy prawie sąsiadami? Znam twoją rodzinę. My także mieszkamy w Malivern, w Zielonym Domu. Będziemy mogli się odwiedzać.

Mel pomyślała złośliwie, że o Zielonym Domu, który w czasach jej dzieciństwa należał do państwa Nouvier, zawsze mówiono, iż stoi nie w Malivern ani nawet nie w Quinson, ale poza granicami miasta. Albo przez ostatnie lata Malivern znacznie się rozrosło, albo też Flavian lubił poprawiać sobie humor, twierdząc, że mieszka w najelegantszej dzielnicy miasta.

– Zaproszę przyjaciół i urządzimy sobie wieczorek – entuzjasmował się dalej młodzieniec. – Moi przyjaciele to

artyści: malarze, poeci i muzycy. Z pewnością ich polubisz. Wiesz, że poznałem samego Vigila Calę? Niezwykle uroczy człowiek, wbrew temu, co o nim mówią. A jaki przy tym skromny! Czytałaś jego wiersze?

– Niektóre. Nie podobały mi się.

– O, dlaczego?

– Bo wszystko jest u niego piękniejsze i lepsze niż naprawdę. To fałszuje rzeczywistość.

– Czy nie na tym polega rola poezji?

– Możliwe, ale ja wolałabym coś prawdziwszego. Gdy czytam *Księżycową noc*, chciałabym nie tylko zobaczyć, jak potężne są mury Miasta Snów i jak zachwycająco księżyc srebrzy ich brzegi, ale chciałabym też poczuć chłód, gdy przenika mnie nocny wiatr, i to, że od siedzenia na twardym kamieniu boli mnie tyłek.

Roześmiał się.

– *Zgasłe świece*, najnowszy tomik Cali, są właśnie takie. Bardzo... realistyczne. Naprawdę powinnaś to przeczytać.

– O czym są te wiersze?

Flavian uśmiechnął się.

– O magii – odparł. – I o widowiskach *taghe-rasāt*. Obie te rzeczy ostatnio stały się bardzo modne. Każdy mężczyzna chce uchodzić za eksperta w sprawach czarów, a każda kobieta pragnie pochwalić się znajomością z jakimś magiem. Sama zobaczysz.

Melisandra umyła się i, ponieważ nigdzie nie mogła znaleźć pokojówki, sama oczyściła z błota spodnie – podróżowała bowiem w męskim stroju, co nikogo nie dziwiło, bo jazda dylizanssem była uważana za jedną z nielicznych okazji, gdy przyzwoita kobieta mogła dla wygody ubrać się w ten sposób.

Potem zeszła do głównej sali gospody, gdzie siedział już ksiądz, pani Delmay i mała Paulina. Dziewczynka nożem ryła w stole wizerunek małego, skrzywionego słoneczka. Jej matka udawała, że tego nie widzi. Mel przezornie usiadła jak najdalej od kobiety i wciągnęła w nozdrza dochodzącą z kuchni woń.

Pachniało nieźle.

Gospodarz podał na stół wino, potrawkę z królika i grube pajdy ciemnego chleba. Mel zabrała się za jedzenie. Gdy nasyciła pierwszy głód, zdecydowała się odezwać.

– Syn pani nie zje z nami? – zapytała uprzejmie.

Pani Delmay spojrzała na nią niechętnie, uznając najwyraźniej, że dziewczyna pozwala sobie na zbyt dużą poufałość.

– Źle się czuje – odparła krótko.

– O, a co mu dolega? – spytał ksiądz.

– Ma ból głowy. To z przemęczenia. Flavian to takie wrażliwe dziecko. – Pani Delmay zabrała córce nóż i przekroiła na pół kromkę chleba.

Mel zastanowiła się. Ból głowy mogłaby od biedy znieść.

– Znam się trochę na ziołach – powiedziała ostrożnie. – Przygotuję napar z szyszek chmielowych, to powinno mu pomóc.

– Nie, dziękuję – chłodno odparła pani Delmay i zirytowana Mel już miała zrezygnować, gdy niespodziewanie poparł ją ksiądz.

– Napar z chmielu naprawdę może pomóc. Przygotuję go razem z panią.

Tym razem pani Delmay zgodziła się i po kolacji Melisandra wyprosiła u kucharza trochę szyszek chmielowych i jeszcze parę innych ziół. Ksiądz początkowo patrzył jej na ręce, ale gdy napój parzył się pod przykrywką, ziewnął szeroko i powiedział:

– Panią poradzi sobie już sama, prawda? Widzę, że panią naprawdę zna się na ziołach. Ja idę spać.

Korzystając z faktu, że została w kuchni sama, wzięła z wygasłego paleniska kawałek węgla i na drewnianym stole narysowała niewielki okrąg, wpisując w niego ciąg zawitych symboli. Potem w środek okręgu wstawiła kubek z naparem. Odczekała chwilę, odsunęła kubek i wilgotną szmatką starła znaki.

Spodziewała się, że w pokoju Flaviana zostanie panią Delmay czuwającą przy cierpiącym dziecku, tymczasem mężczyzna był sam. Leżał wyciągnięty na wąskim, drewnianym łóżku z

rękoma podłożonymi pod głowę i wzrokiem wbitym w niski sufit. Obok, na stoliczku z maleńką szufladką, leżał obrazek w drewnianych ramach. Przedstawiał świętego Crispina w pozie, w jakiej go zazwyczaj malowano – jako poważnego mężczyznę w średnim wieku, trzymającego w ramionach chore dziecko.

Melisandra zbliżyła się ostrożnie, czekając na pierwsze ukłucia bólu, które odezwą się w jej skroni. Flavian niechętnie odwrócił głowę.

– Ach, to ty. – Usiadł. – Myślałem, że to matka.

Dopiero teraz poczuła ból głowy, zbyt lekki, by mógł być przyczyną poważnego cierpienia.

– Podobno źle się czujesz. Wypij, to pomoże.

– Jest w tym magia?

– Tak.

Wypił i oddał jej kubek. Gdy dziewczyna chciała odejść, niespodziewanie chwycił ją za rękę.

– Zaczekaj. Chciałbym ci coś pokazać.

– Co takiego?

– To coś w rodzaju sekretu. Obiecuj, że nikomu o tym nie powiesz.

– Obiecuję.

Flavian ruchem głowy wskazał stojący przy łóżku stoliczek.

– Zajrzyj do środka.

Otworzyła małą drewnianą szufladkę. Pod stosem chusteczek z cienkiego płótna jej palce zamknęły się na czymś płaskim i okrągłym. Poczowała chłód metalu, a wraz z nim silne wspomnienie zamknięte w tym przedmiocie.

Jestem słaby i chory, śmierć przeszła tuż koło mnie, ale jest mi ciepło i mimo wszystko dobrze, a wokół tyle śniegu, nigdy nie widziałem tyle śniegu, wszystko jest białe, oczy mnie boją, słońce zdaje się wisieć tak nisko na niebie, za chwilę mnie spali...

Trzasnęły drzwi. Mel odskoczyła w tył i odwróciła się, stając oko w oko z panią Delmay.

– A panna co tu robi?! – Kobieta nie starała się ukrywać trzęsącej nią złości.

– Przyniosła mi tylko lekarstwo. Mamo, proszę cię... – Flavian

skulił się, chowając głowę w ramionach.

– No to niech je zostawi i się wynosi, zanim zawołam służącego, żeby ją wyrzucił.

Melisandra podeszła jeszcze bliżej i spojrzała kobiecie w oczy. Pani Delmay cofnęła się lekko. Dziewczyny naprawdę można się było teraz wystraszyć. Oczy jej, z natury i tak wąskie, zmieniły się w dwie szparki, górna warga uniosła się, odsłaniając ostre, białe zęby. „Wygląda, jakby chciała mnie ugryźć”, przemknęło pani Delmay przez głowę i choć było to pomyślane ze szczyptą ironii, to przecież był w tej myśli także autentyczny strach.

– Nie wiem, za kogo mnie pani bierze – powiedziała Mel głosem, który w każdej chwili mógł zmienić się w krzyk. – Ale nikogo nie można w ten sposób traktować. Ani służącej, ani nikogo innego. Jestem *soutzhau*, przeprosi mnie pani albo znajdę parę sposobów na uprzykrzenie pani życia.

Pani Delmay spojrzała na syna, który skinął głową.

– To Melisandra d’Aleume – powiedział. – Parę lat temu sporo o niej pisali w gazetach. Może mama pamięta?

Usta kobiety przez chwilę poruszały się bezgłośnie. Potem przemogła się.

– Proszę o wybaczenie. Nie miałam pojęcia.

Mel skinęła sztywno głową na znak, że przyjmuje przeprosiny i wyszła, nie zapominając trzasnąć drzwiami tak, że aż tynk posypał się ze ściany. Przeskakując po trzy stopnie naraz, pobiegła do swojego położonego na piętorku pokoju.

To małe zwycięstwo wcale nie przyniosło jej satysfakcji. Wiedziała, że jej wybuch odcierpi teraz ktoś niewinny, na kim pani Delmay wyładuje złość i upokorzenie – może Flavian, może jakaś nieszczęsna pokojówka.

Przedmiot, którego dotknęła, był medalionem, w jakim nosi się portrety ukochanych osób. Prezent od kochanki, sekretnej narzeczonej? Możliwe, choć nie pasowało do niego tamto wspomnienie. Melisandra spróbowała przywołać zapamiętane szczegóły. Nie było tego wiele, kontakt był zbyt krótki.

W pamięci pozostał jej przede wszystkim obraz zaśnieżonego pustkowiecia oblewanego zimnym światłem słońca i uczucie

ogromnej ulgi. Jednego Melisandra mogła być pewna – tamtego zimowego dnia Flavian Delmay o włos uniknął śmierci.

– A więc wiesz już, że ojciec nie żyje.

Melisandra wolno, ze smutkiem skinęła głową. Wiadomość tę przywiózł do Domu Ciemnego Księżyca Nakhti, słynny *taghāraman*, który leczył tam zwichniętą kostkę. Któregoś wieczoru wymienił nazwisko Xaviera d’Aleume i w ten sposób Mel dowiedziała się, że jej ojciec uległ wypadkowi w czasie konnej przejażdżki po parku.

– Nie przyjechałaś na pogrzeb – powiedziała Isabel, a w jej głosie zabrzmiały oskarżycielskie nuty.

– Nie mogłam. – Mel wciąż nie patrzyła na młodszą siostrę. Patrzyła na ogród. Niewiele się zmienił od czasów jej dzieciństwa. Był tak samo zarośnięty zielskiem, opuszczony i mocno zaniedbany. Promienie zachodzącego słońca z trudem przedzierały się przez gąszcz opuchniętych od wiosennych soków gałęzi. Rodzina d’Aleume nigdy nie była zbyt bogata. Mieszkali wprawdzie w Malivern, ale ich dom, zbudowany jeszcze zanim dzielnica stała się modna, był tu jednym ze skromniejszych. – Zresztą ojciec by sobie tego nie życzył.

W końcu odwróciła się w stronę siedzącej na kanapie siostry. Przez chwilę spoglądały na siebie z uwagą. Rano, gdy Mel przyjechała, wszystko wydawało się prostsze. Dòna Maria Loisa z łkaniem rzuciła się na szyję dawno niewidzianej córce. Isabel nie płakała, ale przywitała siostrę serdecznie, z prawdziwą radością.

Po chwili jednak miejsce radości zajęło zakłopotanie.

Fizycznie Melisandra niewiele się zmieniła. Nadal była tą drobną, śniadokórą dziewczyną o twarzy dzikuski, którą Isabel pamiętała z dzieciństwa. Ale teraz był w niej jakiś... gniew. Spoglądała, mrużąc oczy, pozornie bardzo opanowana, ale w rzeczywistości sprawiająca wrażenie kogoś na granicy wybuchu. Isabel wciąż miała wrażenie, że jej siostra za chwilę zrobi coś niespodziewanego: zacznie krzyczeć, śmiać się albo

plakać. Nawet poruszała się inaczej: zbyt szybko i energicznie jak na pannę z towarzystwa.

Także strój Mel nie przypadł Isabel do gustu. Dziewczyna zmieniła już wprawdzie podróżne spodnie na suknię, ale cóż to była za suknia! Króciutka, sięgająca ledwo kolan i w paskudnym jaskrawożółtym kolorze, nie przypominała niczego, co nosiły przyzwoite kobiety. Isabel wiedziała oczywiście, że na północy panują inne obyczaje. Południowa część wyspy była zdecydowanie bardziej okcytańska, styl życia w miastach takich jak Quinson niewiele różnił się od stylu życia na kontynencie. Na biednej, nieurodzajnej północy, gdzie niewiele było miast, zaznaczał się natomiast wyraźny wpływ kultury neahelickiej. Tam często zdarzało się, że to właśnie najeźdźcy przejmowali sposób życia podbitego ludu, a nie odwrotnie. Ciemnowłosi rolnicy modlili się co prawda do świętych, ale nie mniejszą ufność pokładali w magicznych umiejętnościach *soutzene*, obchodzili neahelickie święta, a bywało, że i ubierali się na sposób tubylców, sposób, który przez mieszkańców południa uważany był za wysoce nieprzyzwoity.

Nic dziwnego, pomyślała Isabel, że pobyt w takim miejscu wywarł na nią wpływ. Nie miała jednak odwagi przyznać, że ta obca, odmieniona Mel nie bardzo jej się podoba.

– Kiedy ty... odeszłaś – mówiła wolno, z wahaniem; chłodna, skupiona twarz Melisandry nie zachęcała do zwierzeń – przez pewien czas było bardzo źle. Przestano nas zapraszać, ludzie obmawiali naszą rodzinę i wytykali palcami. Mówili, że tata jest zdrajcą, że jako chrześcijanin nigdy nie powinien był zgodzić się na to, byś została *soutzhau*. Ojciec... zachowywał się dziwnie. Zamykał się w domu na całe dni, nie chodził już do kościoła, nie modlił się... Nie rozumiem...

Za to Melisandra rozumiała doskonale. Xavier d'Aleume dorastał wśród Okcytańczyków i szybko uwierzył, że w gruncie rzeczy niczym się od nich nie różni. Zapomniał o tym, że urodził się Neahelitą, zapomniał, że istnieje ktoś taki jak Djevra.

A potem jasnowłosy bóg magii przywrócił jego córce życie i w zamian zażądał tego życia dla siebie. Tamtego dnia Mel po raz

pierwszy i ostatni widziała w oczach ojca ły. Xavier d'Aleume postąpił według zasad, które wpojono mu w dzieciństwie, nim przyjął wiarę Boga, który umarł na krzyżu. Nie sprzeciwił się woli Djevry i oddał mu córkę. Ale nie mógł już później uważać się za chrześcijanina, tak jak nie mógł na powrót stać się Neahelitą.

Melisandra rozumiała go, bo sama znalazła się w podobnej sytuacji. Dla *soutzene* była obcą, Ekhne-tai, niezrozumianym kaprysem boga, Okcytańczy natomiast widzieli w niej pogańską czarownicę, której nie można ufać.

Ostrożny, niepewny wzrok Isabel mówił jej o tym aż nadto wyraźnie.

Byłam głupia, pomyślała Mel. Jadąc dylizanssem, wyobrażała sobie, że matka i siostra oczekują na nią z niecierpliwością, że ona, Melisandra, stanie się teraz ich podporą, że jej rozsądek i zaradność pozwolą ocalić rodzinę.

Teraz musiała przyznać, że były to tylko dziecinne mrzonki. Rodzina d'Aleume radziła sobie doskonale bez jej pomocy. Co więcej, w ich poukładanym życiu Mel wydawała się elementem najzupełniej zbędnym, wprowadzającym chaos i niepewność, podważającym z takim trudem zdobyty szacunek.

Zabolały ją zwłaszcza dwie nowiny. Po pierwsze, wiedziała od matki, że Isabel ma wkrótce wyjść za mąż i nie potrafiła pogodzić się z faktem, że jej siostra nie jest już małym dzieckiem, które zostawiła w domu sześć lat temu. Po drugie zaś, zaskoczyła ją obecność Marcelina de Ribier, sieroty, którego d'ona Maria Loisa wzięła na wychowanie. Isabel oględnie dała siostrze do zrozumienia, że chłopak po osiągnięciu pełnoletniości przejmie kontrolę nad majątkiem zmarłego Xaviera d'Aleume. Zgodnie z ostatnią wolą ojca, Mel została wydziedziczona – o tym też już wiedziała. Don Xavier sądził prawdopodobnie, że w ten sposób ostatecznie zerwie więzi łączące córkę z rodziną. To akurat mało ją obeszło. Nie zaznała dotąd biedy i niewiele myślała o pieniądzach. Zabolało ją co innego. Marcelin wydawał się dość lekkomyślny, a mimo to matka ufała mu i polegała na jego zdaniu daleko bardziej, niż Mel by sobie tego życzyła.

Wygląda więc na to, pomyślała w przebłysku gorzkiego humoru, że tak naprawdę nikomu nie jestem tu potrzebna.

– Strasznie dziwne macie miny – zwrócił przy kolacji uwagę Marcelin. – Mam nadzieję, że się nie pokłóciłyście?

– Ależ o co miałyby się kłócić! – oburzyła się dōna Maria Loisa. – Prawda, moje jagniątko?

Mel i Isabel spojrzały na siebie w ciepłozłotym blasku świec i uśmiechnęły się – Isabel lekko, niepewnie, Mel z wyraźną kpina.

– Jagniątko – wyszeptwała, a Isabel stłumiła chichot. Po raz pierwszy od rana siostry wyraźnie poczuły łączącą je więź.

– Pożyczyłem jacht – Marcelinowi jakimś cudem udawało się mówić, pakując jednocześnie do ust kęsy nadziewanego śliwkami schabu. – Najnowszy model. No, prawie najnowszy. Popłyniecie jutro ze mną? Naprawdę nieźle sobie radzę, nie przewrócę nas ani nic takiego.

Mówił w liczbie mnogiej, ale patrzył przy tym na Melisandrę. Kuzynka–czarownica imponowała mu najwyraźniej. Chłopak zachowywał się jak rozradowany, merdający ogonem psiak.

– Jacht? – Dōna Maria Loisa zmarszczyła brwi. – Czy to nie za dużo kosztuje?

– Nie martw się, ciciu. Wynająłem go tylko na parę dni. – Marcelin przełknął schab i posłał jej szeroki uśmiech, a kobieta rozpogodziła się momentalnie.

– A nie przyszło ci do głowy, że Mel może nie mieć ochoty pływać jachtem? – Isabel zmarszczyła brwi, dokładnie w ten sposób, w jak zrobiła to chwilę temu dōna Maria Loisa. – Nie pamiętasz, co ci mówiłam?

Marcelin zbladł, szeroki uśmiech skurczył się, a w końcu całkiem znikł z jego twarzy. Melisandrze zrobiło się go żal. Chłopak był w końcu całkiem sympatyczny.

– Nie boję się wody i bardzo chętnie z tobą popływam – zapewniła popiesznie.

Isabel nie popłynęła z nimi ostatecznie, wolała zostać w domu. Mel i Marcelin zacumowali w małej zatoczce, niedaleko Miasta Snów. Marcelin usiadł na żwirowym brzegu. Obserwował kuzynkę, która bosobrodziła po płyciźnie.

Dziewczyna zatrzymała się, dłonią osłoniła oczy i spojrzała na schodzące do wody ruiny. Gdzieś tam było miejsce, w którym umarła, a później została przywrócona do życia. Tuż przed zachodem słońca ojciec odnalazł ją przy pomocy przyjaciół i wyciągnął na brzeg. We włosach miała wodorosty, a w ustach pełno mułu. Wtedy Djevra przemocą wepchnął jej duszę w ciało, a Mel otworzyła oczy, spróbowała nabrać w płuca powietrza i natychmiast zaczęła się krztusić. „Na szczęście była tylko nieprzytomna”, powiedział ktoś, podtrzymując ją, gdy wypływała muł i morską wodę. Ale Xavier d’Aleume wiedział swoje. Melisandra prawie sześć godzin leżała pod wodą i nie mogła być tylko nieprzytomna. Była martwa.

Myśl o jasnowłosym bogu magii nie budziła w Mel ani odrobiny wdzięczności. Zdawała sobie sprawę z tego, że to dziecinada – mieć pretensje do Djevry o to, że przed przywróceniem jej życia nie raczył zapytać ją o zdanie, ale nic nie mogła na to poradzić. Pokochała magię bardziej niż cokolwiek innego na świecie i nie mogłaby już bez niej żyć, ale wolałaby być czarownicą z własnej woli, a nie z kaprysu pogańskiego boga, który – wciąż o tym pamiętała – miał wobec niej jakieś tajemnicze plany.

Dlatego właśnie myśl o jasnowłosym bogu magii nie budziła w niej wdzięczności, a jedynie bunt i gniew.

Wyszła na brzeg i usiadła obok Marcelina. Chłopak gapił się na odsłonięte łydki kuzynki i Mel przypominała sobie, że nosi przecież bardzo nieprzyzwoity strój.

- Będę musiała kupić sobie jakąś długą suknię – wymruczała.
- No, w tej na pewno nie możesz pokazać się w towarzystwie.
- I tak nikt nie zechce mnie przyjmować. Nie teraz.

Marcelin zachichotał.

– Zdziwisz się. Odkąd Vigil Calà wydał *Zgasłe świece*, czarownicy stali się bardzo modni. Nie ma przyjęcia, na którym nie pojawiłby się jakiś znany mag.

– Flavian Delmay mówił to samo.

– Delmayowie to ci, z którymi podróżowałaś? Wiesz, że mama chce ich wkrótce zaprosić?

Skinęła głową. Wolałaby wprawdzie spotkać się z Flavianem sam na sam, ale podejrzewała, że zostałyby to uznane za coś bardzo nieprzyzwoitego.

Tutaj, na południu, bardzo wiele rzeczy uważano za nieprzyzwoite.

Delmayowie przyszli z wizytą dwa dni później.

Melisandra nadal wyczuwała w pani Delmay rozpacz, choć słabszą niż w czasie podróży dyliżansem. W niej i we Flavianie, a także, choć w znacznie mniejszym stopniu, w pułkowniku Delmayu. Mężczyzna okazał się o wiele starszy, niż można by się spodziewać po ojcu dwudziestoletniego syna i nastoletniej córki. Po staroświecku nosił sumiaste wąsy i ubierał się zgodnie z przebrzmiałą czterdzieści lat temu modą.

Melisandra podała mu dłoń. Pułkownik ucałował ją szarmancko.

Przez moment dziewczynie wydawało się, że ich skromny żółty salonik wypełnił się zielonoblękitną poświatą, jakby patrzyła przez szkło butelki w kolorze morskiej toni. Zrozumiała.

To nad pułkownikiem zawisł cień śmierci. To o niego martwili się żona i syn. Nie pojmowała jedynie, dlaczego sam pułkownik wydaje się niemal beztroski. Czyżby nie zdawał sobie sprawy z grożącego mu niebezpieczeństwa? Możliwe, bo przecież mężczyzna nie cierpiał fizycznie. Albo choroba, choć groźna dla życia, nie powodowała bólu, albo też, co było bardziej prawdopodobne, w ogóle nie chodziło o chorobę. Może ktoś rzucił na Delmaya klątwę, a rodzina rozpaczliwie usiłowała utrzymać go w nieświadomości, poszukując przy tym ratunku u świętych.

Flavian, na prośbę doney Marii Loisy, usiadł przy fortepianie. Gdy zaczął grać, twarz jego ojca przybrała wyraz pogardy. Mel z początku usiłowała nie zwracać uwagi na melodię. Ale muzyki Flaviana nie można było zignorować. Grał z pasją, dźwięki

wibrowały w powietrzu, wypełniając całe pomieszczenie. Umilkły rozmowy, wszyscy wpatrywali się w szczupłą postać młodzieńca. Melisandra usiadła wygodnie w fotelu i przywołała K'iryam. Momentalnie jej słuch stał się ostrzejszy, a dotyk bardziej czuły. Wzrok wydał jej się nagle zmysłem dodatkowym i właściwie niepotrzebnym. Zamknęła oczy, chłonąc melodię, której subtelność i siłę dopiero teraz mogła w pełni docenić.

– *Piękne* – powiedziała K'iryam. – *Co to za melodia?*

– Nie mam pojęcia.

– *A instrument?*

– Fortepian.

– *Może i ty mogłabyś się nauczyć na tym grać?* – spytał cień Melisandry.

– Nie sądzę.

– *Pomogłabym ci.*

– Nie teraz.

Wyczuła rozczarowanie swojego *ush'māya* i kazała mu odejść. Gdy młodzieniec skończył grać, ręce same same złożyły jej się do oklasków. Podobnie zareagowali wszyscy zebrani w salonie. Wszyscy, z wyjątkiem pułkownika, który nadal spoglądał na syna z pogardą.

Potem do fortepianu usiadła Isabel. Delmay zaproponował partyjkę pokera, ale grę tę znała jedynie Mel, a pułkownik – mimo zapewnień dziewczyny, że nie potrafi czytać w myślach ani nie widzi kart przeciwnika – odmówił grania z czarownicą. Pozostała im więc jedynie rozmowa.

– Do wszystkiego doszedłem sam – powiedział pułkownik, gasząc cygareto, po czym wyciągnął przed siebie swoje duże, silne dłonie i przyjrzał się im uważnie. – Wszystko, co mam, zdobyłem tymi rękami. Nikt w niczym mi nie pomagał. Sam musiałem sobie radzić z trudnościami. Tylko w ten sposób można człowieka zahartować. Dzisiejsza młodzież jest zupełnie inna. To pokojowe pieski, od dzieciństwa otaczane opieką rodziców. Potrafią tylko leżeć brzuchami do góry, czytać durne romanse i płakać na jeszcze durniejszych operach. Nasz kraj potrzebuje ludzi czynu, ludzi takich jak Tinayre, a nie takich wydelikacowanych, chorowitych istot.

– Zdrowie i chorowitość nie mają wiele wspólnego z tym, czy ktoś jest człowiekiem czynu, czy nie – zaprotestowała Mel. – Tinayre, o którym pan mówi, był bladym, chudym człowieczkiem, który od dzieciństwa cierpiał na epilepsję. Sukces w polityce zawdzięczał inteligencji, a ta nie ma nic wspólnego z siłą fizyczną.

Pułkownik spojrział na nią i parsknął.

– Dziewczyny... – wymruczał pozornie bez związku. – Dziewczyny też czasem mogą mieć trochę racji, nie? Sam mam w domu taką jedną. Sprytna, mała bestia. I do tego odważna. Kiedyś myślałem: będę miał synów, to pošlę ich do wojska, niech przydadzą się ojczyźnie. Paulina byłaby dobrym żołnierzem. Niczego się nie boi. W życiu nie widziałem tak odważnego dziecka. Kiedyś przeszła nad przepaścią po zwalonym pniu drzewa i nawet się nie zachwiała. A miała wtedy zaledwie pięć lat, uwierzycie? Ale dla dziewczyny to żadne życie, a mój syn nijak do wojska się nie nadaje. Et, i tak kończą się ludzkie marzenia.

Paulina jak na zawołanie pojawiła się w salonie. Pani Delmay postępowiała za córką krok w krok, gdy ta spacerowała wzdłuż ścian, podziwiając zawieszane na nich obrazki. Potem dziewczynka zatrzymała się przy przeszklonej szafce, brała w ręce znajdujące się tam bibeloty i przyglądała się im z uwagą.

– Lepiej to odłóż, kochanie – powiedziała pani Delmay. – Chodź do nas. Możesz zjeść moje lody...

– Dajże jej spokój, kobieto – obruszył się pułkownik. – Co ma dzieciak siedzieć z parą starych przyków i zapychać się słodyczami? Niech robi, co chce.

– Mogłaby coś stłuc.

– Ona nie ma pięciu lat. Przestań biegać za nią jak kura za kurczęciem.

Pani Delmay usiadła obok męża i łyżeczką zaczęła jeść na wpół roztopione lody. Jej wzrok wciąż wędrował za spacerującą po salonie córką.

Marcelin podszedł do Flaviana, pochylił się i szepnął mu coś. Flavian wstał.

– Jeśli ojcu to nie przeszkadza, pójdę z don Marcelinem

zagrać w bilard – powiedział grzecznie.

– Idź sobie, idź – parsknął pułkownik. – Stawiam pięć eccu, że ten młodzieniec pobije cię na głowę.

Melisandra przeszła za nimi do pokoju bilardowego i przyglądała się grze. Flavian faktycznie przez cały czas przegrywał. Po kilku partiach Marcelin wrócił do salonu, a Mel zajęła jego miejsce.

Pozwoliła Flavianowi parę razy zwyciężyć.

– Mam nadzieję, że nie masz ochoty tam wracać? – spytała, gdy skończyli grać, brodą wskazując kierunek, skąd dochodziły odgłosy rozmowy.

– Niespecjalnie.

– W takim razie usiadźmy w ogrodzie. Tam jest przyjemniej.

W ogrodzie dówny Marii Loisy nie było latarni. Jedyńm źródłem światła były uchylone okna salonu, pod którymi stała ławka. Flavian usiadł bokiem, odsuwając się lekko, tak by jego twarz skrywał mrok. Melisandra mogła widzieć jedynie dłonie młodzieńca. Były szczupłe, ale silne, o długich palcach – typowe dłonie pianisty.

– Dobrze grasz na fortepianie – powiedziała. – Długo się uczyłeś?

– Tylko trzy lata. Jestem raczej samoukiem.

– Moją siostrę uczył Lagalisse – pochwaliła się Mel. – Podobno jest najlepszy.

– Tak mówiono parę lat temu. Teraz uchodzi za przeciętnego.

– Naprawdę? – Dziewczyna nie przejęła się specjalnie.

– Tak. Ma dobrą technikę, ale brak mu uczucia, pasji. Nie obraż się, ale twoja siostra też tak gra. Dobrze, ale trochę tak, jakby była w szkole i ta gra to była tylko zadana jej lekcja.

Mel nie mogła powstrzymać śmiechu.

– A jakie to ma znaczenie? Gra Isabel ma podobać się młodym mężczyznom, a zwłaszcza jednemu. I tyle. A nie sądzę, by hrabia de Fontmartis był koneserem muzyki. Znasz go?

Przytaknął.

– Co to za człowiek? – To samo pytanie zadała już kuzynowi, ale dowiedziała się tylko tyle, że choć większość ludzi hrabiego podziwia, to Marcelin go nie lubi. Dlaczego? Ano dlatego, że

hrabia jest nudny. Reszta to były złośliwości i plotki, których chłopak zawsze pełno miał w zanadrzu.

Od Flaviana spodziewała się rozsądniejszej odpowiedzi.

– No cóż, hrabia w młodości zaciągnął się do wojska, walczył w koloniach przeciw zbuntowanym czerwonoskórym i do dziś cieszy się sławą bohatera, choć, o ile wiem, niczego szczególnego nie dokonał. Potem długo przebywał na kontynencie, podróżował i dopiero niedawno wrócił na Serralangue. Jest... – zawahał się, widać było, że wyrażanie niepochlebnej opinii o tak znanej osobie przychodzi mu z trudem – bardzo pewny siebie, przekonany, że wszyscy będą robić to, co on uzna za stosowne. Myślę, że czasem tak bywa z byłymi wojskowymi. Wracają z armii, gdzie ich słowo było prawem, i w domu z braku żołnierzy zaczynają musztrować własną rodzinę. Trochę mi żal twojej siostry, a także jej przyszłych dzieci. Tacy ludzie przede wszystkim cenią odwagę. Nie daj Boże, żeby dzieciak rozpląkał się ze strachu, a już gotowi są łapać za pas i przemocą wybijać mu z głowy tchórzostwo.

Nietrudno było zgadnąć, kogo Flavian ma na myśli.

– Taki jest twój ojciec, prawda? – zapytała cicho.

Pomyślała przy tym, że pułkownik Delmay nie docenia syna. Flavian wcale nie był słabeuszem. Nie był zbyt silny, odważny czy sprytny, ale wyczuwała w nim pewien rodzaj cierpliwej odporności. Przypominał trzcinę, która, przyginana ku ziemi, zawsze powraca do poprzedniego kształtu.

Milczał i Melisandra straciła już nadzieję, że kiedykolwiek jej odpowie.

– Tak, taki jest mój ojciec – szepnął w końcu i aby zmniejszyć wagę tego wyznania, roześmiał się krótko.

Kiedy tak siedzieli razem w ciemnym ogrodzie, wytworzyła się między nimi wyraźna atmosfera zaufania. Mel już wcześniej czuła, że Flavian lubi ją, choć, uczciwie mówiąc, niewiele dała mu po temu powodów. Teraz postanowiła skorzystać z okazji.

– Chcę cię o coś zapytać – powiedziała. Dzisiejszego ranka obiecała sobie zagadnąć Flaviana o wiszący na jego szyi medalion, ten sam medalion, którego sekretu nie zdążył

zdradzić, ale rozpacz, jaką wyczuwała w nim i w pani Delmay wydała jej się teraz daleko ważniejsza. – Czy twoja rodzina ma jakieś kłopoty? Może mogłabym pomóc?

Znów zapadła cisza.

– Melisandro...

– Mam rację?

– Tak. Ale nie sądzę, żeby twoja pomoc na coś się przydała.

– Dlaczego nie? Możliwości *soutzene* są naprawdę duże.

– Wiem o tym. Ale to sprawa rodzinna...

Zirytowała ją ta odpowiedź.

– Przecież nikomu nie wygadam. Zawsze jest jakieś wyjście, a łatwiej zastanowić się nad nim razem niż samotnie.

– Melisandro, uwierz mi, to naprawdę nie jest takie proste.

Wzruszyła ramionami.

– Nie pomogę wam, to trudno, ale przecież zawsze można spróbować. Nie ufasz mi?

– To nie to.

– No więc o co chodzi? – powiedziała zbyt głośno i zbyt obcesowo. Jeszcze przed chwilą Flavian był prawie zdecydowany zdradzić jej tajemnicę. Teraz atmosfera wzajemnego zaufania gdzieś przepadła i Mel czuła, że szansa na poznanie odpowiedzi zaczyna jej się wymykać i tak jak człowiek, który odruchowo próbuje łapać coś, co mu ucieka, tak ona nagle poczuła, że koniecznie musi wiedzieć, jaki to sekret ukrywa przed światem rodzina Delmayów. Ale im bardziej naciskała, tym bardziej Flavian bronił się i przy najbliższej okazji wymknął się z powrotem do salonu. Melisandra została sama w ogrodzie, przeklinając własną głupotę. Trzeba było mieć na tyle rozumu, żeby siedzieć cicho i po prostu pozwolić mu mówić. Również ciekawość, raz rozbudzona, nie pozwalała zapomnieć o tej sprawie i małe były szanse, by wkrótce się to zmieniło lub by szybko została zaspokojona.

A najgorsze w tym wszystkim było to, że Flavian naprawdę potrzebował pomocy i gotów był tę pomoc przyjąć od niej, od Melisandry. Gotów był jej zaufać.

A ona wszystko zepsuła.

Melisandra chwyciła lampę naftową i podeszła do lustra. Usiadła na dywanie, dłonią dotknęła zimnej powierzchni. Postać po drugiej stronie zwierciadła odpowiedziała podobnym gestem. Ich palce zetknęły się. Dziewczyna milczała, potem uśmiechnęła się leciutko samym tylko cieniem uśmiechu. Jej odbicie pozostało poważne.

Pograżony we śnie dom był cichy i spokojny.

Mel wolno przesunęła dłoń w górę i pogłaskała jasnowłosą kobietę po chłodnym, lustrzanym policzku. Uśmiechnęła się wyraźniej. Kobieta nie odwzajemniła uśmiechu. Nie widziała go. Była ślepa.

– K'iryam – powiedziała Mel cicho, witając swój cień, swego pierwszego *ush'māya*. K'iryam za życia była neahelicą pieśniarką, teraz jej dusza służyła dziewczynie, w potrzebie wyostrzając słuch i zmysł dotyku. Drugim *ush'māyem* Melisandry był Hā–imbra, czerwonoooki kruk–demon, groźny i posępny.

– *Ekhne–tai* – odparła kobieta.

Jej twarz wykrzywiła się w brzydkim, niekontrolowanym grymasie, ale głos, nawet słyszany tak, jak odbierała go Mel – cichy szept w tyle głowy – był melodyjny i kojący.

– Jak myślisz, dlaczego Djevra pozwolił mi odejść?

– *Kimże ja jestem, abym miała znać się na sprawach bogów?* – zaszeptał cień. – *Djevra jest inny niż wasi bogowie, inny niż święty Imbert czy święta Sofia–Teresa. Oni chętnie spełniają życzenia tych, którzy się do nich modlą. Djevra myśli, planuje, jego umysł biegnie w przód i wstecz.*

– Jestem częścią jego planów, prawda? Ja, a także rodzina Delmayów, których spotkałam w drodze do Quinson.

– *O nich nic nie wiem. A jeśli chodzi o ciebie... Po cóż by Djevra miał przywracać życie zwykłej Ekhne–tai, jeśli nie po to, by wykorzystać ją do swoich celów?*

– Co mam więc zrobić?

– *Idź do Domu Snów, poproś o opiekę, a wkrótce Djevra objawi ci swą wolę.*

Melisandra skrzywiła się.

– Niewiele mi pomogłaś.

K'iryam potwierdziła tylko to, czego Mel już się domyślała. W chwili, gdy po raz pierwszy zobaczyła panią Delmay i jej dzieci, puszczone w ruch wiele lat temu mechanizm nagle zaczął działać szybciej i szybciej, popychając ich ku swemu przeznaczeniu.

Pomyślała o dziwnych faktach, które wiązały się z rodziną Delmayów: o tym osobliwym, nie fizycznym, lecz psychicznym cierpieniu, jakie wyczuła w matce i synu, i o sekrecie medalionu Flaviana, ale nie układało się to w żaden sensowny wzór.

Usłyszała, że ktoś schodzi po schodach, nakazała więc, by K'iryam wycofała się z jej umysłu. Przez otwarte drzwi zobaczyła blask lampy i pełznący po ścianach korytarza groteskowo wydłużony cień. Rozpoznała sylwetkę Marcelina. Twarz chłopaka była blada i spocona.

– Co się stało? – spytała.

– Miałem zły sen. To nic takiego. – Mimo lekceważącego tonu wiedziała, że coś naprawdę wystraszyło chłopaka.

– Jaki?

– Byłem w Quinson, w porcie. Słońce grzało i było tak spokojnie, tak dziwnie spokojnie, jak nigdy nie bywa w żadnym porcie. I ja się tego spokoju bałem, wiesz, jak to jest w snach, kiedy człowiek wie, że za chwilę stanie się coś strasznego. Patrzyłem na morze, a ono... – zawahał się i urwał.

– Jakby nagle wstało i zaczęło iść w twoją stronę – dokończyła. – A potem potężna fala wody uderzyła w miasto i zatopiła je. Wiem. Marcelin, to śni się od czasu do czasu każdemu, kto mieszka na Serralangue. Niezbyt często, może kilka razy w życiu, nie masz się więc czym przejmować. To tylko wspomnienie tragedii, jaka dotknęła tę wyspę przed pięcioma tysiącami lat. Chodź, usiądź koło mnie.

Mel przykręciła do minimum płomień lampy naftowej, którą przyniósł chłopak. W ciszy rozległ się dźwięk zegara wydzwaniającego drugą w nocy.

– *Nea'nhel-te* – Marcelin z trudem wymówił obcą nazwę. – Tak nazywa się Serralangue w języku Neahelitów, prawda?

Skinęła głową.

– Dosłownie znaczy to: „To, co pozostało”. Kiedyś była to część znacznie większego lądu, rozciągającego się dokładnie w pół drogi pomiędzy Starym a Nowym Światem.

– A ludzie, którzy tu żyli, władali potężną magią. – Marcelin przypomniał sobie krążące po Serralangue legendy. Mel uśmiechnęła się. – Miałas mi pokazać, jak działają czary, pamiętasz?

Był przekonany, że kuzynka spróbuje się wymigać. Wszyscy magicy, których dotąd spotkał, twierdzili, że magia nie służy do zabawy, albo że czarnoksiężskie sztuczki wymagają dużo czasu i przygotowań.

– Popatrz na mnie – powiedziała Mel.

W jej oczach tańczyły kpiące iskierki. Żartuje sobie ze mnie, pomyślał zniechęcony chłopak i już miał odwrócić wzrok, gdy coś miękkiego i ciepłego wylądowało mu na kolanach.

– Jasna cholera! – wrzasnął, rzucając się w tył. Przez moment widział jeszcze dużego, czarnego kota, który po chwili rozwiął się jak mgła.

– Co to, u diabła, było?

– Nic takiego. Prosta iluzja.

– Jak to zrobiłaś?

– Wiedziałam, co powinieneś zobaczyć, więc zapanowałam na chwilę nad twoim umysłem i wmówiłam mu, że widzi i czuje coś, czego nie ma.

– I tym właśnie jest magia? Panowaniem nad cudzym umysłem?

– Nie tylko. Talent magiczny to... jak by ci to wytłumaczyć, rodzaj specyficznej wrażliwości na świat pozazmysłowy, dzięki której przy wystarczająco wyćwiczonej woli możesz robić różne rzeczy.

– A więc magia to tylko akt woli? A zaklęcia?

– Zaklęcia służą do rozkazywania istotom z Tamtego Świata.

– Demonom?

– Owszem, także i demonom.

– Znasz jakieś?

– Demony czy zaklęcia? – zachichotała Mel. – Podejrzewam,

że chodzi ci o zaklęcia. Tak, znam parę. To bardzo stary rodzaj magii. Stary i niebezpieczny. Neahelici znali ich wiele, ale większość ich wiedzy zaginęła, a to, co przetrwało w księgach... Cóż, problem polega na tym, że nikt nie jest w stanie tego zrozumieć.

Marcelin milczał przez chwilę.

– Czystej krwi Neahelitów jest już bardzo mało – powiedział w końcu. – Zostali tylko tancerze *taghe-rasāt*, *taghāraumene*, prawda? I wieśniacy w odizolowanych górskich wioskach. Djevra nie bardzo ma już kogo wybierać. Może teraz zacznie przywracać do życia Okcytańczyków, tak jak przywrócił do życia ciebie?

– Teoretycznie to możliwe. Tylko że...

– Co?

– Myślę, że jestem nie tylko pierwszą *soutzhau*, która nie jest czystej krwi Neahelitką, ale też ostatnią osobą, której Djevra dał drugie życie.

– Skąd możesz to wiedzieć?

Wzruszyła ramionami.

– Po prostu wiem. Od sześciu lat żadne dziecko, ani neahelickie, ani okcytańskie, nie powstało z martwych. Nie będzie już więcej *soutzene*.

Marcelin twierdził, że quinsonska socjeta bez trudu zaakceptuje czarownicę, ale tym razem dōna Maria Loisa nie zamierzała ulec urokowi chłopaka.

– Melisandra – oznajmiła – zacznie bywać w towarzystwie, dopiero gdy pozna ją hrabia de Fontmartis.

Takie postawienie sprawy zirytowało Mel. Nie widziała jeszcze narzeczonego siostry, ale już czuła do niego silną niechęć. Mimo to musiała pogodzić się z wolą matki, bo pod tym względem dōna Maria Loisa okazała się nieprzejednana. Dało to dziewczynie do myślenia. Hrabia de Fontmartis zdawał się budzić w nieszczęsnej kobiecie nie tyle nawet szacunek, co wręcz lęk.

Hrabiego poznała kilka dni później, w domu baronowej de

Lesterlou.

Guillem de Fontmartis okazał się dokładnie taki, jak Mel to sobie wyobrażała. Otaczała go atmosfera pewności siebie i porządku. Cały jego strój, począwszy od wypastowanych butów, a na spiętym złotą spinką krawacie skończywszy, był nienaganny. Włosy miał bardzo jasne i delikatne, z gatunku takich, które lubią się burzyć, ale we fryzurze hrabiego każdy włoszek leżał na właściwym miejscu, jakby i one musiały być posłuszne sile woli właściciela.

W kolacji brał udział jeszcze jeden mężczyzna, którego hrabia przedstawił jako swego doradcę prawnego. Mel nie zwróciła na niego większej uwagi. Obserwowała Guillem de Fontmartis. Hrabia sporo opowiadał o przygodach z czasów służby w wojsku, ale jeśli nawet przedstawiał siebie jako bohatera, to czynił to z wdziękiem, raczej dawał do zrozumienia, niż chwalił się wprost. Jego babka od czasu do czasu rzucała krótkie, cięte uwagi. Marcelin brał udział w rozmowie ze swobodą kogoś o wiele starszego, a Isabel przeciwnie, zachowywała się tak, jakby nagle odmłodziła o kilka lat. W niewinnej, białej sukieneczce wyglądała jak dwunastolatka. Milczała przeważnie, odzywając się tylko wtedy, gdy hrabia pytał ją o zdanie.

Za to *dòni Marii Loisie* przebywanie w towarzystwie hrabiego najwyraźniej uderzyło do głowy. Wdzięczyła się jak podłotek, trzępiąc jednocześnie językiem. W dodatku uparła się, by tytułować Guillem de Fontmartis „ekscelencją”.

– Po śmierci mojego męża – mówiła – obie z Beliną byliśmy takie samotne, doprawdy już myślałam, że nie damy sobie rady, a Belina miała wtedy tylko dwanaście latek. Oczywiście była strasznie dzielna jak na swój wiek, to ona, biedactwo, pocieszała mnie i podtrzymywała na duchu, ale było nam ciężko i kiedy się dowiedziałam, że ekscelencja chce się nami zaopiekować, to poczułam się tak, jakby mi kamień z serca spadł. Nie wiem, co byśmy bez ekscelencji zrobiły, my biedne kobiety. – Tu jej rozbiegany wzrok objął także siedzącego pomiędzy Melisandrą a Isabel Marcelina i chłopak przy najbliższej okazji pochylił się w stronę starszej kuzynki.

– Mel, czy ja naprawdę wyglądam na dziewczynę? – szepnęła

jej w ucho.

Melisandra zachichotała nad kryształową salaterką.

Ponieważ wieczór był ciepły, po kolacji goście wyszli pospacerować po ogrodzie. Przyłączyła się do nich baronowa, ale hrabia wymigał się od towarzyszenia im pod byle pretekstem. Chwilę później, pod równie błahym pretekstem, służący odwołał Melisandrę na bok i oznajmił, że hrabia pragnie się z nią widzieć.

Guillem de Fontmartis czekał na Mel w drzwiach domu.

– Myślę, że najlepiej będzie, jeśli przejdziemy do biblioteki – powiedział.

Był tak pewien, że dziewczyna pójdzie tam, gdzie on jej każe, że Mel przez czystą przekorę miała ochotę odmówić. Zwyciężyła jednak ciekawość.

W bibliotece, oparty o parapet okna, stał doradca prawny hrabiego. Joaquim de Sevrin – Melisandra przypomniała sobie jego nazwisko. Dopiero teraz przyjrzała mu się uważniej. Był to wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna o sylwetce z gatunku tych, które łatwo tracą linię, jeśli nie utrzymuje się ich w formie przy pomocy ćwiczeń fizycznych. Miał ciemne włosy i niebieskie oczy – typ urody często spotykany na Serralanguie. Także twarz, będąca kombinacją delikatnych rysów neahelickich i toporniejszych okcytańskich, zdradzała mieszaną krew.

– Panno d’Aleume – zaczął hrabia sztywno, gdy usiedli w głębokich, skórzanych fotelach. – Sądzę, że zdajesz sobie pani sprawę z tego, w jakiej znalazłaś się sytuacji, prawda?

– Nie, w jakiej?

Silniej zwarł szczęki. Zaczepne pytanie Mel wyraźnie mu się nie spodobało.

– Pani nieoczekiwany powrót do Quinson może przysporzyć kłopotów wielu osobom. Przez pani reputację uciepieć może ktoś, na kim bardzo mi zależy, istota najniewinniejsza pod słońcem, za którą bez chwili namysłu oddałbym życie. Mam dla pani współczucie, rozumiem, że sześć lat temu byłaś pani pod

wpływem ojca, który okazał się człowiekiem niegodnym zaufania, jakie ludzie mu okazywali...

– Ojciec nie zmusił mnie do nauki magii – przerwała mu. – Był to mój własny wybór.

Mówiła prawdę. Xavierowi d’Aleume zależało na tym, by jego córka została *soutzhau*, zależało mu tak bardzo, że gdy już Mel się zgodziła, zadbał o to, by uczyła się w położonym na drugim krańcu wyspy Domu Ciemnego Księżycy, bo bał się, że w konfrontacji z trudnymi warunkami życia *soutzene* dziewczyna po prostu załamie się i ucieknie. Ale decyzja o podjęciu nauki była jej własnym wyborem.

– Ale, na miłość boską, dlaczego? – spytał zdumiony hrabia.

Dlaczego? Odpowiedzi na to mogły być co najmniej trzy. Bo już wtedy wiedziała, że dostała szansę, jakiej nigdy nie miała żadna półkrewi Okcytanka, a neahelicka magia kusila ją i pociągała. Bo już wtedy wiedziała, że ktoś obdarzony magicznym talentem nie może żyć jak zwykły człowiek, bez wykorzystywania swych zdolności.

Wybrała jednak trzecią odpowiedź.

– Dlaczego? Masz pan pojęcie, jakie sekrety kryją się w neahelickich księgach? Tam są zaklęcia zdolne zmusić do posłuszeństwa najpotężniejsze demony! Dzięki nim można by panować nad żywiołami, naginać do swej woli czas i przestrzeń. To potęga, wobec której osiągnięcia naszej cywilizacji są niczym! To, co potrafią teraz *soutzene*, to zaledwie maleńka cząstka zapomnianej wiedzy. Ale wiedzę tę można odzyskać, och, nie w całości, to pewne, ale choć w części, można na powrót wydrzeć ją księgom i przywrócić ludzkości! – mówiła coraz głośniej, a policzki jej płonęły.

Hrabia wstał gwałtownie i podszedł do okna.

– Cóż – powiedział po chwili – to może znacznie utrudnić nasze porozumienie. Mimo to spróbuję przemówić pani do rozsądku. Matka i siostra przyjęły panią z otwartymi ramionami i wiem, że ich decyzja podyktowana była prawdziwą miłością. Nie śmiem ich za to potępiać. Ale one nie wiedziały, na co się narażają, przyjmując panią pod swój dach. Dlatego proszę, by niezwłocznie wyjechała pani z Quinson. Ocalisz pani

w ten sposób reputację niewinnej panny, a może i własną duszę.

– Sugerujesz pan, że powinnam zamknąć się w klasztorze? – spytała sarkastycznie.

Hrabia nadal stał przy oknie, nie mógł więc zauważyć – co dziewczyna widziała wyraźnie – że jego doradca uśmiecha się lekko.

– Nie przeczę, że byłoby to najlepsze rozwiązanie – powiedział sucho. – Ale to raczej nie dla pani, prawda? Ojciec wydziedziczył panią, wiem o tym. Jego decyzja może niespodziewanie przynieść pani dobroczynne skutki. Gdybyś podjęła pani jakąś spokojną, uczciwą pracę...

– Jaką? – wpadła mu w słowo Mel. – Co ja potrafię? Oczywiście, jestem czarownicą. Mogłabym na przykład dać ogłoszenie do gazety. Powiedzmy takie: „Słynna *soutzhau*, Melisandra d’Aleume”. Tak znane nazwisko powinno przyciągnąć uwagę, nie sądzisz pan? Albo jeszcze lepiej by było zacząć od samego nazwiska „d’Aleume”. Wtedy mój anons znalazłby się niemal na samej górze rubryki ogłoszeń drobnych. Dokładnie pomiędzy Absolutnie Doskonałym Proszkiem do Mycia Zębów Doktora Calsou na pozycji pierwszej, a Aubaxem – równie doskonałym płynem przeciwko robactwu na pozycji trzeciej.

Prawnik oparł łokieć na poręczu fotela, dłonią zasłaniając usta. Z trudem powstrzymywał głośny wybuch śmiechu. Twarz hrabiego była jednak ściągnięta i biała jak kreda.

– Pomyliłem się co do pani – powiedział cichym, drżącym z wściekłości głosem. – Nie możemy się zrozumieć. Całkiem pani zapomniała o obowiązkach wobec klasy społecznej, z której oboje się wywodzimy...

– Obowiązkach? – Melisandra wyraźnie czuła gniew hrabiego i uczucie to wzmagало jej własną złość. – Powiem panu coś o obowiązkach. Kiedy byłam dzieckiem, mówiono mi, że jestem Okcytanką. Miałam więc obowiązki wobec waszego narodu. Miałam przestrzegać waszych wartości i zwyczajów. Świetnie. Potem, gdy Djevra przywrócił mi życie, *soutzene* stwierdzili, że jestem jedną z nich i powinnam zachowywać się jak na

prawdziwą Neahelitkę przystało. Jeszcze lepiej. Znakomicie. Oczywiście moje obowiązki jako Neahelitki były zupełnie inne niż moje obowiązki jako Okcytanki. Teraz zaś pan mówisz mi, że mam zobowiązania wobec pańskiej klasy społecznej. To o jeden raz za dużo, nie sądzisz pan? Mam już dość. Nie obchodzą mnie obowiązki, mam zamiar robić, co mi się podoba! – Pod koniec już krzyczała.

Hrabia, przeciwnie, wyglądał na spokojniejszego, jakby dziewczyna, zachowując się tak, a nie inaczej, dokładnie spełniła jego oczekiwania.

– Naszą rozmowę uważam za skończoną. Pan de Sevrin odprowadzi panią do ogrodu. Chcę tylko, aby pani wiedziała, że dołożę wszelkich starań, by wyrwać Isabel spod pani wpływu.

W drodze powrotnej towarzyszył jej doradca hrabiego. Milczał przez cały czas, odezwał się dopiero przy przeszklonych drzwiach prowadzących do ogrodu.

– Gratulacje – powiedział. – Masz pani prawdziwy talent do robienia sobie wrogów.

– Co pan o niej sądzisz? – zapytał Guillem de Fontmartis, gdy goście odjechali.

Joaquim de Sevrin rozparł się wygodnie w fotelu.

– Dość bezczelna dziewczyna – orzekł z lekkim uśmiechem.

– Bezczelna? – Hrabia zmarszczył brwi. – To mało powiedziane. Nigdy nie widziałem istoty tak głęboko zdemoralizowanej.

Prawnik nalał sobie koniaku, odstawił butelkę na niski stolik wykonany z brązowego marmuru. Przez chwilę obracał kieliszek w dłoni, potem sprawdził pod światło kolor trunku.

– Nie chcę, żeby ona mieszkała pod jednym dachem z moją Isabel. Chcę, żeby wyniosła się z tego miasta – powiedział hrabia gwałtownie.

Sevrin przyglądał mu się uważnie. Guillem de Fontmartis pod pewnymi względami przypominał dziecko. Mówił „chcę” i oczekiwał, że jego życzenie natychmiast zostanie spełnione. A Sevrin, choć miał wiele zalet, cudotwórcą przecież nie był.

Wieczorem Mel przyszła do pokoju siostry. Isabel siedziała przy toalecie, ubrana w nocną koszulę. Pokojówka rozczesywała jej włosy.

– Wynoś się – powiedziała Melisandra do spłoszonej służącej. Gdy dziewczyna była już przy drzwiach, Mel przypomniała sobie, że niedawno sama protestowała przeciwko takiemu traktowaniu służby. Przepraszyła, ale tym chyba jeszcze bardziej wystraszyła dziewczynę. Melisandrę to zabolalo. Ludzie się jej bali, nawet matka i siostra od czasu do czasu spoglądały na nią niepewnie, jakby spodziewały się, że za chwilę zamieni je w żaby. Jediną osobą, która traktowała ją normalnie, był Marcelin. Jego otwarta i przyjazna natura nie pozwalała mu wierzyć, że ktoś, z kim łączą go więzy pokrewieństwa, mógłby go skrzywdzić.

Wzięła porzucony grzebień i zaczęła rozczesywać czarną czuprynę Isabel, powoli, pasmo po paśmie. Zaplotła włosy siostry w warkocz i usiadła na łóżku. Isabel odwróciła się w jej stronę.

– Nie rozumiem – powiedziała Mel spokojnie – dlaczego upierasz się wyjść za tego człowieka. O co ci chodzi? O jego majątek? Tytuł? Sławę? – Dopiero przy ostatnim słowie jej głos lekko, niemal niezauważalnie, zadrzał złością.

Isabel za każdym razem przecząco kręciła głową. W jej oczach pojawiły się łzy.

– Nie masz prawa tak do mnie mówić. Nie masz prawa!

– Może i nie mam – potwierdziła Mel bez cienia skruchy. – Ale jestem w końcu twoją siostrą i zależy mi na twoim szczęściu. Chciałabym więc usłyszeć jakąś odpowiedź. Dlaczego zgodziłaś się za niego wyjść?

– Nie wiem – Isabel po dziecinnemu pięściami przetarła powieki, a przed oczami stanęła jej boleśnie znajoma scena: oto idzie wraz z matką główną nawą kościoła, a za plecami słyszy szepty, wzbierające jak szum morza: „Spójrz, to właśnie ta dziewczyna, której siostra...”. Odkąd zaręczyła się z Guillemem de Fontmartis, nic takiego się nie zdarzało. – Zresztą –

zreflektowała się – to moja sprawa!

– Nie wiesz – parsknęła Mel. – Świetnie. Po prostu znakomicie! Bądź rozsądna, dziewczyno. Nie masz jeszcze szesnastu lat, za rok albo dwa możesz spotkać kogoś, kogo naprawdę pokochasz, i co wtedy? Zerwij zaręczyny, póki jeszcze możesz.

Isabel raz jeszcze pokręciła głową. Hrabia de Fontmartis uważał ją za ideał i na samą myśl o tym, że miałyby spojrzeć mu w oczy i oznajmić o zerwaniu, dziewczynie zrobiło się słabo.

– Zastanów się choć przez pięć minut, co ty, do kurwy nędzy, wyprawiasz!

Zarówno krzyk, jak i wulgarne przekleństwo w końcu doprowadziły Isabel do płaczu.

Melisandra podeszła i objęła ją. Tym razem przelewające się w nią cierpienie nie wywołało znajomego uczucia złości.

– Przepraszam – powiedziała.

Uraza, którą dzieliła z siostrą, odrobinę zelzała. Ale Mel wyczuła też tkwiący w niej silny upór i zrozumiała, że Isabel tak czy inaczej postawi na swoim.

– Dlaczego wciąż wtrącasz się do spraw, które cię nie dotyczą?

– Isabel pociągnęła nosem. – Dlaczego jesteś tak pewna siebie, przekonana, że wiesz, co będzie dla kogoś najlepsze?!

– Zależy mi na twoim szczęściu – powtórzyła Mel, tym razem już bardzo cicho.

Tej nocy Melisandrze przyśniła się Isabel. Ubrana w białą nocną koszulę, nalewała wody z dzbana do malowanej w kwiaty misy. Pokój, w którym się znajdowała, urządzone z przepychem, choć w przepychu tym nie było nic ostentacyjnego, nic wulgarnego. Był to pokój człowieka bardzo bogatego, ale który wie, że nie musi chwalić się swoim majątkiem.

Mel nigdy wcześniej nie widziała tego pomieszczenia.

I mimo iż w śnie tym pozornie nie było nic niezwykłego – ot, dziewczyna chcąc umyć sobie ręce – to Mel zbudziła się dręczona uczuciem niepokoju. W mrocznej atmosferze pokoju,

a może w bladej, pełnej napięcia i rozpaczyci twarzy siostry było coś, co nie pozwoliło jej na powrót zasnąć.

Wiedziała, że nie powinna lekceważyć tego snu.

Następnego dnia, tuż przed południem, Isabel siedziała pokoju muzycznym i bębniła na fortepianie. Dom był cichy. Marcelin i Melisandra poszli nad morze, matka natomiast powinna w tej chwili drzemać w swoim pokoju.

Wszedł lokaj i zaanonsował gościa. Pan de Sevrin, oznajmił, przyszedł zobaczyć się z panią Melisandrą.

Isabel, chcąc nie chcąc, musiała wziąć na siebie rolę pani domu. Joaquim de Sevrin czekał w salonie, jak zawsze spokojny i układowy.

Nie po raz pierwszy pomyślała, że lubi Joaquina de Sevrin w dużej mierze dlatego, że ich rozmowy są tak... konwencjonalne. Nie wymagał od niej dowcipu ani oryginalności. Mówili zazwyczaj o pogodzie, hodowli kwiatów czy okropnym zachowaniu turystów, którzy każdego roku coraz większą falą napływali na Serralangue. Takie rozmowy Isabel mogła prowadzić, myśląc jednocześnie o czymś zupełnie innym. Był to dla niej niemal wypoczynek.

Kiedy usłyszała na zewnątrz domu śmiechy, podeszła do okna. Marcelin i Melisandra wracali wąską ścieżką, prowadzącą przez zarośnięty ogród. Ona szła pierwsza, ale głowę miała odwróconą w stronę idącego za nią chłopaka i nawet nie patrzyła, gdzie stawia stopy. Mokra aż do kolan suknia lepiała się jej do łydek. Była bosa, buty niosła w ręce.

Isabel poczuła nagły przypływ złości. Jak ona mogła tak się zachowywać? Bosa jak wieśniaczka, a w dodatku roześmiana, jakby nic ją nie obchodziło, co ludzie o niej pomyślą.

Znalazła Mel w jej pokoju. Dziewczyna otrzepywała właśnie stopy, nie dbając zupełnie o to, że ziemia i drobinki żwiru sypią się na dywan.

– Pan de Sevrin przyszedł się z tobą zobaczyć – powiedziała Isabel, krzywiąc się na widok mokrej sukni siostry. – Ubiierz się porządnie, bardzo cię proszę.

Melisandra, lekceważąc Isabel, włożyła tylko buty i zeszła do salonu. Na jej widok Sevrin wstał z fotela. Mel, ciekawa informacji na temat Joaquima de Sevrin z powodu jego przyjaźni z Guillemem de Fontmartis, zdążyła już dokładnie wypytać kuzyna. Ale nawet lubiący plotki Marcelin niewiele mógł powiedzieć o doradcy prawnym hrabiego. Joaquim de Sevrin przyszedł na świat w Gouttenegre – najbiedniejszej dzielnicy Quinson – jako panięskie dziecko ubogiej handlarki warzywami. Gdy miał dziesięć lat, przyznał się do niego niejaki Patrice de Sevrin, który powodowany spóźnionymi uczuciami ojcowskimi, zajął się edukacją chłopca. Dalej jego życie potoczyło się zwykłym trybem. Ożenił się w wieku osiemnastu lat, wstąpił do wojska, gdzie dosłużył się rangi kapitana, został ranny i wrócił na Serralangue. Ojciec dał mu nazwisko i wykształcenie, ale nie majątek, młody Sevrin musiał więc radzić sobie sam. Dokończył studia i wkrótce zyskał sławę niezwykle sprytnego i skutecznego prawnika. Joaquima de Sevrin, jak mówili ludzie, lepiej jest mieć po swojej stronie.

Mel zastanowiła się, czy przypadkiem ten tak z pozoru nieskazitelny hrabia de Fontmartis nie wykorzystuje swego doradcy w sprawach trochę mniej uczciwych niż tylko pomoc w prowadzeniu interesów.

– Przyszedł pan z polecenia hrabiego de Fontmartis, prawda?
– powiedziała. – Chcesz mnie pan nastraszyć? A może spróbujesz mnie pan przekupić? – spytała nieco zbyt agresywnie, gdy nie doczekała się odpowiedzi. – Ile?

– Cztery i pół miliona eccu – odparł Sevrin cicho.

Suma naprawdę zrobiła na niej wrażenie. Za te pieniądze mogłaby kupić majątek ziemski i żyć w spokoju do końca swoich dni, albo wybrać się w podróż dookoła świata, albo... do diabła z tym!

– Ciekawa jestem – odparła zimno – w jaki sposób hrabia de Fontmartis wytłumaczy swojej narzeczonej fakt, że zapłacił jej siostrze, by wyniosła się z miasta?

– To absolutnie nie jest próba przekupstwa. Hrabia pragnie, aby pani dzięki tym pieniądzom zerwała z czarnoksięstwem i rozpoczęła nowe, uczciwe życie – Sevrin mówił na pozór

poważnie, ale Melisandrze zdało się, że dostrzega w jego oczach kpiący błysk. Przez moment poczuła do tego człowieka szczyptę sympatii.

– Jaką odpowiedź mam przekazać hrabiemu?

– Proszę powiedzieć, że nic z tego. Nie wyjadę z Quinson. A gdyby pytał dlaczego, to proszę przekazać, że widok wyrazu jego twarzy za każdym razem, gdy będzie musiał znosić moją obecność, wart będzie więcej niż cztery i pół miliona eccu.

Mężczyzna skrzywił się lekko. Znikła gdzieś kpina, znów był chłodny i oficjalny.

– Ograniczę się do stwierdzenia, że pani odmawia. Wprawianie hrabiego w zły humor nie leży w moim interesie.

Zaczął się od zwykłego, nudnego zaproszenia na popołudniową herbatę.

Nazwiska gości nie brzmiały zbyt zachęcająco – ot, kilka starszych pań, które znała jeszcze z dzieciństwa, ale mimo to Mel zdecydowała się pójść z wizytą. Wypiła herbatę, zjadła parę migdałowych ciasteczek, poopowiadała o tym, jak wygląda życie wśród *soutzene*.

Nie trzeba było długo czekać, by kolejne zaproszenia na przyjęcia, bale i spędzane w wiejskich rezydencjach weekendy posypały się jak confetti w noc sylwestrową. Flavian miał rację – magia, a z nią i ludzie obdarzeni czarodziejskimi talentami, stali się ostatnio bardzo modni. Większość wieczorów Melisandra spędzała poza domem, a zdarzało się, że wyjeżdżała i na parę dni. Często towarzyszył jej Marcelin. Szybko odkryła, że chłopak jest znacznie bardziej rozsądny, niż można by się spodziewać na pierwszy rzut oka. Po prostu rozsądek nie był tym, czego ludzie oczekują od szesnastoletniego młodzieńca, Marcelin więc nauczył się ukrywać tę cechę. Na pozór był typowym jedynakiem, rozpuszczonym i pewnym swego uroku, potrafił jednak wykorzystać do własnych celów sympatię, jaką hojnie darzyli go ludzie.

Teraz było podobnie. Urok starszej kuzynki–czarownicy spowszedniał już wprawdzie, ale Marcelin nadal szczerze lubił

Melisandrę, co nie przeszkadzało mu bynajmniej korzystać z popularności, jaką cieszyła się dziewczyna.

A Mel bawiła się znakomicie. Przez sześć lat spędzonych w Domu Ciemnego Księżyca zapomniała niemal, co to znaczy obracać się w towarzystwie ludzi wykształconych, znających się na aluzjach i wyrafinowanych żartach. Nie przeszkadzał jej nawet fakt, że ludzie ci uważali ją za coś w rodzaju towarzyskiej osobliwości. Życie jej niewiele różniło się od tego, jakie prowadziła między ósmym a trzynastym rokiem życia. W dzieciństwie zapraszano ją nie tylko dlatego, że obdarzona była niezwykłą pamięcią, ale także dlatego, że ojciec zachęcał ją do śmiałego wygłaszania poglądów. Mała Mel, bystra ponad wiek, odrobinę bezczelna i tak odmienna od dobrze wychowanych, cichych panienek, bawiła dorosłych. Teraz zapraszano ją przede wszystkim ze względu na magiczne zdolności, którymi popisywała się ku uciesze gości, ale jej rola była podobna – miała po prostu być wystarczająco niezwykła, by rozproszyć nudę towarzystwa. Jedyną różnicę stanowiło to, że jeśli w dzieciństwie traktowano ją z ciekawością zaprawioną odrobiną pobbłażania, to teraz miejsce pobbłażania zajął lęk.

Dobry humor dziewczyny psuł jedynie planowany ślub Isabel, o który wciąż – mimo iż w głębi duszy nie wierzyła w zwycięstwo – awanturowała się z siostrą, a także fakt, że Flavian Delmay najwyraźniej starał się jej unikać. Spotykali się teraz wyłącznie w większym gronie i prowadzili rozmowy na konwencjonalnie nudne tematy. Mel, chcąc zatrzeć nieprzyjemne wrażenie z tamtego wieczoru, nie próbowała już o nic wypytywać. Miała nadzieję, że z czasem młodzieniec na powrót nabierze do niej zaufania.

Unikał jej także hrabia de Fontmartis, ale to akurat Melisandry nie martwiło. Wręcz przeciwnie, tak jak to obiecała, bawiła się świetnie za każdym razem, gdy na jej widok twarz hrabiego wykrzywił z trudem hamowany gniew.

Panna Isabel d'Aleume wyszła za mąż tak jak planowano, w pierwszych dniach maja. Już następnego dnia ona i hrabia de

Fontmartis znaleźli się na pokładzie statku odpływającego na kontynent.

W noc po wyjeździe siostry Melisandrze znów śniła się Isabel. I znów sen ten wzbudził w dziewczynie niepokój, choć pozornie nie było ku temu żadnej przyczyny.

Isabel w mrocznym, dusznym pokoju nalewa wody do malowanej misy. Woda jest gorąca, jej powierzchnia paruje, a dziewczyna stoi nad nią blada i drżąca, z rozpaczą w szeroko otwartych oczach.

Sen urwał się w połowie, dokładnie tak samo jak poprzedni, jakby Melisandra z jakiegoś przedziwnego powodu nie mogła dośnić go do końca.

Do ulubionych poranków dònny Marii Loisy należały te, kiedy Mel spała do późna, a ona jadła śniadanie sam na sam z Marcelinem. Mogła wtedy częstować chłopaka wiśniami w cukrze, które oboje uwielbiali, i do woli naciągać go na miejscowe plotecki.

Dòna Maria Loisa kochała swoje córki, ale czuła, że obie się jej wstydzą – młodsza skrycie, a starsza całkiem jawnie. Marcelin, sam niezbyt wykształcony, był inny. Dòna Maria Loisa nie musiała się przy nim martwić, że palnie jakieś głupstwo albo da wyraz zamięłowaniom, które w pojęciu Mel pasowały raczej do służącej niż do pani domu.

– Powiem cioci coś ciekawego – powiedział pewnego majowego poranka Marcelin, gdy jedli śniadanie. – Chce ciocia?

Dòna Maria Loisa skinęła głową, jednocześnie rzucając niespokojne spojrzenie na drzwi. Melisandry nadal nie było widać.

– Pułkownik Delmay zniknął.

– O!?! – W tym zawierało się zarówno zdziwienie, jak i zachęta.

– Wyszedł z domu wczoraj rano, podobno na spacer, i do dzisiaj nie wrócił. Jego żona szaleje z niepokojem.

– Kto by pomyślał, że tak kochała męża... – Dòna Maria Loisa

spojrzała na Marcelina znacząco. Chłopak zrozumiał bez trudu i zachichotał.

– Kochała, nie kochała. Ale teraz trzeba zawiadomić policję, a przecież to straszny wstyd dla porządnej rodziny. Dlatego pani Delmay udaje, że niby nic się nie stało, choć oczy ma zapuchnięte od płaczu. Liczy, że pułkownik sam się znajdzie. Ale na mój rozum to on uciekł z jakąś babą i już nie wróci.

– Myślisz? – spytała dōna Maria Loisa.

Marcelin skinął głową i oboje uśmiechnęli się niczym para spiskowców.

– Czy on... hm...

– Miał jakąś kobietę?

W tym momencie do pokoju weszła Melisandra, ubrana jedynie w nocną koszulę i zarzucony na nią szlafrok, niedbale przewiązany paskiem. Dōna Maria Loisa nie mogła ukryć rozczarowania. Miła atmosfera gdzieś przepadła. Dziewczyna słyszała ostatnie słowa rozmowy, dōna Maria Loisa spodziewała się więc lada moment uwagi, że o takich rzeczach dyskutują kucharki przy szorowaniu garów, a oni powinni zająć się czymś rozsądniejszym.

Mel usiadła przy stole, przysunęła sobie dzbanek z kawą i spojrzała na Marcelina.

– Powtórz to jeszcze raz, od początku – zażądała ku zdumieniu matki. – I mów, co naprawdę wiesz, a nie czego się domyślasz.

– No, wiem tyle, co powiedziałem. Pułkownik wyszedł wczoraj z domu wczesnym rankiem i już nie wrócił. Nikt go później nie widział.

– Zabrał jakieś swoje rzeczy?

– Rzeczy?

Dziewczyna uśmiechnęła się kpiąco.

– Jeśli ktoś decyduje się na ucieczkę, to powinien najpierw się spakować, nie sądzisz? A brak ubrań żona czy służąca powinny zauważyć. Zauważyły?

– Nie mam pojęcia. – Marcelin pokręcił głową i spojrzał na ciotkę. To proste pytanie otwierało całkiem nowe możliwości.

Melisandrze przypomniała się wizja, którą miała przy

pierwszym spotkaniu z pułkownikiem. Z uwagi na Flaviana, do którego wciąż czuła sympatię, wolała, by okazało się, że starszy pan naprawdę uciekł z jakąś kobietą. Nie żywiła jednak wielkich nadziei. Tamto przeczucie śmierci było zbyt silne, zbyt wyraziste.

Przez ponad dwa tygodnie w Malivern nie mówiono o niczym innym, jak tylko o zniknięciu pułkownika Delmaya. Po dzielnicy krążyły przeróżne, najczęściej sprzeczne ze sobą plotki. Mel dwa razy wybrała się do Zielonego Domu, choć była świadoma tego, że wizyta bez zaproszenia zostanie uznana za nietakt. Za pierwszym razem służąca zamknęła jej drzwi przed nosem, wymruczawszy, że „pani nikogo nie przyjmuje”, za drugim nikogo w domu nie zastała. Napisała więc do Flaviana, ale gdy nie otrzymała odpowiedzi, zirytowała się. Do diabła z tą dziwną rodziną, pomyślała sobie. Do diabła z nią i jej tajemnicami.

Wkrótce plotki zaczęły przygasać. I właśnie wtedy, gdy o zniknięciu pułkownika niemal już zapomniano, grupa turystów natknęła się na ciało.

Prąd zniósł zwłoki aż do Miasta Snów. Leżały w płytkiej, przybrzeżnej wodzie, twarzą w dół, a koszula opinała opuchnięte ciało tak, iż z daleka podobne było do dużego białego balonu, unoszącego się na powierzchni morza. Z każdą kolejną falą głowa pułkownika uderzała miarowo o wystający z wody kamień.

Zwłoki zostały przewiezione do Instytutu Medycyny Sądowej, gdzie zajęli się nimi dwaj specjaliści. Jednym z nich był lekarz Joan Francés Vierne, sześćdziesięcioletni, żwawy staruszek, a drugim jasnowidz Bénédict Justy – o trzydzieści lat młodszy, mający prawie siedem stóp wzrostu olbrzym.

Tych dwóch klóciło się bezustannie. Justy był zdania, że to jego praca jest ważniejsza – ostatecznie większość przestępców chwymano dzięki magicznym umiejętnościom jasnowidzów. Vierne odpowiadał, że medycyna sądowa, choć nie tak efektowna, jest jednak bardziej obiektywna. Po części miał

rację. Umysł ludzki potrafi bowiem płać figle. Zdarzało się już, że człowiek obawiający się zamachu ze strony jednej osoby, ginął z ręki kogoś zupełnie innego, ale jego umysł w ostatnich chwilach życia zapamiętywał twarz nie tego, kto zabił, ale tego, kogo ofiara się obawiała. W takich przypadkach bywało, że niewinny człowiek wędrował na szubienicę.

Benedict Justy przyłożył do twarzy nasączoną wonnym olejkiem chusteczkę i odsunął prześcieradło, przykrywające zwłoki. Przez chwilę przyglądał się ciemnobraunatnej, opuchniętej twarzy. Pułkownik nie utonął. Został zastrzelony. Kula weszła w czaszkę tuż przy łuku brwiowym lewego oka, a wyszła nad prawym uchem.

Jasnowidz dotknął zawieszono na szyi medalika i wyklepał krótką modlitwę do świętego Imberta, polecając się jego opiece. Gdy skończył, zorientował się, że nie ma pojęcia, co właściwie mówił. Westchnął. Lepiej nie ryzykować gniewu świętego. Zaczął od początku, tym razem wolno, zwracając uwagę na każde wypowiedane słowo.

Zazwyczaj pocierał brzeg rany poślinionym palcem, po czym wkładał go do ust, by poczuć na języku smak krwi. Podpatrzył tę metodę u *soutzene* – była szybka i skuteczna. Ale starał się z nią nie afiszować. Tak bezpośredni kontakt z krwią miał w sobie coś mrocznego i brudnego, co kojarzyło się z magią. Justy nie chciał ryzykować, że zostanie uznany za czarownika. Teraz jednak, ponieważ ciało pułkownika długo leżało w wodzie, zastosował mniej kontrowersyjną metodę. Przyłożył do rany przegub prawej ręki – miejsce, w którym łatwo można wyczuć bijący puls i które jest jednym z wrażliwszych na ciele człowieka, choć oczywiście nie może równać się z wrażliwością warg i języka.

Poprosił świętego o wsparcie i czekał.

Nic się nie wydarzyło. Justy stał, gapiąc się na stół, na którym spoczywały zwłoki pułkownika. W marmurowym blacie odbijał się blask wiszącej na ścianie gazowej lampy. Justy czuł chłód – zarówno na zewnątrz, jak i w sobie, zupełnie jakby stał boso na śniegu, a zimny wiatr przenikał go na wskroś, wygrywając melodie na odsłoniętych żebrach.

Otrzeźwiło go donośne skrzyknięcie wahadłowych drzwi.

– Coś ciekawego? – spytał Vierne. Miał na sobie lekką koszulę, rozpiętą pod szyją. Rękawy podwinął aż do łokci.

Justy pokręcił głową, wolno, z wyrazem dziecinnego zdumienia na szerokiej twarzy.

– Co pan masz taką głupią minę? – Lekarz sądowy zirytował się brakiem odpowiedzi.

– W życiu z czymś takim się nie spotkałem – powiedział Justy cicho. A po namyśle dodał: – O rany, ale będzie bal.

Joaquim de Sevrin prowadził bardzo uporządkowane życie. We wtorki i czwartki wpadał do swojego przyjaciela, Benedita Justy'ego, w poniedziałki, środy i piątki ćwiczył boks, w soboty szedł do burdelu, a w niedziele jadł kolację z żoną.

Kolacje jadane w domu były nieodmiennie okropne i Sevrin, który niedogodności życia codziennego potrafił traktować z pewnego rodzaju filozoficznym spokojem, zastanawiał się, co też czeka go tym razem. Warzywa niedogotowane czy rozgotowane na papkę? Spalona pieczeń czy zimny sos, a może jedno i drugie?

Żona Sevrina, d'ona Angeleta, prowadzeniem domu nie interesowała się w ogóle. Kłopoty, jakie powodowała niekompetencja służby, traktowała jako rodzaj dopustu bożego, na który przeciętny człowiek nie może nic poradzić, coś jak deszczowe lato czy podwyżki cen.

Tym razem przygotowana na kolację pieczeń nie była przypalona, ale zbyt twarda, niemniej jednak dało się ją zjeść. Do stołu podawała Viva, ładnie zaokrąglona blondyneczka. Nosiła biały, wykrochmalony fartuszek i bluzkę ze zbyt głębokim dekoltem. Każdym gestem dawała do zrozumienia, że jest gotowa do pomocy. Sevrin podejrzewał, że jej usłużność mało ma wspólnego z pracowitością, za to wiele z chęcią uwiedzenia pracodawcy.

Przeniósł spojrzenie na żonę. D'ona Angeleta była dość wysoka, szczupła, z ciemnymi włosami, które dwiema falami opadały jej na ramiona. Mimo iż rzadko wychodziła z domu,

twarz jej zachowała śniadość charakterystyczną dla ludzi wychowanych na wsi.

Cisza panująca przy stole zaczęła działać Sevrinowi na nerwy.

– Dlaczego tak milczymy, Angeleto? – zagadnął. – Może porozmawiamy?

Rzuciła mu osobliwe, spłoszone spojrzenie, zupełnie jakby na nią krzyknął. Stłumił narastającą irytację.

– O czym?

– Ot, choćby opowiedz mi, co dziś robiłaś.

– Rano czytałam, a po południu trochę haftowałam. Potem zrobiło się ciemno, a ja nie chciałam haftować przy świetle lampy, bo od tego psuje się wzrok. Więc po prostu siedziałam przy otwartym oknie.

– Dlaczego nie spróbujesz wyjść z domu? Jest wiosna, słońce świeci, mogłabyś wybrać się na spacer. Albo spróbuj może któregoś dnia pójść na targ. Niektóre panie domu same robią zakupy. Nie jest to żaden wstyd.

– Jeśli tego chcesz, mogę chodzić na targ.

– Nie chodzi o to, czego ja chcę – wyjaśnił cierpliwie. – Chodzi o to, czego ty chcesz. Czego chcesz, Angeleto? Wyjechać na wieś? Nie mam żadnych pilnych spraw, bez trudu mógłbym się wyrwać nawet na tydzień. Albo może zdecydujesz się na jakieś małe szaleństwo? Chciałabyś się wybrać na przedstawienie *taghe-rasāt*? Wystarczy, że założysz suknię pokojówki, Viva na pewno ci jakąś pożyczyci. Wiele z pozorów przyzwoitych dam tak robi, wierz mi. Albo nie, mam jeszcze lepszy pomysł. Zabawa, taka w wiejskim stylu, ze skrzypkami, w jakiejś szopie pełnej robotników portowych i ostro wymalowanych tanich panierek z półświatka. Co ty na to? Kiedyś bawiły cię takie rozrywki. No, rozchmurz się, kochanie. Żartuję przecież – mówił lekko, z kpiącym uśmiechem.

Dòna Angeleta z każdym słowem pochylała głowę coraz niżej. Gdy Sevrin doszedł do „zabawy w wiejskim stylu”, jej czoło niemal dotykało brzegu stołu.

– Nie chcę nic – powiedziała tak cicho, że mężczyzna ledwie ją słyszał. – Tylko żebyś ty był zadowolony. Staram się spełniać twoje życzenia, wszystkie, jakiekolwiek by były. Czyż nie na tym

polega rola dobrej żony?

– Kochanie – odparł Sevrin, nadal uśmiechając się szeroko i swobodnie, niemal z czułością – gdyby tylko na tym polegało małżeństwo, wziąłbym sobie po prostu jeszcze jedną służącą. Kosztowałyby to mnie taniej, a miałbym z niej więcej pożytku.

Kobieta milczała. Nie widział jej twarzy, zasłoniętej kurtyną rozpuszczonych włosów. Zobaczył dopiero łyzy kapiące na alestrańską koronkę obrusu, jedna po drugiej, każda wielka jak groch. Wiedział, co musi teraz zrobić, i nie podobało mu się to.

– Idź i przynieś z kuchni sól – powiedział do Vivy, która przyglądała się całej scenie błyszczącymi z zaciekawienia oczyma.

– Sól jest na stole – odparła dziewczyna, patrząc na niego beczelnie.

– Wyjdź.

Urażona ostrym tonem łagodnego zazwyczaj pracodawcy, dziewczyna znikła za drzwiami.

Sevrin podszedł do żony i ukląkł przy jej krześle. Płakała z twarzą ukrytą w dłoniach.

– Przepraszam, kochanie – powiedział. – Wiesz, że czasem wygaduję głupstwa. No, uspokój się już, proszę...

Chwycił ją za nadgarstki i siłą oderwał ręce od twarzy. Odwróciła głowę. Podniósł się, objął żonę i pogłaskał po włosach.

– Już dobrze – powiedział. – Przestań płakać. Jesteś dobrą żoną, lepszej nie mógłbym sobie wymarzyć.

Wieczory Sevrin zazwyczaj spędzał w swoim gabinecie. Było to jedyne miejsce w całym domu, w którym czuł się naprawdę u siebie. Wzdłuż ścian rozstawiono tu szerokie półki, na których stały książki i małe figurki złośliwych demonów i diablików wyrzeźbione z sękatych konarów drzewa i jaskrawo pomalowane, a także posążki z marmuru, porcelany, kości słoniowej czy nawet zwykłej gliny, przedstawiające różnorodne postacie, od grubej jejmości po delikatną tancerkę w tiulowej spódniczce. Było tam też parę filiżanek z obtłuczonymi

uszkami, podróżny neseser z przyborami do pisania, jedna klepsydra, dwa zegary, skomplikowana maszyna, która na pierwszy rzut oka wyglądała jak mała gilotyna, a była jedynie pomysłowym dziadkiem do orzechów, inkrustowany masą perłową pistolet, nóż w ozdobnej pochwie, dwa lichtarze, mała lampka oliwna, przycisk do papieru w kształcie statku pod pełnymi żaglami, kilka pudełek o niewiadomym przeznaczeniu, część jakiegoś skomplikowanego mechanizmu pełna zębatych kółek i trybików, spłowiwały program teatralny, dwie rzeźbione fajki, jedno cudaczne nakrycie głowy ozdobione zielonym piórem i mnóstwo innych osobliwych przedmiotów, z których żaden nie miał mniej niż sto lat.

Sevrin usiadł w fotelu i wyciągnął bose stopy w stronę płonącego na kominku ognia. Z kieszeni surduta wyjął papierosnicę i zapalił.

Cały problem polegał na tym, że Sevrin nie był szczęśliwy. Nie, nieszczęśliwy nie był także. Dawno już wyrobił w sobie umiejętność cieszenia się drobiazgami, która utrzymywała go w znośnym humorze. Ale daleko mu było do stanu zadowolenia, jaki powinien osiągnąć ktoś w jego sytuacji. Miał przecież wszystko, o czym marzył w dzieciństwie: pozycję w świecie, własny dom, piękne stroje i przede wszystkim pieniądze. A mimo to nie czuł się szczęśliwy. Prawda, zdobył poważanie, częściowo za sprawą nazwiska de Sevrin, a częściowo dzięki właściwemu zachowaniu. Ubierał się elegancko, ale skromnie, bez epatowania bogactwem, miał nienaganne maniery i doskonale znał język, jakim posługuje się szlachta. A jeśli ktoś wspominał o dzieciństwie spędzonym w Gouttenegre, nie zaprzeczał, lecz swobodnie i z uśmiechem obracał całą sytuację w żart. Nie próbował udawać kogoś, kim nie był, i dzięki temu, paradoksalnie, został zaakceptowany.

Joaquim de Sevrin rzucił niedopałek papierosa do ognia. Tak, z pewnością nie miał żadnych powodów do narzekań. Skąd więc to uczucie nudy i zniechęcenia?

Wiadomość o odnalezieniu zwłok pułkownika przyniosła do domu wracająca z targu służąca. Pięć minut później wiedział o tym Marcelin, a za kolejnych pięć dona Maria Loisa. O dziesiątej temat był już dokładnie omówiony. Jediną osobą w całym domu, która nie miała o niczym pojęcia, była Melisandra. Marcelin uznał, że najwyższy czas obudzić kuzynkę.

– Wstałaś już? – zapytał, pukając do jej drzwi.

– Tak – usłyszał odpowiedź.

– Mogę wejść?

– Jeśli musisz.

Mel przetrząsała właśnie zawartość szafy, mrużąc coś do siebie gniewnie. W pokoju panował bałagan. Służącej tylko raz dziennie wolno było wejść do sypialni dziewczyny, i to wyłącznie po to, by posprzątać. Mel ubierała się i czesała sama. A gdy wracała późno w nocy, nigdy nie zadawała sobie trudu, by porządnie poskładać rzeczy.

– Nie widziałeś gdzie mojej sukni? Takiej białej, z koronką? To jedyna suknia, która nadaje się na ten upał. O, jest.

Odwróciła się i spojrzała na Marcelina.

– No? – ponagliła, dopiero teraz spostrzegając, że kuzyn ma jej coś do powiedzenia.

– Znaleźli ciało pułkownika Delmaya. Ktoś strzelił mu w głowę.

– Ubiorę się, a ty wszystko mi opowiesz.

Przeszła do ubieralni, pozostawiając lekko uchylone drzwi, by móc słyszeć głos chłopaka. Marcelin powtórzył jej wiernie to, co wiedział od służącej.

– Wszyscy myślą, że to jego syn, wiesz? – powiedział, gdy kuzynka pojawiła się w drzwiach, wiążąc ostatnią tasiemkę przy sukni.

– Flavian?

– Jesteście po imieniu?

– Co z tego?

– Nic. Ludzie mówią, że tylko don Flavian miał powód, by zabić pułkownika. Nie znosili się z ojcem. Pułkownik ciągle wyzywał syna od słabeuszy i darmozjadów. Don Flavian w

końcu miał tego dość i pewnego dnia zdjął ze ściany strzelbę, wyszedł cicho za ojcem i zabił go na skraju lasu. Następnie ciało wrzucił do morza. Co ty na to?

Mel pokręciła głową. Owszem, Flavian mógłby zabić ojca w gniewie, podczas kłótni, ale nie wierzyła, by był zdolny z premedytacją zaplanować zbrodnię.

Zeszli do salonu. W całym domu, od parteru aż po piętro, wszystkie okna otwarte były na oścież. Melisandra czuła, jak jej bose stopy zapadają się w miękkie, nagrzanym czerwcowym słońcem dywan.

Podniosła ze stolika świeży egzemplarz „La Vertàt” jeszcze nierozpieczętowany, i wyszła do ogrodu. Usiadła w jednym ze słomianych foteli, zerwała opaskę i zaczęła czytać. „Cud w Bartissol!”, krzyczały nagłówki na pierwszej stronie. Dalej dowiedziała się, że w znanym nadmorskim kurorcie miał wczoraj miejsce jeden z najbardziej spektakularnych cudów w dziejach Serralangue. Oto pewna kobieta, młoda wdowa, znana z rozpustnego trybu życia, została porażona piorunem, który spadł na nią z jasnego nieba, gdy chciała przekroczyć próg kościoła pod wezwaniem świętej Sofii–Teresy – patronki miasta. Kobieta miała pecha, bo próbowała wejść do kościoła w chwili, gdy znajdowało się tam kilkudziesięciu przyzwoitych obywateli, od dawna marzących o ukaraniu rozpustnicy. Ci na widok wchodzącej zaczęli sarkać, ktoś nieopatrznie wyraził życzenie, by kobietę trafił piorun. Reszta chętnie podchwyciła tę myśl. Siła nienawiści obudzonej w miejscu, gdzie moc świętej jest najsilniejsza wystarczyła, by życzenie dotarło do uszu patronki miasta, która ukarała winowajczynię. Melisandrę zaniepokoiło to zdarzenie. Mogło oznaczać, że święci odzyskują dawne siły. Zapomniała jednak o niepokoju, gdy zaczęła czytać następny artykuł.

Chwilę później pojawił się Marcelin, niosąc dwie szklanki soku pomarańczowego. Podał jedną kuzynce, jednocześnie przysuwając sobie stopą słomiany fotel.

– Flavian nie zabił ojca – powiedziała dziewczyna, składając gazetę. – Nie mógłby tego zrobić.

– Dlaczego?

- Bo nie zna się na magii.
- A jakie to ma znaczenie?
- Wiedziałbyś, gdybyś czytał prasę, zamiast słuchać plotek.
- Nie wymądrzaj się. Pokaż, co tam jest napisane.

Wskazała artykuł zamieszczony na drugiej stronie „La Vertàt”.

- „Wczorajszego ranka znaleziono...” – zaczął Marcelin.

- Przeczytaj ostatni akapit.

– „Śmierć pułkownika Delmaya może być jednak znacznie bardziej tajemnicza, niż by się zdawało. Otóż podobno nieznany morderca zdołał całkowicie wymazać swoją twarz ze wspomnień ofiary. Oznaczać to może tylko jedno: pułkownik Delmay zginął z ręki czarownika, i to czarownika dysponującego dużą mocą. Czyżby nadchodziły czasy, gdy znów magia wzbudzać będzie strach?”

Melisandra skłamałaby, gdyby twierdziła, że obeszła ją śmierć pułkownika Delmaya. Spotkała go raz i nie zdołała polubić. Cieszyć się, rzecz jasna, też się nie cieszyła.

Po prostu odnalezienie ciała na nowo rozbudziło w niej zainteresowanie rodziną Delmayów. Bawiły ją spekulacje na temat tajemniczych okoliczności zabójstwa pułkownika.

Wyrzuty sumienia poczuła dopiero podczas pogrzebu pułkownika. Zjawili się prawie wszyscy mieszkańcy Malivern – nawet ci, którzy dotąd uważali, że są zbyt dobrze urodzeni, by zadawać się z Delmayami. Mel była świadoma faktu, że większość osób przyszła tam ze zwykłej ciekawości. Oraz że ona znalazła się tu z tej samej przyczyny.

Pani Delmay i mała Paulina trzymały się za ręce, stojąc nad grobem. Miały ten sam wyraz twarzy – nieruchome, pozornie obojętne rysy człowieka, który przeżył coś tak strasznego, że trudno mu od razu przyjąć to do świadomości.

Mel wbiła wzrok w cień, który wokół jej stóp skurczył się do rozmiarów niewielkiej okrągłej plamki. Czują, jak promienie słońca palą jej odsłonięty kark. Kropla potu spłynęła jej po czole i spadła na ziemię. Modliła się, by ceremonia wreszcie dobiegła końca.

Kondolencje, które złożyła pani Delmay, były bardzo konwencjonalne. Nawet nie próbowała udawać, że jest inaczej. Ale gdy podeszła do Flaviana, chciała powiedzieć coś, co zabrzmiałoby szczerze. Chciała powiedzieć, że jest gotowa mu pomóc, jeśli tylko pomocy potrzebuje.

Nie potrafiła znaleźć właściwych słów. W głowie czuła pustkę, a następny żałobnik czekał już na swoją kolej. Powiedziała w końcu coś strasznie banalnego, że jest jej przykro czy coś w tym rodzaju, i odeszła. Ale nim puściła dłoń Flaviana, uderzyło ją coś szczególnego.

Pani Delmay i mała Paulina były bardzo nieszczęśliwe, owszem, ale wydawały się pogodzone z losem. W żadnej z nich Mel nie wyczuła gniewu na człowieka, który pozbawił pułkownika życia.

We Flavianie natomiast gniewu i goryczy było tyle, że starczyłoby i na trzy osoby.

Pogrzeb pułkownika odbył się w środę, a w czwartek wczesnym rankiem Melisandra stała przed furką domu i czekała.

Od morza wiał wiatr, niezbyt silny, ale chłodny. Roztarła pokryte gęsią skórką ramiona. Nie chciała brać z domu narzutki czy mantylki. Wiedziała, że najdalej za pół godziny, gdy słońce wzejdzie na dobre, znów będzie upalnie.

Powodem, dla którego stała tu o tak wczesnej porze, był list doręczony jej poprzedniego dnia. Nim rozerwała kopertę, zwróciła uwagę na pismo – okrągłe, duże i po uczniowsku równe.

Nazywam się Benedit Justy

pisał autor,

i jestem jasnowidzem. Nazwisko Pani podsunął mi mój przyjaciel Joaquim de Sevrin. Prośba, którą mamy do Pani, wiąże się ze śmiercią pułkownika Delmaya. Nie jest to prośba

oficjalna. Możesz Pani odmówić, jeśli masz Pani inne zobowiązania albo nie jesteś Pani zainteresowana.

Szczegóły podam podczas naszego spotkania, o ile oczywiście zdecydujesz się Pani nam pomóc. W takim przypadku proszę czekać jutro przy furtce domu o świcie. Z pewnych powodów wolę, aby nasze spotkanie odbyło się w miarę możliwości bez świadków.

Ten osobliwy, enigmatyczny list spełnił swoją rolę. Podniecił ciekawość Melisandry do tego stopnia, że o wyznaczonej porze stawiała się przy furtce.

Po niedługim czasie pod dom zajechał zwykły jednokonny fiakier. Otworzyły się drzwiczki i dziewczyna wsiadła.

– Dzień dobry – przywitał ją uprzejmie Sevrin. – Nie, proszę usiąść raczej koło mnie, mój przyjaciel zdecydowanie nie należy do osób szczupłych.

Siedzący naprzeciw mężczyzna, który okazał się właśnie Beneditem Justym, delikatnie uścisnął jej rękę. Faktycznie nie był szczupły, ale nie można też było nazwać go grubasem. Należał do ludzi, których określa się mianem „zwalistych” albo „dobrze zbudowanych”. Miał gładką, różową, pozbawioną wieku twarz. Była w niej zarówno dziecięca niewinność, jak i dobrotliwość starego, mądrego wujaszka. Mel pomyślała, że tego człowieka, mimo potężnej postury, muszą uwielbiać wszystkie dzieci.

– Dokąd jedziemy? – spytała.

– Już jesteśmy na miejscu – odparł Sevrin.

Powóz zatrzymał się ledwie parę przecznic od domu Mel i dziewczyna nawet nie zdziwiła się, widząc, że są w miejscu, gdzie zaczyna się droga do Zielonego Domu.

Fiakier odjechał. Melisandra ustawiła się plecami do wiejącego znad morza wiatru, niosącego ze sobą słone krople. Przed sobą miała sosnowy zagajnik, za którym krył się Zielony Dom.

– Po co tu przyjechaliśmy? – spytała, spoglądając na Benedita Justy’ego. Ponieważ to on prosił ją o pomoc, spodziewała się, że od niego właśnie usłyszy wyjaśnienie. Justy znalazł równy

kawałek skały i usiadł, wyciągając przed siebie nogi. Potem skinął głową Sevrinowi.

– To był twój pomysł – powiedział spokojnie, bez niechęci, z łagodnym uśmiechem człowieka, który, choć pozytywnie nastawiony do całego przedsięwzięcia, woli jednak pozostać bierny.

– Wiesz pani, że pułkownika Delmaya zabił ktoś dysponujący dużymi zdolnościami magicznymi, prawda? – zaczął Sevrin.

Mel skinęła głową, a Justy wymruczał coś, co zabrzmiało jak „ten cholerny dziennikarz”.

– Obecny tu pan Justy – ciągnął Sevrin – wypróbował wszystkie sposoby, starając się dotrzeć do wspomnień zmarłego. Nie dało to rezultatu. Morderca wymazał wszystkie wspomnienia tak skutecznie, że można by sądzić, iż pułkownik nigdy nie istniał jako żywa, myśląca istota. Ale na tym nie koniec. W odruchu desperacji policja postanowiła zwrócić się do pewnego człowieka, specjalisty od przywoływania dusz niedawno zmarłych. To, jak wiadomo, bardzo zawodny sposób...

Spojrzał na Melisandrę. Dziewczyna skinęła głową. Gwałtowna śmierć jest co prawda szokiem tak dużym, że potrafi zatrzymać duszę ofiary na ziemi nawet na długie lata, ale jednocześnie szok ten niemal wszystkim zamordowanym odbiera pamięć. Większość duchów to istoty, które pamiętają, że wyrządzono im krzywdę, ale nie mają pojęcia, kto i w jaki sposób pozbawił je życia.

Sevrin uśmiechnął się łagodnie.

– I cóż się okazało? Morderca był na tyle ostrożny, że nie chciał pozwolić sobie nawet na to minimalne ryzyko. Pomógł duszy pułkownika przejść do kolejnego ciała. Wkrótce, jak sądzę, rozpocznie on nowe życie jako urocze dziecko, uszczęśliwiając jakąś równie uroczą mamusię. Wzruszające, prawda?

– Wzruszające – zawtórował Justy, gapiąc się na własne stopy. Złączył pięty i zaczął uderzać jednym butem o drugi, nadal nie podnosząc głowy.

– A czego panowie ode mnie oczekujecie?

– On zginął gdzieś tu – odezwał się niespodziewanie Justy. – Kiedy wyszedł na spacer. Jego żona twierdzi, że rano zawsze trochę spacerował po lesie, potem schodził nad brzeg morza, stał tam chwilę i wracał do domu. Ktoś się nim tu spotkał, strzelił, a ciało wrzucił do morza.

Taka jest najbardziej prawdopodobna wersja wydarzeń, pani możesz nam pomóc odnaleźć miejsce, w którym zginął pułkownik. Ja próbowałem, ale możliwe, że moje zdolności są po prostu zbyt słabe...

– Ale to nic nie da – Melisandra ze zdumieniem uniosła brwi. – To znaczy, zdolny mag oczywiście wyczuje, że w takim miejscu zdarzyła się tragedia, ale na pewno nie zdoła ujrzeć twarzy mordercy.

– I wcale na to nie liczymy – powiedział Sevrin. – Żeby zobaczyć dokładny przebieg wydarzeń, żeby widzieć to, co w chwili śmierci pułkownika widziały jego oczy, potrzebny jest przedmiot, który miał bezpośredni kontakt z ciałem pułkownika, gdy ten umierał. Najlepiej metalowy przedmiot. Jest coś, co spełnia idealnie te warunki.

– Co takiego?

– Kula, panno d’Aleume. Ołowiana kula. Raverdy nie zdołał dogrzebać się do tej informacji, niewiele osób więc wie, że kula przeszła na wylot przez czaszkę pułkownika. Możliwe, że morderca o niej zapomniał. Jeśli zdołamy ją znaleźć, jest szansa, że rozwiążemy zagadkę.

Mel skinęła głową.

– Nieźle znasz się pan na magii – pochwaliła.

– Jego babka była Neahelitką – odezwał się Justy.

– *Soutzhau*?

Sevrin uśmiechnął się.

– Tylko służącą. Ale przez trzydzieści lat pracowała dla pewnej *soutzhau* i sporo się nauczyła. Część tej wiedzy przekazała mnie. Wiem dużo o magii, a zwłaszcza o magii *soutzene*. Wiem na przykład, że Haylon Raverdy, który napisał ten artykuł w „La Vertàt”, nie był zupełnie ścisły. Trudno mówić o „wymazaniu” wspomnień, prawda? Nie można sprawić, żeby wspomnienia ot tak, po prostu znikły. Trzeba je przenieść w

coś, co można potem zniszczyć. *Soutzene* używają do tego celu takich małych figurek, podobnych do ołowianych żołnierzyków, którymi bawią się dzieci. Łatwo przechwytyują wspomnienia i można po prostu wrzucić je do ognia i stopić. I po sprawie. Jak się nazywa taka figurka?

– *Beshmīn*.

– Właśnie.

– Sądziś pan, że pułkownika zabił *soutzhan*?

– Niewykluczone.

– Może ja? – spytała kpiąco.

Sevrin wzruszył ramionami.

– Nie sędzę. Chyba że umiesz pani być w dwóch miejscach jednocześnie. A o ile wiem, od bardzo dawna żaden mag tego nie potrafi.

Miał rację. Melisandra tamtego dnia była na przyjęciu, gdzie przez pół nocy bawiła gości, wróżąc im z kart, a następnie wraz z grupą znajomych wybrała się jeszcze na śniadanie do „Amacarague”. Do domu wróciła późno, dopiero koło dziesiątej rano.

– Proponuję – powiedział Sevrin – żebyś pani przespacerowała się po wzgórzu, a my tu sobie posiedzimy i poczekamy.

I radzę się pospieszyć, zanim ludzie się zorientują, jeszcze gotów nam się tu zwalić tłum gapiów.

Sevrin usiadł na skale obok Justy’ego, a Mel posłusznie ruszyła na spacer. Posiadłość Delmayów leżała na wzgórzu, jedynym zresztą w tej okolicy, porośniętym sosnowym zagajnikiem. Wiodąca do niej droga biegła dnem wąskiego i krętego wąwozu. Fatalny dojazd był jedną z przyczyn, dla których Zielony Dom był na tyle tani, że państwo Delmay mogli sobie nań pozwolić. Prosta, jednokonna bryczka, którą jeździli Delmayowie, czy solidne wozy dostawców mogły jeszcze tędy przejechać, ale próba przebycia tej drogi jedną z nowoczesnych karet, skonstruowanych wyłącznie z myślą o poruszaniu się po brukowanych ulicach miasta, mogłaby się skończyć połamaniem osi...

Mel szła wolno, wspinając się zygzakiem na wzgórze. Zaciskała przy tym szczęki, przygotowując się na falę

przerażenia, szoku i bólu, które mogły uderzyć w nią w każdej chwili.

Nic takiego się jednak nie wydarzyło. Zagajnik trwał spokojnie w porannym słońcu. Melisandra spacerowała tam i z powrotem, stopniowo coraz bardziej się odprężając.

Podeszła aż pod mur otaczający posiadłość Delmayów. Stała tam chwilę, przyglądając się budynkowi pomalowanemu na dziwny pistacjowy kolor, po chwili przeniosła wzrok na maleńki domek dla służby, położony tuż przy furtce. Z domku wyszła służąca i zaczęła schodzić w dół. W ręce niosła wiklinowy koszyk. Dziewczyna zawróciła. Pułkownik nie mógł zginąć tak blisko domu. Z tej odległości ktoś na pewno usłyszałby strzał. Pół godziny później znów zobaczyła służącą. Szła powoli, rozkołysanym krokiem niczym zahipnotyzowana kaczką. Z koszyka wystawał zielony wiecheć natki. Minęła Mel w odległości kilku kroków i spojrzała na nią. Jej wzrok prześlizgnął się obojętnie po dziewczynie. Melisandra uznała, że pora wracać.

– Przykro mi – powiedziała do siedzących nad brzegiem morza mężczyzn. – Niczego nie znalazłam.

Nadal wiał wiatr, teraz leciutki i ciepły. Fala uderzyła o skałę, chmura drobniutkich słonych kropelek osiadła na twarzy i włosach dziewczyny. Było to całkiem przyjemne uczucie.

– No to gdzie właściwie ten człowiek zginął? – spytał Sevrin, uprzejmie i bez emocji, jakby zagadywał kogoś o pogodę.

Justy milczał, wpatrzony w morze.

Melisandra powoli wyciągnęła przed siebie rękę.

– Tam?

– Ona może mieć rację. Cholera, ona może mieć rację – powtórzył Sevrin. – Że też sam na to nie wpadłem.

Jedli śniadanie w tawernie, którą prowadziła Felise, żona Justy'ego. Wczesnym rankiem było tu niemal zupełnie pusto. Felise postawiła na stole dzbanek z kawą i podsunęła im tacę chrupiących, jeszcze ciepłych rogalików.

– Nie usiądziesz z nami? – spytał Justy.

Kobieta potrząsnęła głową. Była wysoka, choć i tak znacznie niższa od męża, dobrze zbudowana, z obfitym biustem i rozłożystymi biodrami. Proste, połyskujące granatem włosy nosiła luźno rozpuszczone na plecach. Włosy te, tak samo jak śniada cera, były pamiątką po pewnej kobiecie, która przybyła na Serralangue w czasach, gdy na wyspie panowała moda na ciemnoskóre służące. Felise była niezwykle dumna z tej odrobiny tak oryginalnej tu krwi. Tawernę nazwała „Pod Pióropuszem”, a ściany udekorowała tak, by całość przypominała wnętrze egzotycznej chaty. Posłużyły do tego suszone liście palmowe, drewniane instrumenty muzyczne, maski, przybrania głów z kolorowych piór i wiele innych drobiazgów. Ciekawostki takie, przywożone przez marynarzy z odległych lądów, znaleźć można było w małych sklepikach wokół portu w Gouttenegre.

– Nie lubię, kiedy rozmawiacie o takich rzeczach. – Felise spojrzała na najmłodszą, roczną córeczkę, która siedziała na kolanach Sevrina.

Pomyślała, że dziecko i tak nie zrozumie z rozmowy dorosłych, zostawiła je więc w spokoju. Po namyśle przyniosła jeszcze miseczkę kleiku i postawiła obok rogalików. Sevrin z wprawą zabrał się za karmienie dziewczynki. Justy’emu nie po raz pierwszy przyszło do głowy, że jego przyjaciel dobrze radzi sobie z dziećmi. Zawsze wydawało mu się niesprawiedliwe, że jedyne dziecko Sevrina zmarło tamtej strasznej zimy, kiedy po raz pierwszy od pół wieku w Quinson spadł śnieg. Po pokrytych białym puchem ulicach spacerowała śmierć.

– Powiniennem był o tym pomyśleć – mówił Sevrin. – Samo wymazanie wspomnień pułkownika musiało zająć co najmniej pół godziny. Co prawda wczesnym rankiem w Malivern jest raczej spokojnie, ale morderca i tak ryzykował, że jakiś ranny ptaszek nakryje go w lesie czy nad brzegiem morza, pochylonego nad martwym ciałem ofiary. Łódka czy jacht rozwiążą ten problem. Powiedzmy, że ktoś podpłynął do brzegu, pułkownik wszedł na pokład, morderca strzelił, a potem zacumował gdzieś w Mieście Snów i dopiero tam zajął się ciałem. Co ty na to?

– Brzmi dość rozsądnie. Tylko w takim przypadku trzeba przyjąć, że pułkownik znał swojego zabójcę, skoro dobrowolnie wsiadł do łódki.

Zamyślony Sevrin skinął głową, odruchowo zbierając resztki kleiku z buzi dziecka.

– Łódka, mówisz? – Isan Surges dmuchnął dymem z papierosa. – To nienajgorszy pomysł. Sprawdźmy. A co myślisz o tym liście, który dzisiaj wydrukowała „La Vertàt”?

– Jakim liście? – spytał Sevrin.

Znali się z Surgesem od dawna i od czasu do czasu Sevrin nie wahał się wykorzystywać tej znajomości, by wyciągnąć z sędziego śledczego parę ukrywanych przed szeroką publicznością faktów.

– Naprawdę nie czytałeś?

Sevrin ze skruchą musiał przyznać, że rano nie miał czasu na przeglądanie prasy.

Surges wstał i przeszedł przez pokój. Był średniego wzrostu, ale chudy i drobniutki. Jego ciało zdawało się w ogóle nie mieć wagi, jak ciało ptaka. Z powodu swojej postury wciąż walczyć musiał z lekceważeniem. Nieustannie napięta uwaga, z jaką doszukiwał się w oczach ludzi śladów litości czy rozbawienia, uczyniła go człowiekiem niezmiernie nerwowym. Był niecierpliwy i łatwo wybuchał gniewem, ale gniew ten równie szybko zniknął, jak się pojawiał.

Wrócił, trzymając w ręce gazetę. Sevrin przesunął papierosnicę, stos starych czasopism położył na półce i dopiero, gdy na stoliku zrobiło się trochę miejsca, spojrzął na pierwszą stronę gazety.

– „Pułkownik Delmay zginął za to, co uczynił jednemu z nas. Podszedłem do niego i strzeliłem mu prosto w czoło. Miał lekką śmierć, choć zasługiwał na więcej cierpienia. Nie żałuję tego, co zrobiłem” – przeczytał na głos. – Kto to przysłał?

– Licho wie. List przyszedł do redakcji „La Vertàt” wczorajszego wieczoru. Bez adresu zwrotnego, niepodpisany. Nadany w urzędzie pocztowym w Gouttenegre. Autor pisze, że

pułkownik zginął od strzału w czoło, a prasa tej informacji nie podała. Najprawdopodobniej więc list napisał zabójca.

Sevrin sięgnął po papierośnicę i rozejrzył się za zapalkami. Surges podsunął mu pudełko.

– Strasznie to niejasne – powiedział Sevrin, wciągając w płuca dym. – „Zginął za to, co uczynił jednemu z nas”. Co to może znaczyć?

– Nas, czyli czarowników. – Sędzia śledczy niecierpliwie wzruszył ramionami. – Pułkownika zabił przecież mag.

Sevrin pokręcił głową.

– W Quinson jest mnóstwo osób parających się magią. Niektórzy to miejscowi, inni przyjezdni. Ludzie różnych narodowości, mówiący różnymi językami. Oni nie mają poczucia wspólnoty. To musi być coś... bardziej konkretnego.

– Na przykład?

– Delmay przez jakiś czas był sędzią, prawda?

– Owszem, przed prawie piętnastu laty. W okręgu Vassivières.

Dość ponure miejsce.

Sevrin skinął głową. Vassivières to były przede wszystkim góry, trochę małych miasteczek i wiosek. Część tych wsi zamieszkiwali czyste krwi Neahelici.

– Powiesił kiedyś czarownika, *soutzhana*? – spytał Sevrin.

Surges skrzywił się.

– Co masz na myśli?

– Śmiercią odplaca się często za inną śmierć. A *soutzene* nie darowaliby pułkownikowi, gdyby zabił jednego z nich.

– Wiesz, że to niemożliwe. Gdyby Delmay faktycznie kazał powiesić *soutzhana*, musiałbym o tym wiedzieć. Ty zresztą też. Cała cholerna wyspa by o tym wiedziała.

Sevrin z niechęcią skinął głową. Dawno temu, jeszcze przed przybyciem Okcytańczyków, *soutzene* mieli w społeczeństwie neahelickim specyficzny status. Jako wybrani przez boga stali ponad prawem, sądzić ich mogli jedynie inni czarownicy. To właśnie oni stali się pierwszym celem najeźdźców. Przez kilka stuleci bycie magiem oznaczało wyrok śmierci. Teraz jednak Neahelici, a więc i *soutzene*, byli już tak nieliczni, że nie stanowili żadnego zagrożenia. Pozwalano im więc na mocy

niepisanej umowy zachowywać pozory dawnej niezależności. W przypadku drobnych wykroczeń mogli najczęściej wykręcić się grzywną. Unikano także doprowadzania ich przed sąd siłą, a jeśli już towarzyszył im żandarm, to pouczano go, by zachowywał się wobec aresztowanego z odpowiednim szacunkiem. W ten sposób obie strony były zadowolone. *Soutzene*, bo pozwalało im to zachować resztki godności, Okcytańczycy, bo unikali w ten sposób konfliktu z pozostałymi czarownikami, którzy z pewnością zechcieliby wstawić się za prześladowanym towarzyszem.

Trzeba przyznać, że *soutzene* jak dotąd nie zrobili nic, co zmusiłoby Okcytańczyków do złamania reguł tej umowy. Gdyby jednak jakiś *soutzhan* dopuścił się przestępstwa, za które groziła kara śmierci... Cóż, wtedy nie obyłoby się bez potężnej awantury. „Dziecko”, powiedziała babka Sevrina, gdy ten był małym chłopcem, „siedemdziesiąt procent *soutzene* to aktorzy, *taghāraumene*. Aktorstwo mają we krwi. Urodzili się po to, by stać na scenie, czując na sobie pełne podziwu spojrzenia ludzi. Gdyby kazano im umierać na oczach tłumu, bądź pewien, że przyjęliby to z radością. Mogliby zademonstrować Okcytańczykom, co znaczą dawne neahelickie cnoty. Odwaga. Wytrzymałość na ból. Godność. Umieraliby z dumą, pełni pogardy dla tych, którzy ośmielili się podnieść na nich rękę. Rozumiesz?”.

Sevrin rozumiał doskonale. *Soutzene* zrobiliby ze skazanego towarzysza męczennika, a prasa chętnie podchwyciłaby temat. I nie miałyby żadnego znaczenia, czy mag był winny, czy nie. Szansa, że pułkownik kazał powiesić *soutzhana* i nikt o tym nie wiedział, była równa zeru, nawet jeśli przyjąć, że miałyby to miejsce w jakimś górskim miasteczku.

– A co z listem? – spytał Sevrin.

– Jutro dam go Justy’emu – odparł Surges. – Może on zdoła znaleźć w nim coś ciekawego.

Sevrin potrząsnął głową.

– Justy jest dobry, ale jego specjalność to wspomnienia zamordowanych. Nigdy nie rozwijał innych zdolności. Lepiej, żeby ten list obejrzał ktoś bardziej wszechstronny.

- Masz na myśli pannę d’Aleume?
- Czemu nie?
- Surges skrzywił się lekceważąco.
- Ano, właściwie czemu nie. Przywieź ją jutro do mnie.

Następnego ranka Sevrin przyjechał po Melisandrę własnym powozem, a Marcelin uparł się, że będzie towarzyszył kuzynce. Przez całą drogę paplał o planowanym przez Mel wyjeździe do Domu Snów i pytał, czy nie mógłby pojechać z nią. Rozmawiał wyłącznie z dziewczyną, Sevrina ignorując całkowicie. Chwilami było to aż niegrzeczne, ale Sevrin nie zwracał uwagi na złe maniery chłopaka.

Surges oczekiwał ich w swoim biurze, przy bulwarze Chazeley. Marcelin próbował pójść za Mel, ale Sevrin zatrzymał go.

– Lepiej będzie, jeśli poczekaś pan na zewnątrz – powiedział uprzejmie, a Marcelin, ku zdumieniu Melisandry, bez słowa zawrócił.

Sevrin w biurze Surgesa czuł się najwyraźniej jak u siebie w domu. Rozsiadł się w jednym z foteli, a sędzia śledczy podał Melisandrze list. Spojrzała na zapisaną kartkę. W tych paru zdaniach nie było ani jednego błędu. Ktokolwiek to pisał, musiał być człowiekiem wykształconym, dobrze znającym okcytański.

Przez chwilę pocierała list kciukiem prawej dłoni, potem, niezadowolona z efektu, oderwała róg kartki. Wsunęła go do ust, zanim Surges zdążył zaprotestować. Wyczuwała teraz atmosferę nerwowego pośpiechu, człowiek, który trzymał w ręku list, był zdenerwowany hałasem i panującym wokół zamieszaniem. Nie było w tym nic interesującego. Emocji tych zresztą najprawdopodobniej nie doświadczał autor anonimu, ale urzędnik pocztowy.

Wypluła kawałek papieru na dłoń i wrzuciła do popielniczki, pomiędzy niedopałki papierosów i cygar.

– Przykro mi, ale nie jestem w stanie wyczuć niczego szczególnego – powiedziała.

– Nic? – Sevrin uniósł brwi. – Ani gniewu, ani złości, żalu czy

może radości z dokonanej zemsty?

Pokręciła głową.

– Ktokolwiek to pisał, był zupełnie obojętny. Jakby pisał zaproszenie na popołudniową herbatę, jakby napisał ten list, bo tak wypadło. I tyle. Przykro mi, że nie mogłam pomóc.

Po drugiej stronie ulicy na Melisandrę czekał Marcelin.

Ruszyli naprzód, chcąc dojść do Ferratjol, gdzie mieli nadzieję znaleźć trochę cienia. Nie przyszło im do głowy wziąć fiakra – oboje byli przyzwyczajeni do duchoty, jaka latem panuje w okcytańskich miastach. Ulice były puste, większość ludzi już z początkiem czerwca uciekła na wieś, w stronę chłodniejszych, górskich rejonów, a ci, których nie było na to stać, wychodzili dopiero pod wieczór. Dlatego Marcelin bez trudu zauważył człowieka, który szedł za nimi krok w krok.

Chłopak pod pozorem oglądania słodczy pociągnął kuzynkę do okna cukierni.

– Widzisz tego mężczyznę w brązowym surducie, który stoi na rogu? – spytał szeptem.

Dziewczyna skinęła głową.

– Śledzi nas.

– Bzdura.

– Ależ tak. Idzie za nami od dziesięciu minut.

– No to spróbujmy go zgubić.

Spacerowym krokiem ruszyli przed siebie. Mężczyzna rzeczywiście trzymał się w odległości jakichś czterdziestu stóp za nimi. Skręcili, cały czas idąc wolno, za najbliższy róg i gdy tylko mężczyzna stracił ich z oczu, puścili się biegiem. Skręcali na chybił trafił – raz w lewo, raz w prawo – a w miarę jak oddalali się od bulwaru Chazeley, uliczki stawały się coraz węższe i bardziej zaniedbane.

– Chyba wystarczy – powiedział zdyszany Marcelin, gdy zatrzymali się przy malutkiej ulicznej kawiarence. – Jak myślisz?

Mel skinęła głową. Nagle chłopak chwycił ramię kuzynki i ścisnął je silnie.

– Nie odwracaj się – szepnął, a dziewczyna oczywiście odwróciła się.

Zza rogu wyszedł mężczyzna w brązowym surducie i widząc, że Mel i Marcelin stoją bez ruchu, zatrzymał się również, najwyraźniej nie mając pojęcia, co teraz robić.

– Czego on może od nas chcieć? – zapytał bezradnie Marcelin. Mel poczuła przyływ irytacji.

– Nie wiem. Zamierzam go zapytać.

– Ale... – Chłopak urwał, bo kuzynka ruszyła już do przodu.

Nieznajomy stał bez ruchu i dziewczyna ucieszyła się, widząc, że wygląda na dość zakłopotanego. Po chwili przybrał jednak zuchwały wyraz twarzy, jak człowiek, który mimo wszystko decyduje się robić dobrą minę do złej gry.

Był średniego wzrostu i bardzo dobrze zbudowany, ale tylko w górnych partiach ciała. Miał szerokie ramiona, potężną klatkę piersiową, długie ręce i krótkie, chude nogi. Melisandra, bądź co bądź arystokratka, zauważyła, że jego ubranie było drogie i w dobrym gatunku.

– Dlaczego pan za nami chodzisz? – rzuciła gniewnie.

– Proszę wybaczyć – odparł gładko mężczyzna. – Nasze spotkanie wypadło dość niefortunnie. Mimo to pozwólcie, że się przedstawię. Nazywam się Haylon Raverdy. Jestem dziennikarzem „La Vertàt”.

Usiedli w kawiarence, pod parasolem malowanym w żółte i czerwone pasy. Dziennikarz zamówił piwo, a Melisandra lemoniadę. Marcelin milczał, nadąsany. Nie mógł wybaczyć kuzynce, że zepsuła tak piękną przygodę.

– Nie bardzo rozumiem – powiedziała Mel. – Czemu nie podszedłeś pan do nas od razu?

– Niby jak to sobie pani wyobraża? – parsknął dziennikarz. – Gdybym podszedł do was ot tak, na ulicy, nie chciałabyś pani zamienić ze mną jednego słowa. Przynajmniej tak sądziłem. Dziewczęta z dobrych domów uczy się przecież od małego, żeby nie odpowiadały na zaczepki obcych ludzi. Szedłem więc za wami i kombinowałem, jakby tu zacząć rozmowę. No a potem

zaczęliście uciekać i nie miałem wyboru, jak tylko pędzić za wami. Nawiasem mówiąc, dlaczego tak biegliście?

Mel wzruszyła ramionami. Nie powinna tak się zachowywać, ale nigdy, może z wyjątkiem kilku pierwszych lat życia, nie pozwalano jej być prawdziwym dzieckiem i teraz takie właśnie dziecinne rozrywki czasem ją bawiły.

– Don Haylon... – zaczęła, ale ten przerwał jej niecierpliwym machnięciem ręki.

– Bez takich uprzejmości, proszę. Mój ojciec był piekarzem.

– A więc, panie Raverdy, o czym chcesz pan ze mną rozmawiać?

– O śmierci pułkownika Delmaya, rzecz jasna. Przecież byłaś pani na policji właśnie w tej sprawie.

Pewność siebie tego człowieka zirytowała Melisandrę.

– Ależ skąd – powiedziała, szeroko otwierając oczy. – Byłam tam, bo zginęła mi bransoletka. Pewnie pokojówka ją ukradła.

Raverdy zapomniał języka w gębie. Otworzył usta i dziewczyna była przekonana, że za chwilę wybąka niezręczne przeprosiny i odejdzie.

W tym momencie Marcelin, przed chwilą nie mniej zdziwiony niż dziennikarz, roześmiał się głośno. Oslupienie malujące się na twarzy Raverdy’ego znikło. Uśmiechnął się nieco wymuszenie i poklepał Mel po ręce.

– Prawie pani uwierzyłem. A teraz proszę mi powiedzieć, czego naprawdę chciał od pani Surges.

– Chwileczkę – przerwała mu Melisandra. – Skąd pan wiedział, że pułkownika Delmaya zabił czarownik?

– Mel – odezwał się Marcelin. – To Raverdy. Nie kojarzysz nazwiska?

– Oczywiście, że wiem, kim on jest – obruszyła się dziewczyna, bo też istotnie nazwisko nie było obce żadnemu czytelnikowi „La Vertât”. Haylon Raverdy pracował jako reporter kroniki kryminalnej. Quinsońska policja szczerze go nie znosiła, nie bez powodu zresztą. Dziennikarz miał zwyczaj, powołując się na anonimowe źródła, podawać do publicznej wiadomości fakty, które prowadzący śledztwo z takich czy innych powodów chcieli ukryć. Dzięki temu był uważany za

jednego z najlepszych reporterów w historii „La Vertàt”, a policja do dziś poszukiwała w swoich szeregach tajemniczego informatora, który zdradzał pilnie strzeżone sekrety.

– Znam nazwisko pana Raverdy’ego – powtórzyła Mel. – To znakomity dziennikarz. Ale mnie interesuje, jak on to robi. W jaki sposób dowiadujesz się pan jako pierwszy o takich sprawach?

Przedstawiając się, podała Raverdy’emu rękę. Wyczuła w nim wtedy niewielkie zdolności magiczne. Ten właśnie talent podpowiadał dziennikarzowi, w którą uliczkę ma skręcić, by nie zgubić Mel i Marcelina. Przyszło jej do głowy, że Raverdy mógłby posługiwać się magią także w pracy, ale jego zdolności były na to zbyt nikłe.

– Och. – Dziennikarz spróbował przybrać skromny wyraz twarzy. – To przede wszystkim zasługa mojego informatora.

– Informatora? – Być może to był czarownik, znacznie silniejszy od Raverdy’ego. – Mogłabym go może poznać?

Spojrzał na nią uważnie. Zastanawiał się przez chwilę.

– Cóż – rzekł w końcu. – Nigdy dotąd się na to nie godziłem. Ale właściwie dlaczego nie? Rzecz jasna, będę zmuszony prosić o dyskrecję. Zaproszę panią dziś wieczorem do siebie i poznam z moim przyjacielem. Pan oczywiście – tu skinął głową w kierunku Marcelina – także może przyjść. Być może będziecie pierwszymi osobami, które dowiedzą się, kto zabił pułkownika.

– Pana informator wie i to? – zdumiał się Marcelin.

– Jeszcze nie. Ale za parę godzin być może będzie już znał odpowiedź.

– Tym bardziej nalegam, by poznać tego człowieka – powiedziała Mel.

– Świetnie. Zawrzemy umowę. Ja umożliwię pani poznanie mojego przyjaciela, a pani opowie mi o dzisiejszym spotkaniu z sędzią śledczym.

– Nie sądzisz, że to trochę nieprzyzwoite? – powiedział z kpiącym uśmiechem Marcelin.

Stali przed wysoką na trzy piętra kamienicą. Chłopak w

świetle wiszącej nad wejściem latarni porównywał numer domu z kartką, którą trzymał w ręce.

– Co? – spytała Mel.

– Wiesz, młoda dziewczyna idąca wieczorem sama do mieszkania obcego mężczyzny. Tak nie wypada.

– Po pierwsze: nie jestem sama. Jestem z tobą.

– Mimo wszystko.

– Po drugie: takie zasady tak naprawdę mnie nie dotyczą. Jesteśmy na miejscu?

– Nie wiem. To numer siódmy, a na kartce jest siódemka albo jedynka, nie jestem pewien. Spojrzysz?

– Raverdy mówił o siódemce. Mieszkanie na pierwszym piętrze.

Zaczęli wspinać się po wyłożonych ciemnoczerwonym dywanem stopniach. Do pierwszego piętra schody były dobrze oświetlone. Wyżej panował mrok.

– Co miałaś na myśli, mówiąc, że ciebie to nie dotyczy? – spytał Marcelin, pociągając za sznur dzwonka.

– Jestem czarownicą – odparła Melisandra. – Czarownica, przy wszystkich różnicach, traktowana jest jak, bo ja wiem, aktorka czy droga kurtyzana. Ktoś niewątpliwie fascynujący, ale niegodny szacunku. Dlatego wolno mi robić to, co nie wypada przyzwoitej pannie. Mogę chodzić po ulicy sama, bez męskiego towarzystwa, mogę ubierać się w spodnie i surdut. Mogłabym pewnie nawet mieć kochanka i pokazywać się z nim publicznie w teatrze czy w Ferratjol. Zadzwoń jeszcze raz.

Z głębi mieszkania ponownie rozległ się blaszany dźwięk, wyraźnie słyszalny w ciszy. Mimo to nadal nikt nie otwierał.

Tym razem to Mel zaczęła szarpać sznur dzwonka. Marcelin, chcąc jej pomóc, walił pięściami w drzwi.

– Przestań – powiedziała dziewczyna po chwili, ale było już za późno. Z dołu dobiegł skrzyp otwieranych drzwi i na schodach pojawiła się dozorczyń, bardzo wysoka i bardzo chuda.

– Nie ma sensu się tak dobijać – powiedziała, spoglądając na kuzynów z kwaśną miną. – Pana Raverdy'ego nie ma w domu.

– Jest pani pewna? – spytała Mel.

Kobieta wzruszyła ramionami.

– On wychodzi bardzo często – odparła. – Rzadko kiedy wraca przed północą. A walić w drzwi nie trzeba. Możecie obudzić psa.

– To on ma psa? – zdziwił się Marcelin.

– Ano ma. Dużego jak cielę i czarnego jak smoła. Z oczu paskudnie mu patrzy. Zawsze powtarzam córce, że któregoś dnia ta bestia wyłamie drzwi i wszystkich nas pozagryza w łóżkach.

Melisandra i Marcelin wyszli na zewnątrz. Stali przez chwilę przed wejściem do kamienicy, patrząc bezradnie na ciemne okna pierwszego piętra.

– Poczekajmy chwilę – powiedziała dziewczyna. – Raverdy mówił, żeby przyjść po dziewiątej. Może trochę się spóźni.

Do muru kamienicy przylegał prostokątny ogródek, otoczony drewnianym płotem. Marcelin pchnął bramę i weszli do środka. Tuż przy ogrodzeniu rósł olbrzymi platan, którego gałęzie zwieszały się częściowo nad ulicą. Usiedli na stojącej pod drzewem ławce. W ogródku stała jedna gazowa latarnia, na ulicy, przed wejściem do kamienicy – druga. Razem nieźle oświetlały platan i ścianę budynku.

To Marcelin pierwszy zauważył, że jedno z okien na pierwszym piętrze jest uchylone.

– Patrz, Mel – powiedział. – Gałęzie drzewa sięgają prawie do tego okna. Mógłbym się tam wspiąć i wejść do mieszkania.

– Po co?

– Może Raverdy wcale nie wyszedł. Może jest w domu.

– To czemu nie otwiera?

– Bo nie żyje albo jest umierający. Może faktycznie dowiedział się, kto zabił pułkownika, i morderca postanowił zamknąć mu usta.

– Daj spokój. Strasznie to melodramatyczne. – Melisandra doszła do wniosku, że trzeba ukrócić wyobraźnię chłopaka, choć, szczerze mówiąc, przed chwilą przyszło jej do głowy coś podobnego.

– Ale możliwe, prawda? Spróbuję dostać się do środka. Potem otworzę ci drzwi od wewnątrz.

– A pies?

– Skoro nie podszedł do drzwi, kiedy dzwoniliśmy, to pewnie jest zamknięty w dalszej części domu. Albo też nie żyje.

Marcelin stanął na oparciu ławki, złapał najniższy konar i podciągnął się do góry. Chwilę później przesunął się już w stronę uchylonego okna. Mel przyglądała mu się z zadartą głową. Chłopak szedł ostrożnie, jedną ręką przytrzymując się górnej, cieńszej gałęzi, a drugą odgarniając drobne liście, które przesłaniały mu widok. Każdy krok wprawiał konary w drżenie, a rzucany przez drzewo cień tańczył w świetle latarni. Gdy skończyła się górna gałąź, pochylił się i dalej posuwał się już na czworakach, z duszą na ramieniu, bo konar okazał się cieńszy, niż mu się wydawało, gdy patrzył z dołu. Okno było już jednak bardzo blisko, jeszcze chwila, a dotknie palcami parapetu.

– Uważaj – syknęła nagle Mel. – Ktoś idzie.

Chłopak przywarł do gałęzi, a Melisandra schowała się za pniem drzewa. Z tego miejsca mogła zobaczyć jedynie cień przesuwający się pomiędzy sztachetami płotu. Marcelin, wisząc nieomal nad ulicą, miał znacznie lepszy widok. Mógłby nawet policzyć guziki w kurtce żandarma, który szedł, lekko uderzając pałką w cholewę wysokiego buta. Gdyby mężczyzna podniósł głowę, ujrzałby rozplaszczonego na gałęzi chłopaka, a uchylone okno nie pozostawiało wątpliwości co do jego zamiarów.

– Aresztują nas – jęknął Marcelin, gdy tylko stracił policjanta z oczu.

– Ciebie aresztują – poprawiła Mel.

Marcelin przesunął się jeszcze pół kroku do przodu. Lewą ręką złapał ramę okna, prawą położył na szybie i pchnął. Okno otworzyło się szerzej. W tym momencie cienka już w tym miejscu gałąź ugięła się i chłopak stracił równowagę. Drzewo zakołysało się gwałtownie, cień splątanych konarów, gałązek i liści przemiótł podwórko.

– Marcelin? – z niepokojem spytała Mel.

Z góry dobiegł zduszony okrzyk, a następnie odpowiedź:

– Nic mi nie jest.

Szcześnie udało mu się prawą ręką złapać ramę i mógł teraz podciągnąć się na parapet. Przełożył nogi na drugą stronę i ostrożnie osunął się w ciemność. Spodziewał się, że stanie na

podłodze, ale jego stopy trafiły na coś znajdującego się znacznie wyżej. Zaskoczony, usłyszał huk przewracającego się stolica. Zaklął i sięgnął wreszcie podłogi. Coś zatrzeszczało pod podeszwami jego butów. Szkło albo porcelana, pomyślał smętnie. Miał nadzieję, że nie była to rodzinna pamiątka.

Znalazł się w obcym mieszkaniu, w kompletnej ciemności, nie mając przy sobie nawet zapalnika. Rozsądek podpowiedział mu, że lepiej było dać sobie spokój i zostać na dole. Ale było już za późno.

Wyciągnął ręce i wolno, jak ślepiec, zaczął iść przed siebie. Po kilku krokach pod jego stopami coś zabrzęczało. Bojąc się, by znów czegoś nie zniszczyć, pochylił się i wymacał jakiś chłodny, gładki przedmiot. Już miał cisnąć go w bok, gdy zrozumiał, co to jest. Szczypce do węgla. Gdzieś niedaleko znajdował się kominek, a na nim powinny leżeć zapalniczki. Przynajmniej tak zawsze było w domu Marcelina. Faktycznie, ręce chłopaka wkrótce trafiły na obramowanie kominka. Powiódł nimi w górę, mało nie zerwał serwetki, przewrócił jakąś figurkę – na szczęście nie tłukąc jej – i znalazł wreszcie zapalniczkę. Obok stał lichtarz. Zapalił świecę i otworzył Melisandrę drzwi.

– I jak, znalazłeś coś ciekawego? – spytała dziewczyna. Zapalili drugą świecę i przeszli do kolejnego pokoju.

– Dziwne... – mruknęła dziewczyna.

– Co takiego?

– Ten pies. Gdyby faktycznie był gdzieś zamknięty, to stąd powinniśmy już słyszeć jego szczekanie.

– Może wcale go tu nie ma. Rozejrzyjmy się raczej za Raverdym.

Przeszli do salonu, potem do gabinetu i sypialni. Zatrzymali się dopiero w jadalni. Wszędzie panował typowo kawalerski bałagan, ale w mieszkaniu nie było ani śladu kurzu czy brudu – znak, że służąca naprawdę się starała. Nie znaleźli ani psa, ani dziennikarza – żywego czy martwego.

– Wiesz, Mel – powiedział Marcelin – chyba strasznie się wygłupiliśmy. Lepiej wracajmy.

Melisandra pokręciła głową.

– Intryguje mnie ten pies...

– Co może w nim być intrygującego? – zirytował się chłopak.
– Nie sądzisz chyba, że Raverdy trzyma tu jakąś bestię z piekła rodem. Najpewniej to zwykły kundel, tyle że wyrosnięty.

– Chodziło mi raczej o jego maniery.

– Maniery?

– Mało który pies jada na stole, i to jeszcze posługując się łyżką. – Mel uśmiechnęła się kpiąco, wskazując wolną ręką stół, na którym stała duża, głęboka miska – istotnie, jakby przeznaczona dla ogromnego psa. Obok leżała łyżka.

– To pewnie Raverdy – powiedział Marcelin. – Swoją drogą, musi mieć niezły apetyt.

– Aha, i oryginalny smak. Zajrzyj do środka.

Podszedł do stołu. Miska pełna była mięsa, pokrojonego w drobną kostkę, ale bez wątpienia surowego.

Marcelin czuł się coraz bardziej nieswojo. Chętnie stawilby czoła konkretnemu niebezpieczeństwu – obojętnie, czy byłoby to zwierzę, czy człowiek. Ale panujące w mieszkaniu cisza i ciemność, blade odbłaski płomieni tańczące na ścianach, a nade wszystko ta dziwaczna rozmowa o psich manierach – wszystko to sprawiało, że ciarki przebiegały mu po grzbiecie.

– Chodźmy stąd – powtórzył, mając nadzieję, że jego głos brzmi pewnie. – Za chwilę wróci Raverdy, zastanie nas tu i wezwie policję.

Chłopak z ulgą stwierdził, że Mel posłusznie obraca się na pięcie, stając twarzą do drzwi. Zrobiła pół kroku, kiedy rzucany przez nią cień zlał się na ścianie z cieniem czegoś, co nadeszło z korytarza, stąpając tak cicho, że niczego nie usłyszeli. Cieniem, który, choć groteskowo zniekształcony przez drżące płomienie świec, zdawał się mieć w miejscu twarzy wydłużony psi pysk.

Marcelin zrobił coś, czego później bardzo się wstydził. Wrzasnął i puścił świecę. W jadalni zrobiło się ciemniej. Chłopak kucnął, nie bardzo wiedząc, czy po to, by podnieść lichtarz, czy też po prostu chciał w ten sposób ochronić się przed tym... czymś.

– No proszę. – Głos Melisandry, jak zawsze chłodny i ironiczny, przywrócił mu równowagę. – Kogo my tu mamy?

– Mam się przedstawić?

Dobry Boże, pomyślał chłopak, TO mówi. Fala najgorszego strachu minęła. Jeśli Mel zachowywała się tak swobodnie, to znaczyło, że nie grozi im niebezpieczeństwo. Ale co to u diabła jest?

Dziewczyna roześmiała się.

– Nie sądzę, byś zechciał zdradzić nam swoje prawdziwe imię. Marcelin, to... no cóż, myślę, że możemy nazywać go Nemanajczykiem. To nazwa jego gatunku. Potrafić zmieniać kształt, ale najchętniej przybiera postać psa.

Marcelin pozbył się resztek strachu. Jego miejsce zajęła teraz ciekawość. Pilnie wpatrywał się w stojącą w drzwiach postać. Od stóp do szyi wyglądała zupełnie jak człowiek, zwyczajny mężczyzna ubrany w haftowany w złote smoki szlafrok, ale zamiast ludzkiej głowy miała psi pysk.

– Gdzie Haylon Raverdy? – spytała Mel.

– Z pewnością wkrótce wróci – odparł Nemanajczyk uprzejmie.

– Mel – wtrącił się Marcelin. – To naprawdę jest demon?

– Owszem. Sama jestem zdziwiona, nie sądziłam, że Raverdy ma wystarczająco dużą moc, by przywołać taką istotę.

– Przywołał mnie jego dziad – wyjaśnił Nemanajczyk. – Po jego śmierci mogłem odejść, ale wolałem zostać i służyć wnukowi tak, jak służyłem dziadowi.

– To ty dostarczasz Raverdy'emu informacji – stwierdziła Mel. – Wślizgujesz się, niewidzialny albo pod inną postacią, do mieszkań, obserwujesz, podsłuchujesz rozmowy i przeglądasz dokumenty.

– Oczywiście. Ale mogę wejść tylko tam, gdzie magiczne zabezpieczenia przed istotami takimi jak ja są słabe. Właśnie dlatego miałem problem z ostatnim zadaniem. Może usiądziemy? Opowiem wam wszystko. Raverdy z pewnością nie będzie miał nic przeciwko temu.

Melisandra bez wahania usiadła przy stole. Demon poszedł w jej ślady i chłopakowi nie pozostało nic innego, jak tylko zrobić to samo. Mel postawiła świecę obok miski z mięsem.

– Dowiedziałeś się, kto zabił pułkownika Delmaya? – spytał niecierpliwie Marcelin.

– Nie znam imienia ani nazwiska maga, który popełnił ten straszliwy czyn. – W głosie demona zabrzmiał autentyczny smutek. – Mogę jednakże powiedzieć wam, jakiego typu to jest człowiek.

– Tylko tyle dowiedziałeś się, podsłuchując i podglądając? – parsknęła z pogardą Mel. – Trochę mało.

– Dowiedziałem się tego – spokojnie poprawił demon – skrupulatnie badając zwłoki pułkownika, tak jak to robią jasnowidze. W tym celu musiałem czekać, aż ciało zostanie złożone w grobie. W kostnicy są zbyt silne zabezpieczenia magiczne. Muszę przyznać, że zabójca rzeczywiście jest znakomitym magiem. Ale nie tak utalentowanym, bym nie mógł znaleźć jakiegoś śladu.

– Świetnie. Co więc znalazłeś?

Nemanejczyk rozwarł pysk. W ciemności błysnęły kły. Pochylił się lekko w stronę dziewczyny. Marcelin cofnął się odruchowo, ale Melisandra ani drgnęła.

– Żyję wśród ludzi od pięciuset lat – powiedział demon. – Wiem, w jaki sposób myślą, wiem, jakie motywy kierują ich czynami. Niektórzy z moich towarzyszy twierdzą, że sam stałem się podobny do człowieka. Napawa mnie to szczęściem, gdyż o niczym innym nie marzy moje serce...

– Do rzeczy – warknęła Mel.

– Wiem, że wszystko, co robicie wy, ludzie – posłusznie podjął Nemanejczyk – zawsze ma jakiś powód. Czasem jest on dziwny, czasem niezrozumiały dla innych. Ale zawsze jakiś jest. My jesteśmy inni. I powiem wam jedno. – Pochylił się jeszcze bardziej. W świetle świecy jego wypukłe, psie oczy lśniły. – Zabójca pułkownika pod tym względem znacznie bardziej przypomina nas niż innych ludzi.

– Zabił, ponieważ go nienawidził? – spytał Marcelin.

– Niczego nie zrozumiałeś. – Demon nawet nie wydawał się zirytowany. – To wy, ludzie, zabijacie z nienawiści. My zabijamy, gdy przyjdzie nam na to ochota. Macie takie ładne słowo: kaprys. To właśnie jest to.

– Bzdura – Mel wzruszyła ramionami. – To była zaplanowana zbrodnia, a nie żaden kaprys.

– Jedno nie przeszkadza drugiemu. Może któregoś ranka ten czarownik obudził się, spojrzął w okno, stwierdził, że zapowiada się kolejny słoneczny dzień. A potem powiedział sobie: och, myślę, że za dwa dni o tej porze ten sympatyczny pułkownik Delmay nie będzie już żył. Zasiadł do stołu, pił kawę i żartował z pokojówką, cały czas zastanawiając się, w jaki sposób dobrać się pułkownikowi do skóry.

– To niewiele nam pomoże – powiedziała Melisandra. – Taki człowiek na pierwszy rzut oka może być całkiem sympatyczny.

– Oczywiście, że tak. Na pozór nie różni się niczym od innych ludzi. Ale w środku – z gardła Nemanajczyka wydobył się śmiech – jest jednym z nas. I coś jeszcze.

– Tak?

– On nie przestanie. Zabije jeszcze kogoś. Może za dwa dni, może za dwa lata. Ale zabije z pewnością.

W tym momencie, jakby dla dopełnienia dramatyzmu słów demona, rozległ się zgrzyt klucza w zamku.

Dziesięć minut później ułagodzony już dziennikarz pozapalał wszystkie lampy i zaproponował kuzynom po filiżance herbaty. Nemanajczyk znikł. Jak wyjaśnił Raverdy, istoty jego rodzaju nie lubią pokazywać się w świetle.

– Wierzysz mu pan? – spytała Melisandra, odstawiając filiżankę na niski stoliczek. Siedzieli nie w jadalni, ale w znacznie przytulniejszym, wypełnionym książkami gabinecie. – Demony lżą jak najęte – ciągnęła. – Byle zdolny czarodziej jest w stanie przywołać taką istotę, ale mało kto umie nakłonić je do mówienia prawdy. Ci, którzy spodziewają się, że przy pomocy demonów odnajdą ukryte skarby czy coś w tym rodzaju, najczęściej gorzko się zawodzą.

– On jest moim przyjaciелеm – odparł urażony dziennikarz. – Jego informacje zawsze są prawdziwe. W dodatku jest chrześcijaninem.

– Nie mów pan bzdur – zdenerwował się Marcelin. – Tylko w ludzkim ciele można osiągnąć zbawienie. Do zbawienia potrzebna jest wolna wola, a jedynie człowiek posiada ją w

pełni. Wszelkie inne byty są jej częściowo lub całkowicie pozbawione. Tak mówi nauka Kościoła. Powinieneś pan o tym wiedzieć.

– Widzę, że w dzieciństwie wbito ci do głowy podstawy wiary – zaśmiała się Melisandra. – Ale kilkaset lat temu nie było to wcale takie pewne. W łonie Kościoła trwały spory na temat tego, kto może zostać ochrzczony, a kto nie. Było wówczas wielu księży, którzy specjalizowali się właśnie w nawracaniu istot takich jak przyjaciel pana Raverdy'ego.

– To prawda – przytaknął Raverdy – Mój przyjaciel pomaga mi, bo wierzy, że Bóg nagrodzi go za wierność i w następnym życiu odrodzi się już jako człowiek. To naprawdę godna zaufania istota. Myślę, iż śmiało możemy uznać to, co powiedział, za prawdę.

Sevrin wiedział, że sędzia śledczy ma swoje powody, by z taką niechęcią potraktować myśl, iż winnym śmierci pułkownika Delmaya mógłby być Neahelita. Gdyby *soutzene* znów, jak przed wiekami, zwrócili się przeciwko Okcytańczykom, oznaczałoby to koniec kruchej równowagi, jaka panowała na Serralanguie. Wygodniej było wierzyć, że pułkownik zginął z ręki jakiegoś cudzoziemskiego czarownika, najlepiej takiego, który dopiero niedawno przyplłynął do Quinson. Za takim pozbawionym przyjaciół człowiekiem nikt by się nie ujął. Można by powiesić go ku chwale sprawiedliwości i zakończyć w ten sposób sprawę.

Sevrin także wolałby takie rozwiązanie, był jednak na tyle rozsądny, by wiedzieć, że rzeczywistość rzadko kiedy zgadza się z życzeniami. Ponadto niepokoił go ten list. Surges przyjął za pewnik, że anonim wysłał morderca, który chciał pochwalić się swoim czynem. Nie zadał sobie przy tym prostego pytania: dlaczego list został wysłany tak późno? Dlaczego morderca czekał, aż zwłoki pułkownika zostaną odnalezione? Sevrin miał wrażenie, że gdyby Delmay został po prostu uznany za zaginionego, „La Vertàt” nigdy nie dostałaby tego listu. List był bezpośrednim skutkiem nie zabójstwa, ale właśnie

odnalezienia ciała. A to już nie pasowało do teorii zemsty. Nie pasowały do niej także słowa d'ony Melisandry. Surges pominął je milczeniem, nie zgadzały się bowiem z jego własnymi przekonaniem. Ale panna d'Aleume bez wątpienia wiedziała, co mówi: autor tego listu podczas pisania nie odczuwał niczego szczególnego, żadnego z tych uczuć, które można by przypisać komuś, kto zabił znenawidzonego człowieka. Napisał list, bo „tak wypadło”.

Ciekawe sformułowanie, mocno komplikujące sprawę.

Z powodu wszystkich tych wątpliwości Sevrin w sobotę rano siedział w Ferratjol, w małej kawiarence składającej się z dachu i podpierających go sześciu białych, ozdobnych kolumnienek. Całość stylizowana była na starożytną świątynię. W środku beztrasko hulał poranny wiatr, targając brzegami obrusów i przewracając wazon y pełne suszonych kwiatów.

Ferratjol było największym parkiem w Quinson, a właściwie całym kompleksem parków i ogrodów. Był tu tor wyścigów konnych, dwie strzelnice, sztuczne jezioro, a nawet małe zoo. Wieczorami w Ferratjol odbywały się koncerty na wolnym powietrzu, pokazy ogni sztucznych, występy magów i amatorskich trup teatralnych. Teraz, mimo iż rano wstęp był wolny, wokół nie było wielu ludzi.

Sevrin czekał na pannę d'Aleume.

Zjawiała się punktualnie, w czerwonej sukni, której krój naśladował prostotę neahelickich szat. Sevrin nigdy jeszcze nie widział jej ubranej w coś, co quinsonska socjeta skłonna byłaby uznać za „przyzwoite”. Panna d'Aleume najchętniej nosiła proste suknie w intensywnym – zazwyczaj czerwonym – kolorze lub po prostu spodnie i surdut.

Obserwował ją z uwagą. Na tle pastelowych strojów siedzących w kawiarence dam panna d'Aleume wyglądała jak szkarłatna róża wetknięta w bukiet suszonych kwiatów, jak te na stole.

– Co tym razem? – rzuciła, siadając przy stoliku. – Zdaje się, że od pewnego czasu jestem ulubienicą quinsonskiej policji. No, proszę mówić.

Zabrzmiało to niezbyt grzecznie, ale w oczach dziewczyny

wyraźnie widział ciekawość, a ta niejednego skłoniła już do zrobienia czegoś, czego nie zrobiłby w innej sytuacji.

– Nie jestem z policji – powiedział Sevrin spokojnie. – Jestem osobą prywatną i z przyczyn najzupełniej prywatnych interesuję się śmiercią pułkownika Delmaya.

– Byłeś pan jego przyjacielem?

– Obawiam się, że prawda jest znacznie bardziej prozaiczna, *dòno Melisandro*. Nudzę się, po prostu. – Tu, lekko zakłopotany, uśmiechnął się, jakby prosząc dziewczynę o wyrozumiałość dla tej drobnej ludzkiej słabostki. – Dlatego interesują mnie tajemnicze okoliczności śmierci pułkownika. Pani to nie ciekawi?

Melisandra słyszała wiele opinii o Joaquimie de Sevrin i we wszystkich powtarzało się jedno słowo: chytry. Nie sprytny, co byłoby odbierane jako komplement, ale chytry, a słowo to zakładało, że Sevrin, choć nie łamie prawa, to jednak czasem działa na jego granicy. Nie miała pojęcia, czego może chcieć od niej, ale na wszelki wypadek postanowiła być ostrożna.

– Interesuje, owszem – odparła wolno. – Ale przecież my niewiele możemy zrobić.

– Czy ja wiem... – Znów się uśmiechnął tym przepraszającym, niepewnym uśmiechem, który sprawiał, że uprzedzenie Mel zaczynało znikać. – Widzisz pani, policja sprawdza już czarowników mieszkających w Quinson, i to zarówno tych, którzy mają licencję, jak i tych, którzy działają nielegalnie. Ale istnieje grupa magów, o których niemal nic nie wiemy. W Domu Snów przebywa w tej chwili dziesięciu *soutzene*. Znamy ich imiona i to właściwie wszystko. Nie wiadomo, ilu z nich to jeszcze uczniowie, nie wiadomo, jakimi umiejętnościami dysponują pozostali. A mieszkają tam przecież najzdolniejsi. Djevra nie pozwala odejść utalentowanym magom. Chce, aby pozostali w Domu, doskonalili swą sztukę i uczyli innych. Zdaje się, że ty, pani, jesteś jedynym wyjątkiem od tej reguły. Jeśli więc szukać mordercy wśród *soutzene*, to prawie na pewno będzie to właśnie ktoś z Domu Snów. A ja słyszałem, że wybierasz się tam pani w najbliższym czasie.

– Rzeczywiście, wybieram się. Latem życie w Quinson staje się

strasznie nudne. – Wymieniła tylko jeden z powodów wyjazdu do Domu Snów. Drugim, może znacznie ważniejszym, były znajdujące się tam księgi z zaklęciami. – Proponujesz mi pan, bym została pańskim szpiegiem?

– Niezupełnie o to mi chodziło... – zaprotestował.

– Ależ tak, dokładnie o to. Nie podoba mi się ten pomysł. Zresztą *soutzene* nie ufają mi, nigdy mi nie ufali. Jeśli naprawdę któryś z nich ma na swoim sumieniu pułkownika Delmaya, to jestem ostatnią osobą, której by o tym powiedzieli. Traktują mnie jak obcą albo i gorzej. Obcej prędzej by zaufali niż mnie!

– Nie musisz pani krzyczeć.

– Nie krzyczę – odparła mocno zarumieniona Melisandra. Potem powtórzyła raz jeszcze, tym razem spokojniej: – Wcale nie krzyczę.

Sevrin przyglądał jej się przez chwilę z ciekawością.

– Zgoda – odparł. – Masz pani rację. Nie powinnaś pani wypytywać o pułkownika. Tak będzie bezpieczniej. – Pochylił się w stronę dziewczyny i spojrzał na nią z troską. – Chcę tylko, aby pani od czasu do czasu wysyłała listy na adres mojego przyjaciela, pana Justy’ego. Opisz w nich pani, kto mieszka w Domu i jakimi zdolnościami włada. Możesz pani pisać też o innych rzeczach, które zwrócą pani uwagę. Mówiłem o tym pomysł mojemu przyjacielowi. Zdecydowanie odradzał mi angażowanie pani w takie przedsięwzięcie. Powiedział, że namawianie kobiety do brania udziału w czymś, co może okazać się dla niej niebezpieczne, jest wysoce nieetyczne. Tłumaczyłem mu, że nie mamy innego wyjścia, a poza tym jesteś pani kobietą niezwykłą, znacznie odważniejszą od przeciętnej przedstawicielki twej płci i nie można do pani stosować zwykłej miary. Mimo to przyznam, że poniekąd podzielał obawy mojego przyjaciela. Dlatego nie śmiem nawet nalegać. Nie chciałbym, aby spotkało panią coś złego. Zrozumiem, jeśli pani odmówisz. Możesz pani teraz wstać i odejść, a ja już nigdy o tym nie wspomnę. Więc jak będzie?

Patrzył na nią pełen nadziei i zakłopotany jednocześnie, jak ktoś, kto wie, że nie ma prawa prosić, a jednak na przekór

wszystkiemu wierzy, że jego prośba zostanie spełniona.

Mel prawie dała się nabrać. Parę sekund dzieliło ją od zapewnienia, że owszem, zgodzi się. I wcale się nie boi. Żyła wśród *soutzene* długo i już od dawna nie budzą w niej lęku.

W tym momencie nagły podmuch wiatru przewrócił pusty już na szczęście kieliszek i potoczył go poza krawędź stolika. Pochylili się jednocześnie. Sevrin był odrobinę szybszy, złapał kieliszek tuż nad ziemią. Widząc dłoń dziewczyny sięgającą w tę samą stronę, cofnął rękę gestem tak naturalnym, że Melisandra nie dostrzegłaby w nim nic dziwnego, gdyby nie fakt, że nieraz już widziała ludzi umykających przed nią w ten sam sposób, ludzi, którzy chcieli uniknąć przypadkowego dotknięcia, bo bali się, że Mel zdoła poznać ich prawdziwe uczucia.

Sevrin postawił kieliszek na stole i spojrzał w oczy dziewczyny, wąskie i złe.

– Próbujeś mnie pan brać pod włos? – spytała zimnym głosem. – Prawie uwierzyłam, że panu naprawdę zależy na moim bezpieczeństwie. A pan po prostu uznałeś, że najszybciej dam się złapać, jeśli zarzuci mi się brak odwagi.

Sevrin, zamiast próbować się bronić, rozłożył ręce w bezradnym geście.

– Przyznaję. Przejrzałaś mnie pani. Czy teraz mogę usłyszeć odpowiedź na moje pytanie?

– Masz pan jeszcze śmiałość pytać?

– Czemu nie?

– Nie znoszę ludzi, którzy próbują mną manipulować.

– No, jeśli teraz odmówisz pani z przekory, tylko po to, by mi się sprzeciwić, bo próbowałem panią manipulować, to w jakimś sensie też ulegniesz pani manipulacji. Jesteś pani zbyt inteligentna, by obrażać się jak dziecko, Proszę po prostu odpowiedzieć, czy masz pani ochotę to zrobić, czy nie.

Mel przygryzła dolną wargę. Sevrin był sprytny, naprawdę bardzo sprytny Nawet taką sytuację potrafił obrócić na własną korzyść. Wpadła w pułapkę, a on zostawił jej wyjście – ale było to wyjście zgodne z tym, czego sam oczekiwał.

– Muszę się zastanowić – powiedziała z ociąganiem. – Proszę

dać mi trochę czasu.

Wiedziała już, że się zgodzi, ale był to jedyny sposób, by ocalić resztki dumy. Sevrin skinął głową z powagą. Gdyby teraz spróbował się uśmiechnąć, pewnie wstałaby i odmaszerowała do domu, rzucając w diabły ten pomysł. Ale Sevrin zachował kamienny wyraz twarzy, choć wewnątrz z pewnością gratulował sobie przebiegłości.

– Odprowadzę panią do bramy.

Szli, mijając przysypiających na ławkach staruszków i korpulentne niańki pilnujące dokazującej dzieciarni.

– Szkoda, że to nie wieczór, prawda? – rzucił w pewnej chwili Sevrin. – Przeszłabyś się pani ze mną po Ferratjol wieczorem, kiedy będzie tu więcej ludzi?

Dziewczyna zatrzymała się, zdumiona.

Jedna z reguł życia towarzyskiego dotyczyła tak zwanych znakomitości sezonu, ludzi, którzy przez rok, góra dwa lata byli modni. Taką gwiazdą mógł zostać ktokolwiek: poeta, malarz, naukowiec czy znany podróżnik – każdy, kto mógł na chwilę choć zainteresować quinsonską socjetę. Teraz w modzie była Melisandra. A reguła mówiła, że każdy, z kim pokazuje się publicznie znakomitość sezonu, także, choć w mniejszym stopniu, staje się osobą modną. Czasem takie zainteresowanie dawało nawet wymierne korzyści finansowe. Na przykład, gdyby Mel miała kapryś pojawić się w operze czy w teatrze – czy właśnie w Ferratjol – w towarzystwie, powiedzmy, jakiegoś poety, liczba czytających jego wiersze niechybnie by wzrosła. Gdyby jej towarzyszem był naukowiec, to prawdopodobnie szybciej otrzymałby fundusze na swoje badania, i tak dalej. Chwilowo z popularności tej korzystał jedynie Marcelin.

Na dobrą sprawę powinna się teraz obrazić. Ale Mel nie obrażała się tak łatwo.

– Zdaje się, że pan jesteś żonaty? – przypomniała tylko z ironią.

– To w czymś przeszkadza? – Sevrin bynajmniej nie wyglądał na zakłopotanego.

– Mnie nie, ale pana żonie raczej powinno, prawda?

– Och, moja żona jest osobą niezwykle tolerancyjną.

– Myślę, że jednak odmówię.

– Dlaczego?

Zastanowiła się. Skoro on mówił do niej tak bezpośrednio, to i ona miała prawo do szczerości.

– Ponieważ wyraźnie widzę, jakie korzyści taki spacer mógłby przynieść panu, a nie widzę, co ja mogłabym na tym zyskać.

Sevrin uśmiechnął się lekko. Mel umiała już sklasyfikować niemal wszystkie te jego uśmieszki: zakłopotane, współczujące, ironiczne. Ten akurat był uśmiechem pełnym uznania.

– Najpierw proszę mi odpowiedzieć na jedno pytanie. – Patrzył na nią jak nauczyciel na uczennicę, która przed chwilą udzieliła dobrej odpowiedzi i po której spodziewa się dalszych, równie błyskotliwych. – Bawisz się pani, grając rolę błazna ku uciesze quinsonskiego towarzystwa. Czy to naprawdę szczyt pani ambicji?

Obojętnie wzruszyła ramionami.

– Bawię się, bo to równie dobry sposób spędzania czasu jak każdy inny. Wcale nie chciałam zostać, jak pan mówisz, błaznem. – Użyła tego słowa swobodnie, jakby nie było w nim nic obraźliwego. – Ale też wcale mi to nie przeszkadza. A co pan ma mi do zaproponowania?

– Proponuję pani coś w rodzaju sojuszu. Pani talent magiczny i moja znajomość ludzi. Razem moglibyśmy zająć bardzo wysoko.

Melisandra milczała, z półuśmiechem na ustach gotowym w każdej chwili przekształcić się w wybuch śmiechu, gdyby tylko Sevrin w jakikolwiek sposób – intonacją albo wyrazem twarzy – dał znać, że to, co mówi, to tylko dowcip. On jednak wyglądał na całkowicie poważnego. Zirytowała się, tak jak zawsze, gdy nie była w stanie odgadnąć intencji rozmówcy.

– Dajmy temu spokój – powiedziała w końcu ze złością, popychając ciężką żelazną bramę. – Przecież to nie ma sensu.

Stanęli na ulicy i dziewczyna zaczęła rozglądać się za dorożką.

Sevrin zatrzymał ją na moment.

– Mam nadzieję, że nie zrozumiałaś mnie pani fałszywie – powiedział. – Nie chciałbym w żadnym wypadku przeszkadzać w zobowiązaniach, które masz pani wobec innych osób.

- Jakich znów, u licha, zobowiązaniach?
- Miałem na myśli zobowiązania wobec pani kuzyna, don Marcelina.
- I co z nim?
- Ludzie mówią, że jest pani kochankiem – oznajmił Sevrin spokojnie.

Mel zagryzła wargi. Było to dla niej coś zupełnie niespodziewanego. Choć, jeśli się dobrze zastanowić, ktoś w końcu musiał wpaść na taki pomysł. Quinsońska socjeta, najchętniej plotkująca właśnie o romansach, musiała w ten sposób połączyć nazwiska dwojga ludzi, którzy dużo czasu spędzali razem.

– To prawda? – Sevrin uniósł brwi, czekając na odpowiedź.

Miała na końcu języka słowa: „To nie pańska sprawa”, ale zdecydowała się na coś innego. Przywołała na pomoc swoje niewielkie zdolności aktorskie i otworzyła szeroko oczy, w sztucznym zdumieniu.

– Och, ależ oczywiście, że nie – a powiedziała to tak, jakby kłamała.

Sevrin spoglądał na nią z napięciem. Potem jego rysy odprężyły się.

– A więc nie jest. – Uśmiechnął się raz jeszcze, tym razem pobłażliwie. – Mówiłem, że znam się na ludziach. Zawsze wiem, kiedy udają.

LATO

DOM SNÓW

Droga do Domu Snów wiodła wzdłuż ruin, od których Dom wziął nazwę. Po prawej stronie rozciągał się ponury krajobraz zburzonego miasta, po lewej – pusta przestrzeń szerokiej równiny, soczyście zielonej wiosną, a teraz, latem, mocno już przybladłej, wypalanej intensywnym słońcem.

Dom Snów widać było już z daleka – jedyny cały budynek stojący pośród gruzów. Dla oka Okcytańczyka jego kształt był dość nietypowy. Wybudowano go na planie kwadratu. Miał cztery piętra, z których każde kolejne było węższe i bardziej cofnięte w stosunku do poprzedniego, tak iż z zewnątrz Dom przypominał olbrzymie schody.

Mel i Marcelin zjechali z głównej drogi i posuwali się teraz wąską ścieżką wijącą się pośród ruin. Dziewczyna przyglądała się ocalałym ścianom budynków.

Większość płaskorzeźb, fresków i mozaik była uszkodzona dłutami wycieczkowiczów, którzy wiosną i latem urządzali tu pikniki, a odjeżdżając, zabierali ze sobą takie właśnie oryginalne „pamiątki”. Gdy zbliżyli się do Domu Snów, Marcelin ze zdziwieniem spostrzegł, że pod bramą koczują ludzie. Para staruszków w słomianych, dziurawych kapeluszach solidarnie dzieliła się płynem chlupoczącym w zielonej butelce, obok mała dziewczynka wydłubywała karteczki tkwiące w szparach płaskiego kamienia, wyglądającego jak splekana płyta grobowa. Jeden ze staruszków krzyknął i przegonił dziecko.

– Kto to? – spytał cicho Marcelin, gdy kuzynka zakołatała do bramy.

– Biedacy – odparła. – Przychodzą tu po pomoc, ale nie mają czym płacić. Czekają więc, licząc, że ktoś się nad nimi zlituje.

– I ktoś się nad nimi lituje?

– Raczej nie. *Soutzene* mają wystarczająco dużo pracy z tymi, którzy mają pieniądze.

Brama rozwarła się powoli i na zewnątrz wyszedł jasnowłosy mężczyzna. Mel skrzyżowała ręce na piersi i ukloniła się. Jasnowłosy zrobił to samo, tyle że jego ukłon był mniej głęboki i trwał krócej. Zaczęli rozmawiać. Marcelin, który po neahelicku potrafił powiedzieć jedynie „dziękuję”, „dzień dobry” i „jak tam twoja rodzina?”, przyglądał się w tym czasie nieznanemu. Mężczyzna miał na sobie krótką, intensywnie czerwoną tunikę. Do tego nosił spodnie do konnej jazdy, najwyraźniej okcytańskie, dla wygody przycięte w połowie łydki. Obute w skórzane sandały stopy miał zakurzone aż po kostki.

Jasnowłosy cofnął się, pozwalając im wejść do środka. Za bramą kilkunastoletni chłopak odebrał konie i odprowadził je gdzieś w bok. Marcelin rozejrzał się ciekawie. W każdym rogu kwadratowego dziedzińca zobaczył kręcone schody, prowadzące na trypoziomową galerię biegnącą naokoło wzdłuż ścian budynku. Dokładnie naprzeciw głównej bramy usytuowana była druga, mniejsza, prowadząca najprawdopodobniej nad morze. Bramy znajdowały się także po prawej i po lewej stronie dziedzińca – w jednej z nich zniknął właśnie młody Neahelita prowadzący konie. Na dziedzińcu stało coś, co Marcelin zidentyfikował jako olbrzymi gong, a tuż obok urządzenie znacznie łatwiejsze do rozpoznania: kamienna studnia. Na stojącej przy niej ławce siedziało dwóch mężczyzn. Mieli okcytańskie rysy i wyglądali na zamożnych. Poza nimi i Neahelitą, który wpuścił ich do Domu, a który – jak zdążyła szepnąć Melisandra – nosił imię Yanhsevite, nie było tu nikogo.

Yanhsevite zaprowadził ich do jadalni i zniknął bez słowa. Marcelin usiadł na jednym z krzeseł i rozejrzał się. Z zewnątrz Dom Snów sprawiał naprawdę imponujące wrażenie, ale ponieważ kamienne mury były bardzo grube, pomieszczenia siłą rzeczy wyglądały na mniejsze, niż można by się spodziewać. Wzdłuż ścian stały modne sto lat temu szafki, wypełnione zastawą stołową. Ich wyrafinowane, delikatne

kształty dziwnie kontrastowały z topornością kamiennych ścian. Chłopak oparł łokcie na stole – niewątpliwie także okcytańskim, choć znacznie solidniejszym niż szafki – i zapatrzył się w pszczołę, która wpadła przez jedno z wąskich okien i tańczyła teraz w świetle słońca. Potem spojrzał na Melisandrę. Dziewczyna kpiąco uniosła brwi, świetnie zdając sobie sprawę z rozczarowania chłopaka.

– Jest tu coś ciekawego? – zapytał Marcelin.

– Z twojego punktu widzenia interesujący powinien być choćby pokój wróżb. Ale tam nie możesz wejść.

– Dlaczego?

– Ponieważ jest to miejsce, gdzie rozmawiamy z bogiem. – Chłopak aż podskoczył na dźwięk głosu, który rozległ się za jego plecami. Odwrócił się i ujrzał kolejnego *soutzhana*. Był to mężczyzna w średnim wieku, ubrany w czerwoną tunikę i szerokie, również czerwone spodnie z miękkiego materiału. Za plecami nieznanego zobaczył Yanhsevite’a, który stał z rękoma założonymi na piersi, nie zdradzając, że rozumie, o czym jest mowa.

– Przykro mi, ale nie mogę pozwolić ci tam wejść, młodzieńcze – kontynuował mężczyzna, mówiąc cały czas po okcytańsku. Melisandra domyśliła się już, że to przełożony Domu, Taghya. – Przyszedłem zaproponować posiłek, zanim ruszysz z powrotem.

Marcelin podziękował. Czystej krwi Neahelici byli tak do siebie podobni, że chłopakowi twarz Taghyi wydawała się niemal identyczna z twarzą Yanhsevite’a. Ale Mel wyraźnie widziała różnicę. Yanhsevite był lepiej zbudowany, policzki miał bardziej okrągłe, a czoło szersze. Zgadywała, że przyszedł na świat w chłopskiej rodzinie, która w spadku przekazała mu czerstwość i zdrowie.

W przypadku Taghyi natomiast koniecznie trzeba było użyć przymiotnika „elegantki”, choć żadnemu Okcytańczykowi nie przyszłoby do głowy określić tak kogoś, kto nie był ubrany w wieczorowy strój. Ale Taghya właśnie taki był, elegantki i schludny. Rozmawiał z Marcelinem bez śladu obcego akcentu, a jego maniery także były nienaganne. Uprzejmość

przełożonego Domu wydała się Melisandrze nawet przesadna, jakby męzczyzna koniecznie chciał podkreślić, że w razie potrzeby potrafi przestrzegać okcytańskich zwyczajów nie gorzej niż sami Okcytańczycy.

Mel przypadł jeden z nieużywanych pokoi na czwartym piętrze. Było to pomieszczenie wąskie i – na razie przynajmniej – pozbawione mebli, choć w jednej ze ścian wykuto wnękę, która służyła jako miejsce do spania. Skrzywiła się na ten widok. Wnęką była co prawda dość przestronna, ale i tak trochę za bardzo kojarzyła się z grobem. Dziewczyna postanowiła, że spać w pokoju nie będzie. W taki upał dach domu wydawał się miejscem znacznie przyjemniejszym niż duszny, ciasny pokoik.

Gdy tylko została sama, zmieniła spodnie i przepoconą koszulę na lekką sukienkę i wyszła na taras, będący jednocześnie dachem trzeciego piętra. Na tarasie stały w równych rzędach gliniane donice – niektóre były puste, w innych rosły karłowate krzewy. Mel przez chwilę spoglądała na spokojne morze, potem przeszła przez pokój na galerię biegnącą wokół wewnętrznego dziedzińca. Obeszła cały dom, idąc najpierw galerią wzdłuż czwartego piętra, po czym stopniowo zaczęła schodzić w dół.

Na parterze trafiła na coś w rodzaju magazynu, w którym znajdowały się neahelickie dzieła sztuki i przedmioty codziennego użytku. Były tu rzeźby przedstawiające bogów o idealnych rysach i obojętnych oczach, a także figurki zwierzoludzi – czasem przerażające, a czasem zabawne. Część z nich wyrzeźbiono w marmurze, inne, mniejsze, ale równie precyzyjnie obrobione, w kryształach i jaspisach. Były tu także maski *taghe-rasāt* sprzed stuleci, drewniane instrumenty muzyczne, ceramiczne, pięknie malowane wazy i naczynia stołowe z inkrustowanym złotem brązu, mozaiki z drogich kamieni, puzderka na wonności, grzebienie do włosów, lusterka w pięknie rzeźbionych ramach i mnóstwo innych przedmiotów.

Dziewczyna wzięła do ręki jeden z posążków, zielony i gładki jak mydło. Figurka przedstawiała człowieka z głową byka. Był to typowy przykład sztuki schyłkowej, zmanierowanej przez swój nadmierny realizm i wyolbrzymienie nic nieznaczących szczegółów. Ale figurka nie była przez to mniej interesująca. Przeciwnie, było w niej coś niepokojąco fascynującego, tak odmiennego od dzieł, do których przyzwyczaiła ją sztuka Okcytańczyków.

Tuż obok Mel znalazła bibliotekę, a w niej – ku swojemu zdumieniu – wszystkie książki, które czytała w Domu Ciemnego Księżyca. Postanowiła spytać o nie przy najbliższej okazji. Na parterze była jeszcze kuchnia, pokój wróżb i trzy świetlice. W jednej z nich natknęła się na Yanhsevite'a z trójką dzieci w wieku od jedenastu do czternastu lat. W popołudniowym słońcu Dom Snów sprawiał wrażenie cichego i wyludnionego. Nic dziwnego, pomyślała. Kilkanaście osób nie wypełni życiem budynku zbudowanego dla trzystu mieszkańców.

Potem wspięła się schodami z powrotem na czwarte piętro, a stamtąd na dach. Było tu jeszcze więcej roślin niż na tarasach. W niektórych miejscach karłowate drzewka tworzyły miniaturowe ogródki. Z tej wysokości mogła dostrzec dwa budynki, które nie łączyły się bezpośrednio z Domem Snów. Po lewej znajdowały się stajnie, po prawej łaźnia.

Zapadł już zmrok, gdy usłyszała gong na kolację. Zeszła na dół. Jadalnię oświetlały zawieszane na ścianach lampy. Wielkie, miękkie ćmy wpadały przez otwarte okna, krążyły wokół stołu i zwabione światłem, wpadały w szkło. Wówczas płomień chwiał się i przygasał na chwilę, a gdy ćmy nieruchomiały, odzyskiwał swą normalną wysokość. Z kuchni dobiegały dziewczęce śmiechy i zapach ryb pieczonych na węglu drzewnym.

Przy jednym końcu stołu siedzieli uczniowie: dwie dziewczynki i trzech chłopców. Najmłodszy miał około jedenastu lat. Miałam rację, pomyślała Mel. Jestem ostatnią osobą, której Djevra podarował drugie życie. W ciągu ostatnich sześciu lat żadne dziecko nie powstało z martwych. Nie będzie już więcej *soutzene*.

Najstarszy uczeń natomiast był mniej więcej w wieku Marcelina. Melisandra przyglądała mu się przez chwilę, uderzona niezwykłą urodą chłopaka, który sprawiał wrażenie raczej wypieszczonego dzieła sztuki niż żywego człowieka. Jako jedyny miał na sobie strój całkowicie okcytański: ciemnognatowe spodnie i białą koszulę.

Usiadła pomiędzy Lauletzāy, postawną uzdrowicielką o męskim typie urody, a młodym *soutzhanem* noszącym imię Ghiyām. Przez jego policzek biegła szeroka purpurowa blizna. Do stołu podawała wysoka dziewczyna z ciemnymi włosami, ciasno związanymi na karku. Miała na sobie długą do kostek czarną spódnicę, białą bluzkę i wykrochmalony fartuszek. Nie pasowała do zebranego przy stole towarzystwa, ale tak naprawdę nic tu do siebie nie pasowało. *Soutzene* ubrani byli w przypadkowo dobraną mieszaninę strojów neahelickich i okcytańskich, a zastawa stołowa – położona bezpośrednio na gołych deskach – składała się z drewnianych głębokich mis, glinianych kubków i delikatnych porcelanowych talerzy. Sztuce leżały na środku stołu. Kto chciał, brał nóż i widelec, kto nie chciał, pomagał sobie podczas jedzenia kawałkiem pszennej placka albo i własnymi palcami.

Mel lubiła wydawać opinie i choć miała świadomość, że opinie te są dość powierzchowne, a często kompletnie mylne, to i teraz skorzystała z okazji. W ciągu dziesięciu minut, jedząc zupę ze świeżych ogórków, określiła już odpowiednio wszystkich starszych mieszkańców Domu.

Taghya podczas posiłku uśmiechał się do dzieci, czochrał ich blond włosy i z uwagą wysłuchiwał słów każdego, kto zabierał głos, patrząc na niego swoimi jasnymi, miłymi oczami. Oczy te zdawały się mówić, że oto jest człowiek, do którego zwrócić się można w potrzebie i który z pewnością nie odmówi pomocy. Mel pewnie dałaby się nabrać, gdyby nie fakt, że Taghya był bardzo podobny do jej ojca. Wiedziała więc, że pod jego sympatyczną powierzchownością kryje się poczucie wyższości. Był to człowiek, który ćwiczył się w uprzejmości po to, by udowodnić samemu sobie i wszystkim innym, że prócz licznych zalet, takich jak inteligencja, rozsądek, miłe usposobienie czy

wrażliwość, posiada także cnotę skromności.

Prawą ręką Taghyi była Lauletzāy. Z chłodnym spokojem zajmowała się wszystkim tym, co było poniżej godności przełożonego. Sprawdzała, czy dzieci umyły przed posiłkiem ręce, i napominała służącą, by nie moczyła rękawów koszuli w sosie. Nie podnosiła głosu, ale słuchano jej bez szemrania. Miała autorytet i bez trudu można było zauważyć, że tej kobiecie nie umknie żadne zaniedbanie.

Yanhsevite z kolei najwyraźniej źle się czuł pośród ludzi. Usiadł przy końcu stołu i jadł, szybko obracając łyżką, ze wzrokiem wbitym w talerz, który obejmował lewym ramieniem, tak jakby spodziewał się, że lada moment ktoś mu go wyrwie. Odzywał się tylko, gdy ktoś go zagadnął, a i wtedy odpowiedź była krótka i burkliwa.

Niewiele mówił również Ghiyām, ale w jego przypadku milczenie wynikało nie z gburowatości, ale z jakichś innych, bardziej złożonych przyczyn. Melisandrze trudno było go rozgryźć. Wyglądał dość paskudnie z tą blizną ciągnącą się od skroni aż do podbródka, ale dziewczynie to nie przeszkadzało. Widywała już bardziej okaleczonych ludzi. Mimo swojej milkliwości i młodego wieku najwyraźniej cieszył się wśród *soutzene* sporym szacunkiem.

Ghiyām złowił jej spojrzenie, uśmiechnął się, a potem przeciągnął palcem po bliznie i uszczypnął ją lekko. Skóra na policzku poczerwieniała, a blizna przybrała kolor ciemnej purpury. Mel poczuła, że zaczyna robić jej się niedobrze. Ghiyām uśmiechnął się szerzej, najwyraźniej zadowolony z efektu.

Mel pospiesznie odwróciła głowę, wzięła ze stołu pszenne placek i oderwała kawałek. Zgniotła go w kulkę i rzuciła w stronę najstarszego z uczniów, tego o niezwykłej urodzie.

– Hej, ty – powiedziała, gdy chłopak spojrzał na nią. – Jak się nazywasz?

– Nik’haleu – podał neahelicką wersję popularnego, okcytańskiego imienia.

– Pomożesz mi przenieść z magazynu trochę mebli.

Wstał posłusznie i dopiero teraz spostrzegła, jak bardzo się

pomyliła. Chłopak był w jej wieku, może nawet starszy. Z pewnością nie był już uczniem. Zastanowiła się, czy nie powinna go przeprosić za tak obcesowe potraktowanie, ale Nik'haleu przyjął jej słowa całkiem naturalnie. Najwyraźniej był przyzwyczajony do tego, że inni wydają mu polecenia.

Na zewnątrz rozległ się hałas. Ktoś przemawiał podniesionym, starczym głosem.

– Zostaw, nie trzeba – mówił. – Dam sobie radę. Jeszcze trochę życia się we mnie kołacze.

Pierwsza do jadalni wsunęła się skąpo ubrana, okcytańska służąca, a zaraz za nią drobna, lekko zgarbiona staruszka. Lauletzāy podskoczyła na spotkanie wchodzącej i zaprowadziła ją do stołu.

A Mel bez trudu rozpoznała zarówno głos, jak i postać starej *soutzhau*.

Melisandra długo nie mogła zasnąć. Leżała na dachu, na wypchanym morską trawą materacu, owinięta w wilgotne prześcieradło, które chłodziło rozgrzane upalną nocą ciało. Patrzyła w połyskujące srebrzyście gwiazdy, ale daleka była od tego, by podziwiać ich piękno.

Dom Ciemnego Księżyca już nie istniał. Ci, z którymi się uczyła, poszli swoją drogą, a nowych *soutzene* nie było. Djevra pozwolił Merenmūt odejść. Wiekowa uzdrowicielka wybrała Dom Snów, bo i dokąd miała pójść? Tutaj miała zapewnioną opiekę, a zimy były łagodne dla jej starczego reumatyzmu. I choć ze wszystkich mieszkańców Domu Ciemnego Księżyca Melisandra ją właśnie lubiła najbardziej (czy może raczej nie lubiła najmniej), to dałaby wiele, by Merenmūt została na północy.

Wiązało się z nią zbyt wiele złych wspomnień.

Mel przewróciła się na brzuch i oparła głowę na zgiętym łokciu. Przed sobą widziała pusty dziedziniec Domu. W jednej ze świetlic płonęło jeszcze światło, potem i ono zgasło, pogrążając dziedziniec w ciemności. Powieki dziewczyny zaczęły opadać, gdy światło pojawiło się ponownie, tym razem

w pokoju na czwartym piętrze. Zasypiała, wpatrzona w cień poruszający się na jasnym tle okna. Jej ostatnia przytomna myśl dotyczyła muzyki. Z jakiegoś powodu wydało jej się, że takiemu światłu powinna towarzyszyć muzyka.

Rankiem następnego dnia Melisandra zeszła nad morze.

Za bramą rozciągał się plac wyłożony na przemian niebieskimi i czerwonymi płytkami. Intensywne dawniej kolory przez lata mocno wyblakły, niebieski poszarzał, czerwień przybrała kolor wypalanej na słońcu cegły. Na środku placu stała pompa, najwyraźniej sprawna, bo znajdująca się pod nią metalowa balia była wypłukana, jakby ktoś często z niej korzystał. Biegnące w dół spękane i porośnięte trawą schody prowadziły wprost do drewnianego pomostu. Mel stanęła na nim niepewnie, spodziewając się, że lada chwila przegniłe deski załamią się, a ona wyląduje w wodzie. Pomost wspierał się co prawda na starych, obrośniętych wodorostami i muszlami palach, całość była jednak solidna. W kilku miejscach połamane deski zastąpiono nowymi, które nie zdążyły jeszcze ściemnieć.

Wspięła się z powrotem na górę. Zastała tam dwie młode służące. Dziewczyny, ubrane w identyczne krótkie sukienki, odsłaniające opalone nogi, wyglądały jak bliźniaczki. Jedna z nich stała przy pompie, druga, lewą ręką podtrzymując opierający się o biodro kosz, wrzucała do balii pranie. Mel spytała je o imiona.

– Amadina – ze śmiechem odparła ta, która trzymała kosz. – Ale wołają mnie Dina. A to moja siostra, Roberta. Ona jest, wie pani, trochę ciężko myśląca. Muszę się nią opiekować, choć niby jest ode mnie starsza.

– A ta trzecia dziewczyna, która wczoraj podawała do stołu? – zainteresowała się Mel, pomagając Robercie uruchomić pompę.

– Maria Natalena – wydeła usta Dina. – Imię ma jak nasza patronka, ale my mówimy: Lena. Jest nowa, pracuje tu dopiero od paru dni. Za porządna, żeby się z nami zadawać. Nawet

kapać się chodzi późnym wieczorem, jak w łaźni już nikogo nie ma. Wstydzi się, głupia.

Woda wreszcie trysnęła szeroką, chłodną strugą. Roberta odeszła, a Melisandra usiadła na ziemi, nie dbając o to, że brudzi sobie śliczną koronkową suknię. Z przekory bowiem zabrała do Domu Snów swoje najbardziej eleganckie stroje. W Quinson ubierała się jak Neahelitka, tutaj uparła się, by wyglądać jak okcytańska dama.

– Macie tu może jacht lub łódkę? – spytała, starając się, żeby zabrzmiało to obojętnie.

– Gdzie tam – Dina wyprostowała się, mokrą dłonią przeczesła opadające na czoło włosy. – Kiedyś *soutzene* mieli łódź. Lauletzāy mówiła, że dawniej w Domu było znacznie więcej służby. Łowili ryby, piekli chleb, a tam, gdzie teraz jest stajnia, był ogródek warzywny. Nawet hodowali świnie. W dawnych chlewikach trzyma się dzisiaj psy.

– A teraz?

– Teraz trzy razy w tygodniu przy pływa tu łodzią jeden człowiek z Quinson i przywozi wszystko, co trzeba. Jedzenie i inne rzeczy.

Dina z powrotem zabrała się do pracy.

– Jakie rzeczy?

– Różne. Poczte, czasopisma, książki. Za każdym razem Lauletzāy daje temu człowiekowi listę, na którą każdy wpisuje, co chce. Czasem są to nawet ubrania czy meble, ale wtedy najczęściej ktoś wcześniej jedzie do miasta, żeby zamówić towar.

– A właśnie – powiedziała Mel. – W stajni widziałam całkiem ładne konie. Kto z nich korzysta?

– Różnie to bywa.

– A kto najczęściej?

Dina wzruszyła ramionami.

– Ja tam nie wiem. Trzeba by zapytać w stajni.

– Gdzieżbym miał pamiętać takie rzeczy – odburknął niegrzecznie krępy, krótkonogi Jordi, gdy Melisandra spytała

go, czy nie przypomina sobie może, kto tamtej soboty, w drugiej połowie maja, wyjeżdżał z Domu Snów.

Potem wyjaśnił Mel – choć dziewczyna wcale o to nie prosiła – że „u czarowników” jest „z musu” i że rzuciłby tę robotę w diabły, gdyby tylko miał szansę na inną.

Mimo to stary Jordi wydał się Melisandrze o niebo sympatyczniejszy niż Andrea, jego pomocnik. Andrea miał jakieś dwadzieścia lat, wodniste, bladobłękitne oczy idioty i twarz pokrytą czerwoną wysypką, która sięgała aż do szyi, do brzegu szarego od brudu kołnierza. Siedział na pieńku przy korycie, z którego pił kary wierzchowiec, i ostrzył brzytwę, co jakiś czas wypróbowując ostrze na własnym policzku. Albo Andrea nie miał wprawy w goleniu, albo wysypka była zbyt wielką przeszkodą, bo na twarzy chłopaka widniało już parę zacięć.

Mel trafiła akurat na moment, gdy Roberta przyniosła mężczyznom śniadanie. Jordi podziękował burkliwie, nawet nie podnosząc oczu znad grzbietu konia, którego czyścił. Andrea milczał, gdy dziewczyna postawiła przy nim koszyk, ale kiedy tylko zaczęła się oddalać, zagapił się na jej gołe nogi.

– Zdzira! – wrzasnął.

Mel spojrzała na niego.

– D–Z–I–W–K–A! – wyskandował starannie i z przyjemnością, jakby wypowiadał szczególnie trudne słowo w obcym języku. – Głupia K–U–R–W–A!

Głos miał wysoki, świdrujący. Przy trzecim wrzasku Mel nie wytrzymała. Złapała go za kołnierz i potrząsnęła.

– Jak nie zamkniesz natychmiast gęby, sprawię, że do wieczora będziesz rzygał ptasimi piórami, kośćmi i zardzewiałymi gwoździami – ostrzegła. – Zobaczymy, czy będziesz wtedy w stanie wrzeszczeć.

Puściła go, a głowa chłopaka opadła bezwładnie do tyłu. Jego oczy, teraz przesłonięte łzami, były jeszcze bardziej błędne niż wcześniej. Otworzył usta i zamknął je. W lewym kącie ukazała się i pękła banieczka śliny.

Kiedy Mel pobiegła w stronę Domu, Roberty już nie było widać. Przy bramie stał za to Yanhsevite. Przyglądał się całej scenie z założonymi na piersi rękami i lekkim uśmiechem na

szerokiej, chłopskiej twarzy.

– Dlaczego na coś takiego pozwalacie? – rzuciła gniewnie Melisandra. – U nas, wśród Okcytańczyków, nie traktuje się w ten sposób kobiet!

– Ona przychodzi tu dzień w dzień, choć nikt jej nie każe. Znaczy, musi to lubić, Ekhne–tai – zauważył Yanhsevite, całkiem bystro jak na tępogłowego chłopca.

Po południu dziewczyna wpadła na Lauletzāy, której dotąd udawało jej się unikać. Kobieta na widok niewyraźnej miny Mel uśmiechnęła się z lekką pogardą.

– Nie bój się – powiedziała. – Nie będę cię prosiła o pomoc. Merenmūt wspominała, że magia uzdrowicielska nie jest twoją mocną stroną.

– Wręcz przeciwnie – zaprotestowała Mel. – Bardzo chętnie ci pomogę.

Niemal natychmiast pożałowała zgody, ale było za późno, by się wycofać. Bez słowa więc ruszyła za uzdrowicielką.

Na dziedzińcu spostrzegła Nik’haleu. Chłopak odpoczywał na ławce przy studni, zgarbiony, z brodą wspartą na dłoniach. Wpatrywał się w główną bramę, mając przy tym minę podróżnego, który siedząc na bagażach, czeka na mocno spóźniony dylizans.

– On jest taki sam – rzuciła Lauletzāy z pogardą. – Też nie jest w stanie zamknąć się na cudzy ból. A przecież to umiejętność, którą opanowują już dziesięcioletnie dzieci!

– Jest wciąż uczniem? – Mel pominęła kwestię tej jedynej skazy na swoim talencie magicznym. Ją także dręczył fakt, że mimo usilnych starań nie jest w stanie całkowicie oddzielić cudzych doznań od swoich własnych.

– Jeszcze do niedawna był – przyznała Lauletzāy. – To najbardziej tępy *soutzhan*, jakiego w życiu widziałam. Djevra powinien odebrać mu życie, które tak pochopnie ofiarował. Nik’haleu nie jest nic wart. Dwa miesiące temu Djevra przemówił do Taghyi i pozwolił chłopakowi odejść, ale on ciągle zwleka. Szczęściem Nik’haleu to wyjątek. Większość

naszych uczniów jest zdolna. Taki Yeu na przykład, znasz go, prawda?

Mel skinęła głową, choć nie potrafiła dopasować imienia do odpowiedniej twarzy.

– Yeu ma wielki talent, od lat nie było w naszym Domu tak uzdolnionego ucznia. Taghya szykuje go na swojego następcę – powiedziała Lauletzāy, a Mel momentalnie poczuła zazdrość o tego chłopca, którego twarzy nawet nie była w stanie przywołać w pamięci.

Bo przecież niegdyś to o niej, o Melisandrze, mówiono w ten sposób.

Ghiyām szedł przez dziedziniec, niosąc w rękach sporych rozmiarów tłumok, zawinięty w wielką chustę o związanych rogach. Z chusty wypadła mała, zmięta karteczka. Ghiyām pochylił się niezgrabnie, ale uprzedziła go ta cudzoziemska, ciemnowłosa *soutzhau*. Podała mu kartkę i uśmiechnęła się.

– Mogę iść z tobą?

Skinął głową. Nie miał prawa jej zabronić, choć z chęcią tak właśnie by uczynił.

Pokój wróżb znajdował się w rogu dziedzińca. Mrok chłodnego i wilgotnego pomieszczenia rozjaśniał ogień płonący na środku okrągłego basenu. Płomień, nienaturalnie wąski i wysoki, sięgał niemal stropu, jednocześnie odbijając się w ciemnej wodzie, co wyglądało tak, jakby paliły się tu dwa ogniska – na powierzchni basenu i pod nią. Na zbudowanej z jasnych, płaskich kamieni cembrowinie leżały dary od wdzięcznych ludzi: kwiaty, owoce, figurki, dziecięce lalki, trochę biżuterii i pamiątek, a nawet złote i srebrne monety.

Ponad basenem krążyło Oko Boga. Była to maska trzykrotnie większa niż twarz ludzka, wyrzeźbiona w kryształe dawno temu, gdy Neahelici potrafili jeszcze robić takie rzeczy. Maskę z regularnością wskazówek zegara zataczała nad cembrowiną pełen okrąg. Prostaczkom mogło to wydawać się magią, taką samą jak rozniecony na powierzchni wody ogień, w istocie jednak był to po prostu mechanizm, dość stary, bo zbudowany

ponad pięćdziesiąt lat temu.

Mel rozwiązała rogi chusty i zaczęła wrzucać kartki do wody. Były to składane przed bramą Domu prośby ludzi zbyt biednych, by kupić sobie pomoc *soutzene*. Istniała szansa, że spalona w pokoju wróżb prośba dotrze do uszu Djevry, a ten zlituje się nad nieszczęśnikiem. Był to bardzo stary zwyczaj.

Gdy tylko pierwsza kartka znalazła się w wodzie, płomień ożył. Z ognia strzeliły purpurowe macki, sięgnęły po rozmokły papier i w jednej chwili zamieniły go w popiół. Przez chwilę Mel bawiła się, wrzucając prośby jak najdalej od płomienia i z ciekawością obserwując, jak smugi magicznego ognia pędzą pod powierzchnią czarnej wody, by dopaść tonącą karteczkę.

Ghiyām przyglądał jej się w milczeniu, z pogardliwym uśmiechem na aroganckiej twarzy.

Przed kolacją Melisandra natknęła się na list adresowany do Yanhsevite'a. Rozpieczętowana koperta leżała na stole w jadalni. Dziewczyna zastanawiała się chwilę, dłonią przecierając spocony kark. Włosy, które ścięła wiosną, sięgały już ramion i mocno dokuczały w czasie upałów. Powinnam kupić sobie spinkę, pomyślała przelotnie.

Po chwili wahania wzięła list do ręki. Przywołała K'iryam i poleciła jej uważać, czy ktoś nie nadchodzi.

Nadawcą był niejaki Aleixandre Lial z Instytutu Badań Magicznych.

Drogi Przyjacielu,

pisał,

raz jeszcze zmuszony byłem zaciągnąć u Ciebie dług wdzięczności. Mam nadzieję, że wsparcie, jakiego nam udzielasz, służąc swą wiedzą i doświadczeniem, nie narazi Cię na kłopoty. Byłbym niepokieszony, gdyby tak się stało. Gdyby nie Ty i Twoja nieoceniona pomoc, badania nasze potrwałyby znacznie dłużej. Wiem, że mogę liczyć na Twoją dyskrecję...

– *Ktoś idzie* – szepnęła K'iryam. – *Słyszę kroki.*

Melisandra czym prędzej włożyła list do koperty. Ale była to tylko Lena, która przyszła nakryć do stołu. Mel obserwowała ją chwilę, zastanawiając się, dlaczego Aleixandre Lial nie napisał wyraźnie, o jaką pomoc chodzi. Taghya czytał tylko listy adresowane do uczniów, niczym więc nie ryzykowali.

Młoda służąca sprawnie rozkładała talerze.

– Jak ci się tu pracuje? – zagadnęła Mel.

– Nieźle tu człowieka traktują – przyznała dziewczyna. – Roboty nie ma znów tak wiele i dobrze płacą. Ale...

– Tak?

– Wypisali mi całą kartkę, czego mam nie robić, gdzie nie wchodzić, czego nie tykać. Tyle że ja...

– Nie umiesz czytać?

– Umie – odparła Lena lekko urażonym tonem. – Ale tylko jak jest napisane drukowanymi literami.

Mel przepisała dla Leny instrukcje, używając drukowanych liter i upraszczając nieco zdania, bo całość wydawała się napisana przez kogoś, kto koniecznie chciał się pochwalić znajomością wszystkich trybów warunkowych języka okcytańskiego. Ten dobry uczynek miał dla niej całkiem miłe skutki. Wieczorem, gdy miała już zamiar kłaść się spać, na tle nocnego nieba pojawił się zarys dziewczęcej głowy, a chwilę później na dach wyszła postać niosąca w ręce świecę.

– Przyniosłam coś panience – wysapała Lena, lekko zdyszana wspinaczką po schodach. – Za to, że panienka mi pomogła.

Puściła fartuszek i na kolana Melisandry posypały się smażone w miodzie jabłka i orzechy.

Ugryzła jabłko, drugie podając Lenie.

– Opowiedz mi o *soutzene*, którzy tu mieszkają – poprosiła. – Wiem, że jesteś tu od niedawna, ale i tak dłużej niż ja.

Lena zaczęła mówić, a Mel słuchała jednym uchem. Nie dowiedziała się niczego ciekawego – Lenę obchodziły przede wszystkim plotki, takie jak ta, że Dina i jej siostra często chodzą

do Ghiyāma na noc, a on daje im w zamian przeróżne błyskotki.

Światła w Domu pogasły, jedynym jasnym punktem była płonąca na dachu świeca, którą przyniosła Lena. Wtem Mel spostrzegła jakąś ciemną postać, która, zamiast zwyczajnie przejść przez dziedziniec, skradała się przy ścianie.

Uniosła się lekko, by lepiej widzieć. Postać dotarła do schodów i zaczęła wspinać się na górę, by zniknąć w jednym z pomieszczeń na czwartym piętrze. Chwilę później w oknie zapłonęło światło. Był to ten sam pokój, w którym już wczorajszego wieczoru Mel dostrzegła blask świecy.

– Spójrz tam – przerwała Lenie w połowie zdania. – Widzisz to?

Służąca przysunęła się bliżej krawędzi dachu. Skinęła głową. Przez chwilę obie wpatrywały się w prostokąt, z którego wylewało się żółte światło. W oknie co jakiś czas pojawiał się i znikał cień człowieka, a rytm, w jakim się poruszał, umocnił w Melisandrze pewne podejrzenie, które przyszło jej do głowy wczorajszego wieczoru.

– To wygląda tak, jakby... – zaczęła i zamilkła, bo myśl była, bądź co bądź, dość absurdalna.

Lena nie miała takich oporów.

– Tak, panienko – powiedziała z prostotą. – To wygląda tak, jakby tam, w środku, ktoś tańczył.

Merenmūt obudził krzyk.

A może więcej niż krzyk – pełen przerażenia wrzask człowieka, który stanął oko w oko ze śmiercią. Taghya umarł pierwszy. Obcasy ciężkich butów wdeptały jego jasne włosy w zimowe błoto. Ciemność rozświetlały płonące pochodnie. W ich blasku lśniły złe, okrutne oczy ludzi, którzy zdecydowali się coś uczynić i nie mają zamiaru ustąpić. Twarzy mężczyzn nie było widać, wszyscy nosili maski.

Drugi krzyk, tym razem znacznie cieńszy. To krzyczała Tzirhe, dziewczynka, której Merenmūt czasem zaplatała jasne, długie włosy, opowiadając przy tym baśnie i legendy sprzed tysięcy

lat.

Jeden z mężczyzn dopadł dziecko i przewrócił je na ziemię. Tzirhe wciąż krzyczała, a kiedy prześladowca kopnął ją w żebra, krzyk przeszedł w ciche zawodzenie.

– Puść ją – powiedział jego towarzysz. Gdy mówił, z jego ust unosiła się para. – Nie będziemy zabijać dzieci.

Inni nie mieli tyle szczęścia. Yanhsevite został ugodzony nożem, a Lauletzāy ktoś strzelił w brzuch. W obu wypadkach rany nie były śmiertelne. Zmarli z upływu krwi i wyziębienia, leżąc na mokrej ziemi i patrząc, jak napastnicy próbują podpalić Dom Snów. Grube, kamienne ściany nie chciały zająć się ogniem. Ludzie w maskach kopnięciami wyważyli drzwi i wywlekli na zewnątrz drewniane sprzęty. Na dziedzińcu Domu zapłonął ogień. W jego świetle Merenmūt ujrziała Ekhne-tai i jakiegoś mężczyznę, wysokiego i ciemnowłosego. Nie nosił maski, ale stara *soutzhau* i tak nie potrafiła go rozpoznać. Nigdy wcześniej nie widziała jego twarzy.

I ogień, i krew. A także śmierć.

Tym razem Merenmūt przebudziła się naprawdę. Usiadła na łóżku, drżąc na całym ciele. Spróbowała się podnieść, ale ciemność wokół niej zawirowała i kobieta z powrotem opadła na łóżko.

Przywołała swojego *ush'māya*, obiecując sobie, że to już ostatni raz. Gdy tylko poczuła jego siłę, wstała i chyżo jak dwudziestolatka pomknęła w stronę pokoju wróżb. Nie zwróciła uwagi ani na światło płonące w oknie na czwartym piętrze, ani na postać skradającą się cicho w stronę rozświetlonego pokoju.

W pokoju wróżb padła na ziemię, przyciskając czoło do zimnych kamieni. Płomień zareagował na jej obecność. Zmniejszył się, rozlał, pokrywając powierzchnię wody niczym rudy, gruby na dwa cale kozuch. A potem ogień przelał się przez cembrowinę basenu, jak fala przyływu przetaczając się przez dary – lalkę z gałganków, paczkę listów miłosnych związanych wypłowiałą czerwoną wstążką, mały kompas i inne przedmioty. Żadnemu z nich nie uczynił krzywdy. Ognista fala dotarła do leżącej kobiety i musnęła czubki jej palców.

– Panie – wyszeptała Merenmūt – widziałam we śnie straszne rzeczy. Co mamy robić? Czy powinniśmy jakoś się... przygotować?

– Nie trzeba – usłyszała kojąco, ciepły głos – nie dopuszczę do tego, by coś takiego się wydarzyło. Możesz spać spokojnie. Nie dojdzie do zagłady Domu Snów.

Staruszka nie podniosła się. Ulga, jaką poczuła po początkowym szoku, i osłabienie, gdy *ush'māy* wycofał się z jej umysłu, sprawiły, że zemdlała.

Dokąd ona tak biegnie, pomyślała Melisandra. Nie miała jednak czasu się nad tym zastanawiać. Ostrożnie zbliżyła się do okna i spróbowała przez nie zajrzeć. W środku rytmicznie poruszała się jakaś postać.

Nik'haleu.

Dziewczyna pchnęła drzwi i cicho wsunęła się do środka.

Chłopak wirował w tańcu. Mel niewiele widziała w życiu piękniejszych rzeczy. Ruchy Nik'haleu były wyćwiczone do perfekcji, miękkie i gibkie. Bose stopy uderzały o podłogę, oczy miał na wpół przymknięte, zatopiony w tańcu i muzyce, której nikt prócz niego nie słyszał. Nawet nie zauważył wchodzącej dziewczyny, aż do chwili, gdy odbił się i wykonał idealne salto, lądując tuż przed nosem Mel.

– Ślicznie – pochwaliła. – Nie miałam pojęcia, że tak potrafisz.

Ironia nie dotarła do niego wcale. Na twarzy miał maskę *taghe-rasāt*, nie prawdziwą, rzecz jasna, ale nieudolnie narysowaną przy pomocy kredy i węgla. Była to uśmiechnięta maska Słonecznego Boga, który dzień po dniu wędruje po sklepieniu niebieskim pomiędzy swoją matką Ziemią a ojcem Niebem. Pot zdążył już wyłobić w kredzie i węglu wąskie rowki i chłopak wyglądał teraz dość żałośnie.

– Nie zrobiłem niczego złego! – powiedział pospiesznie, patrząc na nią ze strachem.

– Dlaczego więc się tłumaczysz?

– Nie powiesz nikomu?

– Jeśli będę miała dobry humor.

Żartobliwy ton Mel bynajmniej go nie uspokoił. Dziewczyna zlitowała się.

– Nie powiem, nie martw się. A teraz chodź się umyć, wyglądasz okropnie.

W łaźni zapaliła jedną tylko lampę i patrzyła, jak chłopak zmywa z twarzy prymitywny makijaż. I oto, pomyślała z humorem na widok ludzkiej twarzy wynurzającej się spod boskiej maski, znów mamy do czynienia z cudem. Bóg na powrót staje się człowiekiem.

Któregoś wieczoru Mel zauważyła w pokoju Nik'haleu ołowianą figurkę, nie większą niż ludzka dłoń. Mimo staranności wykonania dziewczyna wiedziała, że nie jest to ani ozdoba, ani zabawka.

– Skąd to masz? – spytała.

– Znalazłem – beztrósko odparł Nik'haleu. – Cały Dom to jedna wielka graciarnia. Można tu znaleźć przeróżne rzeczy.

– Wiesz, co to jest, prawda?

– Oczywiście. To *beshmīn*. Służy do przechwytywania wspomnień zmarłych. Ale dla mnie to tylko ozdoba. Nie potrafiłbym tego użyć.

Zamilkł i spochmurniał. Mel nie wiedziała, czy dlatego, że przypomniała mu o jego nikłych zdolnościach magicznych, czy też może z używaniem *beshmīna* związana była jakaś tajemnica.

Mając w pamięci Flaviana Delmaya, tym razem postanowiła być mądrzejsza. Nie naciskała i zmieniała temat.

Czasem, siedząc przy wspólnym stole, patrzyła w twarze *soutzene* i zastanawiała się, czy ktoś z nich potrafiłby z zimną krwią zamordować człowieka. Śmierć pułkownika Delmaya wydawała się teraz dziwnie mało realna i rozważania nad tym, kto mógł go zabić, przypominały dziecięcą wyliczankę.

Który z nich? – myślała.

Yanhsewite, który od czasu do czasu miewał tak do niego niepasujące przebłyski bystrości i który, mimo całej swojej

gburowatości, dla dzieci potrafił być bardzo miły? Yanhsevite lubił zabijać zwierzęta i Melisandrze wydawał się najbardziej prawdopodobnym kandydatem.

Taghya? Tego eleganckiego i wymuskanego mężczyzny za nic nie mogła wyobrazić sobie w roli zabójcy. Jego bronią były słowa, nie strzelba czy pistolet.

Ghiyāma widziałyby w roli mordercy jeszcze chętniej niż Yanhsevite'a, wyłącznie dlatego – zdawała sobie z tego sprawę – że go nie lubiła, i to bez żadnego poważniejszego powodu. Po prostu irytowała ją jego arogancja. Niby niewiele mówił, ale w gruncie rzeczy uwielbiał być w centrum uwagi i nic nie sprawiało mu większej przyjemności jak chwila, gdy ktoś z szacunkiem wysłuchiwał jego oszczędnych uwag.

A Lauletzāy? Lauletzāy jako uzdrowicielka powinna być osobą łagodną i pełną współczucia i możliwe, że jeszcze dziesięć lat temu faktycznie taka była. Ale czas stępił jej wrażliwość. Zbyt długo stykała się z cierpieniem i we współczuciu, jakie okazywała chorym, było teraz coś mechanicznego, czasem niemal równie okrutnego jak szorstkie słowa. Czy mogłaby zabić? Pewnie tak – każdy, u licha, sprowokowany odpowiednimi okolicznościami, potrafiłby to zrobić.

Takie rozważania nie miały wiele sensu. Czasem bawiły Melisandrę, a czasem, gdy zdawała sobie sprawę, że to nie gra, przerażały.

Bywały chwile, gdy miała wrażenie, że *soutzene* ukrywają przed nią jakąś tajemnicę. Zdarzało się, że gdy wchodziła do którejś ze świetlic, milkły rozmowy, a kilka par błękitnych oczu odprowadzało ją w skupieniu do drzwi. Mogła to być jednak zwyczajna reakcja na kogoś, kogo niezbyt się lubi.

Wkrótce doszła do wniosku, że Joaquim de Sevrin po prostu się pomylił. Nikt z Domu Snów nie miał nic wspólnego z zabójstwem pułkownika Delmaya. Listy, które wysyłała na adres Benedita Justy'ego, były coraz krótsze, a dziewczyna zajęła się innymi sprawami.

Co najgorszego w życiu zrobiłaś? – spytał kiedyś żartobliwie Marcelin. Mel nie odpowiedziała mu wtedy, spochmurniała tylko i zacisnęła usta.

Gdy miała czternaście lat, do Domu Ciemnego Księżyca przysła pewna kobieta. Wędrowała długo, prawie tydzień, niosąc na ręku chorego synka. Dziecko po drodze zmarło, a gdy kobieta dotarła na miejsce, ciało już zaczęło sztywnieć. Merenmūt poleciła Mel wziąć chłopca i zakopać. Wtedy matka jakimś właściwym dla szaleńców zmysłem wyczuła słabość Melisandry i z płaczem uczepliła się jej spódnicy, przekonując, że dziecko nie jest martwe, a jedynie śpi. Dziewczyna próbowała się wyrwać, ale kobieta trzymała mocno, a jej rozpacz i szaleństwo przelewały się w Mel jak woda w pustą szklanę. I wtedy Mel ją uderzyła. Najpierw jedynie po to, by tamta puściła brzeg jej spódnicy, potem biła już ze złości, za to, że przez tę szaloną kobietę musi tak cierpieć.

Wiedziała, że jeśli nie nauczy się oddzielać cudzych uczuć od swoich własnych, coś takiego wkrótce znów się wydarzy. Cierpienie, a nawet lęk przed nim, gdy zbliżała się do chorego, zawsze wywoływały w niej gniew. Właśnie dlatego każdego ranka zmuszała się, by dołączyć do Lauletzāy i pomagać jej pielęgnować chorych. Jak na razie nie przynosiło to skutku i Mel nadal nie potrafiła na zawołanie zamknąć się przed cudzym bólem.

Po południu natomiast zajmowała się czymś znacznie przyjemniejszym i bardziej interesującym – studiowała księgi. Pomijając te, które Merenmūt przywiozła z Domu Ciemnego Księżyca, znajdowało się tu siedemnaście woluminów. Zaklęcia zapisano w języku tak archaicznym, że niewiele można było zrozumieć, a do tego jeszcze pełno w nich było błędów, bo gdy jeden kopista pomylił się przy przepisywaniu, każdy kolejny powtarzał jego błąd. Całość przypominała szyfr, łamigłówkę znacznie trudniejszą niż te, które Melisandra tak chętnie rozwiązywała jako dziecko.

Dziewczyny to nie zrażało. Lubiła zagadki, często zdawało jej się, że ma do czynienia nie z martwymi księgami, ale z żywym przeciwnikiem, którego trzeba pokonać, siłą wydzierając mu

tajemnicę.

Właśnie tak o tym myślała. Mel nie marzyła o tym, by po prostu odczytać neahelickie zaklęcia. Ona pragnęła przemocą, za wszelką cenę, wyrwać księgom ich sekrety.

Życie w czasie tych upalnych, letnich tygodni płynęło leniwie, monotonię codziennych zajęć przerwały dwa wydarzenia, które mocno zapadły Melisandrze w pamięć.

Pierwsze z nich związane było z psem. Za każdym razem, gdy Lauletzāy kładła jedną rękę na czole chorego, a drugą na psim pysku, Mel odwracała głowę. Rozsądek mówił jej, że lepiej, by ginął pies niż człowiek, wołała jednak na to nie patrzeć. Potem przychodził Yanhsevite i dobijał zwierzę długim, ostrym nożem. Ten pies okazał się jednak stworzeniem wyjątkowo upartym. Chciał żyć, wyrwał się więc na wolność i popędził w stronę stajni. Tam dopadła go choroba, która niedawno trapiła człowieka. Załamały się pod nim tylne łapy, drobił przez chwilę przednimi, kręcąc się niczym dziecinnie karuzela. Andrea dostrzegł swoją szansę. Rzucił kamieniem, trafił, a zwierzę nie uciekło. To ucieszyło chłopaka. Psy, w które dotąd ciskał kamieniami, zawsze uciekały. Rzucił drugim, trzecim nie zdążył, bo niespodziewanie Mel przewróciła go na ziemię i zaczęła okładać pięściami.

– Czy ty wiesz, co robisz?! – wrzeszczała. – On cierpi, kretynie, cierpi tak samo jak ty! To żywe stworzenie! Zrozum to!

Przestała, gdy zabrakło jej sił. Yanhsevite wytarł czerwony od krwi nóż i odprowadził dziewczynę do Domu Snów.

Drugie wydarzenie miało miejsce półtora tygodnia później. Koło północy Mel już miała pożegnać się z Nik'haleu, z którym spędzała niemal każdy wieczór, przyglądając się, jak młody *soutzhan* ćwiczy taniec.

Zatrzymała chłopaka gestem dłoni.

– Czy nie czujesz, że ostatnio coś się... zmieniło? – spytała niepewnie.

Zmarszczył brwi.

– Masz na myśli wyczuwanie czegoś dzięki magii?

Skinęła głową. Nik'haleu uśmiechnął się smutno.

– Ekhne-tai, moje możliwości magiczne są tak nikłe, że nie wyczułbym, nawet gdyby ta olbrzymia fala, która kiedyś pochłonęła nasz kontynent, znów zbliżała się do brzegu. – W jego głosie nie było zazdrości. Od tak dawna pozostawał w tyle za innymi uczniami, że już nawet nie próbował się do nich przyrównywać.

Nik'haleu powędrował do siebie, a Mel wspięła się na dach. Ku swojemu zdumieniu zastała tam Lenę. Dziewczyna wyglądała na przerażoną. Rozpuszczone włosy miała mokre, spływająca z nich woda moczyła białą koszulę. Ręka, w której trzymała lampę naftową, wyraźnie drżała.

– Jak dobrze, że panienka jest! – wykrzyknęła. – Niech panienka pójdzie ze mną. Myślę, że dzieje się coś złego.

– Ten chłopiec, nie pamiętam jego imienia... – mówiła chaotycznie, zbiegając po schodach. – Leży bez ruchu, a wokół niego, na ziemi, wyrysowany jest krąg. W tym, co panienka dla mnie napisała, było, żeby takich kręgów nie tykać...

Lena potknęła się i zachwiała. Zdołała utrzymać równowagę, ale lampa wypadła jej z rąk. Rozległ się dźwięk tłuczonego szkła. Melisandra, pamiętając o swoich bosych stopach, przeskoczyła dwa ostatnie stopnie.

Przeszły przez bramę i znalazły się na zewnątrz Domu. Minęły łaźnię, weszły pomiędzy ruiny. Lena podprowadziła Mel do szerokiej płyty, niegdyś będącej częścią tarasu, który osunął się w dół. Płyta zatrzymała się, wsparta o resztki murów, mniej więcej na wysokości piersi dorosłego człowieka. W świetle księżycy i gwiazd Mel dostrzegła szczupłą figurkę chłopca. Yeu leżał zwinięty w kłębek, przyciskając dłonie do oczu. Jęczał cicho. Jego ciało otaczał wyrysowany kredą krąg, biel magicznych znaków odcinała się od mroku. Mel zrozumiała, co chłopiec chciał zrobić i dlaczego musiał w tym celu wyjść poza granice Domu Snów. Budynek obłożony był silnymi zaklęciami, które chroniły przed demonami, a właśnie taką istotę Yeu chciał przywołać.

– Wracalam z lazni, kiedy go uslyszalam... – szepnela za jej plecami mloda sluzaca. – Nie wiedzialam, co robic, wiec...

Lena wrzasnela. Mel odwrócila sie i ujrzala trupioblada twarz dziewczyny wykrzywiona juz nie strachem, ale panika. Powiodla wzrokiem za jej spojrzeniem i zobaczyla, ze wokol ich nog klebi sie cos, co do zludzenia przypomina spietrzona fale uciekajacych szcurow. Ale te stworzenia byly wieksze i znacznie mniej materialne. Zdawaly sie skladac z cieplego, nocnego wiatru, kurzu i suchych zdzbel trawy. Ich slepka wygladaly jak strzelajace z ogniska iskry. Gdy dotykaly nagiej skory lydek, wrazenie nie bylo nieprzyjemne. Przypominalo to raczej stanie w silnym przeciągu.

– Cco to... – wyjakala Lena.

Mel potrzasnela ja za ramie.

– Nic ci nie zrobię. Biegnij po Laulezāy. Juz!

Potem znalazla oparcie dla stop i wskoczyla na plyte. Stworzenia dotarly juz do magicznego kręgu i zatrzymaly sie gwałtownie. Czekaly. Mel wiedziala, na co. Prawa nogawka spodni chłopca wydawala sie ciemniejsza, jakby mokra. Dziewczyna widziala krew sciekajaca po lekko nachylonej plycie, czarna struzke pelznaca powoli w strone wymalowanych kreda znakow. Lada chwila krew zmyje kredę, krąg zostanie przerwany, a czajace sie w ciemności stworzenia zawładną pozbawionym duszy ciałem.

Plyta zachwiala sie lekko, gdy Mel wstala. Struga krwi poplynela szybciej. Dziewczyna zaklela i weszla w krąg. W srodku bylo malo miejsca, musiala podniec bezwladne ciało Yeu i ulozyc go sobie miedzy kolanami. Rozgrzana goraczka glowa opadla jej na ramie. Pochylila sie i reką wytarla lepka, gestniejaca krew, zbierajac ja razem z kurzem i drobnymi kamykami. Wsrod czekajacych stworzen rozeszla sie fala rozczarowania, zupełnie jakby ktos wzburzyl wode, wrzucajac do niej kamien. Mel nie bez trudu zdjela chłopcu koszule. Przedarla ja i jedna polowa obwiazala rane na udzie Yeu, a druga polozyla obok, majac nadzieje, ze jesli nawet prowizoryczny opatrunek nie powstrzyma krwawienia, to przynajmniej krew bedzie wsiakac w material.

Yeu szarpnął się i mocniej przycisnął dłonie do oczu. Wyciągnęła rękę i poczuła, że spomiędzy palców chłopca płynie krew. Ona sama też czuła się coraz gorzej. Powinna się spieszyć.

Gdy Lauletzāy jako pierwsza pojawiła się przy kręgu, zatrzymała się niepewnie. Za nią przybiegł Yanhsevite. Uzdrowicielka podeszła bliżej, ale Yanhsevite położył jej rękę na ramieniu.

– Zostaw – powiedział. – Poradzi sobie.

Najpierw leciała w dół, w mrok, czując w żołądku nieprzyjemny ucisk. Potem ciemność skończyła się, a ona opadła na łękę, miękko i spokojnie, jakby spadając nie nabierała pędu. Trawa była tu intensywnie zielona, a niebo miało przedziwną złotą barwę, może słońce pękło i rozlało się po firmamencie? I wisiało nisko, zdecydowanie zbyt nisko. Cała łąka wirowała w przestworzach, na wysokości, od jakiej miękły kolana. Gwałtowne podmuchy wiatru szarpały trawę i jasne włosy skulonego na ziemi chłopca. Wokół nieruchomej postaci krążyła ciemna, skrzydlata sylwetka. Stwór co chwila opadał na ziemię i ostrym dziobem sięgał pomiędzy ściśnięte palce Yeu, próbując dostać się do jego oczu. Z gardła obcej istoty wydobywał się gniewny syk.

Mel krzyknęła ostrzegawczo. Demon odwrócił się i poderwał do góry. Zawisł tuż nad twarzą dziewczyny. Bardziej przypominał nietoperza niż ptaka. Jego skrzydła rozpięte były na delikatnych, z pozoru bardzo kruchych kosteczkach, których zarysy przebijały przez pokrywającą je ciemnobłękitną i purpurową błonę, tak cienką, że światło przenikało przez nią jak przez witraż.

Melisandra po raz pierwszy od wielu miesięcy miała okazję przywołać Hā–imbrę. Przybrała jego postać. Czerwonooki kruk wzniósł się w powietrze. Demon dołączył do niego, sięgnął pazurami i dziobem do ptasiej szyi. Rozdarł ją, ale w tej samej chwili rana zasklepiła się i na powrót pokryła piórami. Zaczęli spadać, szepieni ze sobą. Lecieli w dół, w jasnobłękitną, rozświetloną otchłań, mijając po drodze

wirujące w przestrzeni strzępy świata: lasy, doliny, góry, miasta i wioski.

Demon był silny i uparty. Jego pazury orały głęboko ptasie ciało, wyrrywając płaty mięsa, ale rany niemal natychmiast wypełniały się tkanką. Kości, ścięgna, mięśnie, skóra – przez głowę Mel przelatowały obrazy. I raz jeszcze, od początku. Kości, mięśnie... Struktura jej nowego, ptasiego ciała. Miała ją przez cały czas przed oczyma, wyraźną, jakby patrzyła na ciało prawdziwego stworzenia, odarte ze skóry i rozpostarte przed nią. Chwila nieuwagi, zapatrzenie się na jeden z tych fascynujących obrazów wirujących wokół, mogła kosztować życie.

Demon, rozgniewany niepowodzeniem, popełnił błąd.

Odsłonił szyję. Na to tylko czekała Mel. Ptasie szpony wbiły się głęboko w miękką szyję, rozdarły skórę i zaczęły ciągnąć brzegi rany w dwie strony, rozszerzając ją i nie pozwalając się zasklepić.

Demon jeszcze się nie bał. W jego krzyku wciąż brzmiało więcej złości niż strachu. Gdy rana miała już szerokość dłoni, zaczął wrzeszczeć z przerażenia. Nadal spadali, przez rozdarcie w gardle demona Mel widziała jakieś miasto, w którym wszystkie budynki były bardzo wysokie, identycznie prostokątne i równo rozstawione, jakby powstały w tym samym czasie, zaprojektowane przez jednego architekta.

Pociągnęła silniej. Głowa demona oderwała się od tułowia i poszybowała w dal. Puściła ciało, które zbladło, przybierając kolor nieba, i rozplynęło się w powietrzu.

Wylądowała na łące, która pojawiła się pod jej stopami, zmieniła postać i podeszła do Yeu.

– Wracamy do domu – powiedziała.

Melisandra zsunęła się z płyty, odtrącając przy tym rękę Yanhsevite'a. Mężczyzna podniósł nieprzytomnego chłopca i położył na ziemi. Lauletzāy pochylila się nad nim. Obok stał Taghya, przyświecając jej trzymaną w ręce lampą.

Mel chwyciła w garść włosy, a drugą ręką przetarła spocony kark. Po raz kolejny pomyślała, że powinna się postarać o jakąś

spinkę.

– Powinien zostać ukarany – powiedział Yanhsevite, patrząc na chłopca, a w jego oczach pojawił się okrutny błysk, jak w momencie, gdy dobijał chorego psa. – Nie zapytał nas o zgodę.

– Zostanie – odparł Taghya.

– Miejcie odrobinę litości – odezwał się Ghiyām, podchodząc do pozostałych.

Soutzene spojrzeli na niego, z uwagą oczekując na dalsze słowa. Fakt, że Ghiyām cieszył się sporym poważaniem, Mel kładła na karb jego małomówności – kogoś, kto odzywa się tak rzadko, ludzie zawsze słuchają uważnie. A ponadto Ghiyām, w przeciwieństwie do równie milkliwego Yanhsevite’a, zawsze mówił rozsądnie.

– To nasz najlepszy uczeń. Powinniśmy o niego dbać, zwłaszcza teraz, gdy...

Zamilkł. Na ustach Taghyi pojawił się leciuteńki grymas, jakby ktoś ukłuł go szpilką. Mel nie zwróciła na to uwagi, gdyby nie patrzyła na jego jasno oświetloną twarz. To skrzywienie warg sprawiło, że dziewczyna w jednej chwili pojęła, co wydarzyło się ostatnio w Domu Snów. Myśl łatwo wsunęła jej się do głowy jak coś, czego nie mogła sobie przypomnieć, a co miała na końcu języka. I zrozumiała też, że wszyscy już o tym wiedzą. Wszyscy prócz dzieci. Dzieciom nie mówi się takich rzeczy.

Taghya spojrział na nią. Nie mów tego na głos, powiedziały jego oczy. Ty wiesz i my wiemy, ale czy potrafimy coś zmienić? Lepiej niech wszystko pozostanie tak, jak jest.

Yeu został ukarany za samowolną próbę podporządkowania sobie demona. Gdy tylko wydobrzeł, Taghya podszedł do niego podczas śniadania, nim jeszcze chłopiec zdążył podnieść do ust kubek wody. Stał za nim, kładąc mu ręce na ramionach.

– Wiesz, co zrobiłeś, prawda? – spytał cicho. – Sprzeciwiłeś się woli tych, którym winien jesteś posłuszeństwo. Wiesz, że muszę cię za to ukarać? – Yeu skinął głową. Taghya pogłaskał go. – Wiedz, że wymierzana tobie kara mnie boli równie mocno. Nie można jednak tego uniknąć. Będziesz miał czas, by

zastanowić się nad swoim postępowaniem.

Od fałszywego ciepła w jego głosie Melisandrze zrobiło się niedobrze. Patrzyła, jak chłopak podnosi się i wychodzi na dziedziniec. Miał stać tam do wieczora, bez ruchu, w palącym słońcu i bez kropli wody.

Po południu Mel poczekała na moment, kiedy dziedziniec opustoszał, i podeszła do chłopca.

– Masz, napij się – powiedziała, pokazując mu kubek z wodą.
– Nikt nie zobaczy.

Yeu odwrócił głowę. Wargi miał spękane, na policzkach widniały szare smugi, bo łzy – gdy jeszcze był w stanie płakać – rozcierał brudnymi rękami.

– Też kiedyś tak musiałam stać – mówiła Mel. – Wiem, że to nic przyjemnego. Pij. Nie powiem nikomu.

– Odejdź – odparł chrapliwym głosem. – Muszę myśleć o mojej winie. Przeszkadzasz mi. Odejdź, bo zawołam czcigodnego Taghyę.

– Jesteś głupi, mówił ci to już ktoś? – Yeu nadal uparcie odwracał głowę. – A do diabła z tobą – Mel zaklęła po okcytańsku. – Stój tu sobie, aż zemdlejesz.

Cisnęła kubek na ziemię. Chłodna woda ochlapała stopy chłopca, który odskoczył, jakby nawet taki kontakt z wilgocią był złamaniem zasad kary.

Sevrin cicho zamknął drzwi.

Dòna Angeleta podniosła oczy znad książki, którą trzymała na kolanach. Mężczyzna przeszedł do okna i przez chwilę patrzył na panującą na zewnątrz ciemność. Dòna Angeleta śledziła jego postać, czujna i napięta. Czuł na karku jej wzrok. Zawsze gdy wchodził do pokoju, jego żona przerywała wykonywaną aktualnie czynność i po prostu czekała, podkreślając spojrzeniem, że to, czym się akurat zajmuje, nie ma znaczenia, że w każdej chwili gotowa jest służyć mężowi pomocą. Irytowało go to niepomierne.

Podszedł i pocałował ją w policzek.

– Nie zapytasz, czy zostanę na noc w domu? – Spytał lekko

kpiącym tonem, który przybierał zawsze, gdy zwracał się do dony Angelety.

Po dziesięciu latach małżeństwa ze zdumieniem stwierdzał, że nie potrafi już normalnie rozmawiać z żoną.

– Czy zostajesz na noc w domu? – zapytała posłusznie.

– Nie, kochanie. Obawiam się, że nie zostanę.

Sevrin z rozkoszą zanurzył się gwarze Gouttenegre. Najstarsza, portowa dzielnica Quinson późno kładła się spać. O pierwszej w nocy panował tu tłok, a żółte światło wylewało się z otwartych aż do wschodu słońca lokali na pełne dziur ulice.

Nie wszyscy, których Sevrin mijał, byli mieszkańcami Gouttenegre. Rozpoznawał wokół twarze osób bogatych i wysoko urodzonych, które przyszły tu w poszukiwaniu wrażeń. Niektóre kobiety włożyły skromne suknie w nadziei, że nie zostaną rozpoznane, albo po prostu po to, by ustrzec się przed wszędobylskimi złodziejami. Inne ryzykowały, dumnie obnosząc bogate stroje i błyszczące klejnoty.

Była to dzielnica biedoty. Obok solidnych kamienic stały tu drewniane, kryte strzechą chaty, jakby żywcem przeniesione ze wsi, a wielu mieszkańców zarabiało na życie, żebrząc, kradnąc bądź sprzedając własne ciało. Ale i tu można było znaleźć parę niespodzianek. Sevrin wiedział, że niektóre z tych odrapanych kamienic z zasłoniętymi oknami, które samym wyglądem zdawały się mówić: „Odejdź, nie ma tu nic ciekawego”, kryją w swym wnętrzu bogate apartamenty, dostępne jedynie wtajemniczonym. Były to ekskluzywne burdele, których pracownice spełniały każde kaprysy klientów, salony gry, palarnie opium, a w końcu i gabinety czarodziei, którzy za odpowiednią opłatą potrafili wrócić młodość starzejącemu się ciału, zapewnić miłość pożądanej osoby, a także usunąć z tego świata uciążliwych krewnych. Rzecz jasna, ich działalność nie była do końca legalna.

Jeśli ktoś miał zatarg z prawem, to Gouttenegre było najlepszym miejscem, by się ukryć. Policyjne obławy utrudniał nietypowy układ krętych uliczek, tłok, a także fakt, że wszyscy

stali mieszkańcy znali się i gotowi byli ostrzegać się nawzajem. Ale w Gouttenegre żyli nie tylko nędzarze i przestępcy. Dzielnica przyciągała też cudzoziemców. Każdej wiosny ze statków schodzili ludzie spragnieni wiedzy tajemnej czy rozwiązania problemów przy pomocy czarów. Na naiwnych czekali już naganiacze, kierujący ich do zaprzyjaźnionych magów. Turyści mieli szczęście, jeśli odpływali jesienią, skołowani i z pustą sakiewką. Pozostali dołączali do swych rodaków, tworząc w Gouttenegre małe enklawy ludzi posługujących się dziwnymi językami i pielęgnujących osobliwe zwyczaje. Jeszcze inni, uzależnieni od magii czy opium, nieuchronnie staczali się w dół albo kończyli jako opętani przez demony szaleńcy.

Zbliżał się świt i ulice opustoszały, kiedy Sevrin wyszedł z tawerny, trzeciej z kolei. Nie był pijany, nie przyszedł tu, by się upić, zresztą nadmiar alkoholu niósł w tej dzielnicy niebezpieczeństwo obudzenia się na bruku bez pieniędzy i ubrania albo, co było jeszcze gorsze, w łóżku jakiejś taniej dziwki. A Sevrin miał dość rozsądku, by nie brać sobie kobiety z ulicy.

Dotarł aż do Letniego Miasteczka. Mieszkańcy Gouttenegre nazywali tak plac, na którym w cieplejszej porze roku wyrastał las prymitywnych szałasów i namiotów, sporządzonych z desek i płacht brudnego płótna. Gnieździło się tu kilkudziesięciu ludzi. Byli to najbiedniejsi z biednych. Sevrin pamiętał, jak bardzo w dzieciństwie gardził tymi ludźmi. On sam wówczas uważał się za kogoś stojącego co najmniej o klasę wyżej – miał dach nad głową i choć zdarzało się, że w chude dni jadali z babką różne świństwa, to nigdy nie chodził głodny.

W szarówce świtu widział Miasteczko jak na dłoni, nawet śpiących ludzi, bo rzadko który szałas czy namiot miał więcej niż trzy ściany. Ostrożnie przeszedł przez plac. Jedyłą żywą istotą zdawał się być wychudły kundel, który szarpał zatłuszczony kawałek papieru. Jego gardłowe powarkiwania zwały się z pierwszym grzmotem nadchodzącej burzy. Sevrin zauważył cienki, pełen dziur koc, pod którym leżał zwinięty jakiś kształt. Mogło to być dziecko, ale i duży pies. Wyjął pięć

eccu i wsunął je pod koc. Miał przy tym nadzieję, że dał je dziecku, nie psu. Inny kundel, dotąd leżący nieruchomo, otworzył ślepią i warknął, dając znak, że czuwa. Sevrin wycofał się, rozkładając ręce, by pokazać, że nie ma złych zamiarów.

Błysnęło i po niebie przetoczył się grzmot. Mężczyzna dostrzegł oświetlony prostokąt drzwi i skierował się w tamtą stronę. „Pod kotwicą i marynarskim węzłem”, przeczytał. Wszedł, tłumacząc sam sobie, że robi to, by skryć się przed burzą.

W środku było pusto. Tylko przy jednym ze stołów siedziało czterech mężczyzn. Jeden z nich na szerokiej twarzy nosił okrągłe okulary, drugi miał rzadką rudą brodę i marynarski tatuaż na nadgarstku. Trzeciemu od nadmiaru słońca schodziła skóra i jego twarz pokrywał skomplikowany wzór z różowych i ciemnoczerwonych plam. Czwarty był drobniejszy niż jego towarzysze, miał oliwkową cerę i wielkie, tęskne, czarne oczy.

Na stole przed nimi stały kufle, od dawna już puste. Karczmarz od czasu do czasu popatrywał na nich z niechęcią, ale najwyraźniej próba skłonienia gości, by sobie poszli, wydała mu się zbyt niebezpieczna, bo milczał.

Gdy Sevrin wszedł, mężczyźni ożywił się, ich szara, zmęczona skóra nabrała lekkich rumieńców, w podpuchniętych oczach pojawił się niebezpieczny błysk.

Na zewnątrz znów zagrzmiało. Sevrin usiadł i zamówił piwo.

Nie da się oszukać krwi, mawiała pewna kobieta, która lubiła wpadać do babki Sevrina na wieczorne plotki. Nie rozumiał wtedy, o co jej chodzi. Potem pojął, że człowiek zawsze, nieważne, jak bardzo z biegiem czasu się zmieni, tęskni do rzeczy, które znał, będąc dzieckiem. Ludzie tacy jak Sevrin mogą czuć się swobodnie w nowym środowisku, ale od czasu do czasu w ich sercu odzywa się tęsknota. Ludzie tacy jak Sevrin przedkładają sycące, proste potrawy nad egzotyczne dania i solidne mordobicie nad wyrafinowaną szermierkę. Wolą także zwykłe kobiety od delikatnych arystokratek. Przynajmniej takie wołał Sevrin. Jedyńą dobrze urodzoną kobietą, którą miał w łóżku, była jego żona, a i ona spodobała mu się dlatego, że była wysoka i silna, a w czasach, gdy się

poznali, lubiła chodzić boso.

Jeden z mężczyzn, ten w okularach, podniósł się. Był wysoki i barczysty. Sevrin przyglądał mu się, doskonale wiedząc, co się teraz stanie. Obaj musieli wyglądać niezwykle podobnie – lekki rumieniec, błyszczące podnieceniem oczy.

Okularnik podszedł i niby to z szacunkiem dotknął kołnierzyka koszuli Sevrina.

– Patrzcie – powiedział – jakie śliczne ubranko. Co taki człowiek jak ty robi w takim miejscu, co? Uciekaj, bo jeszcze ktoś zrobi ci krzywdę.

Miał dobry akcent i mówił w miarę poprawnie, ale nawet z taką wymową i okularami na nosie za nic nie wyglądał na intelektualistę.

Pochylił się. W jego oddechu czuć było alkohol, a oczy lśniły jak u szaleńca.

– Pokazać ci – zachrypiał – jak łatwo można zrobić krzywdę takiemu jak ty?

Cofnął się odrobinę, chcąc z rozmachem wykopać krzesło spod Sevrina. Nie zdążył. Sevrin zerwał się na równe nogi, krzesło poleciało w tył. Zanim okularnik zorientował się, co się dzieje, na jego nos spadła pięść, łamiąc go z chrzęstem. Wrzasnął i odruchowo podniósł ręce do twarzy, tylko po to, by zaraz je opuścić i złapać się za splot słoneczny, w który trafił drugi cios. Zgiął się wpół, gubiąc okulary, jęcząc i krwawiąc z nosa. Jakaś siła obróciła go o dziewięćdziesiąt stopni, złapała za włosy i głowa okularnika ruszyła na spotkanie stołu. W ostatniej chwili Sevrin wyhamował uderzenie, nie chcąc rozbić mu czaszki. Ale i tak, gdy połamany nos zetknął się z powierzchnią stołu, mężczyzna zaskowyczał z bólu. Sevrin wciskał twarz okularnika w poplamione piwem deski, patrząc, jak ten wije się konwulsyjnie, a jego rozcapierzone palce drapią stół, daremnie próbując czegoś się złapać.

Puścił go. Okularnik odetchnął, z jego gardła wydobył się słaby jęk i mężczyzna osunął się bezwładnie na ziemię.

I w tej sekundzie Sevrin pojął, że popełnił błąd, sądząc, że czterej mężczyźni to tylko przypadkowi towarzysze.

Pierwszy ruszył na niego ten drobny i śniady. Sevrin uchylił

się i chwycił go za nadgarstek. W tym momencie zaatakowali pozostali dwaj. Sevrin szarpnął, łamiąc śniademu staw łokciowy, i odwrócił się. Uderzenie w szczękę sprawiło, że zadzwoniło mu w uszach, a jego głowa poleciała w tył.

Mężczyźni przyparli go do stołu, który wstrząsany ciosami, przejechał z pół łokcia po podłodze, zanim zatrzymał się przy ścianie. Sevrin oparł się mocniej i kopnął rudego pod kolano. Rudy pochylił się, a wtedy następny kopniak trafił go w twarz. Ostatni z mężczyzn też popełnił błąd. Znalazł się zbyt blisko i Sevrin złamał drugi tego wieczoru nos, tym razem czołem.

– Przestańcie! – wrzasnął ktoś. – Natychmiast przestańcie!

Słowa poparte zostały ogłuszającym hukiem. Sevrin poczuł, jak coś przelatuje mu tuż koło ucha. Zamarł, świadom, co to znaczy.

Stał przed nimi zdesperowany karczmarsz. Pistolet w jego rękę podrygiwał jak spławik.

– Ty. – Czarna lufa zatoczyła małe kółko i zatrzymała się, celując w pierś Sevrina. – Wynocha. Już.

– Mam połamane żebra – oznajmił wezwany niewyraźnie z powodu bólu w szczękę.

Chyba miał. Każdy oddech sprawiał mu nieznośny ból.

– Gównu mnie to obchodzi. Wynoś się, bo zawołam policję.

Powlókł się do wyjścia. W drzwiach zatrzymał się i odwrócił. Karczmarsz nabrał w płuca powietrza. Sevrin spróbował się uśmiechnąć.

– Urodziłem się tu, człowieku – powiedział. – Naprawdę... sądzisz, że jak wrządziesz „policja”, to... ktoś przyjdzie?

Na zewnątrz zaczęło padać.

Felise nie wstała, gdy usłyszała pierwsze pomruki zbliżającej się burzy. Dopiero gdy zaczęło na dobre padać, podniosła się, klnąc w żywy kamień małą Lisetę, której obowiązkiem było w takich sytuacjach pozamykać okna i zajrzeć do pokoju dziecinnego.

Dzieci na szczęście spały słodko jak aniołki. Felise pogładziła po czole sześciolletnią Mari, ulubienicę ojca, bardzo do niego

podobną. Dziewuszka nawet spała jak Benedit: na plecach, z rozrzuconymi rękoma. Potem okryła kołdrą starszego o dwa lata synka, który zawsze wiercił się we śnie.

Gdy wracała do sypialni, usłyszała pukanie do drzwi, przebijające przez plusk deszczu. Po chwili wahania otworzyła, nie zdejmując łańcucha.

Coś zważyło się na drzwi. Felise wrzasnęła. W szarym świetle poranka ujrzała twarz Sevrina, wolno sunącą w dół.

Pospiesznie zdjęła łańcuch i złapała mężczyznę, zanim wylądował na ziemi. Wyglądał strasznie, jego twarz była sina i spuchnięta, a koszulę miał sztywną od krwi.

– Benedit! – wrzasnęła. – Liseta! Niech mi ktoś pomoże!

Pierwszy zjawił się Justy.

– Co się stało? – spytał zdumiony.

– A skąd niby mam wiedzieć? – sarknęła Felise. – Pomóż!

Razem przenieśli Sevrina na kanapę. Mężczyzna spróbował coś powiedzieć, ale z jego ust zamiast słów połał się strumień krwi. Justy oprzytomniał, krzyknął na Lisetę, która ciekawie wyglądała zza jego ramienia.

– Leć po lekarza! Już!

– Nie – zaprotestował zaskakująco wyraźnie Sevrin. – Tylko trochę... opatrzeć. Żadnych lekarzy. Wiem, gdzie musisz mnie zawieźć...

– W jaki sposób umarłeś? – spytała Melisandra. – Oczywiście – zastrzegła pospiesznie – nie musisz mówić, jeśli nie chcesz.

Nik'haleu przestał wodzić palcem po kamiennym murze, przekręcił się na bok i, wygodnie rozciągnięty na posłaniu, spojrzął na Mel. Dziewczyna siedziała na pomarańczowoczerwonym dywaniku z koziej skóry. Kolana podciągnęła pod brodę, rękoma objęła łydki. Przez otwarte okno wpadało duszne, nocne powietrze. Będzie padać, pomyślała. Jak nic zbiera się na burzę.

– Zachorowałem, kiedy miałem sześć lat – wyszeptał Nik'haleu. – Nikt nie potrafił mi pomóc. Ostatnie dwa miesiące spędziłem, leżąc w łóżku. Gdy Djevra wrócił mi życie, przez

jedną cudowną chwilę myślałem, że znów będę mógł tańczyć. Ale potem przyszli po mnie *soutzene* i wszystko się skończyło.

– Cóż, ja utonęłam – powiedziała Mel. – Czasami, kiedy dostrzegam kawałek przyszłości, zwłaszcza jeśli wiąże się to z jakimś niebezpieczeństwem, widzę to tak, jakbym patrzyła oczami kogoś leżącego na dnie morza. Wszystko ma kolor błękitny i zielony, kolor morskiej wody prześwietlonej słońcem.

– Ja przyszłość widuję bardzo rzadko. – Głos młodego mężczyzny wyprany był z emocji.

Nie wiedziała, co na to odpowiedzieć. Przyglądała się Nik'haleu. Jaki on piękny, pomyślała. Nigdy wcześniej nie przyszło jej do głowy, że można użyć tego przymiotnika, opisując męską urodę. Mężczyźni bywali przystojni albo interesujący. Piękna mogła być kobieta, dziecko, kwiat czy coś stworzonego ludzkimi rękoma: rzeźba, może obraz, dzieła sztuki. I może dlatego Mel patrzyła na Nik'haleu jedynie z chłodnym podziwem. W urodzie chłopaka nie było nic ludzkiego, nic ciepłego.

Wyciągnęła rękę i pogłaskała jego policzek. Jak się spodziewała, był chłodny i gładki. Zanim zdążyła cofnąć rękę, chłopak złapał ją za nadgarstek i przyciągnął do siebie. Położyła się obok niego. Była skrępowana i spięta, kiedy zaczął jej dotykać. Mimo to zdecydowana była zostać – przynajmniej tej nocy nie chciała być sama.

Kiedy zabrał się za rozpinanie haftek, usiadła na posłaniu i ściągnęła suknię przez głowę, w sposób – była o tym przekonana – absolutnie pozbawiony wdzięku i nieco nerwowy. Była zadowolona, że w pokoju panuje półmrok. Przy Nik'haleu wydawała się sobie brzydka, śniadoskóra, o szczupłej, dziecinnej sylwetce.

Ale jemu zdawało się to nie przeszkadzać. Pieścił ją ze znajomością kobiecego ciała, świadczącej, że był znacznie lepszym kochankiem niż magiem. Mel przymknęła oczy i spróbowała się odprężyć. Nie potrafiła jednak wykrzesać z siebie ani iskierki pożądania. Czuła jedynie przejmujący smutek.

W południe Sevrin siedział na dziedzińcu Domu Snów. Wyglądał i czuł się znacznie lepiej niż parę godzin temu. Służący przywiózł mu nowe ubranie, które zastąpiło tamto podarte i zakrwawione, a orzechowe wino, zmieszane z ziołami, przytępiło ból. Podniósł dłoń i dotknął posiniaczonej, opuchniętej twarzy. Zostanie mu pewnie kilka blizn, a z prawej strony, tam gdzie stracił parę zębów, policzek był lekko zapadnięty, ale i tak musiał przyznać, że uzdrowicielka o imieniu Lauletzāy bardzo zręcznie poskładała go do kupy.

Melisandraomal nie minęła go, gdy szła szybkim krokiem przez dziedziniec. Zawołał za nią.

Zbliżyła się ostrożnie, ze zmarszczonymi brwiami, rozglądając się dokoła, jakby chciała zapewnić sobie drogę ucieczki. Miała na sobie białą, ozdobioną koronką suknię. Wyglądała w niej znacznie bardziej na okcytańską damę niż w jakimkolwiek z tych jaskrawych strojów, w których widywał ją w Quinson.

– Miałem wypadek – powiedział, uprzedzając pytanie dziewczyny.

Uśmiechnęła się.

– A ja już posądzalam pana o coś znacznie gorszego.

– Myślałaś pani, że zrobiłem to specjalnie, by dostać się do Domu Snów?

Skinęła głową. Spróbował się roześmiać, ale sprawiło mu to ból. Mel cofnęła się pospiesznie. Zanotował sobie w pamięci, by spytać ją o powód takiego zachowania.

– Nic podobnego. Chociaż skoro już tu jestem, to nie widzę powodu, by nie skorzystać z okazji. Czy mogłabyś pani przedstawić mnie temu chłopcu, który tak bardzo lubi tańczyć i ma takie okcytańskie imię? Nicolau, prawda?

Melisandra nie zwróciła uwagi na dwie pary oczu, które obserwowały ją przez okno.

– Wiesz – powiedziała Merenmūt – kiedy Ekhne-tai pojawiła się w Domu Ciemnego Księżyca, gardziłam nią tak jak wszyscy.

Dziewczyna wydawała się wręcz stworzona, by nią gardzić. Ale potem pomyślałam sobie, że to nie może być tak proste, że kryje się w niej coś więcej, a jej charakter ma jedynie odwrócić naszą uwagę, zasłonić nam prawdę. Jak myślisz, jaka jest prawda? Dlaczego Djevra wybrał akurat ją?

Prawdę mówiąc, Taghya sądził, że przywrócenie życia Ekhnetai to jedna z niewielu boskich pomyłek. Ale nie spieszył się z odpowiedzią. Merenmūt była jedyną *soutzhau*, z której zdaniem naprawdę się liczył.

– To cudzoziemka – odparł ostrożnie, ważąc każde słowo. – Arogancka i pełna buty jak oni wszyscy. Chce spoglądać tylko w przyszłość, a nie wie, że przyszłość wyrasta z terażniejszości, a terażniejszość z przeszłości i że najważniejsza jest ta ostatnia. Nie ma w niej pokory ani szacunku. Należy do nich, do cudzoziemców, którzy pojawili się na naszej wyspie jak wiatr i jak wiatr odejdą. A my przetrwamy, bo mamy za sobą siłę tradycji, wiedzę pokoleń przodków. I choć wszystko wokół nas umiera, a nasi bogowie odchodzą, to przecież śmierć nie jest kresem istnienia. Jeśli pozostaniemy wierni w naszych sercach, bogowie narodzą się powtórnie, a my znów zaczniemy się mnożyć i odzyskamy wszystko, co niegdyś do nas należało. Nie, czcigodna, nie gardzę nią. Lituję się nad nią.

Po południu Sevrin z niejakim trudem pokonał schody wiodące na dach Domu Snów. Na górze czekali już Nik’haleu i Melisandra. Chłopak nie wyglądał na zadowolonego ze spotkania, a kiedy ujrzał posiniaczoną i pokrytą świeżymi szramami twarz Sevrina, jego niechęć jeszcze przybrała na sile.

Ale Sevrin nie zamierzał się poddawać. Przede wszystkim zaczął mówić po neahelicku, i to źle – a przynajmniej znacznie gorzej, niż można by się spodziewać po kimś, kogo wychowała neahelicka babka. Miał zabawny akcent, parę razy zaciął się i Nik’haleu musiał podsunąć mu właściwe słowo. Wkrótce nieufność chłopaka zamieniła się w podszyte rozbawieniem poczucie wyższości, a jeszcze później w zainteresowanie. Rozmawiali o *taghe-rasāt*. Sevrin odzywał się coraz rzadziej, pozwalając, by mówił Nik’haleu. Mel zauważyła, że Sevrin nie ma wielkiego pojęcia o *taghe-rasāt*, ale chłopak najwyraźniej

nie zdawał sobie z tego sprawy. Był coraz bardziej ożywiony i odprężony, a początkowa niechęć znikła bez śladu. Z zapalem rozprawiał o stopniu trudności poszczególnych figur tanecznych, o tym, jakich instrumentów najlepiej używać, by muzyka stanowiła jedynie tło, a nie zagłuszała mówionego tekstu, i oczywiście o aktorach. Mieli przy tym z Sevrinem zadziwiająco zbieżne upodobania. Obaj uważali, że Nakhti to największy talent pośród aktorów odtwarzających postać Słonecznego Boga, obaj też woleli, wbrew gustom większości, pierwszą, ponurą i tragiczną część, opowiadającą o śmierci Boga, od drugiej, radosnej, mówiącej o zmartwychwstaniu.

Mel nie żałowała Nik'haleu, choć wyraźnie widziała, że chłopak jest pod coraz większym urokiem Sevrina. Znała Nik'haleu od wielu dni, odkryła jego sekret, a niedawno pozwoliła, by pieścił jej nagie ciało. A mimo to wciąż nie potrafiła odpowiedzieć na proste pytanie, czy lubi tego chłopaka, czy też nie. Podziwiała jego urodę, czasem budził w niej instynkt opiekuńczy, jak dziecko albo bezradne szczenię. A czasem zwyczajnie irytował ją swoją biernością, bezradnością, przyzwoleniem, by inni decydowali o jego życiu.

Dlatego, gdy kilka dni później Sevrin dołączył do siedzącej na dachu Melisandry, dziewczyna nie odezwała się ani słowem w obronie Nik'haleu.

– Wspaniałe, prawda? – powiedział Sevrin, wskazując dłonią panoramę zrujnowanego miasta.

Wzruszyła ramionami.

– A więc i pan uległ tej głupiej modzie, głoszącej, że wszystkie starocie automatycznie muszą być piękne? Odkąd Vigil Calà napisał *Księżycową noc*, co roku do Miasta Snów przybywają setki turystów, którzy zachwycają się ruinami, jakby to był najcudowniejszy widok na świecie.

Skinął głową.

– A przy okazji niszczą je, dłutami odłupując kawałki fresków i mozaik. Nie mówię już nawet o tych, którzy Miasto traktują jak coś w rodzaju kamieniołomu.

– Rozbieranie zniszczonych budynków to konieczność. W przeciwnym wypadku mielibyśmy miasto, w którym więcej jest

malowniczych ruin niż domów, w których można mieszkać! – parsknęła Mel.

Sevrin przyglądał się jej z lekkim uśmiechem. Siedziała z kolanami podciągniętymi pod brodę, nie dbając o to, że odsłania kostki i kawałek łydki. Niebieska, dawniej elegancka suknia była mocno już znoszona, spłowiła od słońca i w kilku miejscach naddarta, a gęste czarne włosy wymknęły się ze wstążki, którą próbowano je związać, i rozsypały się na ramionach. Uświadomił sobie, że specyficzny, arogancki urok tej dziewczyny tkwi właśnie w tym, że Mel nie stara się nikomu podobać, że nie ma w niej ani krzty kokieterii.

– Widzę, że jesteś pani zdecydowaną przeciwniczką zabytków – powiedział.

– Niekoniecznie. – Złagodniała, przypominając sobie rzeczy, które widziała w magazynie Domu Snów. – Niektóre są całkiem ładne.

– Tutaj nie chodzi o piękno.

– Więc o co?

Zastanowił się. Z jakiegoś powodu wydawało się ważne, by panna d’Aleume pojęła, o co mu chodzi.

– Te mury liczą sobie pięć tysięcy lat, może nawet więcej. Pomyśl pani, jaki ogrom czasu dzieli nas od chwili, gdy zbudowano to miasto. Stało tutaj, gdy my byliśmy jeszcze barbarzyńcami odzianymi w skóry. Pomyśl, jak świat zmienił się przez te lata, pomyśl o wszystkich ludzkich pokoleniach, które żyły i umierały, podczas gdy mury te trwały nieporuszone. To... to uczy pokory, rozumiesz pani? Są piękne niezależnie od tego, czy stworzył je zdolny architekt, czy nie, gdyż zawierają w sobie część przeszłości. Powinniśmy je więc podziwiać, bo tylko w ten sposób możemy poznać przeszłość i zrozumieć ją.

Spodziewał się sarkastycznej odpowiedzi, ale Melisandra milczała. Przypomniały jej się księgi, które z takim uporem próbowała rozszyfrować. Być może to jest to, pomyślała. Może powinnam po prostu zacząć je podziwiać, a zrozumieć w końcu zapisane w nich zaklęcia.

Myśl ta niezwykle ją ubawiła. Roześmiała się. Sevrin

przyglądał się jej, mrużąc oczy w ochronie przed południowym słońcem, ale nie zapytał o przyczyny tej wesołości.

– Cóż – powiedziała po chwili – ja jednak od przeszłości wolę przyszłość. Na kontynencie mają kolej żelazną, oświetlenie gazowe w każdym mieście i telegraf, a my? Technika to wspaniała rzecz. Pan płynął parowcem, prawda?

– Owszem.

– Spotkało was coś ciekawego?

– Na przykład?

– No, nie wiem. – Mel zawahała się. Zdawała sobie sprawę, że jej wyobrażenie o dalekomorskich wyprawach jest dość dziecinne, oparte na książkach przygodowych, które chętnie czytywała. – Napad piratów – zaryzykowała w końcu. – Albo morskiego potwora, kryjącego się w głębinach. Albo przynajmniej groźny sztorm, z falami wyższymi niż drzewa, przelewającymi się przez pokład.

Przez chwilę sądziła, że Sevrin wybuchnie śmiechem.

– Gratuluję wyobraźni, *dòno Melisandro*, ale rozczaruję panią. Piratów, a tym bardziej morskich potworów prawie już się nie spotyka, a sztorm, owszem, był, ale czy groźny? Wszyscy cierpieliśmy na morską chorobę, jeśli chcesz pani uznać to za coś interesującego...

– A później? W wojsku? Nie, wygaduję bzdury, zabijanie nie może być przygodą. Tylko głupcy, tacy jak hrabia de Fontmartis, mogą tak myśleć.

– Hrabia nie jest głupcem – zaprotestował Sevrin. – To człowiek nieszczęśliwy. Biedaczek, powinien być urodzić się kilka stuleci wcześniej. Czułby się jak ryba w wodzie, nawracając mieczem pogan.

– A pan jesteś jego przyjacielem. Bliskim?

– Dlaczego to panią interesuje, *dòno Melisandro*?

– Ponieważ zastanawiam się, czy stanąłbyś pan po jego stronie, gdyby doszło do sprawy rozwodowej.

Z ust Sevrina znikł uśmiech. Mężczyzna zmarszczył brwi, w jednej chwili zmieniając się w chłodnego i oficjalnego prawnika.

– Moim obowiązkiem jest dbanie o interesy hrabiego –

odparł. – Radzę jednak pani wybić sobie z głowy podobne pomysły. Hrabiemu coś takiego nawet nie przyjdzie na myśl. A kobieta w naszym kraju może uzyskać rozwód tylko w wyjątkowych wypadkach.

– Hrabia de Fontmartis nie ma żadnych grzechów na sumieniu? – spytała. – Nigdy nie miał kochanki? Nigdy nie upił się i nie znalazł się nad ranem w łóżku jakiejś ulicznicy?

Sevrin żachnął się wyraźnie. Mel obserwowała go z rozbawieniem.

– Pójdę już – powiedział, wstając. – Ta rozmowa coraz mniej mi się podoba.

– Proszę zaczekać. W ramach rekompensaty za moje niegodne damy zachowanie chcę panu coś pokazać. Coś, czego nie powinienś pan w ogóle oglądać.

– To kryształ?

Skinęła głową.

– Ale jak... w jaki sposób...?

– Podobno przed tysiącami lat istnieli rzeźbiarze, którzy potrafili robić takie cuda.

Sevrin przyglądał się zafascynowany kryształowej masce krążącej wokół płomienia. Potem zbliżył się i ostrożnie wyciągnął dłoń. Ciepły od ognia kryształ przesunął się pod jego palcami. Płomień zapalił iskry w przezroczystych oczach i na moment spoczął na nim zamyślony wzrok boga.

– To mechanizm – pospieszyła z wyjaśnieniem Melisandra. – Nasz, okcytański. Ale ogień to już dzieło magii.

– Też waszej?

– Proszę? – Nie zrozumiała.

– Czasem mówisz pani o Okcytanach „my”, a o Neahelitach „oni”. A czasem odwrotnie.

Mel promieniała dumą co najmniej tak, jakby pokój wróżb był jej dziełem. Spodziewała się, że kryształowa maska zrobi na Sevrinie wielkie wrażenie, i nie zawiodła się.

Pomyślała o tajemnicy, która od dawna kusila, by ją wyjawić. Parę dni temu mało nie wygadała się przed kuzynem, który

pojawiał się w Domu raz na tydzień, by przywieźć jej pocztę. Ale Marcelin był plotkarzem, a Sevrin wyglądał na rozsądnego człowieka, który umie dotrzymać sekretu. Podeszła i mimo iż wokół nie było nikogo, kto mógłby ją usłyszeć, wyszeptała mu do ucha dwa słowa.

Spojrzał na nią zaskoczony.

– Jesteś pani tego pewna?

– O tak. – Oczy błyszczały jej gorączkowo. – Wszyscy już o tym wiedzą. Ale zachowujemy się tak, jakby nic się nie stało. To taki nasz mały... sekret.

Dłonią próbowała stłumić chichot. Sevrin uświadomił sobie, że ta rozsądna, chłodno myśląca dziewczyna jest teraz na granicy hysterii. Ujął ją za ramiona i potrząsnął łagodnie.

– Proszę się uspokoić – powiedział surowo. – To nie czas ani miejsce na takie zachowanie.

– Ale to jest takie... zabawne. – Ostatnie słowo wypowiedziała tak, jakby smakowała jego znaczenie. – Udajemy, że wszystko jest jak dawniej, kiedy... kiedy...

Mimo wszystko udało jej się stłumić śmiech. Kiedy wymknęli się z pokoju wróżb, twarz już miała opanowaną i poważną.

Dwa dni później przyjechał Marcelin. Prócz listów przywiózł Melisandrze coś, czego dziewczyna się nie spodziewała: zaproszenie na bal do baronowej de Queyras.

– Przyjdź – kusił ją. – Będą wszyscy, którzy zostali na lato w Quinson. Zastanów się, nie zaczyna ci się tu nudzić?

Owszem, Mel zaczynało się nudzić. Bal mógłby być miłym urozmaicheniem. Tyle tylko, że nie miała balowej ani nawet wizytowej sukni. Stroje, które nosiła w Domu, były już zniszczone i nie nadawały się, nawet gdyby chciała wystąpić na balu w charakterze dzikuski.

Możliwe jednak, pomyślała, że jest sposób, by ominąć tę niedogodność.

Ostatniego dnia pobytu w Domu Sevrin ujrzał nad brzegiem morza Merenmüt. Staruszka siedziała na krześle, wyprostowana i sztywna niczym kamienny posąg z Miasta Snów. Morski wiatr bawił się delikatnie zwojami lekkiego, kolorowego jedwabiu, które owijały jej postać.

Sevrin już miał się wycofać, bo kobieta, mimo niewygodnej pozycji, wyglądała na pogrążoną we śnie, gdy nieruchomy dotąd posąg ożył i gestem nakazał mu się zbliżyć.

– Chciałabym zamienić z tobą parę słów, młody człowieku – zabrzmiał spod pomarańczowego zawoju starczy głos. – Wybacz. Nie mówię dobrze twoim językiem. Długo mieszkałam na północy.

– Nie szkodzi – odparł Sevrin. – Ja mówię twoim językiem, czcigodna.

Staruszka przyglądała się Sevrinowi. Ciemne włosy, jasne oczy, do tego wąskie usta i wyraźnie odznaczające się kości policzkowe – dwie cechy, po których łatwo można rozpoznać neahelicką krew.

Poznała go już pierwszego dnia, gdy przybył tu pobity i w podartym ubraniu. Człowiek, który pojawił się w jej śnie. Wtedy, gdy ujrzała zagładę Domu Snów. Znów poczuła dreszcz niepokoju. Z wysiłkiem usunęła ten obraz z głowy. Czyż bóg nie obiecał, że zapewni im bezpieczeństwo?

– Gdybym nie była tak stara – powiedziała wolno – mogłabym zacząć się zastanawiać.

– Nad czym, czcigodna?

– Na przykład nad tym, dlaczego teraz mówisz moim językiem doskonale, choć wcześniej słyszałam, jak kaleczysz neahelicki i masz dziwny akcent. Nie martw się jednak – powiedziała, zanim zdążył otworzyć usta. – Nie zamierzam marnować reszty życia na rozwiązywanie takich zagadek. Nie obchodzi mnie też, skąd znasz Ekhne–tai.

– Nie ma w tym nic zagadkowego – zaprotestował. – Panna d’Aleume, którą ty nazywasz Ekhne–tai, pochodzi z Quinson. Ja także. Oczywiście jest więc, że ją znam. Przy okazji: dlaczego nazwaliście ją w ten sposób? Ekhne–tai. Przecież to nie imię.

Staruszka roześmiała się cicho.

– Ale to do niej pasuje, prawda? Kobieta–która–przyszła–z–daleka. Po waszemu: cudzoziemka. Nigdy zresztą nie skarżyła się na to imię.

– A gdyby się skarżyła, czy to by coś zmieniło?

Znów usłyszał jej śmiech.

– Nie, nie sądzę.

Milczała przez chwilę, a gdy się odezwała, ponownie udało jej się zaskoczyć Sevrina.

– Jak sądzisz, cudzoziemcze, dlaczego Djevra wybrał akurat tę dziewczynę?

– Dlaczego pytasz mnie o zdanie, czcigodna? – odpowiedział, gdy już udało mu się opanować zdziwienie. – To sprawy *soutzene*, nie Okcytańczyków.

– Może i tak. – W głosie kobiety pobrzmiwała lekka niechęć.

– Ale ty, młody człowieku, wyglądasz mi na kogoś, kto na każde pytanie ma stosowną odpowiedź. Nie sądzę, by twoja opinia na coś się przydała, ale mimo to chciałabym ją usłyszeć.

Sevrin zdecydował się na szczerość. Ostatecznie niczym nie ryzykował.

– Myślę – zaczął – że dla was wszystkich, mam na myśli *soutzene* czystej krwi, magia i wiedza tak naprawdę przestały się już liczyć. Dla każdego w Domu Snów bycie *soutzhanem* czy *soutzhau* coś znaczy. Czasem jest to duma z poczucia własnej wyjątkowości, innym razem zadowolenie z tego, że podtrzymujecie dawną tradycję i dzięki temu dajecie przykład, jak należy postępować. Jedyne dla Ekhne–tai magia jest po prostu magią, a wiedza – wiedzą. Kocha magię niezależnie od tego, czy ludzie ją za to nienawidzą, czy uwielbiają.

– Masz w sobie krew neahelicą, prawda? – spytała Merenmūt.

Przytaknęła. Staruszka odetchnęła.

– Tak właśnie myślałam.

– Nigdy nie próbowałaś, czcigodna, uzyskać odpowiedzi na swoje pytanie w najprostszy sposób? Dlaczego po prostu nie spytałaś boga?

– Pytałam. Wiesz, co odparł? – Merenmūt wypowiedziała parę szybkich słów. – Wygląda na to, że przynajmniej częściowo masz rację, młody człowieku.

– Co zamierzasz pan z nim zrobić? – spytała Mel ze śmiechem.

Nik’haleu, z całym swoim skromnym dobytkiem na kolanach, siedział w powozie Sevrina. Na jego młodzieńczej twarzy malowała się nadzieja.

– Znam pewnego dyrektora teatru – odparł Sevrin. – Myślę, że znajdzie dla niego jakieś zajęcie. Mam nadzieję, że nie ma żadnego przepisu mówiącego, że *soutzene* nie powinni brać udziału w okcytańskich przedstawieniach?

– O ile wiem, nie. I po co to panu? Chcesz pan po prostu zabawić się w mecenasa sztuki czy też liczysz na to, że chłopak zdradzi imię człowieka, który zabił pułkownika Delmaya?

– To drugie, rzecz jasna.

– Chłopak może przecież nic nie wiedzieć.

– Wówczas scena zyska jeszcze jednego świetnego tancerza i niezłego aktora. A ja stracę nieco czasu. Nie robi mi to różnicy, bo jak kiedyś pani mówiłem, ostatnio trochę się nudzę.

– A przypuścimy, że Nik’haleu nie zechce mówić? – spytała Mel przekornie.

– Myślę, że zechce. Tutaj, wśród *soutzene*, z pewnością niczego bym się od niego nie dowiedział. Ale zmiana środowiska potrafi czasem zdziałać cuda.

Pokręciła głową, nie bardzo wiedząc, czy powinna być bardziej oburzona, czy też rozbawiona metodami stosowanymi przez Joaquina de Sevrin.

W dzień przed balem u baronowej de Queyras wypadła środa. Środa była dniem, w którym Sevrin kochał się z żoną. Nie pamiętał już, w którym momencie ich wspólnego życia ustalił się ów zwyczaj, dziś równie niewzruszony jak domowe kolacje w niedzielę. Każdego środowego wieczoru dōna Angeleta zjawiała się w jego sypialni, ubrana w luźną, jedwabną nocną koszulę i z rozpuszczonymi włosami. Miłość fizyczna nie sprawiała jej przyjemności i nigdy nawet nie

udawała, że jest inaczej, ale te wspólne noce i jadane razem kolacje stanowiły dla doney Angelety coś w rodzaju potwierdzenia trwałości jej małżeństwa.

Donę Angeletę poznał w czasie wakacji, które spędzał w wiejskiej rezydencji uniwersyteckiego kolegi. Zaprosił ją pewnego dnia na zabawę taneczną, bardziej dla żartu niż licząc na jakikolwiek efekt. Zgodziła się jednak i następnego wieczoru wymknęła się przez okno sypialni. Całą drogę do gwarnej, zadymionej szopy, w której rzępoliły skrzypki, przebyli pieszo. Wracali również na piechotę i właśnie wtedy, gdy zmęczona dziewczyna zaproponowała odpoczynek na skraju pola pszenicy, Sevrin postanowił skorzystać z okazji.

Pocałował ją, a ponieważ biernie poddawała się pocałunkom, zabrał się za rozpinanie jej bluzki i podciąganie spódnicy. Gdyby wówczas powiedziała „nie”, gdyby zaprotestowała choć najłżejszym gestem, jednym krótkim słowem, zostawiłby ją w spokoju. Była arystokratką i nie odważyłby się potraktować jej tak, jak traktował wszystkie te proste dziewczęta, z którymi sypiał wcześniej. Ona jednak nie powiedziała „nie” i skończyło się tym, że we wrześnie lkała, siedząc na krześle w jego skromnym studenckim mieszkaniu. Była w drugim miesiącu ciąży.

Sevrin nie miał jeszcze dziewiętnastu lat i, szczerze mówiąc, był nielecho przerażony. Ale w ślad za strachem pojawiła się myśl: a właściwie dlaczego nie? Przecież to prawdziwy uśmiech losu. Dóna Angeleta pochodziła z bogatej, utytułowanej rodziny, a dla marzącego o karierze człowieka taka żona to skarb. Nie kochał jej, rzecz jasna, nie miał jednak wątpliwości, że ona kocha jego, bowiem w młodości wbito Sevrinowi do głowy, że dobrze urodzone panny rozkładają nogi przed mężczyzną tylko wtedy, gdy są w nim do szaleństwa zakochane. Z czasem przekonał się, że tamta chwila zapomnienia na polu pszenicy nie miała nic wspólnego z miłością. Możliwe, że dóna Angeleta chciała się po prostu w ten sposób za coś ukarać. Całe jej życie stanowiło jedno pasmo win, które zmazywała przy pomocy win jeszcze większych.

Dóna Angeleta nigdy nie sprzeciwiła się mężowi nawet

słowem, posłusznie robiła wszystko, o co ją poprosił, ale nie potrafił wykrzesać z niej ani odrobiny entuzjazmu. Wolałby otwarty sprzeciw, kłótnię, nawet awanturę, ale nie ten bierny opór męczennicy, który budził w nim jedynie agresję. Z czasem stało się dla niego jasne, że kobieta specjalnie szuka okazji, by dać dowody swojego posłuszeństwa. Bywały chwile, gdy Sevrin z cynizmem stwierdzał, że jego żona byłaby znacznie szczęśliwszą kobietą, gdyby on sam był znacznie gorszym mężem. Niestety, jego mężowskie grzechy były ledwo występkami i pokora dõny Angelety nie znajdowała pola do popisu.

Było jeszcze dziecko, córka, którą kazał ochrzcić Estevenetą Bermondą, w zadufaniu dwudziestolatka sądząc, że pompatyczne imiona zrekompensują dziewczynce fakt, że jej ojciec jest nieślubnym synem handlarki warzywami, a matka jej nie kocha. Mała Esteveneta nigdy nie miała okazji podziękować Sevrinowi za ten pomysł. Zmarła razem z wieloma innymi dziećmi, pochodzącymi z rodzin bogatych i biednych, bo śmierć nikogo nie wyróżniała tamtej strasznej zimy.

– Bóg nam ją dał i Bóg ją zabiera – powiedziała spokojnie dõna Angeleta, a Sevrin, który potrafił wybaczyć bardzo wiele, tego jednego zdania nigdy żonie nie zapomniał.

Sevrin oddał zaproszenie i wszedł po schodach, mijając szpaler lokajów – bez wątpienia wynajętych na ten właśnie wieczór, podobnie jak dodatkowe krzesła, przykrywający schody dywan, a nawet większość zastawy stołowej. Na podeście zapiął rękawiczki i zerknął w lustro dyskretnie ukryte pomiędzy krzewami ketmii, kwitnącymi w dużych donicach. Chwała Bogu, jego twarz wyglądała już prawie normalnie. Nie powinien zwracać na siebie uwagi.

Aby dotrzeć do sali balowej, należało przejść przez dwa salony – jeden utrzymany w tonacji bladobłękitnej ze srebrnymi akcentami, drugi bardziej „kobięcy”, złoty i różowy. Sevrin zatrzymał się w tym drugim, przez otwarte drzwi rzucając

spojrzenie na pary wirujące po parkiecie. Kobiety miały na sobie leciutkie suknie, a we włosach prawdziwe kwiaty. Za nimi przez ciągnące się od podłogi aż do sufitu okna dostrzegł kilkoro ludzi, spacerujących po oświetlonym tarasie.

Wśród gości bez trudu zauważył pannę d'Aleume. Miała powodzenie, co chwila ktoś prosił ją do tańca. Dopiero gdy umilkły ostatnie takty walca i dziewczyna przeszła do salonu, zobaczył, czym jest to, co wcześniej wziął za czerwoną suknię. *Lenhal*.

W salonie Melisandrę natychmiast otoczyła grupa mężczyzn i kobiet. Do uszu Sevrina dochodziły strzępy rozmowy. Jakaś starsza pani wspomniała coś o jedynym synu, również obdarzonym zdolnościami magicznymi, po czym zaproponowała, że pokaże dziewczynie jego portret. Wygrzebała spod zwalów otulającej jej biust koronki medalion i otworzyła go.

– Przystojny, prawda? – spytała.

– Przeciętny – odparła Mel bez cienia uprzejmości w głosie.

Dziewczyna odeszła i mała grupka rozpierzchła się na wszystkie strony. W salonie zostali tylko Sevrin i właścicielka wzgardzonego portretu. Była to pulchna kobieta o łagodnym wyrazie twarzy, z takich, które w każdym człowieku starają się dostrzec coś dobrego.

– Przynajmniej jest szczerą – powiedziała heroicznie, zamykając wieczko i wpuszczając medalionik pomiędzy półkule piersi. – Szczerłość to chrześcijańska cnota.

Sevrin dyplomatycznie skinął głową, choć świetnie wiedział, że szczerłość panny d'Aleume nie ma nic wspólnego z chrześcijańską, neahelicą czy w ogóle jakąkolwiek cnotą. Był to jedynie wyraz arogancji, tak jakby dziewczyna mówiła: „Nie zamierzam się dla was wysilać na uprzejmości i kłamstwa. Możecie mnie zaakceptować taką, jaką jestem, albo nie – mnie tam wszystko jedno”.

Przyszły mu na myśl słowa, którymi Djevra odpowiedział na pytanie Merenmūt: „Ponieważ potrafi kłamać i nie ma w niej dumy”. Przez chwilę obracał je w głowie, starając się dostrzec ich sens, ale nic nie przychodziło mu na myśl.

– To jedyna rzecz, której nie powinnaś pani robić – powiedział Sevrin, kierując się w stronę ogrodowej ławki.

Mel spojrzała na swój strój.

– Ach, to. – Starannie udała lekceważenie.

– Przecież to szata ceremonialna. *Soutzene* nie będą zadowoleni z tego, że potraktowałaś pani *lenhal* jak balową suknię.

Usiadła i wzruszyła ramionami.

– Oni nigdy nie są ze mnie zadowoleni. Proszę lepiej powiedzieć, jak miewa się pański młody podopieczny.

– Znakomicie, jest już prawie zupełnie oswojony. Uczę go niechęci do jego dawnego życia i byłych opiekunów, przyzwyczajam zaś do powodzenia, pochlebstw, do bycia w centrum uwagi. Wkrótce będzie gotów zrobić wszystko, by zachować to, co ma teraz, i nie musieć wracać do Domu Snów.

– To brzmi okrutnie.

– To jest okrutne. Nie sądzę jednak, bym musiał stosować tak drastyczne metody. Nik'haleu zdradzi mi imię zabójcy pułkownika z własnej woli. Nawet z radością, po prostu po to, by okazać mi wdzięczność. Chęć odwzajemnienia się człowiekowi, który okazał nam dobroć, może być potężną siłą, *dòno Melisandro*.

– Proszę, to dla ciebie, czcigodna. W podziękowanie za uratowanie mi życia.

Dziecięca dłoń podała Melisandrze spinkę do włosów. Dziewczyna wzięła ją i obróciła w palcach. Spinka była droga, z ciemnoczerwonej laki, ale kształt miała prosty, wcale nie wymyślny. Podobała się jej. Zastanowiła się, czy to był pomysł Yeu, czy też ktoś inny kazał mu tu przyjść i podziękować.

– Skąd to masz?

– Poprosiłem człowieka, który pływa łodzią, by przywiózł mi spinkę z Quinson. Sądziłem, że ci się spodoba.

– Jest ładna, dziękuję.

– Do końca życia będę ci wdzięczny, czcigodna.

– Niepotrzebnie. Nie chcę nakładać na ciebie takiego brzemienia.

Yeu spoglądał na nią poważnym, cierpliwym wzrokiem. Spełnił swój obowiązek, ale ciemnowłosa *soutzhau* zamiast wziąć jego dar i pozwolić mu odejść, zaczęła mówić dziwne rzeczy.

– Nie rozumiem twoich słów, czcigodna – odparł ostrożnie.

Westchnęła z irytacją.

– To samo zrobił Djevra. Przywrócił nam życie, choć o to nie prosiliśmy. Nie pozostawił nam wyboru. Jesteśmy mu wdzięczni, a jednocześnie czujemy się zniewoleni tą wdzięcznością, pragnąc zrobić coś, co wyrównałoby rachunek i uwolniłoby nas od bycia dłużnikiem. Teraz rozumiesz?

– Nie, czcigodna. Moja wdzięczność dla boga nigdy nie stała się brzemieniem. Niczego innego nie pragnę, jak tylko służyć mu z radością do końca moich dni.

Wyrecytował tę formułkę, nawet się nie zająknąwszy. Mel spojrzała w oczy chłopca. Ile on miał lat? Trzynastcie? Nagle nabrała ochoty, by wywlec tego dzieciaka przez bramę i zabrać do Quinson, gdzie mógłby robić to, co wszyscy trzynastoletni chłopcy – chodzić do szkoły i bawić się z rówieśnikami. A tutaj stroił poważne miny i udawał dorosłego. Mel nie wątpiła, że pomimo całej wdzięczności Yeu także gardzi ciemnowłosą *soutzhau* o nieczystej krwi.

Kiedy Dina przyszła i powiedziała Melisandrze, że Lauletzāy chce się z nią widzieć, dziewczyna wiedziała już, że czeka ją coś nieprzyjemnego.

Poszła za służącą do jednej ze świetlic, gdzie zastała Lauletzāy i Merenmūt. Staruszka siedziała na krześle, uzdrowicielka natomiast rozłożyła się na dywanie, podparta stosem kolorowych poduszek w pozycji, jaką często przybierał Yanhsevite, gdy prowadził lekcje.

– Nie żyjemy na odludziu, Ekhne–tai – zaczęła młodsza z kobiet. – Codziennie przyjeżdżają tu ludzie i przywożą ze sobą

plotki. Dziś rano usłyszałam jedną, która szczególnie mnie zainteresowała. Podobno na wczorajszej zabawie byłaś ubrana w *lenhal*. Jeśli to prawda, będę musiała porozmawiać o tobie z naszym przełożonym. Czcigodna Merenmūt przekonała mnie jednak, że najpierw powinienam zapytać ciebie.

Staruszka skinęła głową.

– Masz wiele wad, Ekhne–tai, ale wiem, że nie kłamiesz. Mogę liczyć na twoją szczerłość. Dlatego pytam cię uczciwie: czy to prawda?

Zirytowana Melisandra spojrzała jej wyzywająco w oczy.

– Oczywiście, że nie – odparła. – Za kogo mnie uważacie? Nie zrobiłabym czegoś takiego.

– Wierzę ci. – Merenmūt skinęła głową. – Możesz odejść.

Wieczorem Mel została ponownie wezwana, tym razem do gabinetu Taghyi. Szła spokojnie. Spodziewała się tego wezwania. Wiedziała przecież, że Taghya ma zwyczaj czytywać kronikę towarzyską, wiedziała też, że w dzisiejszej gazecie będzie sprawozdanie z balu u baronowej, zawierające między innymi szczegółowe opisy toalet gości.

Wyglądało na to, że w końcu dała *soutzene* doskonały pretekst do pozbycia się jej z Domu Snów.

Możliwości Joaquina de Sevrin nie były tak duże, by załatwić Nik'haleu angaż w jednym z dwóch najmodniejszych teatrów, w których zbierała się śmietanka towarzyska Quinson. Sevrin sądził jednak, że już znacznie skromniejszy sukces wystarczy, by oszłomić młodzieńca, który całe życie spędził, mieszkając pośród ruin.

W dzielnicy Vijon położony był pewien teatr, „Nou Camin”. W soboty i niedziele grano tam przyzwoite sztuki dla mieszczan, którzy po całym tygodniu ciężkiej pracy pragnęli odrobiny rozrywki. W tygodniu natomiast wystawiano albo popołudniówki dla dzieci i młodzieży, albo też śmielsze, wieczorowe przedstawienia przeznaczone głównie dla studentów pobliskiego uniwersytetu. Dyrektor „Nou Camin” bez problemów zgodził się zaangażować Nik'haleu. Chłopak

grał w sztukach dla młodszej widowni drugoplanowe role, które wymagały nie tyle kunsztu aktorskiego, ile szerokiego uśmiechu, melodyjnego głosu i giętkości stawów przy wykonywaniu fikołków. Radził sobie znakomicie i na dobrą sprawę Sevrin, raz pociągnąwszy za sznurki, mógł pozostawić sprawę własnemu biegowi. Szepnął słówko dyrektorowi teatru, potem zapłacił pewnemu dziennikarzowi, by ten zamieścił w lokalnej gazecie pochlebną recenzję o młodym aktorze. Zadbął też o to, by po pierwszym przedstawieniu do rąk Nik'haleu trafił piękny bukiet kwiatów od anonimowego ofiarodawcy. Dalej już wszystko potoczyło się gładko. Nik'haleu był ładnym chłopcem, a przede wszystkim był Neahelity, co samo w sobie stanowiło nie lada atrakcję. Wkrótce ilość listów, jakie otrzymywał od młodocianych wielbicielek, urosła do sporej kupki, a studenci, znudzeni spędzaniem w mieście latem, chętnie stawiali egzotycznemu aktorowi kolejne kufle piwa.

Nik'haleu, po raz pierwszy pozostawiony sam sobie, czuł się trochę jak dziecko – oczarowane, oszołomione i zagubione jednocześnie. Ratunkiem, jak zawsze, okazał się niezawodny Sevrin. To Sevrin znalazł mu pracę i pomógł wynająć mieszkanie. To Sevrin każdego wieczoru zabierał go na miasto, pokazując, gdzie można zjeść tanio i dobrze, a gdzie zabawić się bez obaw, że człowiek obudzi się rano na ulicy obdarty do gołej skóry. Udzielał przy tym chłopakowi subtelniejszych nauk. Uczył, komu dawać napiwki i w jakiej wysokości, by nie wyjść na skąpca ani na rozrutnego głupca, jakim tonem zwracać się do ludzi wyżej od niego postawionych, a jakim do stojących niżej w społecznej hierarchii. Pomagał też odpowiadać na liściki wielbicielek, bo skomplikowana sztuka flirtu była chłopakowi zupełnie obca. Wkrótce Sevrin stał się tak potrzebny Nik'haleu, jak woda potrzebna jest rybie.

Sevrin znał przeszłość młodego Neahelity. Części dowiedział się z listów Melisandry, część wyciągnął z samego chłopaka – Nik'haleu co prawda nie lubił mówić o życiu w Domu Snów, ale Sevrinowi wystarczyło parę urwanych w połowie słów i znaczących spojrzeń, by domyślić się prawdy. Nie potępiał *soutzene* wprost – zbyt obcesowo postawione zarzuty mogłyby

sprawić, że Nik'haleu poczuje obowiązek bronienia tych, wśród których się wychował. Sevrin wybrał metodę okrężną. Przypominał, niby to przypadkiem, jakiś fakt z przeszłości, zdarzenie, w którym młodzieniec został poniżony czy wyśmiany, i patrzył, jak twarz Neahelity zmienia się, targana grymasem bólu, po czym mówił, udając przy tym głębokie zdumienie: „Doprawdy, zawsze miałem dla *soutzene* wiele szacunku, nigdy bym nie przypuszczał, że mogą oni w ten sposób potraktować tak zdolnego młodego człowieka!“. Następnie karmił go komplementami, dopóki twarz Nik'haleu nie wypogodziła się. Posiane ziarno buntu w ciągu kilku dni wykiełkowało. Wtedy Sevrin zaczął pozwalać sobie na kpiny z *soutzene*, a chłopak z radością przyłączył się do tych złośliwostek, wyładowując nagromadzony przez lata żal.

– Wypijmy za mojego młodego przyjaciela, nadzieję okcytańskiego teatru!

Nik'haleu uśmiechnął się, starając się wyglądać skromnie. Melisandra odwróciła głowę, nie chcąc, by chłopak dostrzegł jej irytację. Nie wiedziała przy tym, czy złość skierowana jest przeciwko Sevrinowi, czy przeciw Nik'haleu – tak łatwowiernemu i głupiemu.

Siedzieli w gospodzie, do której Sevrin często zaglądał za studenckich czasów. Sala w połowie była pusta i bez trudu znaleźli stojący nieco na uboczu stół, gdzie mogli prowadzić rozmowę bez świadków.

Mel wstała i oddaliła się dyskretnie, a kiedy wróciła, Sevrin posłał jej ponad ramieniem Nik'haleu spojrzenie, oprawione kpina i triumfem i zadziwiająco jasne jak na kogoś, kto przez ostatnie pół godziny sprawiał wrażenie mocno podpitego. Oczami dał jej znak, by się pospieszyła. Coś w tym spojrzeniu, a także w pełnym napięcia układzie ramion Nik'haleu powiedziało jej, że dzieje się coś ważnego.

Gdy usiadła, Sevrin właśnie pochylał się w stronę chłopaka. Włożył przy tym łokieć w płamę rozlanego na stole wina, ale nawet tego nie zauważył.

– ...I widzisz, mówię do mojego przyjaciela: – kontynuował – założyłbym się o sto eccu, że ci neaheliccy czarownicy tylko udają łagodne baranki. Z pewnością jest w nich wiele złości i każdy z chęcią strzeliłby temu nieszczęsnemu człowiekowi w głowę. No bo pomyśl, czym właściwie taki czarownik ryzykuje! Dla każdego maga byłaby to nielicha pokusa – zabić i nie ponieść za to kary!

Spokojna, odprężona twarz Sevrina mówiła wyraźnie, że nie dzieje się nic niepokojącego – ot, zwykła pogawędka pary przyjaciół przy kieliszku wina. Napięcie w twarzy Nik’haleu zelżało. Roześmiał się, w śmiechu tym brzmiały jeszcze nerwowe nutki, ale i one szybko znikły, gdy chłopak wykonał ręką niecierpliwy gest, jakby odpędzając resztki wątpliwości. Pochylił się, przybierając podobną pozę jak Sevrin. Wydawał się teraz pijany, ale upił się nie winem, a podnieceniem, ważnością tajemnicy, którą zamierzał wyjawić.

– Ja mogę ci powiedzieć, kto zabił tego okcytańskiego żołnierza. Ale musisz przysiąc, że nikomu nie wygadasz.

Sevrin wykonał zamaszty gest niezbyt trzeźwego człowieka.

– Słowo honoru. Naprawdę to wiesz? Niesamowite!

Mel poczuła tak silne obrzydzenie, że przez chwilę bała się, że zwymiotuje wypitym winem na stół. Boże, ależ to było proste...

– To Ghiyām – powiedział Nik’haleu. – Ghiyām zabił tego człowieka.

– A niech mnie! – Sevrin roześmiał się i z rozmachem klepnął w udo. – To ten z blizną na twarzy, prawda? Ale dlaczego?

Melisandrze drżały ręce. Była świadoma tego, że napięcie na jej twarzy musi zwracać uwagę. Na szczęście żaden z mężczyzn na nią nie patrzył.

– Nie jestem pewien. *Soutzene* rozmawiali o tym parę razy, ale nie przysłuchiwałem się zbyt uważnie – odparł Nik’haleu z rozbrajającym egoizmem artysty, dla którego nie liczy się nic poza jego sztuką. – Chodziło o coś, co wydarzyło się w przeszłości. Oni się znali, wiesz? Mam na myśli tego Okcytanina i Ghiyāma. Ghiyām przyszedł do nas jako dziesięciolatek, czyli to musiało być kilkanaście lat temu. Mieszkał wtedy gdzieś w górach i nosił oczywiście inne imię.

Tak czy inaczej, Ghiyām zabił tego mężczyznę właśnie za coś, co tamten wtedy zrobił. Nie wiem dokładnie, o co chodziło, ale jestem pewien, że to Ghiyām.

Nik’haleu zamilkł, a jego oczy błyszczały dumą jak oczy kota, który przyniósł do domu wyjątkowo tłustą mysz.

Mel nie mogła tego znieść.

– Nik’haleu – powiedziała cichym, drżącym od emocji głosem – zdajesz sobie sprawę, że od początku o to właśnie chodziło, prawda? On – tu brodą wskazała Sevrina – chciał tylko, byś mu zdradził imię zabójcy pułkownika. Przyjaźń, uwaga, jaką ci okazywał – wszystko to było oszustwem, grą, sposobem na zdobycie twojego zaufania. On nie ma wcale zamiaru dotrzymać danego ci słowa. Zaraz pobiegnie na policję i wszystko im powtórzy. Oszukał cię jak dziecko, Nik’haleu, naprawdę tego nie widzisz?

Zmusiła się, by podczas tej przemowy patrzeć prosto w oczy Nik’haleu. Zmusiła się, by patrzeć, jak ufną, radosną twarz chłopaka zmienia najpierw oszołomienie, potem niedowierzanie, a na końcu ból.

– Ale... To znaczy... – Nik’haleu spojrział na Sevrina, szukając w jego oczach ratunku i czekając na zaprzeczenie.

Sevrin nie udawał już pijanego. Umoczoną w winie palcem rysował na stole jakieś wzory. Z jego twarzy trudno było cokolwiek wyczytać.

– Przykro mi, chłopcze. – Podniósł głowę. – Dziewczyna ma rację.

Nik’haleu przez chwilę wodził wzrokiem od obojętnej mężczyzny do gniewnej Melisandry, jakby się spodziewał, że za chwilę któreś z nich wybuchnie śmiechem, dając znak, że był to tylko głupi żart.

Nic takiego się nie stało. Nik’haleu podniósł dłoń do ust, zerwał się i wybiegł z gospody. Mel odruchowo podążyła za nim, ale gdy znalazła się przed wejściem, chłopaka już nie było widać. Tylko do jej uszu przez jakiś czas docierał odgłos kroków, znikających w którejś z ciemnych uliczek.

Zawróciła.

– I po co to pani zrobiła? – spytał spokojnie Sevrin. Zaciśnęła

wargi.

– Chciałam być uczciwa.

Wzruszył ramionami. Sprawiał teraz wrażenie starszego, bardziej zmęczonego. Na jego twarzy malowało się coś, co Mel ze zdumieniem rozpoznała jako niechęć do samego siebie.

Mimo to kontynuowała z uporem:

– To nie ja skrzywdziłam Nik’haleu. To, w jaki sposób go potraktowałeś... To, w jaki sposób wykorzystujesz ludzi...

– Nie przypominam sobie, byśmy zaczęli sobie mówić po imieniu – zwrócił jej uwagę Sevrin.

Potrząsnęła głową.

– Nieważne. Budzisz we mnie obrzydzenie. Nie chcę cię więcej widzieć.

Spiesząc do bramy, Yanhsevite zorientował się, że tym razem uderzenia kołatki brzmią inaczej niż zwykle – są bardziej natarczywe, gniewne.

Ostrożnie uchylił skrzydło bramy. Przed Domem Snów stało czterech mężczyzn. Dwóch żandarmów, jeden chudzielec, który w czarnym, dość eleganckim surducie wyglądał na wysokiego rangą urzędnika państwowego, i czwarty – stojący na uboczu i starający się nie rzucać w oczy.

Isan Surges przedstawił się i stanowczo, acz grzecznie zażądał rozmowy z *soutzhanem* o imieniu Ghiyām. Yanhsevite powiódł niepewnym wzrokiem po żandarmach i przełknął ślinę. Ale gdy się odezwał, głos miał mocny i opanowany.

– Nie mogę pozwolić wam wejść bez zgody przełożonego – odparł.

– W takim razie proszę przyprowadzić czcigodnego Taghyę.

Yanhsevite odszedł, a Surges odetchnął, próbując stłumić wrodzoną niecierpliwość. zaproponował dziś rano Sevrinowi, by ten pojechał z nim do Domu Snów. „W charakterze kogo?”, spytał wówczas Sevrin. „Kogokolwiek”, odpowiedział Surges. „Tłumacza czy specjalisty od neahelickich uprzejmości”. Sevrin przypomniał, że *soutzene* znakomicie mówią po okcytańsku, ale, rzecz jasna, zgodził się z ochotą. A po drodze faktycznie

udzielił sędziemu śledczemu kilku porad dotyczących neahelickich obyczajów.

Wrócił Yanhsevite, prowadząc ze sobą Taghyę. Surges powtórzył prośbę.

– Przykro mi – powiedział łagodnie przełożony. – Dopóki nie zjawią się panowie z oficjalnym nakazem...

W tym momencie pomiędzy Yanhsevite'em a Taghyą przepchnął się Ghiyām. Powiedział do przełożonego parę słów po neahelicku. Ten odmownie potrząsnął głową, ale Ghiyām nie rezygnował. Mówił dalej, aż Taghya niechętnie ustąpił, cofając się pół kroku.

– Zgadzam się na rozmowę – powiedział Ghiyām. – Z własnej woli, po to, by udowodnić wam, że szanuję okcytańskie prawo. Wejdźcie, panowie.

Ghiyām wybuchnął śmiechem. Sevrin spojrział na niego. Jasnowłosy *soutzhan* wyglądał raczej na rozbawionego niż przestraszonego wizytą sędziego śledczego.

Taghya na czas rozmowy oddał im do dyspozycji jedną ze świetlic. Surges odmówił siadania na dywanie, służące przyniosły więc dwa krzesła – dla niego i dla Ghiyāma. Dwaj żandarmi stali za plecami sędziego, wyprostowani na baczność. Stać wolał także Sevrin, który wybrał dla siebie miejsce przy oknie.

– Jesteś, panie, szaleńcem – powiedział Ghiyām chłodno. – Przyznaję, znałem pułkownika Delmaya. Cóż z tego? Było to dawno temu, jeszcze przed moimi powtórnymi narodzinami. Pomyśl, panie, gdybym nawet faktycznie doznał od pułkownika jakiejś krzywdy, czyż czekałbym z zemstą tyle lat? Ale pułkownik Delmay nigdy nie uczynił mi nic złego. Wręcz przeciwnie. Spytaj wszystkich, którzy nas wtedy znali, spytaj rodzinę pułkownika, a odpowiedzą ci, że trzynaście lat temu rozstałem się z nimi w przyjaźni. Pułkownik wolał mnie od własnego syna. Byłem dla niego dzieckiem, które zawsze chciał mieć: odważnym, szczerym, byстрыm. Kochał mnie i rozpieszczał. Naprawdę sądzisz, panie, że mógłbym go zabić?

Ghiyām mówił aroganckim tonem, ale dość spokojnie, raz tylko podniósł głos – gdy wspomniał, że pułkownik Delmay kochał go bardziej niż własnego syna. Problemem wszystkich *soutzene*, pomyślał Sevrin, jest fakt, że kiedyś byli naprawdę kimś. Podziwiano ich, szanowano, ich słowa były prawem. A teraz są tylko mieszkającą na uboczu grupą magów. Nic dziwnego, że w Domu Snów wszyscy żyją zapatrzeni w dawne, lepsze czasy. Nic dziwnego, że wszyscy noszą w sobie gniew. Taghya budował swoją pozycję, udając pogodzonego z losem skromnego człowieka, burkliwy Yanhsevite stronił od ludzi. Lauletzāy wyładowywała złość, komenderując innymi, natomiast Nik’haleu, najsłabszy z nich wszystkich, uciekał od rzeczywistości w marzenia. A Ghiyām? Sevrin pojął, że w jego przypadku ambicja, by pokazać wszystkim, na co go stać, była szczególnie silna. Czy dla zaspokojenia tej ambicji mógłby zabić? Czemu nie, jakkolwiek by na to patrzeć, był to niezły sposób na zwrócenie na siebie uwagi. Tylko dlaczego miałby mordować człowieka, który – to akurat można było łatwo sprawdzić, choćby pytając panią Delmay – był dla niego jak ojciec?

Sevrin doszedł do wniosku, że – według wszystkich wypowiedzi, jakie daje mu znajomość ludzkiej natury – Ghiyām faktycznie mówi prawdę.

Sędzia śledczy musiał wkrótce zrezygnować z podejrzeń w stosunku do młodego Neahelity. Po pierwsze, wszyscy *soutzene*, powołując się na swoją doskonałą pamięć, zgodnie wystawili Ghiyāmowi żelazne alibi: według ich słów w dniu, kiedy zginął pułkownik Delmay, nikt Domu Snów nie opuszczał. Surges nie miał powodów, by twierdzenie to podważyć, choć zgadzał się z Sevrinem, że słynna neahelicka prawdomówność z pewnością ustąpiłaby przed koniecznością chronienia jednego z towarzyszy.

Po drugie, młody aktor teatru „Nou Camin”, przepytany przez policję, z uporem zaczął twierdzić, że oskarżenie Ghiyāma było niczym więcej jak tylko próbą odegrania się na

człowieku, który źle go traktował.

Po trzecie zaś, wdowa po pułkowniku i jej syn potwierdzili, że istotnie, kilkanaście lat temu, gdy mieszkali w okręgu Vassivière, ich sąsiadami była pewna neahelicka rodzina, której syn przyjaźnił się z Flavianem. Na pomysł, iż ten właśnie młodzieniec może być winnym śmierci pułkownika, zarówno pani Delmay, jak i Flavian zareagowali oburzeniem tak szczerym, że sędzia śledczy, chcąc nie chcąc, musiał dać wiarę ich słowom.

JESIEN

GOUTTENEGRE

Silniki wprawiały pokład statku w lekkie drzenie, które udzielało się dziewczynie stojącej przy relingu i patrzącej w morze. Był wrześniowy, chłodny poranek. Isabel roztarła pokryte gęsią skórką ramiona i spróbowała przebić wzrokiem tuman białej mgły otaczającej statek. Gdyby nie pogoda, widziałaby już Serralangue.

Tej nocy po raz ostatni dzieliła sypialnię z mężem. Od dzisiaj, po przyjeździe do Serieys, będą już mieć osobne pokoje. Isabel podejrzewała, że hrabia od początku wolałby takie właśnie rozwiązanie, bez słowa jednak poddał się konwenansom, które wymagały, by małżonkowie w podróży poślubnej sypiali w jednym łóżku. Nawet tuż po ślubie, gdy wciąż jeszcze uważał ją za ideał, Guillem de Fontmartis nie był zbyt czułym mężem. Wieczorem głaskał jej włosy i całował lekko, ale ta pełna namaszczenia czułość przekształcała się szybko w gwałtowną, wypełnioną bólem szarpaninę, a Isabel mogła już tylko zaciskać powieki, modląc się, by wszystko skończyło się jak najszybciej. Potem hrabia składał na jej czole kolejny ceremonialny pocałunek, zupełnie jakby przez ostatnie minuty nic się nie wydarzyło.

A teraz hrabia był nią rozczarowany, wiedziała o tym. Jeszcze parę tygodni temu na myśl o tej chwili miękły jej kolana. Spodziewała się, że w momencie, gdy mąż zobaczy ją taką, jaką jest naprawdę, a nie taką, jakiej obraz stworzył sobie w głowie, nastąpi jakaś straszliwa katastrofa. Tymczasem zamiast tragedii była seria drobnych rozczarowań, a Isabel nawet przegapiła moment, w którym hrabia po raz pierwszy uświadomił sobie, że poślubił nie tę dziewczynę, o której marzył. Isabel nigdy nie zgrzeszyła otwartym sprzeciwem.

Grzeszyła lenistwem, drobnymi zaniedbaniami. W Romefort spóźniła się na śniadanie, a później przekomarzała się z ulicznym malarzem, który prawil jej komplementy i namawiał na portret. W Alestrze, według słów męża, spoufalała się nadmiernie ze służbą, a tydzień później, gdy zwiedzali galerię, wskazała jako najpiękniejszy obraz ten, który hrabiemu wyjątkowo się nie podobał – Guillem de Fontmartis nie był wprawdzie koneserem sztuki, ale jego pojęcie o tym, co jest „przyzwoitym” malarstwem, a co nowomodnym koszmarkiem, było niewzruszone.

Hrabia nie chciał mieć głupiej żony, która zgadzałaby się z nim w każdej kwestii. Potwierdzenie własnych poglądów z ust kogoś niezbyt mądrego mogłoby tylko te poglądy ośmieszyć. Isabel miała nie tyle przytakiwać, co przede wszystkim wyprzedzać myśli męża. Męczyło ją to i z czasem coraz mniej wagi przykładała do tego, by być tą wyidealizowaną Isabel, jaką poślubił Guillem de Fontmartis.

Ten cichy bunt nie pozostał bez echa. W pewnym momencie, nie pamiętała dokładnie kiedy, zrozumiała, że hrabia jest już świadomy swego rozczarowania. Poczula ulgę taką, jaką odczuwa dziecko, gdy przyzna się do winy i otrzyma karę. Na dobrą sprawę rozczarowanie hrabiego zmieniło jej małżeństwo na lepsze. Guillem de Fontmartis był zbyt dumny, by uznać, że oszukała go szesnastoletnia dziewczyna. Winił raczej naturę ludzką, tak spragnioną doskonałości, że w zwykłym szkiełku widzi brylant. Nie karał Isabel za swoją pomyłkę. Gdy byli sam na sam, rzadko się do niej odzywał, pozwalając robić to, na co akurat miała ochotę. Wymagał od niej już tylko zachowywania pozorów wobec ludzi. W tym punkcie był nieprzejednany. Potrafił skarcić żonę milczeniem czy ostrym, krótkim zdaniem, w którym najczęściej powtarzało się słowo „wulgarny”.

Isabel żyła terażniejszością, starając się przetrwać chwile złe i z niecierpliwością oczekując nielicznych dobrych. Nie zastanawiała się nad tym, co będzie. I czasem tylko, późnym wieczorem, gdy zwinięta na łóżku próbowała zasnąć, miała wrażenie, że ciemność napiera na nią i zaraz ją udusi. Czuła się, jakby pochowano ją żywcem. Nie płakała, bojąc się, że obudzi

śpiącego obok męża. Czym prędzej zaczynała myśleć o czymś przyjemnym, odpychając złe myśli, które niczym wilki czyhały na nią w ciemnościach.

Dyskusje z Julhetem i jego przyjaciółmi zawsze miały podobny przebieg. Artyści byli anarchistami i zwolennikami wolnej miłości, a Mel sprzeciwiała im się, bynajmniej nie dlatego, że nie popierała ich poglądów – bo popierała – ale z czystej przekory. Używała przy tym dość osobliwych argumentów. Dzisiejszego wieczoru na przykład broniła małżeństwa, twierdząc, że jego istnienie nie jest tak zupełnie bezzasadne. Dlaczego? Ano dlatego, że miłość, przyprawiona zdradą i poczuciem winy, ma znacznie ciekawszy smak.

Wszyscy czterej – muzyk Caty, malarze Julhet i Florentin oraz Ferratou, aspirujący do bycia poetą – różnili się kolorami włosów i oczu, wzrostem i wagą, ale wyglądali niemal jak bracia. Nosili się z typową dla przedstawicieli cyganerii nonszalancją. Mieli na sobie barwne surduty z wysłużonego aksamitu, koszule z miękkimi kołnierzymi, zamiast krawatów – fantazyjnie zawiązane kolorowe chusty, a na głowach kapelusze z szerokim, lekko opadającym rondem.

Na zakończenie dyskusji Julhet zaproponował, by Mel, korzystając ze swoich zdolności, pokazała jakąś magiczną sztuczkę.

– Potrafisz odgadywać myśli? – spytał.

– Oczywiście – przytaknęła z szerokim uśmiechem.

Julhet milczał przez chwilę, odrobinę naburmuszony.

– No, więc o czym teraz pomyślałem, co?

Melisandra nie zastanawiała się.

– Właśnie przed chwilą pomyślałeś sobie, że zaprzeczysz wszystkiemu, co teraz powiem.

Długa na miłą miną malarza powiedziała wszystkim, że dziewczyna trafiła w dziesiątkę. Trzej pozostali rozmówcy roześmiali się. Julhet skrzywił wargi i ziewnął demonstracyjnie. Za oknem tawerny „Pod Pióropuszem” powoli wstawał zamglony świt. Dyskusja przygasła. Wkrótce Mel wstała i

pożegnała się. Do drzwi odprowadził ją Caty.

– Naprawdę potrafisz czytać w myślach? – spytał.

Roześmiała się.

– Oczywiście, że nie. Zgadłam po prostu. Prawdę powiedziawszy, w podobnej sytuacji mnie też coś takiego przyszyłoby do głowy. Do jutra.

– Do jutra – pożegnał ją grzecznie muzyk.

Szła pustymi ulicami Gouttenegre, w ciszy słysząc tylko stukot własnych butów na ulicznym bruku. W bramach kamienic czekało paru nocnych marków, którzy widząc nadchodzącą postać, z nadzieją wychylili się na ulicę. Spozrzegłszy jednak, że to tylko szczupła sylwetka ubrana w połataną spodnie i byle jaki surdut, cofnęli się z powrotem.

Minęła aptekę z wypisaną informacją *NIE SPRZEDAJEMY MAGICZNYCH SPECYFIKÓW* i zatrzymała się gwałtownie. Poczucie zagrożenia, jakie odebrał jej umysł, z pewnością nie mogło być związane z czającym się na przypadkowego przechodnia złodziejem. Stała pod jedną z nielicznych w tej dzielnicy latarni, reszta ulicy tonęła w porannej mgle. Odetchnęła i spróbowała się skupić.

Wiedziała, że z tej mgły ktoś na nią patrzy. Dwie... nie, trzy osoby.

Na użytek nieznanego obserwatora wykonała prostą pantomimę. Zajrzała po kolei do kieszeni surduta, przetrząsnęła spodnie i pokręciła głową. Ale jestem głupia, mówił ten gest, znów czegoś zapomniałam. Odwróciła się i odeszła szybkim krokiem.

Szczęśliwie Julhet i reszta stali jeszcze przed wejściem do tawerny.

– Ktoś na mnie czeka – powiedziała pośpiesznie. – Przed domem. Myślę, że chcą mi zrobić coś złego.

Ferratou podrapał się po pokrytym krótką szczecinią policzku.

– A co ja niby mam ci na to poradzić, he?

– Nie wiem, ale ja się boję.

– Ja też – wyznał Ferratou bez cienia wstydu.

– Ilu ich jest? – spytał jak zawsze praktyczny Caty.

– Trzech – odparła Mel.

– Nas jest więcej. Chodźmy ją odprowadzić. Jak będziemy w kupie, to nic nam nie zrobią.

Pozostali pomrukiem wyrazili zgodę. Melisandra została wzięta w środek i razem pomaszrowali w stronę domu dziewczyny. Przed bramą Mel zwolniła. Julhet pociągnął ją do przodu.

– Nie bój się – szepnął.

Nie bała się. Próbowwała tylko sięgnąć umysłów czekających na nią ludzi. Wyczuła ich zaskoczenie, gdy zobaczyli ją idącą w towarzystwie czterech mężczyzn, potem niepewność, a w końcu złość i rozczarowanie. Trzy cienie przemknęły we mgle wzdłuż kamienicy i znikły w bocznej uliczce. Nikt nie próbował ich ścigać.

Artyści poczekali, aż Mel otworzy drzwi, i przykazali jej, by zamknęła się na klucz, a w razie czego wołała Julheta. Po chwili została sama.

Zapaliła wszystkie świece i lampy, jakie udało jej się znaleźć, sprawdziła, czy okna są dobrze zamknięte, i zerknęła przez szparę w okiennicy. Ulica była pusta i cicha. Taka cisza panuje w Gouttenegre tylko o świcie, gdy ci, którzy bawili się przez całą noc, już śpią, a ci, którzy wcześniej wstają, jeszcze się nie obudzili.

Stała przez chwilę przy oknie, słuchając swego niespokojnego oddechu. Po kilku minutach z lampą w ręku wyszła przed dom. Liczyła, że któryś z prześladowców zgubił coś, co pomoże ustalić jego tożsamość. Ale niczego nie znalazła.

Wróciła więc do mieszkania i przekręciła klucz w zamku.

Koło jedenastej Julhet obudził ją, pukając w drzwi.

– Przyjdiesz na śniadanie? – spytał.

Od trzech tygodni, czyli od czasu, gdy Mel wyprowadziła się z domu i zamieszkała w Gouttenegre, byli sąsiadami. Julhet, prócz artystycznej wolności, cenił sobie także domowe ciepło. Mieszkała z nim małomówna kobieta, którą nazywał żoną. Ciemnoskóra Niyu z jednakową cierpliwością sprzątała, gotowała posiłki i zносиła ekstrawaganckie wybryki malarza.

– Słyszałaś już o tym, co stało się dzisiejszego ranka? – spytał, pogryzając ciemny chleb grubo posmarowany miodem.

Mel pokręciła głową.

– Ktoś pobił tę kobietę, która na rogu, przy cukierni, wróżyła z kart i ptasich kości. Stłukł ją tak, że wyzionęła ducha. Dziwne, nie? Najpierw ktoś chce dopaść ciebie, a zaraz potem ginie stara Fabre. Ładne mamy czasy, co?

– Myślisz, że to ci sami, którzy czekali na ciebie? – spytał Benedit Justy, odsuwając pusty talerz. Zawsze gdy Mel przychodziła do tawerny „Pod Pióropuszem”, jasnowidz albo zaczynał, albo kończył posiłek.

– Nie mogę być pewna. Ale to możliwe.

Benedit Justy był jedynym człowiekiem, któremu powiedziała o swoich przypuszczeniach. Ludzie chętnie zwierzali się flegmatycznemu jasnowidzowi, myślącemu wolno, lecz precyzyjnie. Mel przynajmniej mogła być pewna, że Justy nie zechce – w imię bezpieczeństwa – namawiać ją na powrót do domu. Odkąd przeprowadziła się do Gouttenegre, większość ludzi nie dawała jej spokoju, tłumacząc, jak bardzo niebezpieczne dla młodej dziewczyny jest samotne życie. A Melisandrze to właśnie się podobało. Po raz pierwszy utrzymywała się samodzielnie z tego, co udało jej się zarobić dzięki swoim magicznym umiejętnościom, i nie miała zamiaru rezygnować.

– Nie mógłbyś urządzić tego tak, abyś to ty zajął się ciałem? – spytała.

Justy wzruszył ramionami.

– Daj spokój. Zwłoki tej kobiety nie trafią ani w ręce jasnowidza, ani lekarza sądowego.

– A gdzie w tej chwili znajduje się ciało?

Justy’ego do miejskiej kostnicy wpuszczono bez trudu, większym problemem okazało się przemycenie Melisandry. Jasnowidz polecił jej ubrać się „przyzwoicie” i przedstawił jako

swoją asystentkę, ale i tak pracownicy spoglądali na nią podejrzliwie – kobiety bardzo rzadko pracowały dla policji.

– Które to? – spytała Mel, nie wiedząc czemu szeptem, gdy znaleźli się w podłużnej, podziemnej sali o beczkowatym sklepieniu. Kiedyś musiała tu być piwnica na wino, w powietrzu unosił się jeszcze lekki zapach alkoholu. Zapach ten mieszał się z wonią pęków suszonych ziół, które wisiały na ścianie. Ostrożnie pociągnęła nosem, ale nie wyczuła niczego nieprzyjemnego. Było to pomieszczenie przeznaczone na zwłoki najbiedniejszych, których szybko chowano na koszt miasta w prostych białych całunach.

Justy trafił za drugim razem. Podniósł prześcieradło i postawił latarnię na stole tuż obok głowy zmarłej.

– Ty to zrobisz czy ja? – spytał.

– Ja. – Dziewczyna spojrzała na starą, niezbyt utalentowaną czarownicę, która jednak miała tyle wiedzy magicznej, by nauczyć ją paru ciekawych sposobów wróżenia. Spodziewała się ujrzeć zmasakrowaną tkanę, krew i kości, które przebiły skórę. Tymczasem twarz czarownicy była cała, ale jej wargi wykrzywiał upiorny grymas, jak gdyby zmarła w straszliwych męczarniach.

Zdumiona Mel pokręciła głową. Czubkiem języka dotknęła strużki krwi, która wyciekła z ust staruszki.

Wspomnienia Agustiny Fabre były chaotyczne i zamazane. Gdy wracała wczesnym rankiem z targu, ktoś złapał ją brutalnie za ramiona, ktoś inny zadał pierwszy cios. Koszyk z zakupami wypadł jej z ręki, pod nogi potoczyły się jesienne jabłka. Ciosów nie było dużo. Staruszka już po drugim zwiśla w rękach tego, który ją trzymał. Drugi, a może trzeci przemocą otworzył jej usta. Przez moment widziała przed sobą zamaskowaną twarz, potem zamknęła oczy. Poczula na języku posmak czegoś metalicznego, a chwilę później potworny ból, jakby ktoś wepchnął jej w gardło żarzącą się głównię. Chciała to wypluć, ale tamten przyciskał dłoń do jej twarzy, zasłaniając nos i usta. Nie musiał czekać, aż zabraknie jej powietrza. Agustina Fabre umarła z przerażenia i bólu, podczas gdy mały metalowy krążek wypalał jej gardło.

– Melisandro? – Głos Justy’ego przywrócił dziewczynę do rzeczywistości. Podniosła powieki, dotąd kurczowo zaciskane. Jasnowidz uspokajającym gestem obejmował jej ramiona. – Widziałaś ich twarze? – spytał.

– Nie. Nosili maski. Ale jestem niemal pewna, że to ci sami, którzy czekali na mnie.

To była prawda. Nad ranem poczuła emanującą z czających się w bramie postaci tę samą nienawiść – nienawiść młodych, bardzo pewnych siebie ludzi, którzy marzą o tym, by oczyścić świat z plugastwa.

– Niczego więcej się nie dowiemy. Chodźmy.

Skierował się do wyjścia, ale Melisandra zaprotestowała.

– Czekaj. Ona umarła, bo ktoś wepchnął jej coś w gardło. Chcę to zobaczyć.

Skrzywił się, ale nic nie powiedział. Silnymi, wielkimi jak patelnie dłońmi ujął głowę staruszki i wyłamał jej szczękę. Teraz twarz Agustiny Fabre sprawiała jeszcze upiorniejsze wrażenie. Aż dziw, że z otwartych do krzyku ust nie wydobywał się żaden dźwięk.

Mel zajrzała w gardło kobiety. Dostrzegła tam masę poczerniałej, spieczonej tkanki. I coś jeszcze. Srebrny błysk, który zamigotał w żółtym świetle latarni. Zanurzyła palce w otwartych ustach.

– Zostaw, ja to zrobię – powstrzymał ją Justy.

Skinęła głową. Jasnowidz miał zbyt szerokie dłonie, by dostać się do tego, co spoczywało w głębi gardła zmarłej. Szczęściem „przyzwoity” strój Melisandry obejmował także ukryty pod bluzką zgrabny półgorsecik. Wysupłała cienki drucik, zgięła go w haczyk i podała jasnowidzowi. Przy jego pomocy Justy wyłowił srebrny łańcuszek, na końcu którego wisiał okrągły medalik.

– Święty Imbert – mruknął. – Chroni przed czarami, a także zabija czarownice, gdy wierni życzą sobie tego wystarczająco mocno.

Ostrożnie dotknęła blaszki. Zamiast palącego bólu poczuła tylko lekkie mrowienie. Justy spojrział na nią zdumiony. Ale przecież Melisandra nie urodziła się czarownicą. Była

chrześcijanką, do trzynastego roku życia chodziła do kościoła i modliła się co wieczór. Nic dziwnego, że święci nie wiedzieli, co o niej myśleć.

Sevrin bardzo rzadko zapraszał do domu gości. Tym razem ugiął się, jego znajomi bowiem od dawna czynili dość przejrzyste aluzje, a on nie chciał być uznanym za skąpca i odludka.

Przez trzy dni musztrował służbę, by choć raz wszystko było jak należy. Potem przejrzał listę gości i jednym pociągnięciem pióra dopisał u dołu pannę Melisandrę d'Aleume.

Było to jak proszenie się o katastrofę. Ostatnio w mieście czarownicy nie cieszyli się popularnością, a nadto panna d'Aleume miała niewyparzony język i skłonność do wygłaszania kontrowersyjnych poglądów. Na dobrą sprawę sam nie był pewien, dlaczego zdecydował się ją zaprosić. Może dlatego, że od dawna, niemal od początku lata, czuł, jak atmosfera wokół niego gęstnieje, jakby zbierało się na burzę. Coraz częściej bywał rozdrażniony bez żadnego powodu. Obecność panny d'Aleume wśród szacownych obywateli miasta Quinson mogłaby być przysłowiową iskrą, która spowoduje wybuch, a to z kolei oczyści atmosferę. Liczył na kłótnię, może nawet awanturę. Nie widział w tym niebezpieczeństwa. Wierzył w swoją umiejętność postępowania z ludźmi i wiedział, że w razie czego potrafi ułagodzić oburzonych przyjaciół.

Przeliczył się jednak. Prawnicy, których zaprosił, byli ludźmi na tyle ostrożnymi, że na wszelki wypadek starali się unikać jakichkolwiek konfliktów. Obecność panny d'Aleume przyjęli lekkim skrzywieniem ust, ale poza tym byli konwencjonalnie uprzejmi. Melisandra d'Aleume rozczarowała go. Ubrana w dość przyzwoitą suknię, cicha i przygaszona, nie bardzo przypominała kontrowersyjną osobistość. Wieczór był wyjątkowo nieudany. Goście nudzili się i ze wszystkich sił starali się to ukryć. W salonie na przemian to zapadała cisza, to znów wybuchał nerwowy gwar rozmów. Sevrin usiadł w jednym z dwóch niezbyt wygodnych foteli wciśniętych w kąt i

przyglądał się towarzystwu z jakąś ponurą, perwersyjną satysfakcją człowieka, który patrzy, jak wali się coś, co budował latami. Zdawał sobie sprawę, że po tym wieczorze zyska etykietkę nudziarza. Nie obchodziło go to.

Prokurator Naudin dyskretnie zerknął na stojący na kominku zegar, stłumił ziewnięcie i podszedł do Sevrina.

– Pańska uroczą małżonka nie zaszczyca nas swoją obecnością? – spytał nieco zbyt pompatycznie.

– Moja żona źle się czuje.

– Och, jakże mi przykro.

– Niepotrzebnie. Moja żona źle się czuje przez większość czasu. Z pewnością zdążyła się już przyzwyczaić.

Naudin spojrział na niego z wyrazem takiego zdumienia w oczach, że Sevrin mało nie parsknął śmiechem.

Chwilę później w fotelu obok usiadła Melisandra. Opowiedziała Sevrinowi o śmierci Agustyny Fabre, ale nie dodała, że mało brakowało, a sama padłaby ofiarą ludzi, którzy zamordowali starą czarownicę. Sevrin, podobnie jak Justy, bez trudu zaakceptował fakt, że panna d’Aleume mieszka samotnie w najniebezpieczniejszej dzielnicy miasta, i z pewnością nie zaczęłaby teraz robić jej wymówek. Mimo to nie zamierzała o tym wspominać. Wyglądałoby to tak, jakby dopraszała się współczucia, a ona nie chciała, by współczuł jej Joaquim de Sevrin.

– Takie rzeczy wciąż będą się zdarzać, jeśli morderca pułkownika Delmaya nie zostanie szybko schwytyany – powiedziała.

Sevrin skinął głową.

– Wiem o tym. Dlatego poprosiłem o pomoc jednego z moich znajomych.

– Kogo?

– Nie znasz go. To pewien młody chłopak, wychowany w Gouttenegre. Poprosiłem, by przyjrzał się magom, którzy nielegalnie działają w tej dzielnicy. Dzieciak jest bystry i Gouttenegre zna jak własną kieszeń. Z pewnością poradzi sobie lepiej niż policja.

Mel milczała przez chwilę, przyglądając się zgromadzonym w

salonie gościom.

– Joaquim?

– Tak?

Od tamtego wieczoru spędzonego w towarzystwie Nik'haleu mówili sobie po imieniu. Melisandrze sprawiało to przyjemność.

– Opowiedz mi o swoich znajomych. Prawie nikogo tu nie znam.

– Cóż... Spójrz choćby na tę kobietę w niebieskiej sukni. Wyszła za mąż za prokuratora Naudina, starszego od niej o ponad ćwierć wieku. Ma pieniądze, ale nie jest ani ładna, ani inteligentna czy choćby miła. Od dnia ślubu już trzykrotnie próbowała popełnić samobójstwo. Dwa razy połknęła garść pigułek nasennych, raz usiłowała podciąć sobie żyły. Mimo to nadal nikt nie zwraca na nią uwagi. Biedactwo, jest teraz bardzo nieszczęśliwa. A tamten mężczyzna, który właśnie wyciągnął z kieszeni kamizelki zegarek i spogląda na niego, zdobył już względy czterech kobiet w tym salonie, a pracuje nad piątą. Porzucone kochanki za plecami własnych mężów skaczą sobie do oczu, a on bawi się w najlepsze.

– Czemu i ty nie spróbujesz zabawić się w ten sposób?

Jeszcze parę tygodni temu Sevrin z pewnością nie odpowiedziałby jej na takie pytanie. Teraz jedynie wyprostował się i rzucił dziewczynie niechętne spojrzenie.

– Dobrze urodzone kobiety nigdy nie wydawały mi się nadmiernie atrakcyjne – odparł chłodno.

– Wolisz proste dziewczęta? Takie jak ta jasnowłosa pokojówka, która otworzyła mi drzwi?

– Viva?

– Nie wiem, jak się nazywa. Wiem, że przez cały wieczór wodzi za tobą maślanym wzrokiem.

– Powinna dać sobie spokój. Mam swoje zasady.

– Znaczy, nie sypiasz z domową służbą? Jak miło wiedzieć, że w Quinson są jeszcze przyzwoici ludzie!

Mężczyzna, słysząc sarkazm w głosie Melisandry, odwrócił się, a na jego policzkach pojawił się lekki rumieniec. Nie chodziło bynajmniej o domową służbę. Sevrin nie kochał żony, ale na

swój sposób starał się być wobec niej lojalny. Dlatego nigdy nie wziął sobie stałej kochanki.

– Właściwie dlaczego opowiadasz mi o takich rzeczach? – spytała dziewczyna.

– Może dlatego, że chciałem ci zaimponować? – Nadal nie patrzył na Mel, ale był świadom jej obecności, blisko, tuż obok niego. – Nikt w tym mieście nie zna tylu brudnych sekretów co ja.

– Nadal jestem kimś, z kim warto pokazać się wieczorem w Ferratjól?

– Nie, już nie jesteś.

To proste stwierdzenie uderzyło w nią jak odłamek skały, ciśnięty wprawną ręką. Panna Melisandra d’Aleume nie była już atrakcją quinsonskich salonów, nie była kimś, kogo warto zapraszać do domu.

– To tak bardzo boli? – cicho spytał Sevrin, spoglądając na nią.

– Wiedziałaam, że to się kiedyś skończy – odparła. – Taka popularność nigdy nie trwa długo. Nie sądziłam jednak, że skończy się w ten sposób i... tak, to boli.

Łagodnie wziął ją za rękę. Mel miała wrażenie, że wszyscy na nich patrzą, a mimo to nie cofnęła dłoni.

Splótł jej palce ze swoimi. Siedzieli tak przez chwilę, nie odzywając się ani nawet nie spoglądając na siebie. Mel z uporem wpatrywała się w płomień lampy naftowej, starając się ignorować szum rozmów za plecami. Odwróciła się dopiero, gdy gwar przybrał na sile. Do salonu weszła wysoka, ciemnowłosa kobieta. Mel bez trudu odgadła, że musi to być owa tajemnicza d’ona Angeleta, którą tak rzadko widywano w towarzystwie.

Kobieta rozejrzała się, dostrzegła męża i ruszyła w ich stronę.

Melisandra spróbowała zabrać dłoń, ale Sevrin nie puszczał jej. Dopiero gdy d’ona Angeleta była tuż przed nimi, pozwolił dziewczynie wstać – zaczerwienionej, zakłopotanej i złej. Przedstawił Mel tak swobodnie, jakby nic się nie stało. D’ona Angeleta patrzyła na nią wielkimi, czarnymi oczami płonącymi w bladej twarzy. Potem oparła głowę na ramieniu męża. Na

ustach mężczyzny pojawił się gorzki uśmiech.

Jest ładna, pomyślała Mel, czując ostrą, palącą zawiść. Znacznie ładniejsza ode mnie.

Marty urodził się w rodzinie złodziei. Kradł jego dziadek, jego ojciec, a i matce zdarzało się ściągnąć parę owoców ze straganu. Nic dziwnego, że chłopak już od małego wprawiał się w złodziejskim rzemiośle. Kradł na zatłoczonych placach targowych i w miejskich omnibusach. Nigdy nie odważył się na nic poważniejszego. Raz tylko, trzy lata temu, koledzy namówili go na włamanie. Z trójki nastoletnich przestępców policja zdołała aresztować tylko jednego – właśnie Marty'ego.

Chłopak wiedział, co go czeka. Niedawno skończył siedemnaście lat, a to oznaczało, że jego los zależy od humoru sędziego. Sędzia mógł uznać włamanie za chuligański wybryk niedorosłego młodzieńca i wysłać go do Domu Poprawy, skąd wróciłby po paru miesiącach, a mógł równie dobrze potraktować chłopaka jak pełnoletniego i wpakować do więzienia na najbliższych dziesięć lat.

Marty siedział więc na korytarzu sądu, trzęsąc się i popatrując z ukosa na barczystego żandarma. Wokół kręcili się ludzie, bardzo dziwni ludzie w osobliwych czarnych szatach, posługujący się cudacznym językiem, z którego niewiele rozumiał. W dodatku wszyscy, nie wiedzieć czemu, mieli siwe włosy.

Przerażenie nie odebrało mu przytomności umysłu. Czekaając na swoją kolej, układał w głowie zgrabną historyjkę, którą zamierzał wzruszyć sędziego. Postanowił, że opowie o ciężko chorej matce, której nie stać było ani na lekarstwa, ani na uzdrawiające amulety. Tak naprawdę jego matka aktualnie cieszyła się życiem w towarzystwie trzeciego już męża, ale to nie miało nic do rzeczy. Wtedy pojawił się ten człowiek. Był młody, a jego włosy były zwyczajnie czarne, nie siwe. Poczęstował wyprężonego jak struna żandarma papierosem i szepnął mu parę słów. Żandarm rzucił podopiecznemu nieprzychylnie spojrzenie, odszedł parę kroków, stanął przy

uchylonym oknie i zapalił.

– Ty jesteś Joris Martin, co? – powiedział ciemnowłosy mężczyzna. – Przydzielili cię sędziemu Bouè.

– To źle? – nieśmiało szepnął chłopak.

Ciemnowłosy wzruszył ramionami.

– Ano, zależy jak na to patrzeć. Coś chciał mu powiedzieć? Pewno jakąś łzawą bujdę o chorej matce.

Marty zaczerwienił się i skinął głową. Dopiero teraz zorientował się, że tamten mówi do niego z najczystszyim akcentem portowej dzielnicy Gouttenegre. Mężczyzna skrzywił się.

– Ani się waz. Bouè nie cierpi takich historyjek. Chcesz być wolny, to zrób, jak mówię. Stań przed sędzią i patrz mu w oczy, jakbyś wcale się nie bał. Powiedz, żeście się wszyscy spili, a potem założyli, że włamiecie się do pierwszego lepszego domu. Bądź trochę bezczelny, jak czupurny dzieciak, który coś tam przeszkrobał. Pojmujesz?

Ciemnowłosy mówił z taką pewnością siebie, że Marty dał spokój cierpiącej matce i zrobił tak, jak tamten mu radził.

Bouè milczał, a jego twarz, pokryta śladami po ospie, była nieruchoma jak kamień. Nie udało się, z rozpaczą pomyślał Marty. Już miał upaść na kolana i błagać o wybaczenie, gdy wąskie usta sędziego zadrżały, a z gardła wydobył się basowy śmiech.

– A niech tam – powiedział Bouè. – Raz w życiu jest się młodym. Odpracujesz to, chłopcze, w Domu Poprawy. Tam odejdzie ci ochota do podobnych wybryków.

Marty wyszedł z sali sądowej na uginających się, miękkich jak masło nogach. Wkrótce dowiedział się, że człowiek, któremu zawdzięcza wolność, nazywa się Joaquim de Sevrin. Miał wobec niego dług wdzięczności, a chłopak, mimo złodziejskiej profesji, uważał się za człowieka honoru. Dlatego, gdy tydzień temu Sevrin zgłosił się do niego z pewną prośbą, Marty zgodził się z radością.

Merenmūt jest umierająca,

pisła Lauletzāy.

Prawdopodobnie nie dożyje następnego tygodnia. Przed śmiercią chciałaby jeszcze się z Tobą zobaczyć. Przyjedź jak najszybciej.

Melisandra złożyła list. Zastanawiała się, czy któryś z quinsonskich dorożkarzy zgodzi się na kurs do Domu Snów. Jeszcze niedawno każdy woźnica z ochotą przyjąłby taką propozycję. Ale już nie. Nie teraz.

Nie teraz, gdy w Quinson z ręki maga zginęła następna osoba, a ludzie zaczęli obawiać się czarów.

Tym razem to nie Yanhsevite, ale Yeu, cudowne dziecko Domu Snów, otworzył bramę.

– Wejdz, czcigodna, oczekujemy cię – powiedział chłopiec uprzejmie.

– Jak ci idzie nauka? – spytała Mel, celowo z pobłażaniem i protekcyjnie. Dzieciak irytował ją, a może była też zwyczajnie o niego zazdrosna.

– Czcigodny Taghya mówi, że radzę sobie znakomicie. – Na twarzy Yeu pojawiła się duma. – Za parę miesięcy powinienem skończyć szkolenie.

– Naprawdę? – wymruczała.

Zaprowadził ją do gabinetu Taghyi i polecił czekać. Parsknęła gniewnie, ale została na miejscu.

Gabinet urządony był z przepychem. Podłogę przykrywał gruby wełniany dywan, w którym tonęły stopy, a w orzechowych meblach odbijało się poranne słońce. Mel podeszła do wiszącego na ścianie lustro. Nie należała do kobiet, które lubią długo wpatrywać się w zwierciadło. Zazwyczaj rzuciła jedynie przelotne spojrzenie swemu odbiciu, mówiąc przy tym z uśmiechem: „No, nie najgorzej”, a frywolność tego stwierdzenia podnosiła o kilka punktów tę z pozoru niezbyt

pochlebną opinię. Teraz jednak przyglądała się sobie uważnie. Patrzyła na okoloną czarnymi włosami twarz, w której najbardziej rzucały się w oczy szerokie, zmysłowe usta, kontrastujące z delikatną buzią leśnego chochlika.

Powoli i starannie zaczęła nakładać iluzję. Rozjaśniła cerę i włosy, poszerzyła oczy i zmniejszyła kości policzkowe. Potem zwęziła usta i wypełniła owal twarzy.

Zaskoczył ją trzask zamykanych drzwi. Odwróciła się, napotykając zdumiony wzrok Ghiyāma.

– Ćwiczysz sztukę iluzji? – zagadnął z drwiącym uśmiechem, gdy już udało mu się opanować zdziwienie i rozpoznać stojącą przed nim dziewczynę. – Masz rację. Natura nie obdarzyła cię urodą.

– Twojej paskudnej gębie też przydałoby się trochę iluzji – odcięła się Mel. – Nic dziwnego, że tylko służące chcą z tobą spać.

Podszedł do niej tak blisko, że musiała cofnąć się pół kroku. Wskazującym palcem przejechał po bliźnie, głaszcząc ją i szczypiąc, aż ściemniała od napływającej krwi. Melisandra wywinęła się i stanęła przy drzwiach.

– Zaprowadzisz mnie do Merenmūt?

Skrzywił się.

– Chodź ze mną.

Ghiyām poprowadził ją na taras pierwszego piętra. Tam, w fotelu, owinięta ciepłym pledem, siedziała stara uzdrowicielka. Przed nią rozciągał się widok na ruiny Miasta Snów.

Dziewczyna usiadła na krześle, które przyniósł jej Ghiyām. Mężczyzna odszedł, a Mel w milczeniu czekała na słowa staruszki.

Z boku dobiegał odgłos fal rozbijających się o skalisty brzeg.

Merenmūt siedziała wyprostowana, jej oczy patrzyły przytomnie, ale Mel nie dała się zwieść. Policzki uzdrowicielki były blade, a zaciśnięte wąskie wargi świadczyły o nieustającej walce z bólem.

Lauletzāy napisała prawdę. Merenmūt była bliska śmierci.

Staruszka długo wpatrywała się ruiny Miasta Snów.

– Czy wiesz, kto to zbudował? – spytała w końcu cicho, ale wyraźnie.

– Oczywiście, że wiem.

Merenmūt pokręciła głową.

– Nie, nie sędzę, abyś wiedziała. Nie naprawdę. To ludzie tacy jak mały Yeu stworzyli Miasto Snów. Ludzie silni, dumni ze swego dziedzictwa i posłuszni tradycji. Pojmujesz?

– Szczerze mówiąc: nie. Nie widzę związku pomiędzy tradycją a budową miast. Gdybyśmy wszystko robili tak jak nasi przodkowie, nadal mieszkalibyśmy w lepiankach.

– Nie zrozumiałaś mnie.

– Ależ zrozumiałam cię, czcigodna, doskonale. – Oczy Melisandry zabłysły, dziewczyna ożywiła się. – Wiedza, którą tak szczył się Neahelici, nie spadła z nieba. Ludzie doskonalili ją latami, a doskonalenie to właśnie eksperymenty, ulepszanie tego, co spełnia swoją rolę, i rezygnowanie z tego, co okazuje się nieprzydatne. Zgadzasz się ze mną, czcigodna? Proces ten trwał aż do chwili, gdy zbudowano Miasto Snów. I nagle przestał obowiązywać. Dlaczego? Dlaczego akurat w tym momencie koniecznym stało się już nie doskonalenie tego, co jest, ale niewolnicze trzymanie się dawnych wzorców?

– Dlatego – Merenmūt spojrzała na dziewczynę czystymi, błękitnymi oczami, silnie kontrastującymi z pomarszczoną twarzą – że wtedy właśnie nasza cywilizacja osiągnęła doskonałość. Doskonałość, jakiej nigdy nie było i jakiej nigdy już nie będzie. Taką, o jakiej wy, Okcytanie, możecie jedynie marzyć. I każda zmiana byłaby zmianą na gorsze. Teraz pojmujesz?

– Cóż, nawet jeśli to prawda – Mel wzruszyła ramionami – to nie da się ukryć, że z tej waszej doskonałości niewiele zostało.

– Niemniej jednak – sucho odparła Merenmūt – nadal jest to część doskonałej całości. To tak jakby porównywać ułamek czary, wyrzeźbionej w prawdziwym diamencie, wielkim jak ludzka głowa, i kubek, cały, ale zrobiony ze zwyczajnej gliny. Co byś wołała, Ekhne-tai?

– Wiesz dobrze, że kawałek diamentu. Każdy człowiek by tak

odpowiedział. Ale to nie jest dobre porównanie. Diament można podziwiać, kubek ma wartość praktyczną. A do czego, czcigodna, twoim zdaniem służy cywilizacja? Do tego, by służyła człowiekowi, by czyniła jego życie lepszym i wygodniejszym, czy też do tego, by gapić się na jej resztki i myśleć sobie: „Och, jakie to wspaniałe”?

Ostatnie słowa Mel zabrzmiały zbyt sarkastycznie, zbyt agresywnie. Nie powinna tak mówić do starej, chorej kobiety. Zawstydziała się i zarumieniła lekko.

– Wybacz – wymruczała.

Milczały, każda nieprzejednanie obstając przy swoim zdaniu. Ale nie było w nich niechęci. Szanowały się nawzajem, choć nie potrafiły zrozumieć. Uzdrowicielka w zamyśleniu przyglądała się ruinom Miasta Snów.

– Czy dlatego chciałaś mnie widzieć, czcigodna? – spytała Mel. – Po to, by mi to powiedzieć?

– Nie. – Merenmūt spojrzała na wychowanekę, a potem znów odwróciła wzrok. – Myślę, że nadejdzie czas, może już wkrótce, gdy będziecie musieli walczyć. Ty i inni *soutzene*.

– O co?

– A o co zazwyczaj ludzie walczą? – Usta uzdrowicielki wygięły się w lekkim, zaprawionym bólem uśmiechu. – Gdybym była zdrowa i silna, wzięłabym w tej walce udział. Może nawet...

– Tak?

Uśmiech Merenmūt stał się głębszy, ale i bardziej gorzki.

– Kto wie, może nawet walczyłabym nie przeciw tobie, ale z tobą, po twojej stronie. Ale dla mnie jest już za późno.

Zamknęła oczy. Na jej twarzy pojawiło się wyczerpanie.

– Cieszę się, że wkrótce umrę – szepnęła.

Melisandra ujęła ją za rękę, po czym pochyliła się i pocałowała pomarszczony policzek.

Tym razem staruszka nie cofnęła się.

Ktoś popchnął Isabel. Dziewczyna zachwiała się i potknęła na nierównym bruku. Czyjaś ręka, być może należąca do tego

samego człowieka, który ją popchnął, chwyciła łokieć Isabel.

– Pomóc panience? – zaszeptał jej w ucho fałszywie słodki głos.

– Nie! – Wyrwała się energicznie.

– Panienka się zgubiła. Zaprowadzę panienkę – nie rezygnował mężczyzna, starszy i wyjątkowo paskudny.

– Szukam tawerny „Pod Pióropuszem”. – Pospiesznie usiłowała przypomnieć sobie wskazówki, jakich udzielił jej Marcelin.

– Nie idź z nim, panna – wtrącił się dziesięcioletni może ulicznik, obdarty, w płóciennej czapce zawadiacko zsuniętej na bakier. – Za dwa eccu zaprowadzę pannę do „Pióropusza”.

Isabel uznała, że ulicznik zasługuje na większe zaufanie niż tamten śliniący się mężczyzna. Odeszła z chłopcem ku oburzeniu drugiego kandydata na przewodnika.

– A właściwie po co pannie tawerna „Pod Pióropuszem”? – spytał chłopiec, zręcznie holując ją przez wypełniający ulicę tłum. – To porządny lokal, ale tacy jak panna tam raczej nie bywają.

– Właściwie to szukam mieszkania siostry – przyznała. – Od tawerny trzeba iść prosto, skręcić w lewo w pierwszą...

Chłopak zatrzymał się gwałtownie. Isabel wpadła na niego, odsunęła się i przeprosiła odruchowo.

– Nie szuka panna przypadkiem Melisandry?

– Tak, rzeczywiście. Znasz ją? Wiesz, gdzie mieszka?

– Wszyscy ją tu znają. Trzeba było mówić od razu, że panna chce iść do *soutzhau* Melisandry. Zaprowadzę krótszą drogą.

Chłopiec spełnił obietnicę i wkrótce stanęli przed przysadzistą, trzypiętrową kamienicą z czerwonego kamienia. Wejście do budynku znajdowało się w łukowato sklepionej bramie.

Weszli na klatkę schodową, którą czuć było stęchlizną. Chłopak odebrał obiecaną nagrodę, a potem niespodziewanie wyciągnął rękę.

– Alo! jestem – przedstawił się.

Potrząsnęła jego dłoń.

– Isabel. – Słowa „hrabina de Fontmartis” nie chciały przejść

jej przez gardło. Gdyby tę scenę zobaczył jej mąż, niechybnie straciłby resztki sympatii, jaką żywił jeszcze dla żony.

– Co cię opętało, żeby łaźnić samej po takiej dzielnicy? Czemu, do licha, nie przyszedł z Marcelinem?

Isabel zamruwała, starając się powstrzymać napływające łzy. Miała nadzieję, że spotkanie w cztery oczy, bez milczącego potępienia hrabiego i gadatliwej obecności matki, sprawi, że na powrót zbliżą się do siebie z siostrą. Tymczasem Melisandra, zamiast pożałować spoconej i wystraszonej Isabel, zaczęła robić jej wymówki.

Mel zobaczyła, że siostra jest bliska płaczu.

– Mniejsza o to – powiedziała pośpiesznie. – Usiądź... hm, na łóżku. Jak ci się podoba moje mieszkanie?

– Śliczne – odparła Isabel takim tonem, jakby zapewniała umierającego człowieka, że wygląda wyjątkowo zdrowo. Nie wierzyła, że komuś może naprawdę podobać się życie w takim miejscu. Mieszkanie Mel składało się z sypialni i czegoś w rodzaju salonu czy gabinetu. W sypialni jedynymi meblami były proste, drewniane łóżko i skrzynia na ubrania, w gabinecie natomiast stół i krzesło – oba te sprzęty zawałono książkami, które z braku półek leżały także w stosach pod ścianami. Zarówno sypialnia, jak i salon znajdowały się w opłakanym stanie. Deski podłogi były wypaczone, a ze ścian luszczyla się farba. Jedynym w miarę luksusowym przedmiotem był stojący na kominku osobliwy zegar – wykonany ze szkła, tak iż można było podziwiać znajdujący się w środku mechanizm.

Isabel uczepliła się tego zegara, jak tonący chwyta się deski.

– Cóż za niezwykła rzecz – powiedziała. – Gdzie to kupiłaś?

– Pewien człowiek robi je na zamówienie. Lubię mechanizmy.

– Mel roześmiała się. – Czasem mi się zdaje, że wolę je od ludzi. Ludzie ze swymi uczuciami są tak chaotyczni i skomplikowani. Mechanizmy są prostsze.

– Powiedz, mi, Mel, co się dzieje w mieście? – Isabel zmieniła temat. – Dlaczego w gazetach nie reklamują się już uzdrowiciele ani czarownicy? Czemu na murach pełno jest

wyzwisk pod adresem ludzi, którzy parają się magią? Dlaczego nikt już nie nosi amuletów? Mama mówiła mi, że to dlatego, bo ktoś zginął. To prawda?

Melisandra skinęła głową.

– Usiądź, opowiem ci wszystko.

Delmayowie nie byli rodziną znaną ani bogatą i pod koniec lata o śmierci pułkownika zwyczajnie zapomniano. Zupełnie inaczej sytuacja wyglądała, gdy w pierwszych dniach września zginęła następna osoba.

Josselin Lambert La Veilhe był, najprościej mówiąc, pasożytem, ale pasożytem nieszkodliwym, jeśli może istnieć coś takiego. Każde społeczeństwo ma niejako wliczone w koszty utrzymanie paru takich utracjuszy, na których wybryki przymyka się oko. Mając nieco ponad dwadzieścia lat, odziedziczył po stryju spory majątek, ale szybko go przehulał. Odtąd żył z tego, co pożyczyci mu przyjaciele, albo z tego, co jego staremu, wiernemu służącemu udało się wziąć na kredyt. Choć dobiegał już czterdziestki, należał do kręgu quinsonskiej złotej młodzieży. Dnie spędzał na zabawach, a noce najczęściej w palarni opium. Był nałogowcem, o czym wiedzieli już wszyscy, choć jemu zdawało się, że nie wie nikt. Mieszkał w Vijon, w otoczonej ogrodem willi – nawiasem mówiąc, obciążonej hipoteką do granic możliwości. W ogrodzie miał przytulnie urządzoną altankę, w której przyjmował dyskretne wizyty panien i mężatek.

La Veilhe zginął o świcie, podobnie jak pułkownik Delmay. Kochanka wymknęła się przez ogrodową furtkę, a on wrócił do altanki. Parę godzin później stary Tillon, służący rodzinie La Veilhe od prawie pięćdziesięciu lat, zapukał do drzwi, a gdy nie doczekał się odpowiedzi, wszedł do środka.

Josselin Lambert La Veilhe leżał na podłodze, a wokół jego głowy rozlewała się kałuża krwi. Zginął od ciosu siekierą. Morderca musiał być człowiekiem wysokim i silnym, bo rana była bardzo głęboka. Lewego oka w ogóle nie dało się rozpoznać, a prawe wypłynęło na policzek i zatrzymało się na

skrzydelku nosa. I znów, podobnie jak w przypadku pułkownika Delmaya, zabójca starannie wymazał wspomnienia ofiary. Następnego dnia do redakcji „La Vertât” nadszedł anonimowy list o niemal identycznej treści jak poprzedni – jedynie nazwisko ofiary i okoliczności zabójstwa zostały zmienione.

Naturalną kolejną rzeczą policja próbowała ustalić związek pomiędzy tymi dwoma mężczyznami. Pułkownik i La Veilhe obracali się jednak w różnych kręgach towarzyskich i nie wskazywało, by kiedykolwiek mogli się spotkać.

A tymczasem Quinson wpadło w panikę. Pierwsze morderstwo przeszło niemal bez echa. Po drugim ludzie zrozumieli, że nie był to jednostkowy przypadek. Wróciły czasy, gdy należało strzec się czarowników, bo ich wiedza obraca się przeciw przyzwoitym obywatelom.

Tak jak wcześniej magia była modna, tak teraz zaczęto bojkotować wszystko, co wiązało się z wiedzą tajemną. Gazety podsycaly niepokój, drukując artykuły opisujące zbrodnie, których w ciągu ostatnich lat dokonano przy pomocy magii. Codziennie w prasie pojawiały się zjadliwe paszkwile, szpalty ozdobione były karykaturalnymi rysunkami czarowników o szalonych oczach i wykrzywionych nienawiścią twarzach, a księża prześcigali się w wygłaszaniu płomiennych kazań potępiających czary. W Quinson wrzało jak w garnku. Winą za śmierć obu mężczyzn obarczano bliżej nieokreślonego „maga-cudzoziemca”, bo, rzecz jasna, żaden z praworządnych obywateli nie wierzył, by takich czynów mógł dokonać jego rodak. Nienawiści towarzyszył strach. Ludzie, niepewni jutra, modlili się żarliwiej niż dawniej, kościoły zaczęły się zapełniać, a święci odzyskiwali dawne siły.

Melisandra odłożyła książkę i zdmuchnęła płomień świecy.

– Isabel, czy ty jesteś szczęśliwa? – zapytała dzisiejszego wieczoru, prowadząc siostrę przez gwarne ulice Gouttenegre w stronę postoju dorożek.

Isabel zatrzymała się, spojrzała na Mel.

– Tak, oczywiście – odpowiedziała szybko, zbyt szybko.

Mel skrzywiła się.

– Nie wierzę. Guillem de Fontmartis jest...

– Jaki?

– To nie jest dobry człowiek. – Była świadoma, że jej słowa zabrzmiały dziecinnie, ale nic ją to nie obchodziło. – Sporo o nim wiem. Hrabia nie zawsze był tym uprzejmym arystokratą o nienagannych manierach, którego tak podziwia quinsońska socjeta. To były żołnierz. Ma na rękach krew wielu niewinnych ludzi.

– I sądzisz, że mógłby się zwrócić przeciwko mnie? Być wobec mnie okrutnym? Bić mnie?

Isabel mówiła lekko, z kpiącym uśmiechem, ale Mel pozostała poważna.

– Nie, nie sądzę. Hrabia nigdy nie uderzyłby damy. Ale i tak życie z nim musi być ciężkie. Posłuchaj mnie, Belino. Wychodząc za niego, postąpiłaś jak idiotka, ale to da się jeszcze naprawić. Postaraj się o rozwód...

Idąca całą szerokością ulicy grupa podchmielonych studentów rozdzieliła je na chwilę. Gdy studenci przeszli, Mel ujrzała wpatrzone w nią oczy siostry. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że ostatnie miesiące zmieniły Isabel. Wychodząc za męża, wyglądała i zachowywała się jak mała dziewczynka, teraz – mimo nieśmiałości, która nadal wydawała się dominującą cechą jej charakteru – była dojrzała i poważniejsza.

– Dla ciebie wszystko jest takie proste – powiedziała z goryczą. – Czy ty sobie w ogóle zdajesz sprawę z tego, co dla kobiety oznacza rozwód? Zdajesz sobie sprawę, że taka kobieta automatycznie staje się wyrzutkiem społeczeństwa, że nikt przyzwoity nie chce jej przyjmować ani nawet znać? Ale dla ciebie nie ma to znaczenia, prawda? Mieszkasz w tej dzielnicy i...

– I sama jestem wyrzutkiem społeczeństwa, jak to ładnie określiłaś. Mimo wszystko sądzę, że to lepsze niż życie z kimś takim jak hrabia de Fontmartis.

Isabel potrząsnęła głową i wsiadła do wolnej dorożki.

– Jestem szczęśliwa, uwierz mi. Uwierz i daj mi spokój –

rzuciła na pożegnanie.

Na wspomnienie tej rozmowy Mel zacisnęła dłonie w pięści.

Tej nocy znów przyśniła jej się Isabel. Melisandra już prawie zapomniała o tamtych snach, które miewała wiosną. Ten był niezwykle do nich podobny i na powrót obudził w niej lęk.

Isabel, taka wyciszona, nieszczęśliwa Isabel, stoi na środku pokoju. Przez szpary w okiennicach przesącza się czerwone światło zachodzącego słońca, w kątach zalegają niepokojące cienie. Dziewczyna nalewa wody z dzbana do misy. Przygląda się swoim dłoniom, zanurzonym w wodzie. Płacze. Mel wie, że ten sen jest ważny i nie chce się przebudzić, mimo iż strach przygniata jej piersi. Chce wiedzieć, co wydarzy się dalej. Do głowy przychodzi jej pytanie: dlaczego Isabel jest taka nieszczęśliwa i dlaczego okiennice w pokoju są już zamknięte, choć nie zapadł jeszcze zmrok?

– Dokąd pójdziemy? – spytała Melisandra kuzyna.

Stali tuż przy postoju dorożek, zastanawiając się, czy wziąć jedną, czy też pójść piechotą i dokąd właściwie mogliby się wybrać. Mijający ich ludzie z niechęcią spoglądali na męski strój dziewczyny.

– Chodźmy obejrzyć ducha – zaproponował Marcelin lekko znudzonym tonem, podkreślając, że godzi się na tak dziecinną rozrywkę tylko z braku innych propozycji. Ostatnio bardzo spoważniał, tak jakby ósmego września, gdy skończył siedemnaście lat, zrzucił z siebie skórę dziecka i od razu stał się dorosły.

– Wiesz – ciągnął – na placu Gavardès dwa miesiące temu pobiło się dwóch bandytów. Jeden z nich zmarł i odtąd duch zamordowanego pojawia się tam każdego piątku o czwartej po południu. Właściciele kamienic wokół placu wynajmują chętnym widzom okna za pięć eccu.

– Duchy to ja mogę widywać za darmo – zaprotestowała Mel.

– To co proponujesz?

– W Instytucie Badań Magicznych jest dziś otwarty wykład o naturze magicznej rzeczywistości. Może pójdziemy?

Chłopak wykrzywił się. Przez moment przypominał dawnego Marcelina.

– Na wykład? Chyba żartujesz! Zresztą – niespodziewanie zmienił ton i wzruszył ramionami – jeśli ci zależy...

Melisandrze na wykładzie aż tak bardzo nie zależało, znała to wszystko na pamięć. Interesowała ją osoba wykładowcy.

Doktor Aleixandre Lial. Człowiek, który pisał do Yanhsevite'a, dziękując za pomoc i prosząc o dyskrecję.

W ogromnej sali wykładowej było sporo ludzi. Większość publiczności stanowili studenci i uczniowie na wagarach. Mel zauważyła też kilka arystokratek, którym najwyraźniej nie przeszła jeszcze chęć zabawy w magię, i kilku obdartusów. Ci z kolei wyglądali na fałszywych magów, którzy przyszedli tu po to, by liźnąć nieco naukowego żargonu.

Marcelin i Melisandra znaleźli sobie miejsca w pierwszym rzędzie. Doktor Lial okazał się wysokim, dość jeszcze młodym człowiekiem. Nosił okrągłe okulary i miał strzechę rozwichrzonych, siwiejących włosów, ale poza tym w niczym nie przypominał popularnego wizerunku roztargnionego naukowca. Był opalony, sprawiał wrażenie silnego i wysportowanego.

Przestawił stojący na biurku wazonik z kwiatami. Otworzył i zamknął jakiś zeszyt, a potem powiódł zakłopotanym spojrzeniem po zgromadzonych w sali ludziach. Jednak gdy zaczął wykład, jego zakłopotanie znikło, a głos, odbijając się od wysoko sklepionego sufitu, brzmiał tak wyraźnie, jakby znajdowali się w kościele.

Zaczął od wyrysowania na tablicy schematu świata.

– Istnieją dwie rzeczywistości – mówił. – Ta pierwsza, znana nam wszystkim, dostępna zmysłom każdego człowieka, której badaniem zajmują się takie nauki jak biologia, chemia czy fizyka. I ta druga, którą zajmujemy się w naszym Instytucie. Najczęściej nie osobiście, ponieważ w naszych badaniach musimy opierać się na słowach ludzi obdarzonych specyficznymi zdolnościami, świat ten bowiem, choć wszyscy

odczuwamy skutki jego działania, jest dostępny tylko dla garstki wybrańców. Ile osób na tej sali posiada zdolności magiczne?

Zgłosili się wszyscy obszarpańcy, jeden czy dwóch studentów, a także – po długim namyśle – pewna bogato ubrana kobieta. Mel siedziała bez ruchu.

Doktor Lial uśmiechnął się.

– Zadaniem magów jest bronić ludzkość przed potęgami z tamtego świata, a także, w miarę możliwości, wykorzystywać ich moc na naszą korzyść. Bez magów bylibyśmy niczym więcej niż garstką przerażonych ludzi, którzy nie mają pojęcia, co się wokół nich dzieje. Niestety, nawet dla czarowników ten drugi świat, zwany przez wielu ludzi światem pozazmysłowym, jest w dużej mierze niezrozumiały. Zamieszkują go przeróżne istoty: bogowie, demony i święci. Przywykło się uważać, że niektóre z nich są dobre, a niektóre złe, ale to nieprawda. Większość z nich może być dobra lub zła w zależności od kaprysu. Istoty te przeważnie nie mają własnej postaci. Wyglądają tak, jak spodziewamy się, że będą wyglądały. Dla Okcytańczyka demon może być przystojnym panem we fraku, dzikusowi zaś ta sama postać jawi się jako półnagi człowiek, noszący na karku zwierzęcą głowę.

Przyjrzyjmy się teraz postaciom świętych. Nasz Kościół opiera się przecież na kulcie świętych. To oni uzdrawiają chorych, to z ich pomocą wypędza się diabły. Nasz Bóg nie czyni cudów, na tym właśnie polega jego wyjątkowość. Gdyby popisywał się przywracaniem do życia umarłych, nie różniłby się niczym od pogańskich bogów, którzy od wieków czynią to samo.

Kilkaset lat temu wiara ludzi była tak silna, a ich modły tak częste i gorące, że święci codziennie czynili cuda. Ślepcy odzyskiwali wzrok, bezpłodne kobiety rodziły dzieci, konający podnosili się z łóżek, jakby nigdy nie chorowali, ba, zdarzyło się nawet kilka oficjalnie potwierdzonych przez Kościół przypadków zmartwychwstania. Był to bardzo zły czas dla złodziei, nierządnic, cudzołożników i czarownic, czyli dla tych wszystkich, którzy z takiego czy innego powodu zostali uznani przez bogobojnych obywateli za grzesznych. Święci nie

tolerowali zwłaszcza czarów, chyba że to jeden z nich obdarzył wybrańca magicznym darem. Ale wtedy Kościół nie mówi o magii, a jedynie o człowieku obdarzonym specjalną łaską świętego, choć w gruncie rzeczy chodzi o tę samą wrażliwość na świat pozazmysłowy. Wtedy właśnie Okcytańczycy zdobyli Nea'nhel–te. Pierwszą rzeczą, jaką zrobili osadnicy na nowym lądzie, było otoczenie prowizorycznego osiedla drewnianym płotem i powtykanie pomiędzy sztachety medalików z wizerunkami świętych. Z czasem, gdy osada rozrosła się w miasto, święta Maria Natalena została oficjalną patronką Quinson, a w starciu z młodą, silną wiarą neaheliccy bogowie nie mieli szans.

Wróćmy jednak do postaci świętych. Kim oni są? W większości to ludzie, którzy dzięki sile wiary zyskali tyle mocy, by po śmierci pozostać przez jakiś czas w duchowej formie i pomagać ludziom. Problem w tym, że, jeśli wolno mi się tak wyrazić, przebywanie w tamtym, pozazmysłowym świecie deprawuje. Istoty, które za życia były łagodne i dobre, po śmierci stają się nieprzewidywalne i kapryśne. Więcej, w tamtym świecie wszystko jest płynne i zmienne, więc byty te mogą zlać się w jedno z innymi bytami, także pogańskimi. Niektórzy święci byli niegdyś neahelicznymi bogami. Istoty te stają się tym, kim chcemy, aby były. Jeśli życzymy sobie, by święty taki to a taki chronił dzieci, a prześladował cudzoziemców–innowierców, jeśli modlimy się do niego w takich właśnie sprawach, to święty szybko staje się specjalistą w tym zakresie. Bycie świętym, tak jak bycie bogiem czy jakkolwiek z istot zamieszkujących świat pozazmysłowy, ma swoje wady. Żaden z owych bytów nie potrafi nawiązać kontaktu z Bogiem, tak jak potrafi to uczynić żyjący człowiek. Tylko człowiek może rozmawiać z Bogiem. Ale udaje się to jedynie nielicznym, tak nielicznym, że wielu ludzi w ogóle nie wierzy w istnienie Jedyne-go, Nieśmiertelnego Boga. Kościół nie lubi takich rozważań, tak jak nie lubi magii. Księża uważają, że istoty z tamtego świata dzielą się na dobre i złe – dobre należy o pomoc prosić, złe natomiast zwalczać. W tej wersji wydaje się to proste? Prawda jest znacznie bardziej

skomplikowana. Według nauk Kościoła jakakolwiek ingerencja magicznie uzdolnionego człowieka w tamten świat niechybnie wydaje duszę czarownika na pastwę demona zwanego popularnie diabłem. Jest w tym ziarno prawdy. Magia jest niebezpieczna i wielu czarowników, czy to niedostatecznie silnych, czy też niewystarczająco wykształconych, zostaje opętanych. Prawdą jest jednak, że magia daje znacznie większe możliwości niż to, co skłonny jest zaakceptować Kościół. Kiedy prosimy istotę z tamtego świata o pomoc – jesteśmy uzależnieni od jej kaprysu. Jeśli natomiast podporządkujemy ją sobie – to my jesteśmy panami, my możemy rozkazywać.

Odetchnął.

– Na dziś wystarczy. W przyszłym tygodniu porównam wiedzę magiczną sprzed wieków z osiągnięciami współczesnej nauki.

Wyjął z kieszeni chustkę i przetarł okulary. Mel i Marcelin podeszli do niego.

– Panna Melisandra d’Aleume. – Naukowiec rozpoznał ją bez trudu. – Dlaczego nie zgłosiłaś się pani, gdy pytałem o magicznie uzdolnionych?

– Chcesz pan uczciwą odpowiedź? Nie mam zielonego pojęcia. Roześmiał się, odsłaniając duże, bardzo białe zęby.

– Interesuję się pracą Instytutu – powiedziała Mel. – Czy mógłbyś mnie pan oprowadzić tak, abym mogła się zapoznać z waszymi badaniami?

Doktor Lial zerknął na Marcelina i zakłopotał się. Wazonik z kwiatami znowu powędrował na drugi koniec biurka.

– Myślę, że byłoby to możliwe – odparł – ale musiałbym wcześniej uzgodnić termin pani wizyty z moimi kolegami. Proszę mi zostawić adres, a ja napiszę do pani, dobrze?

Wyglądało na to, że Aleixandre Lial nie ma nic przeciwko wizycie Melisandry w Instytucie. Nie chce jedynie, by towarzyszył jej kuzyn.

Przy pożegnaniu naukowiec raz jeszcze sięgnął po wazonik i wyjął z niego bukiet.

– Piękna kobieta powinna od czasu do czasu dostać kwiaty – oznajmił.

Marcelin parsknął śmiechem, widząc, jak jego zazwyczaj tak

pewna siebie kuzynka rumieni się, a potem niesie bukiet w sztywno wyciągniętej ręce, jakby nie wiedziała, co należy z nim zrobić.

Mailis wiedziała, że nie wolno jej tej nocy zasnąć.

Wieczorem zeszła ukradkiem do kuchni i naląła sobie do kubka resztkę kawy, która została po kolacji. Usiadła na podłodze i zerknęła przez uchylone drzwi dziecinnego pokoju.

Zegar właśnie wybił północ. Dziewczynka po lewej widziała drzwi prowadzące do sypialni macocha, po prawej drzwi pokoju ojca. Upiła łyk kawy. Była obrzydliwa. Mailis zastanawiała się, jak dorosłym może coś takiego smakować. Wiedziała jednak, że musi wytrzymać do drugiej, może nawet do trzeciej w nocy. Macocha z pewnością nie zdecyduje się na ucieczkę, zanim jej mąż nie zaśnie. Felip Gardilhe, ojciec Mailis, cierpiał na bezsenność i do późna w nocy pisał listy, próbował czytać gazety albo po prostu spacerował od ściany do ściany, rozdrażniony jak lew w klatce.

Dziewczynka w swoim krótkim, niespełna dziesięcioletnim życiu zdążyła się już nauczyć paru rzeczy. Przede wszystkim tego, że cokolwiek złego wydarzy się w domu, ojciec najprawdopodobniej ukarze właśnie ją, swoją jedyną córkę. Kiedyś, gdy żyła jeszcze mama, było trochę lepiej. Ale pierwsza żona Felipa Gardilhe'a zmarła cztery lata temu i od tego czasu Mailis nosiła w sercu gorycz. Mama nie była ostatnią osobą, która ją porzuciła. Żadna służąca nie wytrzymała w domu Gardilhe'a dłużej niż parę miesięcy. Uciekały nocą, przez okno, nawet nie myśląc o tym, by upomnieć się o wypłacenie zaległych pensji. Teraz domem zajmowała się pewna stara chłopka, małowówna i silna jak koń. Ale dziewczynka nie miała złudzeń – ona też odejdzie, tak jak odchodzili wszyscy.

Felip Gardilhe lubił bić ludzi, lubił także zadawać im ból w inny sposób.

A dzisiaj z domu zamierzała uciec macocha. Cicha, skromna macocha. Do czasu. Dzisiejszego popołudnia Mailis znalazła króciutki, straszny list.

Będę czekał przy furtce, choćby i przez całą noc. Wierzę, że uda Ci się uciec. Zabiorę Cię tam, gdzie będziemy bezpieczni, gdzie on nigdy nas nie znajdzie. Kocham Cię.

A jeśli macocha ucieknie, gniew ojca znów zwróci się przeciwko córce.

Poczuła, że zbiera się jej na płacz. Odstawiła kubek z kawą i przez chwilę szlochała w fartuszek, cichutko, tak by nie ściągnąć na siebie uwagi ojca. Czasami zdawało jej się, że ojciec jest kimś w rodzaju Boga, że jego wzrok przenika ściany, a umysł bada myśli domowników, doszukując się w nich najdrobniejszych oznak buntu.

Nie było przed nim uciezki, przynajmniej nie dla niej. Znalazłby ją nawet na końcu świata i zadusił jak kurczaka.

Z pokoju macochy dobiegł hałas. Mailis przestała płakać i podniosła głowę. Przez cały czas zastanawiała się, co robi, gdy zobaczy, że macocha wymyka się z domu. Może rzuci się jej do nóg i ubłaga, by została.

A może po prostu powie ojcu. Wtedy ojciec zbije macochę, a nie ją.

Cicho, cichuteńko otworzyła szerzej drzwi i posuwając się na czworakach, podeszła do pokoju macochy. Serce dziewczynki biło raz bardzo szybko, po czym znów zamierało, jakby nie chciało mu się już tłoczyć krwi.

Podniosła się i zajrzała przez dziurkę od klucza. Poczuła, jak w gardle znów wzbiera jej płacz.

Macocha, rzucając pełne lęku spojrzenia na drzwi, pakowała walizkę.

Mailis zastanawiała się gorączkowo, co robić. Nadal idąc na czworakach, podeszła do pokoju ojca. Tu nie musiała patrzeć przez dziurkę od klucza. Drzwi były leciutko uchylone, widziała plecy siedzącego przy biurku mężczyzny.

W tym momencie Felip Gardilhe ze złością zmiął kartkę, na której pisał, i cisnął ją za siebie. Potem zaklął paskudnie, obrócił się i pochylił jednocześnie. Chwycił zgnieciony papier, a gdy podniósł głowę, jego wzrok padł wprost na błyszczące w

szparze drzwi oko córki. Zaklął raz jeszcze i wstał tak gwałtownie, że krzesło przewróciło się na ziemię. Mailis nawet nie próbowała uciekać. Zwinęła się w kłębek, chroniąc rękami głowę, i zamarła w bezruchu.

Słyszała kroki ojca. Raz i szurnięcie, gdy dostawiał sztywną lewą nogę do sprawnej prawej. Dwa i znów szurnięcie. Ale po chwili kroki ucichły. Mailis nadal nie odważyła się poruszyć. Najpewniej, przemknęło jej przez myśl, ojciec nie chce mnie bić pięściami. Może weźmie pogrzebacz sprzed kominka, może coś innego. Może tym razem mnie zabije.

Wówczas usłyszała jęk i odgłos, jakby worek ziemniaków zwałił się na ziemię. Palce dziewczynki musnął powiew powietrza. Dopiero wtedy odsłoniła oczy.

Drzwi były teraz szeroko otwarte, a na progu, dwa cale od jej twarzy, leżała głowa ojca. Spoglądali na siebie przez chwilę.

Mężczyzna poruszył ustami.

– Pomóż... – wyszeptał.

Nie odpowiedziała. Gdy oczy ojca zaczęła zasnuwać mgła śmierci, wycofała się jak rak do swojego pokoju. Zamknęła drzwi i naciągnęła na głowę koc, głęboko przekonana, że o tym, co widziała dzisiejszej nocy, do końca życia będzie milczeć jak grób.

– „Felip Gardilhe zginął za to, co uczynił jednemu z nas. Podszedłem i wbilem mu w serce nóż. Miał lekką śmierć, choć zasługiwał na większe cierpienia. Niczego nie żałuję” – przeczytał Sevrin, po czym spojrzął na drobnego sędziego śledczego, unosząc w zdumieniu brwi.

– To oryginał? – spytał.

– Tak – odparł Surges. – Redakcja „La Vertàt” dostała list dziś przed południem. Co o tym sądzisz?

– Sądzę – powiedział Sevrin, kładąc list na stercie starych czasopism, które piętrzyły się na maleńkim stolczku – że morderca ma dość osobliwy charakter. Wykazuje znacznie większą inwencję w pozbawianiu życia niż w pisaniu listów. Pułkownik Delmay zginął od kuli, La Veilhe od ciosu siekierą, a

ostatnia ofiara od noża. A tymczasem wszystkie listy, które dostała „La Vertàt”, są niemal identyczne.

– Wiesz, kim był Gardilhe?

– Wiem. Brutalem i okrutnikiem. Parę razy sędzono go za pobicie, raz nawet za próbę zabójstwa. Ale za każdym razem udało mu się wymigać.

– A wiesz, w jaki sposób zarabiał kiedyś na życie?

Sevrin pokręcił głową.

– Był katem. Podobno bardzo gorliwym katem. A teraz zgadnij, gdzie pracował.

Sevrin domyślił się już, jak brzmi odpowiedź, ale nie chciał odbierać Surgesowi satysfakcji.

– Gdzie? – spytał grzecznie.

Sędzia śledczy spojrział na niego z triumfem.

– W okręgu Vassivière.

Ostatnimi czasy rozpytywanie o magów mogło ściągnąć na głowę pytającego sporo kłopotów, ale Marty wierzył, że sobie poradzi. Sevrinowi potrzebny był czarownik i chłopak zamierzał mu go dostarczyć – żywego bądź martwego.

Pierwszą osobą, do której udał się Marty, był pewien aptekarz. Człowiek ten sprzedawał niemal wyłącznie magiczne specyfiki i szczyił się swoją wiedzą o czarach. Sam po trosze uważał się za czarownika.

Marty odczekał, aż z apteki wyjdzie jedyna klientka – biednie ubrana staruszka – i wszedł do środka. Z porozumiewawczym uśmiechem minął stojącego przy ladzie subiekta, a potem wślizgnął się na zaplecze. Zagadnął właściciela, udając, że nie widzi, co tamten robi – aptekarz bowiem zajęty był przemalowywaniem widniejących na szklanych buteleczkach nazw „proszek magiczny” na „proszek egzotyczny”.

Żona Gardilhe’a zniknęła tej samej nocy, której został zabity jej mąż, a z córki dopiero dwa dni później sędziemu śledczemu udało się wydobyć parę sensownych zdań. Dowiedział się

wtedy czegoś, co głęboko go zdumiało.

– Powiedz mi – Surges był naprawdę mocno zirytowany – jakim cudem ten człowiek został zamordowany, skoro mała twierdzi, że w pokoju nikogo nie było? Rozumiem, że morderca jest magiem. Ale nigdy nie słyszałem o niewidzialnych czarownikach wbijających ludziom noże w pierś!

Sevrin przekazał pytanie Melisandrze. Dziewczyna roześmiała się.

– Pokażę ci, jak można coś takiego zrobić. Bądź dzisiaj późnym wieczorem w domu.

Tak więc Sevrin czekał teraz w salonie, słuchając odgłosów pogrążonego we śnie domu – tykania zegara i skrzypu okiennic, o które uderzał wiatr. Pokój oświetlał jedynie płonący ogień. Dzisiaj Sevrin po raz pierwszy kazał rozpalić w kominku. Dnie wprawdzie były jeszcze ciepłe, ale rano i wieczorem czuło się już jesienny chłód.

Było ciemno i cicho. Sevrin poczuł, że zaczyna ogarniać go senność. Sięgnął po zapalki, by zapalić lampę i poczytać trochę.

W tym momencie dostrzegł postać siedzącą w jednym z foteli. Opanował odruch zdziwienia. Przytknął płonącą zapalkę do knota i nałożył klosz. Żółty krąg światła padł na twarz Melisandry. Sevrin wiedział już, że nie ma przed sobą żywej osoby. W fotelu siedziało coś, co magowie nazywali widmową postacią czy krócej: widmem. Widmo powstawało, gdy czarownik zapadał w trans, a jego oddzielona od ciała dusza wędrowała swobodnie. Zdolniejsi potrafili nadać jej widoczną dla ludzkiego oka postać. Wyrazistość tej postaci zależała od siły wyobraźni maga i jego pamięci szczegółów. Im dokładniej potrafił on odtworzyć we własnym umyśle wygląd danej osoby, tym widmo było wyraźniejsze. Te, które Sevrin widywał dotychczas, wyglądały jak szare cienie, w których z trudem można było rozpoznać ludzką sylwetkę.

Ale siedząca w fotelu dziewczyna niczym nie różniła się od prawdziwej Melisandry. Tym razem ubrana była nie w czerwień, a w błękit, ale była w niej ta sama nonszalancka niedbałość połączona z chęcią zwrócenia na siebie uwagi. Dół jaskrawej, rzucającej się w oczy sukni był wystrzępiony, a przy

dekolcie brakowało guzika. Melisandra z łatwością mogła w tej chwili nadać sobie wygląd osoby ładniejszej i lepiej ubranej. Nie zrobiła tego, kierowana być może wrodzoną uczciwością, a może po prostu dumą ze swej pamięci szczegółów.

– W ten sposób zginął Felip Gardilhe? – spytał Sevrin. – Nie chce mi się wierzyć. Widmo nie może posługiwać się przedmiotami takimi jak nóż.

– Owszem, może – zaprotestowała. – To niełatwe, ale możliwe. Nóż należał do Gardilhe’a, prawda?

– Tak. Leżał na biurku. Teoretycznie służył do rozcinania papieru, ale był tak ostry, że można by go używać zamiast chirurgicznego skalpela. Ponoć Gardilhe lubił straszyć nim ludzi.

– Masz może podobny?

Podniósł się i wrócił po chwili, trzymając w ręce brązowy nóż do papieru.

– Znacznie bardziej tępy niż tamten, ale podobnej wielkości i wagi.

Chciał położyć nóż na stoliku, ale dziewczyna wyciągnęła rękę i wzięła go od niego. Poczul dotyk jej palców – ciepłych, nieróżniących się niczym od palców żywego człowieka.

Mel z rozmachem wbiła nóż w gładką powierzchnię stolika. Ostrze zagłębiło się w drewno na jakieś ćwierć cala. Sevrin był pod wrażeniem. Zbudziła się w nim ciekawość. Zastanowiło go, jak długo Melisandra będzie w stanie podtrzymywać iluzję własnej postaci. Magowie, których znał, potrafili przebywać poza własnym ciałem nie więcej niż przez kwadrans, a jeśli dochodziło do tego nadanie widmu konkretnej postaci, czas ten skracał się do paru minut.

Usiadł i rozpoczął swobodną rozmowę.

– To daje odpowiedź na pytanie, w jaki sposób umarł Gardilhe – powiedział. – Ale nie wyjaśnia innych kwestii.

– Jakich? – Dziewczyna z uśmiechem podjęła wyzwanie.

– Na przykład te listy. Dlaczego pierwszy przyszedł tak późno, jakby morderca czekał, aż ciało pułkownika zostanie odnalezione, a za drugim i trzecim razem redakcja „La Vertàt” dostała anonim już w dzień po morderstwie? Dlaczego z tych

listów nie dało się odczytać żadnych gwałtowniejszych emocji, jakby człowiek ten, chcąc się pochwalić dokonaną zemstą, był jednocześnie dziwnie obojętny? Jedno przecież przeczy drugiemu, bo ktoś, kto zabił i jest z tego dumny, z pewnością obojętny nie jest. Dlaczego każda z ofiar zginęła w inny sposób? No i w końcu pytanie najważniejsze: dlaczego, na wszystkie demony piekła, dopiero za trzecim razem morderca wpadł na to, że może zabić, używając widma? Udowodniłaś właśnie, że dla zdolnego maga to sposób znacznie prostszy i szybszy. Wbijając nóż w serce Gardilhe'a, nie nadał sobie żadnej iluzorycznej postaci. Był niewidzialny, a więc oszczędzał czas, który w przypadku pozostałych ofiar musiał spędzić na wymazaniu ich wspomnień.

– I co, znalazłeś jakieś odpowiedzi?

Sevrin nie zwrócił uwagi na kpinę w jej głosie.

– Myślę, że tak, przynajmniej w części. Melisandro, czy ty kogoś kiedyś nienawidziłaś?

– Tak mocno, żeby planować jego śmierć? Nie.

Była to prawda. Mel w gniewie potrafiła być bardzo nieprzyjemna, ale nigdy jeszcze nie spędziła bezsennej nocy, zastanawiając się nad sposobem uśmiercenia takiej czy innej osoby.

– A ja tak – zaskoczył ją Sevrin. – Nienawidziłem pewnego sierżanta, który zwykł znęcać się nad młodymi żołnierzami. Jakby tego było mało, był przekonany, że jest to najzupełniej zgodne z porządkiem świata, może nawet z wolą boską. Ale gdybym wtedy po prostu strzelił mu w plecy, gdyby umarł, nie wiedząc, kto go zabił ani za co ginie, to nie sprawiłoby mi to żadnej satysfakcji. W moich fantazjach ból i śmierć nie były wcale najważniejsze. Przede wszystkim chciałem, by tamten pod wpływem cierpienia pojał, jakim był sukinsynem, by błagał mnie o wybaczenie. Myślałem, że taka lekcja mogłaby go czegoś nauczyć, uczynić lepszym człowiekiem. Dość dziecinne, przyznaję, musisz jednak wziąć pod uwagę, że byłem wtedy bardzo młody. Ktoś po zwierzęcemu okrutny i bezmyślny zadowoli się zadaniem cierpienia, natomiast człowiek, który chce żyć w zgodzie z prawem, będzie szukał przede wszystkim

potwierdzenia swoich racji. Pojmujesz?

Skinęła głową. Kiedyś uderzyła Andreę, który lubił ciskać w psy kamieniami. Nie po to, by go zranić. Po to, by zrozumiał.

– I sądzisz, że tak było i w tym przypadku?

– To możliwe. Powiedzmy, że zabójca chciał przed śmiercią ofiary spojrzeć jej w oczy, powiedzieć coś w rodzaju: „Widzisz, zrobiłeś kiedyś to i to, a teraz ja jestem górą i trzymam twoje życie w ręku. Zrozum, jak wiele zła wyrządziłeś. Żałuj za grzechy”. A dopiero potem zabił. To mogłoby nawet wyjaśnić, dlaczego każda z ofiar zginęła od innej broni. Idąc na spotkanie z Delmayem, zabójca wziął strzelbę, bo pułkownik nie dałby się zastraszyć byle czym. W przypadku La Veilhe strzelać nie chciał, bo altanka znajduje się zbyt blisko domu, a poza tym La Veilhe był wyniszczonym opium tchórzem i wystarczył widok siekiery, by zmusić go do posłuszeństwa.

– Nadal coś się nie zgadza – zaprotestowała Mel. – La Veilhe był idiotą, bardziej niebezpiecznym dla samego siebie niż dla innych, a pułkownik był surowy, może nawet okrutny, ale z pewnością nie dorównywał Gardilhe’owi. Gardilhe’a ludzie nazywali wcielonym diabłem, z tego, co słyszałam, ulubioną rozrywką tego człowieka było dręczenie i zadawanie bólu. Nie wiem, co ci trzej zrobili, by zasłużyć na taki los, ale nie wierzę, by akurat Gardilhe był z nich wszystkich najmniej winny.

– A właśnie Gardilhe został potraktowany najłagodniej – skinął głową Sevrin. – Nie przeżył przed śmiercią strachu ani upokorzenia. Pewnie nawet nie zdawał sobie sprawy z tego, że umiera. Masz rację, Melisandro, coś tu się nie zgadza.

– Chyba że przyjmiemy za pewnik słowa Nemanajczyka. Jeśli zabójca jest człowiekiem, w którym tkwi dusza demona, to trudno spodziewać się po nim ludzkiej logiki. Żałuję, że nie mogłam zapytać Nemanajczyka o coś więcej.

Gdy zginął La Veilhe, Mel odwiedziła Raverdy’ego, chcąc raz jeszcze porozmawiać z demonem. Tam jednak dowiedziała się, że Nemanajczyk – jak wyraził się dziennikarz, wycierając zażawione oczy – odszedł, by rozpocząć nowe, lepsze życie. Od tej chwili z Raverdy’ego pozostał strzęp człowieka, jego słynne pióro stępiło się, a sława zaczęła przygasać.

– Może i tak – niechętnie przyznał Sevrin. – Ale mnie się takie rozwiązanie nie podoba. Jest zbyt proste i zbyt mało prawdopodobne jednocześnie.

Na schodach rozległ się odgłos kroków, cichych i niepewnych. Ktoś podszedł do drzwi, ale nie odważył się wejść. Mel podniosła głowę. Była już zmęczona. Rysy jej twarzy były coraz mniej wyraźne, zdawały się falować jak odbicie na powierzchni wody.

– Kto to? – zapytała cicho.

– Myślę, że moja żona.

– W takim razie lepiej będzie, jeśli sobie pójdę.

Na pożegnanie pochyliła się i pocałowała Sevrina w policzek. Wyciągnął rękę, by jeszcze przez chwilę zatrzymać ją przy sobie, ale jego dłoń natrafiła na powietrze.

Zirytowany Sevrin podszedł do drzwi. Tak jak się spodziewał, na korytarzu stała dōna Angeleta, spoglądając na niego zaleknionymi oczami.

– Myślałam... – powiedziała niepewnie. – Myślałam...

– Co takiego? – rzucił ostro.

– Słyszałam rozmowę. Ktoś tu z tobą był?

– Nie, mówiłem sam do siebie – skłamała, nawet nie zadając sobie trudu, by zrobić to dobrze.

Nie spuszczała z niego oczu, w których widział strach. Dōna Angeleta miała coś w rodzaju instynktu, mniej ludzkiego, a bardziej zwierzęcego, który pozwalał jej wyczuć nadchodzące niebezpieczeństwo. Po długiej chwili drgnęła lekko, różowy koniec języka przesunął się po wargach.

– Zastanawiałam się tylko, czy znów chcesz mnie opuścić.

Zmarszczył brwi.

– Nie rozumiem, o czym mówisz – udał zdziwienie.

– Gdy zmarła nasza córka, wróciłam do domu rodziców. Nie było cię ponad cztery lata.

– Ach, to masz na myśli. – Świadomie przybrał wesoły, kpiący ton, choć wewnątrz gotował się ze złości. Mimo gniewu czuł się lekki jak piórko. Nigdy jeszcze umiejętność panowania nad sobą i oszukiwania ludzi nie sprawiały mu takiej przyjemności.

– Byłem młody, jak każdy dziesiętnastolatek marzyłem, by

zaciągnąć się do wojska. Obiecaliśmy sobie, że nie będziemy o tym mówić.

Zdezorientowana dōna Angeleta spoglądała w twarz męża, spodziewając się, że coś z niej wyczyta. To także sprawiało mu przyjemność – fakt, że ona nie potrafi odgadnąć jego myśli.

– Tak, ale...

– Angeleto, powiedziałem: dość.

Zamilkła posłusznie, ale w jej oczach nadal widział lęk. Mógłby ją uspokoić, tak jak czynił to od dawna – obejmując i przekonując, że wszystko jest dobrze. Ale tym razem nie zamierzał tego robić.

– Może gdybyśmy mieli dziecko... – zaczęła raz jeszcze.

Sevrin skrzywił się z niechęcią. Tamten dzień w pamięci większości quinsończyków zapisał się jako ten, w którym po raz pierwszy w mieście spadł śnieg. Dla Sevrina był to dzień, w którym zmarła jego córka. Nie chciał o nim pamiętać.

– Nie sądzę, by to coś zmieniło – powiedział spokojnie.

Cień, który zawisł nad Quinson, dla Melisandry miał kolor morza. Czasem miała wrażenie, że powietrze połyskuje seledynem, jakby spoglądała na miasto przez tafłę czystej wody. Zieleń i błękit, kolory niebezpieczeństwa. Nawet w wesołym Gouttenegre, gdzie mieszkańcy od dzieciństwa oswajani byli z magią, dawało się odczuć przyływ niechęci do czarowników. Magiczne specyfiki powędrowały na zaplecza aptek, wyciągane stamtąd tylko na wyraźne życzenie klienta, wystawiane w oknach kolorowe plansze reklamujące czarodziejskie usługi zmalały do rozmiarów wydartej z zeszytu kartki, a dobrze urodzeni, którzy przychodzili do Mel po pomoc, zaczęli skrywać twarze pod obszernymi kapturami. W innych dzielnicach sytuacja wyglądała jeszcze gorzej. Chodząc ulicami, dziewczyna mijała handlujące magicznymi akcesoriami sklepiki, w których powybijano okna, widziała też inwektywy wypisane na domach ludzi podejrzanych o czary. Raz była świadkiem, jak pewien młodzieniec zerwał swemu rówieśnikowi z szyi amulet, przeklinając przy tym i uderzając

tamtego w policzek. Widziała też młodą dziewczynę, która myła twarz w ulicznej fontannie. Palcem sprawdzała obłuzowane zęby, a z jej ust lała się krew. „Nie jestem czarownicą, nie jestem czarownicą”, szlochała, podczas gdy stojący kilka kroków dalej żandarm obojętnie wpatrywał się w nagie czubki jesiennych drzew. Mel zbliżyła się, by pomóc dziewczynie, ale ta zerwała się i odbiegła, zasłaniając ramieniem pokiereszowaną twarz.

Mel z przerażeniem oczekiwała, że inni magowie z Gouttenegre podzielą los Agustiny Fabre, ale nikt więcej nie zginął, a przynajmniej Mel nic o tym nie wiedziała. Zakrawało to na paradoks, ale dziewczyna najbezpieczniej czuła się właśnie w dzielnicy, w której została zabita stara czarownica. Tu nikt jeszcze nie spluwał jej pod nogi, nie przeklinał i nie rzucał w nią kamieniami. Pamiętając jednak o losie Agustiny Fabre, starała się nie wychodzić samotnie po zmroku, a i za dnia trzymała się miejsc, w których było dużo ludzi, choć zdawała sobie sprawę, że te środki ostrożności nie mają wiele sensu – w Gouttenegre mieszkańcy, słysząc krzyk, raczej ryglowali okiennice niż spieszyli na pomoc.

Wieczorami zasypiała niespokojnie, bo każdej nocy śniły jej się koszmary. Czasem w snach tych pojawiała się Isabel, czasem ludzie, których ledwo znała: pułkownik Delmay i La Veilhe, a nawet Gardilhe, którego nigdy w życiu nie widziała.

Pułkownik Delmay zginął z wyrazem osłupienia malującym się na twarzy. La Veilhe przyjął swój los bez godności – cały drżący, błagał o życie. Felip Gardilhe nawet nie wiedział, że umiera. Dla żadnego z nich nie było zmiłowania. Gdy ich martwe ciała leżały na ziemi, ktoś pochylił się i starannie, nie spiesząc się, usunął wszystkie wspomnienia.

Na przemian z tymi koszmarami, pełnymi przemocy i przelanej krwi, śniła się Melisandrze Isabel, zamknięta w mrocznym pokoju. Czy sny miały coś wspólnego z tym, co działo się w mieście? Mel nie wiedziała, choć przecież ona powinna znać odpowiedź. „Magia ma swoje kaprysy”, powiedział flegmatycznie Justy, gdy podzieliła się z nim wątpliwościami. „Nie dręcz się tym. Odpowiedź znajdzie się we

właściwej chwili”.

Rzecz w tym, że nie było już czasu, by czekać na właściwą chwilę.

Tym razem nie był to jej własny sen. Ktoś jej go przysłał, tak jak wsuwa się w szparę drzwi liścik z wiadomością.

Okrągła i wysoka na kilka pięter wieża jak szklanka wypełniona była zielonożółtą wodą. Przez wąskie okna wpadały do środka promienie słońca, oświetlając pływające w mętnej zawieszynie sprzęty: krzesła, kanapy, bibeloty i świece. Pośród tego wszystkiego unosiła się też Melisandra, ostrożna, ale i zaciękawiona. Nie chciała się budzić. Jeszcze nie.

Podpłynęła do okna i spojrzała. Na zewnątrz rozpościerało się miasto. Ulice były puste, stojące w zenicie słońce prażyło pędy bluszczu porastające opuszczone domy.

Pchnęła szybę. Woda chlusnęła szeroką strugą i dziewczyna znalazła się na jednej z ulic. Podniosła się i stanęła po kostki w wodzie. Zaczęła iść, przyglądając się miastu. Wszystko tu było wymarłe i ciche, wokół ani śladu ludzi.

Na jednym z placów ujrzała fontannę – trzy kobiety, obejmując się ramionami i z uniesionymi twarzami, spoglądały na górującą nad nimi sylwetkę mężczyzny na koniu. Twarze i piersi kobiet porastał wilgotny mech. Posąg jeźdźca błyszczał, jakby wykonano go wczoraj.

Wojownik zeskoczył z konia i stanął przed Mel.

– Kim jesteś? – spytała.

Nie miał już wyglądu posągowego bohatera. Teraz przypominał postać z balu przebierańców. Nosił czarny płaszcz i maskę przedstawiającą twarz Słonecznego Boga.

– Zdejmij maskę – poprosiła.

Wiedziała, że nieznajomy nie zechce pokazać jej, jak wygląda. Ale może spróbuje nadać sobie inną postać i zdradzi się nieświadomie, bo człowiek, próbując wyobrazić sobie jakąkolwiek twarz, prawie zawsze ma przed oczami twarz konkretną, kogoś, kogo zna.

Mężczyzna – o ile to w ogóle był mężczyzna – pokręcił głową.

– Spotkajmy się – powiedział cicho. Jego pozbawiony akcentu i intonacji głos brzmiał martwo. Zmieniał go świadomie. a to

znaczyło, że Mel mogłaby go w ten sposób rozpoznać. – Pojutrze o tej samej porze, tylko ty i ja. Musimy porozmawiać.

Tuż po przebudzeniu Mel przejrzała wszystkie rzeczy, które ostatnio od kogoś otrzymała. Aby przysłać sen, mag musiał najpierw dać jej coś, co później nosiła przy sobie albo przynajmniej trzymała blisko łóżka.

W sypialni stał wazonik z kwiatami, którymi obdarował ją Alexandre Lial. Melisandra nie wyrzuciła ich, choć kwiaty zdążyły już uschnąć – był to jedyny bukiet, który otrzymała od mężczyzny, i nie zanosilo się, że kiedykolwiek dostanie drugi. Ale Lial nie był magiem i dziewczyna skupiła się na innych przedmiotach. Długo myślała nad spinką do włosów, którą podarował jej Yeu. Wcześniej nie przyszło jej to do głowy, ale był to osobliwy prezent jak na czternastolatka. Prędzej pomyślałaby o czymś takim kobieta, która wie, jak bardzo długie włosy mogą przeszkadzać w czasie upałów, albo mężczyzna przyzwyczajony do dawania kobietom drobnych podarunków. Ale nie młodziutki chłopak. Możliwe więc, pomyślała, że to ktoś inny posłużył się Yeu, by przekazać spinkę.

Na wszelki wypadek postanowiła w najbliższym czasie niczego nie wyrzucać. Nieznajomy mag zaintrygował ją i nie miała nic przeciwko temu, by nadal przysyłał jej sny.

Przedstawienia *taghe-rasāt* odgrywano zawsze pod gołym niebem, w okresie od maja do końca października. Dzielily się na dwie części, pierwsza zaczynała się po zmierzchu i trwała do północy. Potem następowała przerwa, krótsza lub dłuższa, tak aby druga część zakończyła się dokładnie o świcie.

Już z daleka Mel widziała grupki ludzi podążających w stronę Miasta Snów. Szli pieszo, oświetlając sobie drogę latarniami, ale można było też zauważyć parę wozów, a nawet jedną elegancką karete. Gdy dotarła do na wpół zrujnowanego amfiteatru, większość miejsc była już zajęta. Na kamiennych,

ułożonych w okrąg stopniach siedzieli przede wszystkim ludzie z niższych warstw społecznych: służący, drobni rzemieślnicy i miejska biedota. Wielu z nich dopiero niedawno przybyło do Quinson. Pochodzili ze wsi albo z niewielkich miejscowości na północy wyspy i mieli w sobie znacznie więcej krwi neahelickiej niż dobrze urodzeni. Strach przed magią, jaki ogarnął Quinson, dotyczył przede wszystkim szlachty i mieszczaństwa. Najbiedniejsi nie byli podatni na histerię. Gazet nie czytali i problemy bogatych niewiele ich obchodziły. Nadal kupowali amulety i zaklęcia, a *taghe-rasāt* było dla nich jedną z niewielu dostępnych rozrywek.

Mel usiadła obok tęgiej kobiety trzymającej na rękach niemowlę. Killkoro dzieci biegało po okrągłej scenie, którą oświetlały pochodnie, osadzone na wbitych w ziemię, wysokich na kilkanaście stóp żerdziach. Ludzie gasili latarnie, milkły rozmowy, matki klapsami uspokajały dzieci. Mel gestem dłoni pozdrowiła Sevrina, którego dostrzegła w jednym z rzędów.

– Proszę mnie przepuścić – zabrzmiał zdesperowany głos za jej plecami. – Muszę siedzieć z przodu.

Odwróciła się. Przez tłum przeciskał się mężczyzna okutany w czarny, długi do ziemi płaszcz. Ludzie ustępowali mu z niechętnym pomrukiem. Łokciami wywalczył sobie miejsce pomiędzy tęgą kobietą a Melisandrą i sapnął, zadowolony z siebie.

– Ludzie są tacy nieżyczliwi – wygłosił w przestrzeń. – Przecież potrzebuję światła, by pracować.

Potem wyjął szkicownik, położył go na kolanach i zamarł nad nim z kawałkiem węgla w ręku. Mel spojrzała na niego. Nie zadała żadnego pytania, ale sama ciekawość w jej wzroku wystarczyła, by mężczyzna w płaszczu pospieszył z wyjaśnieniem.

– Jestem ilustratorem – powiedział. – Będę robił szkice do najnowszego wydania *Zgasłych świec* Cali.

Nie zdążyła odpowiedzieć, bo na scenę wkroczyli *taghāraumene*. Pięcioosobowa orkiestra, siedemnastu aktorów i dzieci, które pełniły rolę pomocników. Rozpoczęło się przedstawienie. Mel знаła specyfikę neahelickich *taghe-rasāt*.

Sztukę, zawsze tę samą, odgrywano bez dekoracji, za jedyne tło mając muzykę, która to cichła do ledwie słyszalnego dźwięku, to znów, w momentach dramatycznych, wybuchała dzikim jazgotem. Słowa sztuki nie zmieniły się od tysiącleci i teraz nawet aktorzy nie bardzo wiedzieli, o czym właściwie mówią. *Taghāraumene* dorastali ze swoją rolą i starzeli się wraz z nią. Przez sześć miesięcy w roku żyli w ciągłym ruchu, podróżując w dzień i występując w nocy, w sezonie zimowym natomiast ćwiczyli, doskonaląc swą sztukę. Taki tryb życia był bardzo wyczerpujący i aktorzy szybko tracili młodość i siłę. *Taghāraumene* byli zresztą coraz słabsi, ich kości z pokolenia na pokolenie stawały się bardziej łamliwe, a mięśnie mniej wytrzymałe, bo opętani myślą o zachowaniu czystości krwi, zawierali małżeństwa pomiędzy zbyt bliskimi krewnymi, stąd coraz więcej dzieci rodziło się chorych lub upośledzonych umysłowo. Dopiero teraz, siedząc na widowni, Mel zdała sobie z tego w pełni sprawę. Była wystarczająco blisko aktorów, by wyczuć ich ból i zmęczenie, by wiedzieć, jak wiele kosztuje każdy ruch, z pozoru tak lekki i pełen niewymuszonego wdzięku.

Opowieść *taghe-rasāt* przetykana była licznymi anegdotami i wątkami pobocznymi, sekwencje taneczne mieszały się ze śpiewem, z deklamacją, a z tragedią sąsiadowała komedia. Mel podejrzewała, że większość widzów nawet nie wie, o czym jest ta historia. Dla nich było to widowisko niewiele różniące się od cyrku. Przychodzili tu, bo aktorki tańczyły półnago, a mężczyźni popisywali się siłą i zręcznością, wykonując skomplikowane salta i piruety.

Dziwne, pomyślała Melisandra. Neahelici uważają, że nasza wiara w Jedynego Boga, który stworzył wszechświat, to dziecinada, bo przecież bogowie, tak jak wszyscy, rodzą się i umierają w nieustającym cyklu życia. Ale przecież i oni kiedyś wierzyli w Słonecznego Boga, który umarł i zmartwychwstał. Teraz Bóg–Słońce jest jednak tylko legendą.

Melisandra nigdy nie przepadała za *taghe-rasāt* ani w ogóle za cokolwiek wiążącym się z neahelicką kulturą. Gdy mając trzynaście lat przybyła do Domu Ciemnego Księżyca, był w niej

gniew. Na Djevřę, który wybrał ją, nie pytając wcale o zgodę, na *soutzene*, którzy tak nagle zaczęli rozporządzać jej życiem. Ten gniew pomagał znosić wyzwiska i upokorzenia, których nie szczydzili jej inni uczniowie. W miłości, jaką darzyła magię, zawsze była odrobina nienawiści. Uczyla się z pasją, by udowodnić sobie i wszystkim innym, że mimo nieczystej krwi może być najlepsza. Marzyła o chwili, gdy zmusi magię, by ta jej służyła, marzyła o tym, by wyrwać neahelickim księgom ich tajemnice.

Tego wieczoru po raz pierwszy poczuła, jak jej gniew topnieje. Dostrzegła w *taghe-rasāt* specyficzne piękno, o którym mówił Sevrin. *Taghāraumene* mówili do niej językiem, którego nikt nie używał od tysiącleci, a ona spoglądała w przeszłość i zaczynała ją rozumieć. Przypomniała sobie Miasto Snów i pomyślała, że Merenmūt miała rację – Neahelici byli najpotężniejszym ludem, który kiedykolwiek żył na ziemi, ale rację miała też Mel, bo Neahelici skazani byli na zagładę. Wciąż jednak wierzyli, że kiedyś powrócą czasy dawnej świetności, a dziewczyna nie wiedziała, czy ma ich za to podziwiać, czy też nad nimi płakać.

Gdy przedstawienie dobiegło końca i ludzie zaczęli się rozchodzić, ilustrator chętnie pokazał jej rysunki. Wzięła do ręki szkicownik i zaczęła przewracać kartki. Jej sąsiad z pewnością był znakomitym artystą. Jego oczy dostrzegały to, co kryje się pod powierzchnią. Na rysunkach w przezierających przez otwory masek oczach aktorów widniało wyczerpanie, ich nienaturalnie szczupłe, blade ciała pokryte były ranami i guzami, a ruchy sprawiały wrażenie rozpaczliwej energii człowieka, który wie, że nie zostało mu wiele życia.

Mel czuła, że nagromadzona podczas przedstawienia rozpacz musi znaleźć ujście. Miała do wyboru uderzyć ilustratora albo podrzeć rysunki.

Wybrała to drugie. Zrobiła to, nie spiesząc się i patrząc ilustratorowi prosto w oczy. Mężczyzna na widok takiej beczelności poczerwieniał i przez dobrą chwilę nie mógł wykrztusić słowa. Dopiero gdy strzępy papieru upadły na ziemię, odzyskał głos.

– Zapłacisz mi za to ty... ty... – krzyczał, ale nie ośmielił się użyć żadnego mocniejszego wyzwiska. Złe, nieruchome oczy Melisandry budziły w nim lęk.

Schylił się i niezgrabnie zaczął zbierać resztki kartek. Sevrin podszedł i pomógł mu. Ilustrator, unikając wzroku Mel, cały swój gniew skupił na Sevrinie.

– Widziałeś pan? Widziałeś pan? – Głos łamał mu się z emocji, a ręce drżały. – Ja nie mogę na coś takiego pozwolić! Jak ja to wszystko teraz odtworzę?!

– Ależ drogi panie – Sevrin wepchnął podarte rysunki w kieszeń czarnego płaszcza i stanowczo, choć łagodnie, zaczął popychać ilustratora w stronę wyjścia – tak uzdolniony rysownik z pewnością ma znakomitą pamięć wzrokową... – Jego uspokajający głos brzmiał coraz ciszej.

Mel rozpląkała się. Nie dostrzegła nawet, kiedy Sevrin wrócił, usiadł obok i podał jej chusteczkę. Nie próbował pocieszać ani pytać, co się stało. Była mu za to wdzięczna. I tak miała wrażenie, że Sevrin rozumie, dlaczego ona płacze. Czasami ta jego łatwość rozumienia ludzkich emocji przerażała ją. Wiedziała już, że Sevrin potrafi obrócić tę umiejętność przeciwko danemu człowiekowi. Być może to właśnie ją w nim pociągało.

Przyszło jej do głowy, że gdyby chciał ją pocałować, to byłby odpowiedni moment. Nie zrobił tego i Melisandra, zanim dotknęła wargami jego ust, pomyślała jeszcze, że za drugim razem powinno to być łatwiejsze.

Nie było, bo Sevrin w niczym nie przypominał Nakhtiego.

Ujął ją za ramiona i odsunął od siebie, a Mel nabrała pewności, że on teraz tym swoim łagodnym głosem wytłumaczy jej, że to nie ma sensu. I robi to tak spokojnie i przekonująco, że kiedyś będzie jeszcze mogła spojrzeć mu w oczy. Ale Sevrin tylko przesunął palcami po jej twarzy, od łuku brwi po kącik ust, spoglądając tak, jakby próbował zapamiętać jej rysy, a potem dopiero ją pocałował.

– Chciałeś ze mną porozmawiać – przypomniała Melisandra.

Człowiek w masce Słonecznego Boga pojawił się tuż po tym, jak weszła w trans. Stali nad brzegiem morza. Martwą tafłę wody przykrywał gruby całun szarobiałej mgły. Mel czuła, jak jej bose stopy zapadają się w mokry, zimny piasek. Nieznajomy przysiadł na wynurzającej się z mgły skale. Górował nad dziewczyną o dobrych kilka stóp, jakby gotował się do ataku. Mimo to Mel nie reagowała. Nie zareagowała nawet wtedy, gdy przedstawiająca Słońce maska zmieniła się w ptasi dziób, a ramiona mężczyzny zaczęły przypominać skrzydła.

– Nie będziemy rozmawiać – odparł. – Chcę jednak przekonać się, czy naprawdę jesteś tak dobra, jak o tobie mówią. Podobno masz *ush'māya*, ślepą kobietę. Większość czarowników, tak jak większość ludzi, polega przede wszystkim na zmyśle wzroku. Kiedy przybierają magiczną postać jednego ze swych cieni, mogą wyobrazić ją sobie w najdrobniejszym szczególe, ale ich ciała są jak rysunek, który łatwo można uszkodzić. Ty jednak, dzięki tamtej kobiecie, widzisz w głowie nie tylko obraz, ale potrafisz też poczuć ciężar ciała, potrafisz nadać mu materialny kształt. To dlatego nikt jeszcze cię nie pokonał. Czy to prawda?

– Mniej więcej – przyznała. – A poza tym po prostu mam talent.

Nieznajomy zmienił się już w jednego ze swych cieni, białego orła o błyszczących, stalowych szponach i złotych oczach. Dziewczyna nie spieszyła się.

– Chcesz ze mną walczyć? – spytała. Orzeł skinął głową. – Dlaczego? Tylko po to, by przekonać się, które z nas jest lepsze? Możemy się nawzajem pozabijać.

– Boisz się?

Mel była świadoma, że tamten ją prowokuje. Wciąż nie przestawało dręczyć ją pytanie, kim ten człowiek może być. Z pewnością był magiem, i to dobrym, ale nie potrafiła powiedzieć, czy to Neahelita, Okcytańczyk, czy może cudzoziemiec.

– To niesprawiedliwe. Ty wiesz, kim naprawdę jestem. Ja nie wiem o tobie nic.

– Ależ wiesz o mnie bardzo dużo. Wszyscy mnie znają – powiedział, śmiejąc się, ptak.

– Skąd?

– Z prasy, rzecz jasna.

– Jesteś magiem, który zabił Delmaya i pozostałych.

To było stwierdzenie, nie pytanie. Ptak rzucił się na nią, mierząc ostrym dziobem w gardło. Ale dziewczyna była na to przygotowana. W jednej chwili przybrała postać Hā-imbry i nim dziób białopiórego orła sięgnął celu, kruk-demon już przyparł go do mokrego piasku, a szpony zaczęły rozrywać ciało. Nieznajomy zaczął krzyczeć i błagać o życie. Puściła go.

Gdyby teraz rozszarpała jego ptasie ciało, mag, który gdzieś daleko śnił w transie, nigdy by się nie obudził.

W nowym, położonym na obrzeżach Quinson osiedlu, gdzie zimowali *taghāraumene*, pachniało świeżo ściętym drzewem. Zbudowane z sosnowych bali domki na zewnątrz przypominały prymitywne górskie chaty, ale wewnątrz były całkiem przyjemnie urządzone. Mel siedziała właśnie pośród miękkich poduszek, na włochatym kobiercu farbowanym w najfantastyczniejsze kolory: jadowicie intensywną zieleń, indygo i karmazyn.

– Przychodzisz tu z tą dziwną prośbą, Ekhne-tai, i myślisz, że od razu rzucę wszystko, by ci pomóc? – W słowach Nakhtiego nie było złości, ale nie było też sympatii. Spoglądał na nią, uśmiechając się, a ona doskonale знаła ten jego leniwy, pełen wyższości uśmiech.

Poznała go pięć lat temu w Domu Ciemnego Księżyca i zakochała się w nim od pierwszego wejrzenia, tak głupio, po dziewczęcemu, jak w książkach. A ponieważ Mel nawet w wieku piętnastu lat nie miała wysokiego mniemania o swoich zdolnościach uwodzicielskich, zdecydowała się na coś, czego nie zrobiłaby żadna Okcytanka: przyszła do niego któregoś wieczoru i wyznała mu miłość. Przez prawie dwa miesiące była jego kochanką, a kiedy wyjeżdżał, po miłości nie pozostał już ślad.

- Tłumaczyłam już, że to ważne.
- To nie ma dla mnie sensu. Nawet jeśli... Nie, to niemożliwe.
- Tak czy inaczej, warto spróbować, prawda? – Mel z trudem zdobywała się na spokój. Podczas przedstawienia *taghe-rasāt* wpadła na pewien pomysł i nie mogła się doczekać, by go wypróbować. – Czy proszę o tak wiele?
- Wiesz, że byłem żonaty? – powiedział ni w pięć, ni w dziesięć. – Moja żona zmarła pół roku temu, rodząc martwe dziecko.
- Przykro mi – odparła, mocno już zniecierpliwiona.
- Nieprawda, wcale nie jest ci przykro. Myślę, że i ja już niedługo zabawię na tym świecie. Dlaczego więc sądzisz, że miałbym czas zajmować się twoją prośbą?
- Nakhti dramatyzował jak każdy aktor. Prawda, że od czasu, gdy widziała go po raz ostatni, postarzał się, ale z pewnością nie wyglądał na bliskiego śmierci. Patrzył na Mel, najwyraźniej spodziewając się, że ona zacznie go błagać i przekonywać.
- Może dlatego – odparła chłodno – że spisywanie tekstu *taghe-rasāt* jest równie dobrym zajęciem dla człowieka w ostatnich chwilach życia jak cokolwiek innego.
- Przez chwilę wydawało jej się, że tym razem przesadziła. Ale Nakhti roześmiał się tylko cicho.
- Zawsze byłeś bardzo bezczelna, Ekhne-tai. Zajmę się tym. Oczywiście nie osobiście. Poproszę kogoś młodszego, by to dla ciebie zrobił.
- Melisandra miała na tyle rozsądku, by spuścić głowę i pozwolić mu na to małe zwycięstwo.

Wracając, zauważyła w małej kawiarence na bulwarze Sent-Anhan znajomą twarz. Flavian siedział na najniższym z siedmiu tarasów opadających ku morzu i czytał książkę. Latem było to bardzo przyjemne miejsce. Latem, ale nie teraz, gdy chłodny wiatr burzył wodę, a słone krople pryskały wokół. Nic dziwnego, że na niższych tarasach nie było innych klientów.

Mel zeszła do niego. Flavian podniósł oczy znad książki, którą zasłaniał się przed niosącymi wilgoć podmuchami wiatru.

– Co robisz w Gouttenegre? – zagadnęła. – Wracasz od jednego z twoich przyjaciół–artystów?

– Nie, po prostu... – Wzruszył ramionami. – Chciałem w spokoju przemyśleć parę spraw.

Jeśli była w tym aluzja, że Mel powinna go zostawić samego, to dziewczyna jej nie zauważyła.

Ostatni raz widziała Flaviana pod koniec sierpnia i wtedy wyglądał znacznie lepiej. Najwyraźniej zdołał pogodzić się ze śmiercią ojca i był jeśli nie wesoły, to przynajmniej spokojny. Teraz sprawiał wrażenie śmiertelnie chorego. Oczy miał podkrążone, jakby nie spał od wielu dni, matowe, przerzedzone włosy opadały na blade policzki, a kącik ust drgał nerwowo.

Schował do kieszeni książkę i zaczął bawić się swoimi długimi, szczupłymi palcami, przeplatając je niezgrabnie.

Melisandra żałowała, że nie ma z nią Sevrina. On potrafiłby skłonić Flaviana, by ten pozwolił sobie pomóc. Mel nie miała takiego talentu. Kiedyś już zraziła do siebie młodzieńca, potem w ten sam sposób zaprzepaściła szansę przyjscia z pomocą Isabel.

Mimo to postanowiła spróbować jeszcze raz.

– Widzę, że dzieje się z tobą coś złego – powiedziała, pochylając się w jego stronę. – Zaufaj mi, proszę. Naprawdę chcę ci pomóc.

Flavian spoglądał na nią długo, napięte rysy jego twarzy złagodniały. Ale zaraz potrząsnął głową.

– Teraz już za późno, Melisandro.

– Ponieważ zginął twój ojciec?

– Nie, ponieważ zginął La Veilhe. A najbardziej dlatego, że zginął Felip Gardilhe.

Melisandra spacerowała bulwarem Sent–Anhan tuż po zmroku. Myślała o mężczyźnie w masce Słonecznego Boga, którego pokonała, i o tym, jak łatwo, jak zdumiewająco łatwo jej to przyszło.

Może powinnam go zabić. Jeśli człowiek ten naprawdę jest poszukiwanym przez policję mordercą, byłoby to najlepsze

wyjście. Ale tamten, gdy oskarżyła go o śmierć pułkownika Delmaya, ani nie potwierdził, ani nie zaprzeczył. Gdyby go zabiła, nigdy nie uzyskałaby pewności.

Może jeszcze kiedyś wróci, pomyślała. Na przykład dzisiejszej nocy.

A może nie. Może wystraszyła go tak bardzo, że już nie będzie próbował się z nią spotkać.

Bulwar Sent-Anhan był najprostszą i najszerszą ulicą Gouttenegre, jedyłą, po której regularnie kursowały dorożki i miejskie omnibusy, nie miał też dwuznacznej sławy, jaką cieszyła się reszta dzielnicy. Wieczorem można tu było spotkać mieszczańskie pary, spacerujące wraz z dziećmi i przyglądające się występom ulicznych sztukmistrzów.

Kiedyś często przychodziła tutaj z rodzicami. Niespodziewanie przypomniało jej się dzieciństwo. Wypełnione nauką dni, bo wiedza córki była dla Xaviera d’Aleume przepustką do quinsońskiej elity towarzyskiej, spędzane na zabawie noce i poranki, gdy wracała do domu, przysypiając na skórzanym siedzeniu powozu. Ojciec, zawsze nienagannie uprzejmy, ponieważ don Xavier, z gorliwością neofity realizujący ideę nadstawiania drugiego policzka, najmilszy był dla tych, których nie znosił najszczerzej. Wreszcie i ona sama, mała Mel, która potrafiła bezbłędnie wyrecytować wszystkie miasta i miasteczka, przez które przepływają rzeki Okcytanii, dziewczynka na pamięć znająca poezje i baśnie, dziecko, dla którego historyczne daty nie miały żadnych tajemnic. A gdy skończono już zadawać jej podchwytliwe pytania z geografii czy historii – bo dorosli, z atlasami i podręcznikami w rękę, wciąż próbowali przyłapać ją na pomyłce – zaczynano wypytywać ją, co sądzi o prawie wyborczym dla kobiet, kolei żelaznej czy choćby o najnowszej modzie. Mel nawet w wieku dziesięciu lat miała już wyrobione poglądy na większość spraw. Czasem, owszem, dziecinne i naiwne, ale czasem też całkiem oryginalne. A ludzie śmiali się głośno, słuchając słów, wypowiedzianych z powagą i przejęciem.

Błazen, zabawka dla znudzonego towarzystwa, pomyślała bardziej z humorem niż z goryczą.

Chwilę stała, przyglądając się mężczyźnie, który zonglował płonącymi pochodniami. Zagwie wlatywały wysoko w nocne niebo, ciągnąc za sobą warkocz iskiei, a on chwycił je zręcznie i kłaniał się, nagradzany burzą oklasków.

Kilkanaście kroków dalej zobaczyła aktora, który miał właśnie odegrać fragment jakiejś sztuki. Potrzebna mu była partnerka, krążył więc przez chwilę w kółeczku rozchichotanych, wdzięczących się panienek, umiejętnie wzmagając napięcie, by po chwili wyciągnąć na środek zaimprovizowanej sceny potarganą blondyneczkę w białej sukience. Mel poczuła ukłucie zazdrości, takie samo, jakiego doznała na widok dony Angelety. Wiedziała, że ludzie uważają ją co najwyżej za „oryginalną”, ale na pewno nie piękną czy przynajmniej ładną. Nigdy wcześniej jej to nie przeszkadzało. Aż do teraz. Teraz dałaby wiele, żeby mieć duże błękitne oczy, złote włosy i dołeczki w policzkach jak ta dziewczyna.

Jakiś dzieciak zaczął dmuchać w glinianego, wypełnionego wodą kogutka. Odruchowo zasłoniła uszy i przyspieszyła kroku. W tym momencie, zmieszane z innymi emocjami, dotarło do niej uczucie nienawiści. Odwróciła się, chcąc znaleźć jego źródło. Za późno. Ktoś stanął za plecami Mel, chwycił za rękę, ściągając łokcie w tył, i popchnął ją do przodu. Krzyknęła, szarpnęła się i wyrwałaby się, gdyby jakaś inna dłoń, która wysunęła się ze stojącego na ulicy powozu, nie złapała jej za włosy. Zdążyła jeszcze dostrzec pełną poczucia winy twarz jakiegoś starca, który pospiesznie odwrócił wzrok, kiedy tamci wpechnęli ją do powozu. W środku było ciemno. Jeden z mężczyzn na osłep uderzył ją w twarz, a Mel, czując, jak krążące w żyłach prerażenie dodaje jej sił, zaczęła wrzeszczeć i kopać.

Powóz ruszył, przez zaciągnięte zasłony co jakiś czas przebijał blask ulicznej latarni, który oświetlał trzy męskie zamaskowane postacie, szarpiące się z drobną figurką. W mroku nie mogli sobie z nią poradzić, większość ciosów obliczonych na ogluszenie dziewczyny trafiała w próżnię. Mel wila się, wierzała i próbowała gryźć, nadal nie przestając krzyczeć. W pewnym momencie obcasem udało jej się wybić szybę, do

środką wtargnęły powiew świeżego powietrza i uliczny gwar, ale grube zasłony nadal przepuszczały niewiele światła. Ktoś przewrócił dziewczynę i oparł kolano na jej plecach. Uniósła głowę, bo na podłodze pełno było odłamków szkła, ale zaraz zamarła w bezruchu. Na szyi poczuła zimny dotyk metalu.

– Nie ruszaj się. Mam nóż – powiedział ktoś, a potem zwrócił się do towarzysza: – Potrzebuję światła.

Usłyszała trzask pocieranej zapalniczki i powóz wypełniły tańczące cienie. Spróbowała przekręcić głowę, ale mężczyzna przywołał ją do porządku przy pomocy noża. Tamten drugi zaczął wiązać jej ręce. Szło mu to bardzo niezręcznie. Wyczuwała jego nienawiść zmieszaną z podnieceniem i strachem.

– Ojciec nie daruje mi tej wybitej szyby – jęknął ten, który męczył się z jej więzami.

Wszyscy byli silni, zdecydowani i bardzo młodzi. Właściciel powozu miał dokładnie dwadzieścia jeden lat – o rok więcej niż Mel. Znała jego głos, jego imię i nazwisko. Czasami jego twarz wracała do niej we śnie.

– Będiesz grzeczna? – spytał ten z nożem.

Skinęła głową. Zapalniczka zgasła, a mężczyzna pociągnął dziewczynę na siedzenie. Usiadł przy niej, przyciskając ostrze już nie do jej szyi, ale do boku. Nóż przebił materiał sukni i gdy powóz podskakiwał na nierównym bruku, ranił jej skórę.

Odłamek rozbitej szyby musiał skaleczyć Mel w czoło, bo czuła, jak strużka ciepłej i gęstej krwi spływa jej po policzku. Odsunęła się, przyciskając twarz do obitej gładkim materiałem ściany powozu, byle dalej od siedzącego koło niej mężczyzny i jego noża. Krew spływała teraz z czoła prosto w ucho, łaskocząc nieprzyjemnie. Powóz jechał szybciej, nie zatrzymując się, co znaczyło, że wyjechali z Quinson i poruszali się którąś z pustych o tej porze podmiejskich dróg.

Zabierają mnie tam, pomyślała, gdzie będą mogli zabić bez świadków i bez pozostawiania śladów. Wykorzystując fakt, że przy szybkiej jeździe powozem mocno szarpało, sprawdziła oplatający jej nadgarstki sznur. Don Peyre, gdy go znała, był wysokim czternastolatkiem, silnym, ale wyjątkowo niezgrabnym. Z wiekiem najwyraźniej nie przybyło mu

zręczności. Melisandrze bez większego trudu udało się poluzować więzy.

Powóz zatrzymał się i dziewczynę wypchnięto na zewnątrz. Znajdowali się na pustej drodze wiodącej do Domu Snów. Spojrzała na wyglądające przepięknie w świetle księżyca ruiny i w przypływie czarnego humoru pomyślała, że być może ostatnią rzeczą, jaką przyjdzie jej zobaczyć przed śmiercią, będzie ten sam widok, który tak zachwycił Vigila Całę.

– Jak myślisz, jaka kara powinna spotkać czarownicę? – syknął właściciel noża i gęstej, najprawdopodobniej czarnej czupryny.

Nie odpowiedziała. Czarnowłosa podszedł bliżej.

– Mam coś dla ciebie. – Z kieszeni surduta wyjął medalik i przycisnął do jej policzka. Gdy nie zareagowała, spojrzął na nią niepewnie i zbliżył się jeszcze bardziej. Na to właśnie czekała Mel. W świetle księżyca w okrągłych wycięciach czarnej maski widziała już jego oczy. Zajrzała w nie i sięgnęła w głąb umysłu. Młodzieniec wrzasnął i odskoczył, potykając się, i byłby się przewrócił, gdyby jego przyjaciel nie złapał go w ostatniej chwili. Mel odwróciła się i już miała zniknąć pomiędzy ruinami, gdy don Peyre z szybkością, o jaką nigdy by go nie posądziła, zastąpił jej drogę.

– Mam ją! – krzyknął, podczas gdy czarnowłosa miotał się i wrzeszczał: „Ogień! Ogień!”, a trzeci młodzieniec na próżno starał się go uspokoić.

– To złudzenie, głupcze! Czarnoksiężska sztuczka! – wołał, ale nie był w stanie uwolnić się od przyjaciela, który wczepił się w niego jak szukające ratunku dziecko.

Tamci dwaj, szarpiąc się ze sobą, na razie byli niegroźni. Mel spojrzała na don Peyre’a, który rozsądnie odwrócił głowę, ale nadal trzymał ją w mocnym uścisku.

Zbliżyła usta do jego ucha.

– Don Peyre Fau – szepnęła. – Kiedyś próbowałeś ratować mi życie, a teraz chcesz zabić?

Zaskoczony młodzieniec na chwilę rozluźnił mięśnie. Dziewczyna wywinęła się i dłonią, którą już od pewnego czasu miała wolną, pchnęła go w pierś.

Zanim tamci zdążyli ruszyć w pościg, lekka, gnana strachem postać Melisandry przepadła już wśród ruin.

Gdy Melisandra dotarła do domu, był środek nocy. Obudziła Julheta, który posłał po cyrulika. W tym czasie czarnoskóra, małomówna Niyu pomogła jej przebrać się i przemyła wodą skaleczenia. Najpoważniejszą raną była ta na czole. Cyrulik zszył ją zręcznie, a Niyu podsunęła dziewczynie lusterko. Mel, do której dopiero teraz dotarło, jak bliska była śmierci, rozplakała się niespodziewanie, przeklinając przy tym i ze złością uderzając dłonią w kolano.

Cyrulik, który przed chwilą nabrał do niej szacunku, gdyż jeszcze żadna kobieta tak dzielnie nie zniosła szycia tępą igłą, pomyślał, że jednak baba to tylko baba.

– Blizna nie będzie duża – wymamrotał na poły współczująco, na poły z pogardą. – Zasłoni się ją włosami...

Świeżej szramy faktycznie nie było widać spod szesanych na czoło włosów, ale posiniaczonej twarzy nie dało się już ukryć i gdy następnego dnia Mel przyszła na posiłek do tawerny „Pod Pióropuszem”, Felise zasypała ją pytaniami.

Dziewczyna opowiedziała jej wszystko i chwilę później siedziała już w prywatnym salonie właścicielki, pojona gorącą czekoladą i otoczona współczuciem. Spędziła ten dzień u Felise, czując się całkiem przyjemnie. Od czasów dzieciństwa nikt nie zajmował się nią tak troskliwie.

Ale pod wieczór zjawił się Sevrin, a przed nim Mel nie chciała odgrywać dzielnej, choć cierpiącej pacjentki. Felise, nie zwracając uwagi na niechętną minę dziewczyny, opowiedziała mu o wydarzeniach minionego wieczoru.

– Usiłuję przekonać ją, że powinna na jakiś czas się do nas przeprowadzić – zakończyła. – Ale ona nie chce mnie słuchać. Dlaczego jesteś taka uparta, kochanie?

Jeszcze przed chwilą to „kochanie” wydawało się Melisandrze pełne ciepła i uroku. Teraz odwróciła głowę, milcząca i

nadašana.

Felise poszukała pomocy u Sevrina.

– Poprzyj mnie, Joaquim. Przecież wiesz, że u nas będzie znacznie bezpieczniejsza.

– To prawda. Ale nie wiem, czy uda mi się ją przekonać. Jak powiedziałaś, to bardzo uparta dziewczyna.

Mel pomyślała, że Sevrin mówi tak, bo liczy, że dziewczyna sprzeciwi się z czystej przekory.

Tak czy inaczej, zgodziła się jednak. Felise miała rację, a Mel po raz pierwszy w życiu bała się o własną skórę. Jeszcze tego samego dnia przeniosła najpotrzebniejsze rzeczy do tawerny. Felise oddała jej do dyspozycji najlepszy i największy pokój i w ten sposób Melisandra zamieszkała w „Pióropuszu”.

Po powrocie hrabiego de Fontmartis Serieys znów zaczęło tętnić życiem. Marcelin bywał tam od czasu do czasu, przede wszystkim dlatego, że hrabia był znakomitym szermierzem. Chłopak lubił z nim ćwiczyć, ale gdy hrabia proponował pozostanie na kolacji, przeważnie odmawiał. Nie podobało mu się towarzystwo zbierające się w zamku. Bywali tam wprawdzie też młodzieńcy niewiele starsi od niego, ale Marcelin nie potrafił znaleźć z nimi wspólnego języka. Byli to arystokraci, którzy dni spędzali narzekając na powszechny upadek obyczajów i tęskniąc za tym, co nazywali „dawnymi dobrymi czasami”. Zachowywali się przy tym, według Marcelina, jakby mieli lat pięćdziesiąt, a nie dwadzieścia kilka.

Tego dnia u hrabiego zastał niejakiego Peyre’a Fau i jego przyjaciela, Matèu d’Anglade’a. Pierwszy był wysokim, niezgrabnym dwudziestolatkiem o wyjątkowo nieciekawej twarzy, drugi był kilka lat starszy, a jego ręce, aż po czubki kwadratowo zakończonych palców, pokrywały gęste czarne włosy, przez co Marcelinowi nieprzyjemnie kojarzył się z małpą. Małpą wygadaną, bo don Matèu lubił mówić i to on zazwyczaj zaczynał wszelkie dyskusje.

– Można było się spodziewać, że do tego dojdzie! – parsknął, rozsiadł się wygodnie w skórzanym fotelu i bez ceremonii

poczęstował się cygarem. – Tak, tak, moi drodzy – ciągnął, patrząc na hrabiego i podkreślając spojrzeniem, że jest z nim na przyjacielskiej stopie. – Nie ma co udawać. To, co się teraz dzieje, to poniekąd nasza wina. Trzeba się uderzyć w pierś, panowie. Kto spraszał do domu czarowników? Kogo bawiła magia?

– Nie mnie – sucho odparł hrabia. – Nigdy nie wpuściłem za próg mojego domu żadnego maga.

– Oczywiście, że nie – wycofał się pospiesznie młodzieniec. – Myślałem o naszej klasie społecznej. Cztery lata temu mieliśmy szansę oczyścić Serralangue z magii. Ale byliśmy zbyt łagodni, darowaliśmy im życie, sądząc, że nie są już niebezpieczni. A potem część szlachty doszła do wniosku, że czarownicy to takie zabawne stworzenia, i zapragnęła bawić się nimi, jakby byli dzikimi zwierzętami z egzotycznych krajów. Ale zwierzę, moi mili panowie, zawsze pozostanie zwierzęciem i prędzej czy później odgryzie rękę, która je karmi. Teraz mamy w mieście maga, który zabija ludzi, i nikt nie jest w stanie nic na to poradzić.

– Dawniej były sposoby na czarowników – ożywił się milczący dotąd don Peyre. – Tortury i ogień...

Marcelin otworzył usta i zaraz je zamknął. Trzech na jednego, pomyślał, to niesprawiedliwe. Aby odwrócić uwagę od własnego tchórzostwa, spojrzął na chmurzące się niebo.

– Mam nadzieję, młodzieńcze, że nie marzy ci się powrót do tamtych barbarzyńskich czasów? Stosując tak okrutne metody, sami byliśmy nie lepsi od tych, których posyłaliśmy na stos – powiedział hrabia.

– I tak przecież są zgubieni, prawda? Czarownik to wróg Kościoła – odparł don Peyre.

– Nie zapominajcie, że światełko prawdziwej wiary może zapłonąć w sercu nawet najbardziej zatwardziałego grzesznika – pouczył ich hrabia.

Marcelin wiedział, że gdy Guillem de Fontmartis zaczyna cytować nauki Kościoła, nie ma żadnych dyskusji. Pojęli to i pozostali, bo pospuszczali głowy i zamilkli.

– Poniekąd jednak macie rację – wybawił ich z kłopotu

hrabia, obdarzając pobłażliwym uśmiechem, jaki zazwyczaj rezerwuje się dla rozdokazywanych, ale obiecujących dzieci. – Zapal to cecha młodości i nie mam zamiaru was za to potępiać. Ja jednak mówię: karać tak, ale w zgodzie z literą prawa i boskimi przykazaniami. W ten sposób zawsze będziemy mieć pewność, że słuszność jest po naszej stronie. Rozumiecie?

Don Peyre skinął głową, a Matèu d'Anglade uśmiechnął się chytrze.

– Przyznasz jednak, drogi hrabio, że są sytuacje, gdy prawo jest bezradne. Wówczas obowiązkiem ludzi energicznych jest wziąć sprawy w swoje ręce – powiedział.

– Tak, być może... W pewnych okolicznościach... – zawahał się hrabia, jego oczy zamglily się, a myśli pobiegły wstecz, do czasów, gdy w koloniach karał czerwonoskórych buntowników, i to niezupełnie zgodnie z literą prawa.

Peyre Fau i jego przyjaciel spojrzeli na siebie. Przeskoczyła pomiędzy nimi iskra porozumienia. Marcelin, który zastanawiał się właśnie, czy będzie padać i czy wobec tego nie powinien jednak zostać na kolacji, nie zauważył niczego.

Peyre Fau czuł się źle. Miał wrażenie, że jest brudny, brudny nie w sensie fizycznym, lecz duchowym. Kojarzyło mu się to z rzeką, która płynąc leniwie, pozostawia na brzegu oślizgły osad z mułu i wodorostów. I właśnie coś takiego tkwiło teraz na dnie jego duszy. Za każdym razem, gdy ktoś mówił o magii, warstwa brudu zdawała się rosnać. Zmywało się ją nie wodą, ale krwią – don Peyre wiedział o tym od pewnego czasu.

Za pierwszym razem, gdy zginęła ta staruszka, przypominało to wyrwanie zęba – nieprzyjemne, ale przynoszące w końcu ulgę. Don Peyre zwymiotował nawet i omal nie zemdlął. Poczul się lepiej, gdy Matèu d'Anglade zmoczył mu głowę w ulicznej fontannie, a potem wlał w gardło parę łyków mocnej wódki.

Za drugim i trzecim razem było znacznie łatwiej. Parę tygodni temu zabili pewnego mężczyznę, który kręcił się po targu, proponując ludziom magiczne amulety. Ciało wrzucili do morza i jeśli nawet zostało odnalezione, to nie skojarzono tego

ze śmiercią tamtej czarownicy.

Trzeci był mag, który niczym olbrzymi pajak siedział w swojej pracowni urządzonej w piwnicy i warzył jakieś dziwne mikstury. Ogromne, blade ciało, całe pokłute nożami, pozostawili w pomieszczeniu. Być może leżało tam do dzisiaj, a smród rozkładającego się mięsa sąsiedzi brali za efekt magicznych eksperymentów.

A teraz don Peyre znów czuł się źle. Czarownica, którą mieli zabić, uciekła, a do tego jeszcze udało jej się go rozpoznać!

– Nie masz się czym przejmować – powiedział ojciec don Peyre’a, gdy syn opowiedział mu mocno ocenzurowaną wersję wydarzeń. – Powiem, że tamtego wieczoru byłeś ze mną w domu. Nikt jej nie uwierzy. To tylko czarownica – dodał z pogardą, nie chcąc pamiętać, że ta sama dziewczyna sześć lat temu pływała z jego synem łódką.

Peyre Fau nie bał się więc, ale postanowił, że czarownicy nie daruje.

Wieczorem rozpadało się i Marcelin jednak został na kolacji. Byli Peyre Fau, Matèu d’Anglade, Joaquim de Sevrin i mnóstwo innych ludzi, których nazwisk chłopak nawet nie starał się zapamiętać, bo z góry założył, że i tak nie będzie z nimi rozmawiał. Przyjechała też pani Delmay z córką. Marcelin był zaskoczony, bo Delmayowie zdecydowanie nie należeli do tego samego kręgu towarzyskiego co hrabia. Widać jednak współczucie, jakie Fontmartis żywił dla tej rodziny, zniwelowało wszelkie różnice. Oschła jak zawsze pani Delmay przeważnie milczała. Za to Paulina śmiała się, szczebiotała i wkrótce wszyscy byli pod jej urokiem. Hrabia był dla niej bardzo miły, nazywał ją „małą kokietką” i pytał, kiedy zacznie spinać włosy i nosić długie suknie.

– Mama uważa, że mam na to czas – odparła rezolutnie Paulina. – Nie skończyłam jeszcze czternastu lat.

– Masz rację. – Hrabia pogłaskał ją po kasztanowych włosach.
– Nie warto spieszyć się do dorosłości. Najmilsze są takie młode, niewinne panienki jak ty.

Guillem de Fontmartis nie był szczęśliwy. Na uczucie to składało się zarówno rozczarowanie małżeństwem, jak i to, co działo się w Quinson. Wprawdzie czasy, gdy Fontmartisowie rządili miastem, dawno już minęły, ale hrabia nadal w jakimś sensie czuł się odpowiedzialny za los jego mieszkańców. Quinson było miastem, w którym rodzili się, żyli i umierali jego przodkowie, i każdy atak wymierzony w kogoś z obywateli hrabia odbierał jako cios dla własnej dumy.

– Bezwzględnie należy coś z tym zrobić! – powiedział do Sevrina i choć nie wiedział, co można by zrobić, to słowa te przyniosły mu chwilową przynajmniej ulgę.

Sevrin leniwie skinął głową. Był jedną z niewielu osób, którym w tych niespokojnych czasach udało się zachować zdrowy rozsądek. Zdawał sobie sprawę, że wszystko wyglądałoby inaczej, gdyby nie fakt, że druga ofiara była powszechnie znaną osobą. Poniekąd zawinili i księża, którzy dostrzegli szansę zmieszania z błotem znienawidzonych czarowników, a także szukająca sensacji prasa. Magia zawsze była drażliwym tematem i mieszkańcy Serralangue od wieków nie mogli się zdecydować, czy wyklinać czarowników, czy może nosić ich na rękach. Gdy w grę wchodziła ta tajemnicza siła, pociągająca, groźna i niezrozumiała, nastroje społeczne zmieniały się z dnia na dzień.

– Pomyśl – mówił de Fontmartis, a oczy błyszczały mu gorączkowo – dopóki w mieście grasuje ten mag, nikt nie jest bezpieczny, ani w domu, ani na ulicy. W każdej chwili morderca może wejść do dowolnie wybranego domostwa i zabić jego mieszkańców, a nikt nie będzie w stanie mu przeszkodzić!

Sevrin ponownie skinął głową. Słyszał już podobne opinie i nie zgadzał się z nimi. Zabić człowieka to jedna z najłatwiejszych rzeczy pod słońcem. Jeśli zdeterminowany, inteligentny człowiek postanowi pozbawić kogoś życia, to nie powstrzymają go ani zamki, ani ochronne zaklęcia. Nie trzeba być czarownikiem, by mordować.

Nie powiedział tego hrabiemu. Guillem de Fontmartis szczycił się tym, że nigdy nie zmieniał zdania i nadal głosił te same opinie, które wbito mu do głowy, nim skończył dziesięć lat. Sevrin potrafił skłonić hrabiego do zrobienia wielu rzeczy. To on swego czasu przekonał go, że przekupienie Melisandry d'Aleume sumą czterech i pół miliona eccu będzie wręcz dobrym uczynkiem. Cieszył się wtedy, że dziewczyna odmówiła. Teraz... Nie, nie potrafił żałować, że Mel została w Quinson. Ale rozsądek podpowiadał mu, że dla dziewczyny byłoby o wiele lepiej, gdyby tamtego dnia przyjęła pieniądze i wyjechała jak najdalej stąd.

Sevrin, mimo całej swej zdolności przekonywania, nie był w stanie zmienić opinii hrabiego o magii. A Guillem de Fontmartis czarowników nienawidził z całej duszy.

– Czarnoksięstwo – powiedział hrabia de Fontmartis – to jeden z najcięższych grzechów. Kto para się magią, ten prędzej czy później wpadnie w sidła diabła.

– A to dlaczego? – spytała Mel. W jej głosie, mimo pozorów chłodnej drwiny, wyczuwało się urazę.

Reszta zebranych w salonie osób milczała. Isabel udawała, że nie słucha. Marcelin przyglądał się rozmówcom z nieskrywaną ciekawością, a d'ona Maria Loisa ukradkiem dawała starszej córce znaki. Ale Mel nie zamierzała milczeć. Wiedziała, że taka okazja może już się nie powtórzyć. Hrabia za nic nie odwiedziłby d'ony Marii Loisy, gdyby wiedział, że spotka tu Melisandrę.

– Diabeł jest bardzo sprytny – odparł Guillem de Fontmartis. – Potrafi omotać duszę człowieka, omamić bogactwem, władzą, czasem nawet pozorem jakiegoś szlachetnego uczynku. Ale kto raz zaufa diabłu, ten jest zgubiony. Nie zaprzeczysz pani, że wielu magów kończy jako opętani szaleńcy.

– Magia nie jest dla każdego. Prawdę powiedziawszy, jest bardziej niebezpieczna dla tych, którzy chcą po prostu bawić się w czary, niż dla osób z odpowiednim przygotowaniem. Owszem, sporo magów to opętani. Ale – powstrzymała

hrabiego, który chciał coś powiedzieć – trzeba też przyznać, że wielu zwykłych ludzi, którzy z magią nie mają nic wspólnego, kończy źle, bo zaufali niewłaściwej osobie.

Hrabia zmarszczył brwi.

– Jest różnica pomiędzy słuchaniem słów diabła a rad złych ludzi.

– To tylko różnica skali. Jeśli ktoś przestaje z diabłem, to konsekwencje są znacznie poważniejsze. Ale mechanizm jest ten sam. Jest człowiek i jest ktoś, kto próbuje namówić go do grzechu. Na tamtym świecie są istoty dobre i złe. W jaki sposób odróżnić jedne od drugich? Sam przyznałeś pan, że diabeł może ukrywać się pod maską prawości. Zdarzało się już, że do walki ruszały dwie armie, a każda z nich powoływała się na jakiegoś świętego i na Boga. Która strona miała rację? Może obie? A może żadna, bo tak naprawdę istoty zamieszkujące tamten świat, włącznie z samym diabłem, o Bogu mają mniejsze pojęcie niż ludzie. I tylko od człowieka, od jego rozumu i rozsądku, zależy, czy rozpozna głos diabła i czy mu ulegnie. Podobnie jest w naszym świecie. Jesteś pan pewien, że za czyjąś namową nie zrobiłeś pan kiedyś czegoś, czego nie powinien był pan robić?

– Potrafię odróżnić dobre rady od złych – odparł hrabia cierpko. – Zostałem dobrze wychowany.

Usta Mel rozciągnęły się w szerokim uśmiechu.

– A czy jesteś pan pewien, że ci, którzy pana wychowali, byli ludźmi prawymi? Być może już w dzieciństwie wpojono panu pewne niewłaściwe zasady i teraz postrzegasz pan rzeczywistość w sposób skrzywiony: to, co złe, uważasz pan za dobre i na odwrót?

– Mel, proszę cię... – jęknęła dōna Maria Loisa.

Na twarzy hrabiego pojawiły się wyraźne oznaki tłumionego gniewu.

– Wychowała mnie matka. To była święta kobieta.

Mel roześmiała się.

– To częsta opinia, zwłaszcza jeśli matka zmarła młodo. Równie często mocno przesadzona.

Poczerwieniały z wściekłości hrabia de Fontmartis zerwał się z

fotela. Mel również wstała. Przez chwilę mierzyli się spojrzeniami. No dalej, uderz mnie, pomyślała dziewczyna. Przecież wiem, że tego chcesz.

Zastanowiła się, co robi, jeśli mężczyzna ją spoliczkuje.

Hrabia opanował się z trudem.

– Pani córka – zwrócił się do dõny Marii Loisy – przekroczyła wszelkie dopuszczalne granice. Do pani należy decyzja, czy chcesz nadal przyjmować ją w swoim domu. Ostrzegam jednak, że nie będę mógł więcej być gościem tam, gdzie jestem narażony na takie impertynencje.

– Więc jak będzie, mamó? – zapytała dziewczyna ze sztuczną wesołością w głosie. – Wolisz bogatego zięcia czy niegrzeczną córkę?

Dõna Maria Loisa patrzyła to na Melisandrę, to znów na hrabiego, bezradnie poruszając ustami. Potem jej drobna twarz przerośniętego dziecka skurczyła się i wyglądało na to, że kobieta za chwilę wybuchnie płaczem. Mel niespodziewanie zrobiło się jej żal.

– Pójdę już – powiedziała pospiesznie. – Odprowadzisz mnie, Marcelin?

– Dałabyś sobie spokój z takimi wyskokami – powiedział chłopak, gdy stanęli przy furtce. Wyglądał na rozbawionego, ale w jego oczach dostrzegła także niepokój. – Hrabia w życiu nie powie tego na głos, ale ja wiem swoje. On cię nienawidzi, Mel. Nienawidzi cię jak zarazy.

Tej nocy Melisandrze znów przyśniła się Isabel i znów ten niepokojący sen skończył się w tym samym momencie. Zaczęła mieć tego dość. Lubiła zagadki, ale zagadki logiczne, gdy trzeba po prostu usiąść i pomyśleć, a nie takie, które powodowały zamęt w głowie i doprowadzały ją na zmianę do płaczu lub ataków złości. Nad Quinson wciąż wisiał cień w przeklętym kolorze morza. Machina, wprawiona wiosną w ruch, była już bliska osiągnięcia celu, dla którego została stworzona. A Mel nadal nie miała pojęcia, co było tym celem.

Potrzebowała kogoś, z kim mogłaby porozmawiać i spróbować

uporządkować wszystkie fakty. Ale Marcelin, choć całkiem bystry, jeśli chodzi o prowadzenie interesów, nie miał głowy do długich rozważań. Z Isabel nie potrafiła się już porozumieć – siostra zamknęła się przed nią, przy każdym spotkaniu zachowywała się wobec Melisandry z konwencjonalną uprzejmością, a Mel odwzajemniała się tym samym, choć w jej przypadku uprzejmość ta przyprawiona była dużą dozą sarkazmu. Matki nawet nie brała pod uwagę. Felise była rozsądna i energiczna, ale niezbyt inteligentna. Justy... Mel szczerze go lubiła, niemniej jednak nie miała co do niego złudzeń. Justy pomagał chętnie pod warunkiem, że nie żądano od niego zbyt dużego wysiłku i że później będzie miał parę godzin spokoju na przetrwanie kolacji i popicie jej butelką piwa.

Pozostawał jej więc jedynie Sevrin. Z poczuciem winy uświadomiła sobie, że od początku chciała, by to nazwisko było jedynym, które pozostanie na jej liście. Mogłaby do niego napisać. Tyle tylko, że wyglądałoby to jak szukanie pretekstu do spotkania. Skoro Sevrin nie chce się z nią widywać, to ona powinna mieć wystarczająco wiele dumy, by się z tym pogodzić. Z drugiej jednak strony, co by jej z tego przyszło? Ludzie nazbyt dumni zawsze kojarzyli jej się z głupcami.

Była jeszcze jedna osoba, którą powinna zapytać o zdanie.

Przysunęła krzesło do stojącego na toalecie lustra i przywołała K'iryam.

– *Myślę, że masz rację* – powiedział jej cień. – *Wokół ciebie dzieje się coś złego.*

– To akurat nietrudno zgadnąć – rzekła. – Powiedz mi, co się dzieje. Kim jest człowiek w masce Słonecznego Boga? Dlaczego śni mi się moja siostra i dlaczego sen kończy się zawsze w tym samym momencie, jakby ktoś rzucił na mnie zaklęcie, bym nie mogła zobaczyć, co będzie dalej?

– *Na pierwsze pytanie nie potrafię ci odpowiedzieć. A drugie... Być może to Djevra nie chce, byś zobaczyła, co dzieje się z twoją siostrą w tamtym pokoju.*

– Djevra nie żyje od sierpnia!

Niewidoma twarz K'iryam wykrzywiła się bardziej niż zwykle.

– *Zaklęcia rzucone przez bogów trwają nawet po ich śmierci. Nie wiesz o tym?*

Mel przygryzła wargę. I tak już się bała, ale K'iryam wystraszyła ją jeszcze bardziej.

Odesłała swój cień, schowała dumę do kieszeni i napisała do Sevrina.

– A więc Josselin Lambert La Veilhe studiował kiedyś prawo? A przed piętnastu laty jako młody kandydat na prokuratora przebywał przez jakiś czas na praktykach w Vassivières? – spytał Sevrin.

Sędzia śledczy skinął głową i gestem odesłał służącą, która przyniosła kawę. Wyćwiczona w posłuszeństwie kobieta skłoniła się i odeszła. Prócz niej w domu nie było nikogo. Surges był kawalerem i bardzo sobie to chwalił. Sevrin rozumiał go doskonale.

– Był tam bardzo krótko, ledwo przez trzy letnie miesiące. Pani Delmay nawet nie pamiętała jego nazwiska. Właśnie w sierpniu tamtego roku La Veilhe dostał wiadomość, że jego stryj zmarł, pozostawiając mu cały majątek. Czym prędzej wrócił więc do Quinson, a studiów nigdy nie skończył. O pobycie w Vassivières nigdy nie wspominał. Może dlatego, że Goutte–Touquet, gdzie znajduje się siedziba sądu tego okręgu, to prowincjonalna dziura, w której nie dzieje się nic ciekawego...

– A może dlatego, że wydarzyło się wtedy coś, o czym La Veilhe nawet nie chciał myśleć – dokończył Sevrin.

– Delmay znany był z surowości. Tamtego lata wydał trzy wyroki śmierci. Powiesił jednego rabusia, który włamał się do pewnego domu i siekierą zabił właściciela, kobietę oskarżoną o otrucie męża i niespełna rozumu chłopaka, który zadźgał nożem dziewczynę. Żadne z tej trójki nie było Neahelitą, a już na pewno nie neahelickim magiem – dodał Surges, patrząc na Sevrina złośliwie.

– A co z chłopakiem? Wiesz o nim coś więcej?

– W aktach sprawy zapisane jest tylko imię: Anhe, jakby w

ogóle nie miał nazwiska. I wiek: siedemnaście lat. W sam raz, by go powiesić, prawda?

Sevrin zastanowił się.

– Warto by porozmawiać z kimś, kto pracował w tamtejszym sądzie piętnaście lat temu. Ale o tym już chyba pomyślałeś.

Surges skinął głową.

– Znam jedno nazwisko, które wygląda dość obiecująco. Cirile Ollier, człowiek, który przez wiele lat pełnił w Goutte–Touquet obowiązki pisarza sądowego. Mieszka teraz w Monjou, o dzień drogi stąd. Wybierzesz się tam ze mną?

– Proszę za mną – powiedział Aleixandre Lial, z zadowoleniem bawiąc się w przewodnika. Chłopięcy uśmiech i opalona skóra przyjemnie kontrastowały z jego rozwichrzonymi włosami, w których błyszcząły siwe nitki.

Zeszli na dół szerokimi schodami. Mrok rozjaśniały tu gazowe lampy – Instytut był jednym z nielicznych budynków w Quinson, które oświetlano w ten sposób.

– Nasze badania – mówił doktor Lial – staramy się na razie trzymać w tajemnicy. Ludzie... Cóż, z pewnością wiesz pani, jaki jest stosunek przeciętnego człowieka do magii. Oczywiście – zastrzegł się – nie ma w tym nic nielegalnego.

Ściana korytarza, którym szli, przypominała olbrzymi plaster miodu. Od podłogi aż na wysokość sześciu stóp ciągnęły się tu szeregi niewielkich komórek, przeznaczonych dla czegoś wielkości kota lub królika. Każda z nich zaopatrzona była w żelazne drzwiczki. Mel zajrzała przez maleńkie okienko, ale nie zobaczyła nic prócz pajęczyn i kłębow kurzu. Dopiero po chwili spostrzegła wymalowane na ściankach pomieszczenia zakłęcia.

– Te klatki są puste – pospieszył z wyjaśnieniem doktor Lial.
– Mamy kilku lokatorów, ale znajdują się w dalszej części korytarza. Gdybyś pani zechciała...

Coraz bardziej zaciekawiona Melisandra podążyła za nim. Na końcu korytarza naukowiec wskazał jedną z klatek.

– Proszę spojrzeć tutaj.

W środku tkwił uwięziony demon, nie wyższy niż łokieć.

Wyglądał na wyczerpanego. Drobne ciało drżało delikatnie, przypominające suche gałązki łąпки obejmowały nieproporcjonalnie wielką, jak u noworodka, głowę. Demon spał albo był nieprzytomny.

– Chwytny je – powiedział doktor Lial – a zaklęcia nie pozwalają im uciec w ich własny świat. Do tego czasu wypróbowaliśmy zaklęcia w wielu różnych językach. Najskuteczniejsze okazały się te, które przekazał mi pewien *soutzhan*. Niestety, w niewoli demony szybko zaczynają chorować.

– Prowadzicie nad nimi badania? – zdumiała się Mel. – Dla mnie to nie ma sensu. W takich warunkach ich magiczne zdolności muszą być bardzo ograniczone.

– Rzeczywiście tak jest – przyznał. – Ale pracujemy nad tym. Zresztą chodzi nam jeszcze o coś innego... Ale proszę przejść dalej, pokażę pani największy i najciekawszy okaz z naszej kolekcji.

Ciągnące się wzdłuż następnego korytarza klatki były znacznie większe, a wprawione w żelazne drzwi okna odpowiednio szersze. Przed jedną z klatek ustawiono stoliczek i dwa krzesła. Lial gestem zachęcił ją, by usiadła.

Widoczny za szybą demon był niewiele drobniejszy od tego, z którym walczyła latem. Wyglądał jednak na znacznie mniej groźnego. Kręcił się po klatce, bezskutecznie usiłując osiągnąć chronionej siatką lampy. Światło drażniło go najwyraźniej. Wypisane czerwoną farbą zaklęcia wyglądały na ścianie jak krew.

– Jest bardzo aktywny – powiedział z dumą doktor Lial. – Trzymamy go w zamknięciu już od trzech tygodni, a on jeszcze nie stracił sił.

– Ale po co to wszystko? – spytała. – Skoro nie możecie ich w ten sposób badać?

– Och, te stworzenia nie przestają być interesujące, nawet gdy pozbawimy je magii. Martwe okazy potrafią powiedzieć nam wiele o anatomii istot tamtego świata. Nam jednakże chodzi także o to, by je chronić. – Z kieszeni obszernego surduta wygrzebał woreczek z tytoniem, a z drugiej fajkę. Nabił ją

sprawnie i zapalił, przyglądając się z zainteresowaniem swemu okazowi.

– Chronić? – spytała Mel.

Aleixandre Lial skinął głową.

– Oczywiście. Ludzie systematycznie niszczą demony. Jeszcze pięćset lat temu było ich dwa razy więcej. Taka histeria, jaką ostatnio rozpętano w mieście, może mieć dla tych istot straszliwe skutki. Istnieją specyficzne byty, jak choćby święty Cirile, wyspecjalizowane właśnie w likwidowaniu demonów i byty te zaczynają teraz nabierać sił. Ich ofiarą, rzecz jasna, padną przede wszystkim demony małe i słabe. Dlatego chwytamy pojedyncze egzemplarze i staramy się dowiedzieć o nich jak najwięcej, zanim ich pobratymcy ulegną zagładzie.

Okaz doktora Liala pełzał teraz po podłodze. Przypominał trochę olbrzymią ćmę, a trochę wygłodzoną małpę. Wąskie szparki oczu lśniły intensywną zielenią, a na wpół rozłożone skrzydła szeleściły jak suche liście. Demon nie wyglądał już nieszkodliwie, a mimo to Melisandra poczuła przypływ współczucia.

– Interesuje mnie pewna kwestia... – powiedziała z wahaniem. Doktor Lial natychmiast przeniósł wzrok na jej twarz i uśmiechnął się zachęcająco. – Czy zdarzają się przypadki, że... no cóż... dusza ludzka może istnieć w ciele demona i odwrotnie?

Najwyraźniej nie takiego pytania się spodziewał.

– Pytasz pani o istotę człowieczeństwa, a to domena Kościoła, nie nauki. Jestem ateistą, nie wierzę w Boga ani w zbawienie. Moim zdaniem to, w jakim ciele się rodzimy, kształtuje naszą świadomość, jednak ludzie odbierają rzeczywistość odmiennie niż istoty z tamtego świata. Przyznam, iż zdarzyło mi się rozmawiać z demonami, które myślały niemal na sposób ludzki. Natomiast jeśli chodzi o sytuację odwrotną... Nie wykluczam, ale nigdy jeszcze się z czymś takim nie zetknąłem.

– Czy taką istotę, to znaczy człowieka o duszy demona, dałoby się odróżnić od pozostałych ludzi?

Uśmiechnął się wyrozumiale. Gdy minęło zaskoczenie, z łatwością wpadł w ten sam ton, którym wygłaszał wykłady.

– Zaczniemy od tego – mówił – że demony, tak jak wszystkie żywe istoty, posiadają instynkt samozachowawczy. Zwierzę i człowiek potrafią żyć w skrajnie nieprzyjnym środowisku, przystosowując się do panujących warunków. Na tej zasadzie więc i demon nauczyłby się naśladować typowo ludzkie zachowania, bo zdawałby sobie sprawę, że ujawnienie inności może przynieść mu zgubę. Na pozór ktoś taki nie różniłby się od innych ludzi. Ale jego bliscy, żyjący z nim na co dzień, musieliby wiedzieć.

– A czy umiałbyś pan odpowiedzieć na pytanie, jaki typ człowieka reprezentowałby ktoś taki? Ludzie postrzegaliby go jako, powiedzmy, okrutnego, przebiegłego, może zamkniętego w sobie?

Potrząsnął głową.

– Nic z tych rzeczy. Instynkt samozachowawczy demonów jest słabszy niż u ludzi. Taka istota więc zapewne uważana byłaby za kogoś bardzo odważnego, kogoś, kto nie unika niebezpieczeństwa, a może nawet szuka go. To po pierwsze. Po drugie, życiem demonów rządzą kaprysy, i to niekoniecznie okrutne, jak sądzi większość ludzi. Demony są okrutne, owszem, ale w tym sensie, że nie dbają o uczucia innych, a nie dlatego, że zadawanie bólu sprawia im jakąś szczególną przyjemność. Większość ich kaprysów mogłaby być całkiem niewinna – ot, powiedzmy, ktoś taki miałby ochotę zjeść ciastko, i to zaraz, natychmiast, tak jak chcą tego dzieci. O, właśnie to. Myślę, że ludzie widzieliby w nim po prostu duże dziecko. Zdarzałoby się też, oczywiście, że demon miałby ochotę na coś, co jest społecznie nieakceptowane, powiedzmy, zapragnąłby nagle kogoś uderzyć, może nawet zabić. Ale, jak już mówiłem, wiedziałby przy tym, że pewne zachowania pociągają za sobą karę, i starałby się zaspokajać te apetyty tylko wtedy, gdy byłby stosunkowo bezpieczny. Mimo to... – zawahał się, a Mel spojrzała na niego z uwagą.

Aleixandre Lial uśmiechnął się.

– Myślę, że istota taka nie mogłaby żyć wśród ludzi nierozpoznana, gdyby ktoś jej nie chronił. Ale dlaczego mówimy o tak ponurych sprawach? Mam dwa wolne bilety do

opery i żadnych planów na dzisiejszy wieczór. Może zechcesz mi pani towarzyszyć?

Uśmiechał się przy tym tak sympatycznie, że Melisandra zgodziłaby się od razu, gdyby nie list, który otrzymała dzisiejszego ranka.

– Przykro mi – odparła. – Pan może i nie ma żadnych planów, ale ja muszę się dziś z kimś spotkać.

Rozłożył ręce. Mel wyczuwała jego rozczarowanie, choć najwyraźniej nie tak wielkie, by mężczyzna przestał się uśmiechać.

– Powiniennem wziąć pod uwagę – powiedział – że tak piękna młoda kobieta z pewnością ma z kim spędzać wieczory. Mam jednak nadzieję, że to nie on, nie człowiek, o którym rozmawialiśmy.

– Demon? – parsknęła.

Doktor Lial wolno pokręcił głową.

– Ten, który chroni demona. Myślę, że to musi być niezwykle człowiek.

Mały ulicznik schował się w bramie, przykucnął i smętnie patrzył, jak strugi deszczu siekają pełen dziur bruk.

Marty gwizdnął. Ulicznik podniósł głowę, zastanawiając się, czy opłaca mu się opuścić bezpieczne schronienie.

Marty wręczył chłopcu monetę i polecił przynieść z najbliższej gospody kufel grzanego piwa. Zanosilo się na długie czekanie.

Pierwszy mag, którym się zainteresował, okazał się małym staruszkciem pod sześćdziesiątkę. Sevrinowi potrzebny był ktoś wyższy i silniejszy, Marty zaczął więc rozglądać się za innym czarownikiem. Ten tutaj wyglądał znacznie bardziej obiecująco. Gdy pół roku temu zajął wolne mieszkanie w kamienicy, którą chłopak właśnie obserwował, większość lokatorów wyprowadziła się pospiesznie. Szeptali przy tym, że mag eksperymentuje, wzywając potężne demony. Marty śledził maga już od kilku dni. Czekał, aż ten wyjdzie z mieszkania, by móc swobodnie poszperać w jego rzeczach, ale czarownik, jak na złość, tkwił w domu jak kołek.

Największy i najlepszy pokój w tawernie „Pod Pióropuszem” bardzo przypominał typowy mieszczański salonik. Był przytulny, utrzymany w ciepłej, czerwono–złotej tonacji, pełen bibelotów i pluszowych poduszek. Nic tu nie pasowało do panny Melisandry d’Aleume, ale Sevrin wątpił, by dziewczyna zdawała sobie z tego sprawę.

– Ojciec dał Peyre’owi alibi, a policja uwierzyła jemu, nie mnie – mówiła Mel z goryczą. – Dzisiaj nikt nie da wiary słowu czarownicy, zwłaszcza że ostatni raz widziałam Peyre’a sześć lat temu, a teraz mogłam rozpoznać go tylko po głosie. Głupio zrobiłam. Nie trzeba było iść z tym na policję. Nie warto być uczciwym, prawda?

W zamierzeniu miało to chyba zabrzmieć cynicznie, ale w głosie dziewczyny zbyt wiele było złości i bólu. Sevrin nie odpowiedział.

Mel oparła się o safianowe obicie kanapy, cofając się jednocześnie poza złoty krąg światła rzucany przez naftową lampę. Siedzący obok niej Sevrin odruchowo pochylił się do przodu.

– Ktoś wciąż za mną chodzi. – Melisandra zdołała się uśmiechnąć. – Czasem któryś z pomocników Felise, czasem nawet sam Justy. Pilnują mnie.

– Wiem, prosiłem o Benedita. Opowiedz mi o wszystkim.

Tak więc powiedziała mu o tym, że już od wiosny ma wrażenie, iż jest częścią jakiegoś skomplikowanego planu, o dotyczących Isabel snach, których nie potrafi dośnić do końca, bo ktoś jej w tym przeszkadza, a także o spotkaniu z człowiekiem w masce Słonecznego Boga. Na koniec wspomniała jeszcze o rozmowie z Flavianem.

– Młody Delmay... – zamyślił się Sevrin. – Wiesz, że on zniknął?

Targnął nią dreszcz przerażenia. O pułkowniku też tak mówiono, pomyślała.

– To nie tak, jak myślisz – zapewnił pospiesznie Sevrin. – Flavian Delmay zostawił matce list i opuścił dom. Nikt nie wie,

gdzie teraz jest, ale z pewnością odszedł z własnej woli.

– Musimy go odnaleźć.

– Powiem sędziemu śledczemu...

– Nie – przerwała mu. – Flavian już nigdy mi nie zaufa, jeśli naśle na niego policję. Spróbuję znaleźć go inną metodą.

– Magicznie?

Skinęła głową.

– On coś wie. Już dawno temu powinnam była skłonić go do mówienia... – Urwała i skrzywiła usta. – Boję się, Joaquim – podjęła gwałtownie, niemal z gniewem. Strach zawsze wydawał jej się uczuciem nazbyt upokarzającym, by przyjmować go bez słowa protestu. Lękom Mel niemal zawsze towarzyszyła złość. – Boję się o siebie, o Isabel, o każdego człowieka, którego mijam na ulicy tego przeklętego miasta.

Ostatnio wyobraźnia wciąż podsuwała jej makabryczne obrazy. W jednym widziała własne ciało porzucone w ruinach Miasta Snów. Podciągnięta na wysokość ud spódnica odsłania posiniaczone, podrapane nogi, ręce są nienaturalnie wykręcone, a twarz oblepia błoto. Następnie ciało zaczyna gnić i odpadać od kości, aż w końcu pośród ruin leży już tylko biały szkielet, opłukiwany przez zimowe deszcze, prażony letnim słońcem.

Po tym obrazie pojawiał się inny, nie mniej przerażający. Z ręki maga–zabójcy giną kolejne osoby, narasta histeria, w Quinson pojedyncze incydenty przeradzają się w regularne rozruchy. Bogobojni mieszczanie wywlekają magów z łóżek z zamiarem powieszenia ich na najbliższej latarni. Czarownicy uciekają się do pomocy magii, a quinsonczycy biegną do kościołów, gdzie zaczynają wznosić żarliwe modły. Powtarza się historia sprzed czterystu lat. Która strona będzie górą? Pewnie praworzadni obywatele, z goryczą myśli Mel, jest ich po prostu więcej.

Sevrin objął dziewczynę, wsunął dłoń pod jej włosy i pogłaskał kark. Oparła czoło na jego ramieniu. Mówił łagodnie, choć nieco zbyt dużo i zbyt szybko, chcąc uspokoić ją nie tyle słowami – bo tych nawet nie słuchała – ale samym tonem głosu. Sam też tego potrzebował, by ukryć własną niepewność.

Nigdy jeszcze nie był tak bliski złamania zasad, które sam sobie narzucił.

Podniosła głowę. Sevrin pocałował ją, najpierw delikatnie, jakby chciał dać Melisandrze szansę na wycofanie się, potem coraz mocniej, ze wzrastającym pożądaniem. Przesunął dłonie na jej biodra. Niezgrabnie, szarpiąc materiał, zaczął wysuwać bluzkę zza paska spódnicy. Pomogła mu. Dotyk jego rąk, z chłodnym, twardym krążkiem obrączki wyraźnie odznaczającym się na serdecznym palcu lewej dłoni, na moment wzbudził w niej wyrzuty sumienia, ale wrażenie to szybko znikło, stłumione przez coraz intensywniejszą rozkosz.

– Chciałabym widzieć się z panią Delmay – powiedziała grzecznie Melisandra.

Stara służąca spoglądała przez chwilę tak tępo, jakby dziewczyna mówiła do niej w obcym języku. Po chwili bez słowa odwróciła się i zniknęła w głębi Zielonego Domu. Mel cierpliwie czekała na progu.

Był ranek, pora trochę zbyt wczesna na składanie wizyt, ale Mel chciała zobaczyć się z Sevrinem jeszcze przed jego wyjazdem do Monjou.

Wróciła służąca i milcząc przez cały czas, poprowadziła ją do salonu. Pani Delmay i jej córka jadły właśnie śniadanie. Melisandra poczuła się głupio w swojej eleganckiej sukni i sięgających łokcia rękawiczkach. Zdała sobie sprawę, że żaden przyzwoity strój jej nie pomoże. Pani Delmay spoglądała na nią z chłodną dezaprobatą, a usta zacisnęła w wąską kreskę.

Mel przełożyła z ręki do ręki pelerynę z kapturem, którą zapomniała odebrać służąca. Na widok miny pani Delmay poczuła irytację, ale i przypływ pewności siebie.

– Usłyszałam – zaczęła, nie bawiąc się w żadne uprzejmości – że pani syn opuścił dom. Przyszłam zaproponować pomoc w odnalezieniu go.

– Dziękuję – odparła pani Delmay, a Mel nigdy jeszcze nie słyszała tego prostego słowa wypowiedzianego tak nieuprzejmym tonem – ale pani pomoc na nic nam się nie zda.

Melisandra w myślach powtórzyła wszystkie najgorsze przekleństwa, jakie знаła, a później odetchnęła głęboko.

– Potrzebuję tylko...

– Nie, dziękuję. – To „dziękuję” było, o ile to możliwe, jeszcze chłodniejsze. – Trafisz pani sama do wyjścia?

– Mamo, niech ona zostanie na śniadaniu! – niespodziewanie odezwała się Paulina, która już od pewnego czasu gapiała się na dziewczynę z nieskrywaną ciekawością. – Zaparzę jej herbaty. Zgódź się, mamo! Proszę!

– Ależ kochanie – powiedziała pani Delmay – ta pani musi już iść.

– Wcale nie. – Mel uśmiechnęła się do dziewczynki. – Bardzo chętnie napiję się herbaty.

Paulina jak burza wypadła z salonu. Mel z ulgą rzuciła pelerynę na kanapę i bezczelnie przysunęła sobie do stolika krzesło. Spojrzała na panią Delmay z triumfem, a potem starannie rozejrzała się wokół. Potrzebowała czegoś, co należało do Flaviana, nic więcej. Gdyby zauważyła coś takiego, zabrałaby to sobie, nie pytając nikogo o zgodę, a pani Delmay nie zdołałaby jej przeszkodzić. Ale salon był typowo kobiecym pomieszczeniem, pełnym tandetnych figurek, lalek w falbaniastych sukniach i małych obrazków. Nie było tu niczego, co wyglądałoby na własność młodego mężczyzny.

Wróciła Paulina, dumnie dźwigając tacę z imbryczkiem i filiżanką. Nalała herbaty i Mel z podziękowaniem przyjęła parujący napój.

Herbata okazała się obrzydliwie słodka, jakby dziewczynka, przejęta rolą gospodyni, wrzuciła do niej trzy razy więcej cukru niż potrzeba. Mimo to Mel dzielnie sęczyła napój, wciąż starając się zyskać na czasie.

Paulina nie wytrzymała długo, siedząc przy stoliku. Pobiegnęła gdzieś, a chwilę później z głębi domu rozległ się dźwięk tłuczonego szkła.

Miejsce niechęci na twarzy pani Delmay zajął matczyzny niepokój.

– Przepraszam – mruknęła i potruchtała do drzwi.

Melisandra skorzystała z okazji i podeszła do kominka. Wylała

w ogień resztę paskudnej herbaty. Płomień przygasł na chwilę, a dziewczyna zauważyła błysk czegoś srebrnego, zagrzebanego w popiele.

Sięgnęła po to coś pogrzebaczem. Był to medalion, ten sam, który Flavian chciał jej pokazać przy ich pierwszym spotkaniu. Wieczko było otwarte i wygięte, a to, co znajdowało się w środku, spłonęło w ogniu. Schowała medalion do torebki. Ubrudzone popiołem rękawiczki wepchnęła w kieszeń peleryny.

Chwilę później wróciły pani Delmay i Paulina. Matka nie zauważyła braku rękawiczek, ale dziewczynka gapiała się na Mel z wyraźnym zainteresowaniem. Być może, pomyślała Melisandra, ten dzieciak jest znacznie bystrzejszy, niż można by sądzić. Może to ją powinno się zapytać, kto zabił pułkownika Delmaya?

Jeszcze tego samego ranka Mel znów miała okazję powtórzyć wszystkie znane jej przekleństwa. Tym razem wypowiedziała je na głos, starannie i wyraźnie.

Medalion Flaviana nie przydał się. Młodzieniec tak bardzo nie chciał być odnaleziony, że jego niechęć blokowała wszelkie próby magicznych poszukiwań. Udało się jej jedynie ustalić, że Flavian przebywa gdzieś niedaleko, prawdopodobnie w Gouttenegre. Biorąc pod uwagę fakt, że młodzieniec miał w tej dzielnicy wielu przyjaciół, mogłaby domyślić się tego i bez pomocy magii.

Zanosilo się na to, że trzeba będzie szukać Flaviana innymi metodami.

Miała już odłożyć medalion, ale przypomniała sobie sekret, który kiedyś chciał powierzyć jej Flavian, sekret związany z tym właśnie medalionem.

Pierwsze wspomnienia były, tak jak wówczas, bardzo wyraźne: zaśnieżona równina, ogromne zimowe słońce i osłabiony chłopiec, jadący powozem.

Ale Mel nie poprzestała na tym. Wsunęła medalion do ust i czując na języku chłód metalu, szukała głębiej, sięgała całej

historii.

Flavian stoi przy oknie, w spoczonej dłoni ściskając srebrny medalion.

Ulicą przechodzi pogrzeb. Kary koń brnie przez błotnistą breję, ciągnąc prosty drewniany wóz, na którym leży maleńka trumna. Z tyłu idzie dwoje żałobników: kobieta i mężczyzna. Oboje są bardzo młodzi, sami ledwo co wyrosli z wieku dziecięcego. Mężczyzna płacze, ale kobieta ma suche oczy. Z szarosinego nieba zaczyna sypać śnieg. Chłopiec nigdy jeszcze nie widział czegoś takiego.

– Nie pozwól, święty Crispinie, bym umarł jak to dziecko – modli się, zaciskając pięść wokół medalionu z wizerunkiem świętego Crispina Cudotwórcy.

Dostał go od matki na trzynaste urodziny i wciąż jest wystarczająco młody, by wierzyć, że moc świętego uchroni go od choroby. Nie wie jeszcze, że święci rzadko wysłuchują samotnych modlitw.

Choroba nadeszła z południa w ostatnich dniach jesieni. Ludzie nazywają ją Czerwoną Śmiercią. Zawsze zaczyna się tak samo – od krwawienia z nosa, czasem także z uszu. Następnie na ciele zaczynają pojawiać się siniaki. Robią się coraz większe i człowiek wygląda, jakby ktoś go pobił.

Lekarze mówią, że to dlatego, że w ciele chorego pękają żyły i krew wylewa się pod skórę.

Wszystko trwa parę dni. Potem chory umiera, cały sinofioletowy jak zgniła śliwka.

Podobno to nawet nie boli.

Śmierć zabiera przede wszystkim dzieci i starców. Nikt nie wie, jak ich leczyć. Jedyne najzdolniejsi magowie potrafią przenieść chorobę na zwierzę i uratować chorego.

Rodzice Flaviana boją się o swoją małą córeczkę, która wczorajszego wieczoru kaprysiła bardziej niż zwykle, a dziś obudziła się z gorączką. Ale chłopiec wie, że jego siostrzyczka cierpi tylko na zwykle zimowe przeziębienie. To on, Flavian, zostałznaczony Czerwoną Śmiercią.

Z nosa cieknie mu strużka krwi i spływa na wargi. Flavian

otwiera usta i wysuwa język. Krew jest ciepła i słona.

Matka, gdy syn mówi jej o chorobie, zaczyna krzyczeć. Ojciec zachowuje spokój. Nie lubi tego dziecka, bladego i chudego, którego ramiona już teraz pochylają się do przodu, a wzrok zepsuł się od ślęczenia nad książkami.

Ale to jego syn, a pułkownik jest człowiekiem czynu.

Zakłada swój najlepszy frak, palec ozdabia odziedziczonym po ojcu sygnetem. Matka zostaje z małą córeczką, a pułkownik zanoszą Flavianą do powozu. Jadą w kierunku Domu Snów.

Przed Domem czeka tłum ludzi. Tej zimy soutszene mają mnóstwo pracy. Przełożony Domu, młody Taghya, pozwolił nawet, by klientów przyjmowali także zdolniejsi uczniowie. Mimo to soutszene nie są w stanie pomóc wszystkim. Leczą więc tylko tych, którzy mają pieniądze.

Wielkopańska mina pułkownika Delmaya nie pozostawia wątpliwości co do stanu jego majątku. Tłum czekających rozstępuje się przed nim jak łan zboża.

Za bramą Domu Snów pułkownik marudzi, odrzucając kandydatury kolejnych magów, którzy za odpowiednią sumę gotowi są pomóc jego synowi. Pada też imię Ghiyāma. To uczeń, rówieśnik Flaviany i jego dawny przyjaciel. Ratuje on życie Flaviany i nie żąda za to ani eccu.

Chłopcy zostają sami. Ghiyām zauważa na szyi chorego medalion. Otwiera go i śmieje się z wizerunku świętego. Dam ci coś o wiele skuteczniejszego – mówi. Nacina palec i własną krwią wypisuje na kartce ochronne zaklęcie. Kartkę wkłada do medalionu.

Flavian spogląda na przyjaciela. Nosi teraz inne imię, ale to ten sam chłopiec, którego kochał jak brata. Dawne dziecięce porozumienie odżywa w ciągu paru chwil. Niegdyś byli nierozłączni: arogancki Neahelita, któremu marzyło się, że w przyszłości dokona wielkich czynów, i spokojny Okcytańczyk, rozsądnie temperujący nazbyt niebezpieczne pomysły przyjaciela.

Bystry Ghiyām wymyśla, w jaki sposób mogą się od czasu do czasu widywać, a Flavian dopracowuje szczegóły.

W drodze powrotnej Flavian spogląda na pokrytą białym puchem równinę.

– Śnieg nie utrzyma się długo – kręci głową pułkownik Delmay.

Chłopiec zaciska dłoń na medalionie. Nie modli się już do świętego. Teraz ten kawałek metalu jest dla niego czymś więcej – zawiera w sobie dar od przyjaciela.

Fakt, że przyjaźń z Ghiyāmem trzeba utrzymywać w tajemnicy, przemawia do romantycznej strony natury Flaviana.

Oślepiiony promieniami wielkiego zimowego słońca zamyka oczy. Po raz pierwszy od czasu, gdy urodziła się jego mała siostrzyczka, jest naprawdę szczęśliwy.

Więc to tak było, pomyślała. To wspomnienie wyjaśniało także fakt, że Flavian od początku zdawał się lubić Mel i darzył ją zaufaniem. Dziewczyna nie była dla niego zwykłą znajomą poznaną w czasie podróży dylizansem. Flavian widział w niej bratnią duszę – była *soutzhau*, jak jego przyjaciel, a do tego *soutzhau* dość nietypową, która z łatwością mogłaby zrozumieć dwóch młodzieńców od lat łamiących reguły Domu.

Monjou było nadmorską miejscowością, ledwo zasługującą na miano miasteczka. Surges i Sevrin zatrzymali się w gospodzie przy stacji dylizansów. Było dopiero wczesne popołudnie, ale siąpiący za oknami deszcz sprawiał, że w głównej izbie panował półmrok. W kłębach papierosowego dymu siedzieli tu ludzie o ponurych, zaciętych twarzach. Sevrin czuł na plecach ich niechętny wzrok, gdy przepychał się w stronę stojącego w rogu kaflowego pieca. Z ulgą wyciągnął zmarznięte dłonie do ciepła. Surges, nawet po długiej podróży kipiący energią, wypytywał w tym czasie gospodarza. Gdy padło nazwisko Cirile'a Olliera, ciekawość złagodziła rysy siedzących w izbie ludzi.

– Znamy go – powiedział barczysty mężczyzna, który jako jeden z nielicznych gości wyglądał na mieszkańca miasta, nie wsi. – Wy do niego w jakiej sprawie?

Surges wyduł wargi, odmówił odpowiedzi, a później stanowczo zażądał dokładnego adresu Olliera. Twarz barczystego sposepniała na powrót i Sevrin uśmiechnął się lekko. Popędliwość Surgesa nie zjednywała mu przyjaciół, jednak obywatele Monjou najwyraźniej szanowali prawo i sędzia śledczy otrzymał swoją informację, choć Sevrin podejrzewał, że gdyby tylko Surges zdobył się na odrobinę uprzejmości, dostałby nie tylko adres Olliera, ale i któryś z gości bez trudu doprowadziłby ich aż pod sam dom.

Wyszli na deszcz i pełne błota ulice. Nad większymi kałużami przerzucono sosnowe deski, ale był to jedyny wyraz troski o obywateli w tym miasteczku. Nie było tu bruku, chodnika ani ulicznych latarni. Jedno-, najwyżej dwupiętrowe domy wyglądały tak, jakby strugi deszczu zmyły z nich nie tylko farbę, ale i styl, przekształcając je w jednakowe bryły szarego kamienia.

– To chyba tutaj – powiedział Surges. Wypisana nad bramą liczba była co prawda tak zatarta, że nie dało się jej odczytać, ale poprzednia kamienica nosiła numer siedem, to więc powinna być dziewiątka.

Sędzia śledczy zakołatał do drzwi. Otworzyła mu wysoka, siwowłosa kobieta. Na pytanie o Cirile’a Olliera skinęła głową i poprowadziła ich w głąb domu. W przeciwieństwie do ludzi z gospody na niej tytuł Surgesa zdawał się nie robić wrażenia.

Mysłąc o byłym pisarzu sądowym, Sevrin spodziewał się typowego, szarego urzędnika, a tymczasem zobaczył postać nieomal patriarchalną. Rozparty wygodnie w fotelu siedział postawny starzec o białych jak mleko, opadających na ramiona włosach. O jego kolana opierał głowę wyżej, z miłością patrzący w twarz swego pana. Razem tworzyli obraz, który zachwyciłby niejednego malarza.

Siwowłosa kobieta przyniosła im czarną jak atrament herbatę i miodowe ciastka.

– Moja siostra, Marciana – przedstawił ją Ollier. Sędzia śledczy zarumienił się lekko, wziął bowiem małomówną przewodniczkę za zwykłą służącą. Szybko jednak odzyskał pewność siebie.

Cirile Ollier milczał, gdy Isan Surges tłumaczył mu, z jaką prośbą przyjechali. Sevrin w tym czasie sięgnął po herbatę i ciastka, które okazały się całkiem smaczne. Był zmęczony i głodny. Nie bardzo mógł zrozumieć, dlaczego Surges uparł się iść do Olliera od razu po przyjeździe. Nic by się nie stało, gdyby wypoczęli przez godzinę w gospodzie, zjedli coś i wysuszyli wilgotne ubrania. Teraz jednak ciekawość wzięła górę nad znużeniem. Sevrin spoglądał w twarz byłego pisarza sądowego, ale potrafił z niej wyczytać jedynie łagodny upór. Cirile Ollier już podjął decyzję.

Gdy sędzia śledczy skończył mówić, Ollier leniwym gestem pogłaskał psa.

– Przykro mi – powiedział tak ciepło, że nie zabrzmiało to wcale jak zdawkowa uprzejmość – ale nie będę mógł pomóc. Wiem, co dzieje się w Quinson. I do nas docierają wieści ze świata. Pułkownika Delmaya znałem bardzo dobrze, był to człowiek prawy, choć mało mający zrozumienia dla ludzkich słabości. Potrafił jednak przyznać się do błędu, a to nieczęsta zaleta. Tego młodzieńca, o którym pan wspomniałeś, nie pamiętam w ogóle. Wielu takich pracowało przez jakiś czas w naszym sądzie, ale nikt nie zostawał na dłużej – Goutte–Touquet trudno nazwać atrakcyjnym miejscem dla młodych, ambitnych ludzi. Jeśli chodzi o Felipa Gardilhe’a... cóż... spotkałem go parę razy i mogę powiedzieć tylko tyle, że cieszę się, iż nigdy nie byłem zmuszony poznać go lepiej. Plotki, które krążyły o tym człowieku... Nie mam zamiaru ich powtarzać, nie sądzę, by to miało jakieś znaczenie. Jak rozumiem, sugerujesz pan, iż przed piętnastu laty pułkownik Delmay skazał kogoś niewinnego, a Gardilhe wyrok wykonał? Jeśli nawet coś takiego miało miejsce, to ja nic o tym nie wiem. Nie pamiętam, kogo pułkownik kazał powiesić tamtego lata.

W czasie tej dość długiej przemowy Surges kręcił się niespokojnie w fotelu. Potem zmarszczył brwi i spojrzał na Olliera nieprzychylnie.

– Bzdura – rzucił. – Pracowałeś pan w Goutte–Touquet przez tyle lat. Musisz pan coś pamiętać.

Były pisarz sądowy uśmiechnął się uprzejmie.

– Oczywiście, jest mnóstwo spraw, które z takich czy innych powodów zapadły mi w pamięć. Mogę o nich opowiedzieć, ale żadna z nich nie dotyczyła... o kim pan mówiłeś?

– Lisa Barta, która przygotowane dla męża ciasto doprawiła sporą dawką arszeniku. Gerard Daniel, rabuś i morderca. Oraz niejaki Anhe, oskarżony o zabicie nożem młodej dziewczyny – dobitnie powtórzył Surges.

– Żadne z tych nazwisk nic mi nie mówi.

Sędzia śledczy parsknął, najwyraźniej mając ochotę powiedzieć coś nieprzyjemnego, ale błękitne oczy Olliera patrzyły tak niewinnie, że dał spokój. Tłukł się przez cały dzień w powozie, by przekonać się, że przybył do Monjou na próżno, a mimo to poddał się niemal bez słowa. Sevrin, który znał niecierpliwość i wybuchowy charakter Surgesa, nie mógł wyjść z podziwu nad siłą przekonywania białowłosego starca.

– Myślisz, że wróca? – spytał Ollier siostrę.

– A mają po co wracać? – chytrze spytała kobieta.

Ollier nie odpowiedział. Sędzia śledczy, drobny i nerwowy, nie spodobał mu się wyjątkowo. Przypominał pchłą podskakującą na rozgrzanym blacie. Ale wyglądał na całkiem bystrego. Może zorientował się już, że Ollier kłamał.

Nie chciał mówić o tym, co wydarzyło się tamtego lata w Goutte-Touquet. Nie chciał nawet o tym pamiętać. Oczywiście istniała możliwość, że Ollier jest następnym na liście nieznanego mordercy. Pocieszył się jednak myślą, że zabójca działa w Quinson i najprawdopodobniej nigdy nie dowie się, gdzie mieszka Cirile Ollier.

Ktoś zakolała do drzwi. Więc jednak, pomyślał były pisarz sądowy, przywołując na usta ten sam uprzejmy uśmiech, którym powitał gości poprzednim razem. Ale siostra przyprowadziła do salonu jednego tylko mężczyznę – tego drugiego, spokojniejszego i cichszego niż sędzia śledczy.

– Być może to nieuprzejme z mojej strony – zagadnął Sevrin – ale nie mogę powstrzymać się od pytania: jesteś pan chory?

Ollier roześmiał się cicho.

– Cztery lata temu straciłem władzę w nogach i teraz całe dni spędzam, siedząc w fotelu. Nudzi mnie to niepomernie, bo umysł wciąż mam bystry.

– Mógłbyś zająć się pan czymś ciekawym, na przykład spisywaniem wspomnień.

Z ust Olliera na moment zniknął uprzejmy uśmiech. Nachmurzył się lekko.

– Znów wracamy do tego samego? Tracisz pan czas. Nie potrafię pomóc policji w tej sprawie.

– Są rzeczy – powiedział Sevrin – o których łatwiej mówić prywatnej osobie niż przedstawicielowi prawa.

A Isan Surges, dodał w myślach, z pewnością nie jest człowiekiem, któremu chętnie powierza się sekrety. Sędzia śledczy był inteligentny, ale zbyt popędliwy. By wyciągnąć z kogoś zeznania, potrafił straszyć i grozić, ale nie umiał po prostu spokojnie czekać.

– Skoro nie chcesz pan mówić – kontynuował Sevrin, gdy nie doczekał się odpowiedzi – proszę pozwolić, że ja opowiem panu pewną historię.

Domyślał się już, co musiało się zdarzyć tamtego lata w Goutte–Touquet. Dzisiejszego ranka Melisandra dała mu ostatnią wskazówkę, dzięki której rozwiązał zagadkę.

– Piętnaście lat temu – zaczął – w Goutte–Touquet mieszkał pewien chłopak. Ludzie nazywali go Anhe, choć nie był Okcytańczykiem, tylko Neahelitą. Pewnego dnia Anhe został oskarżony o zabicie młodej dziewczyny. Nie mam pojęcia, czy był winny, czy też nie – tak naprawdę to nie ma żadnego znaczenia. Dość powiedzieć, że sędzia, pułkownik Delmay, skazał go na śmierć. Wyrok wykonał Felip Gardilhe. Wszystko odbyło się zgodnie z prawem i o chłopcu z pewnością szybko by zapomniano, gdyby nie pewien fakt...

– Słucham uważnie – powiedział cicho Ollier. Uśmiech na dobre już opuścił jego twarz.

– Gdyby nie fakt, że odcięty od sznura Anhe ożył. Ponieważ takie zmartwychwstanie z pewnością nie uszłoby uwagi ludzi, podejrzewam, że ktoś musiał go zabić po raz drugi. Kto to był? Stawiam na Gardilhe’a.

Ollie spojrział w ciemny prostokąt okna i wolno skinął głową.

– Nigdy nikomu o tym nie mówiłem.

Sevrin czekał cierpliwie.

– Anhe zjawił się w Goutte–Touquet jako niespełna dziesięcioletni chłopiec. Ciężko było wyciągnąć z niego coś sensownego, ale sądząc po wyglądzie i akcencie, z jakim mówił, ludzie uznali, że to Neahelita z którejs z sąsiednich wiosek. Nikt się do niego nie przyznał i chłopiec został w mieście. Włóczył się tu i tam, a ludzie czasem dawali mu z litości jeść i jakiś kąs do spania. Póki Anhe był dzieckiem, wszystko było dobrze, ale potem chłopak zaczął dorastać i interesować się dziewczętami. Niestety, one nie interesowały się nim. Kręcił się po pobliskim lesie i podglądał pary, które szukały tam schronienia. Wiele młodych mieszkanek Goutte–Touquet skarżyło się, że Anhe chodzi za nimi i próbuje zaczepiać, ale nikomu nie przyszło do głowy, że chłopak może być niebezpieczny.

– A Anhe był niebezpieczny – podsunął Sevrin.

– Oczywiście. Skończyło się to tragedią. Spotkał w lesie córkę miejscowego lekarza i zadźgał ją nożem. Następnie zdjął z niej ubranie, ale na tym najwyraźniej kończyła się jego wiedza na temat tego, co mężczyzna może robić z nagą kobietą, bo kiedy go znaleźli, po prostu siedział obok ciała, cały usmarowany krwią. Delmay skazał go na śmierć. Powiedział, że robi to z litości, i jestem gotów przyznać mu rację. Ludzie nigdy nie darowaliby chłopcu tego, co zrobił. Najlepszym wyjściem dla tego biednego idioty była śmierć. Oczywiście Anhe nie był jeszcze pełnoletni, ale w jego przypadku nietrudno było nagiąć trochę prawo. Delmay spytał go po prostu, czy skończył już siedemnaście lat, a chłopak odparł, że tak. Anhe zawsze mówił „tak”, niezależnie od tego, jak brzmiało pytanie. Potwierdziłby nawet, gdyby spytać go, czy spadł z księżyca. Przy egzekucji byłem obecny ja, Delmay, oczywiście Gardilhe i ten młody praktykant, La Veilhe. Teoretycznie nie powinno go tam być, ale chciał zobaczyć na własne oczy, jak wygląda egzekucja, a wtedy nikt nie przestrzegwał prawa na tyle surowo, by mu tego zabronić.

Ollier zamilkł na chwilę. Odetchnął i ciągnął dalej:

– Cokolwiek mówić o Gardilhe’u, trzeba przyznać, że znał się na swojej robocie. Anhe był martwy w jednej chwili. Gardilhe odciął go, a ja podszedłem do ciała. Sam nie wiem, po co, może po prostu chciałem go w jakiś sposób pożegnać. Wtedy – Ollier przelknął ślinę i pustym wzrokiem zapatrzył się w kąt salonu – Anhe drgnął jak człowiek, który zaczyna się budzić. Myślałem, że to złudzenie, i zbliżyłem się jeszcze bardziej, a on... o Boże, zaczął pełznąć, powoli i niezgrabnie. Najpierw szorował twarzą po ziemi, po chwili podniósł głowę i... spojrzął na mnie. A najgorsze w tym wszystkim było to, że Anhe wyglądał przerażająco, ale także śmiesznie z tym ciągnącym się za nim kawałkiem sznura i na czworakach – zupełnie jak pies, który zerwał się z łańcucha. Staliśmy i patrzyliśmy na niego, niezdolni do żadnego ruchu. Pierwszy oprzytomniał Gardilhe. Podbiegł i kopnął go, tak jak kopie się psa. Anhe przewrócił się, rozkładając szeroko ramiona, ale zaraz znów zaczął się podnosić. Gardilhe wziął łopatę, która stała w rogu placu, i uderzył nią chłopaka. Bił go raz po raz, celując w twarz i szyję. W końcu odciął mu tą łopatą głowę. Młody La Veilhe zemdłał, a my patrzyliśmy bez słowa. Poniekąd Gardilhe miał przecież słuszość – zapłacono mu za zabicie chłopaka i swoją robotę starał się wykonać jak najlepiej. Następnego dnia Anhe został pochowany, a my – to znaczy ja, Delmay i młody La Veilhe, bo Gardilhe zawsze był odludkiem i widywaliśmy go tylko przy okazji egzekucji – spotkaliśmy się u pułkownika na kolacji. Zachowywaliśmy się tak, jakby nic nie zaszło. Żaden z nas nigdy nie wspominał o tym słowem.

– Pułkownik Delmay powiedział synowi.

Ollier zdumiał się w pierwszej chwili, ale zaraz na tego twarzy pojawił się wyraz zrozumienia.

– Delmay był dobrym człowiekiem, ale czasem, zwłaszcza gdy się napił, wstępował w niego diabeł. Opowiadał wtedy synowi różne okropieństwa z czasów, gdy służył w wojsku. Mówił, że to ma chłopca zahartować. Może więc powiedział mu i o Anhe, choć myślę, że musiał być wtedy mocno pijany.

Pochylił się do przodu i spojrzął uważnie na Sevrina.

– Powtórzysz pan to wszystko swojemu przyjacielowi?
Sevrin skinął głową. Na twarzy byłego pisarza sądowego odmalowała się niechęć.

– W takim razie, skoro już zdradziłem swój sekret, czy mogę zadać jedno pytanie? Domyśliłeś się pan tego wszystkiego, więc pewnie wiesz pan, kto zabił tamtych troje?

Kolejne skinienie. Ollier, wbrew temu, czego spodziewał się Sevrin, nie zapytał o nazwisko mordercy.

Zadał inne pytanie.

– Czy ten człowiek zamierza także zabić mnie?

– Gdybyś mieszkał pan w Quinson – odparł Sevrin – z pewnością miałbyś pan powody do obaw. Ale nie sędzę, by on pana szukał. Osiągnął już swój cel.

Marty skradał się cicho korytarzem. Stąpał ostrożnie, starając się nie nadepnąć na skrzypiące deski. Większość mieszkań była pusta, a zamki w drzwiach wylamane. W jednym z pokoi dostrzegł wybebeszoną kanapę i kupkę brudnych szmat leżących na podłodze. Czasem nocowali tu bezdomni, ale nawet oni nie zostawali długo. Marty dotknął ściany wybrzuszanej na wysokości jego ramion, zupełnie jak mury w Mieście Snów, w które dawno temu uderzyła potężna fala.

Lokatorzy, którzy stąd uciekli, mówili, że nocą czarownik wzywa demony. Demony te szamocą się i napierają na ściany, aż sypie się tynk i kruszą cegły.

Chłopak poczuł przyływ strachu. Sevrin nie wymagał od niego takiego poświęcenia. Chciał tylko, by Marty popytał i dowiedział się paru rzeczy. Ale ponieważ mag od dwóch dni nie wychodził z mieszkania, ciekawość wzięła górę nad lękiem i Marty postanowił sprawdzić, co się stało.

Może czarownik siedzi w domu i dręczy jakąś niewinną ofiarę, przyszło mu do głowy, a w jego myślach lęk mieszał się z przyjemnymi wizjami, w których występował w roli bohatera.

Podszedł do jedynych solidnych drzwi na korytarzu i niewiele się zastanawiając, nacisnął klamkę. Ku jego zdumieniu ustąpiła bez trudu. Był tak zaskoczony, że przez chwilę stał na progu,

nie wiedząc, co robić dalej. Potem ostrożnie wsunął się do mieszkania. W nozdrza uderzyła go metaliczna woń krwi. Desperacki przypływ odwagi pchnął go do przodu i Marty zajrzał do pokoju, z którego dochodził zapach śmierci.

Jego pierwszą myślą było, że ktoś pomalował tu ściany na osobliwy, brudnoczerwony kolor. Dopiero po chwili zorientował się, na co właściwie patrzy.

Po magu została tylko rozbryźnięta na ścianach krew i strzępy ciała, rozwłócone po całym pokoju.

ZIMA

ZIELEŃ I BŁĘKIT

Nie wiedziała, czy ze snu wyrwały ją odgłosy burzy, czy może jej własny krzyk.

Zbudziła się z dłonią przyciśniętą do ust. A jednak nie mogła krzyczeć, bo leżący obok Sevrin nadal spał spokojnie. Melisandra wstała i podeszła do okna. Na ciemnogrnatowym niebie raz za razem zapalały się błyskawice, a podmuchy wiatru miały strugami deszczu to w lewo, to w prawo. Dziewczyna podciągnęła kolana pod brodę, kuląc się i opierając rozgorączkowane czoło o chłodną szybę. Do monotonnego bębnienia uderzających o dach kropel dołączył inny odgłos, jakby padających drobnych kamyków. Grad. Uliczka zmieniała się w rwący potok, w świetle błyskawic Mel widziała tworzące się na zakrętach pełne różnorakich śmieci i brudnej piany wiry.

Paskudna pogoda przepłoszyła nawet najzagorzalszych amatorów nocnego życia. Wszystkie okiennice były szczelnie pozamykane, a nad bramami nie płonęły latarnie – albo zniszczyła je burza, albo też właściciele kamienic uznali, że w taką pogodę i tak nie ma po co oświetlać ulic. Huknął grzmot i upiorny stalowoniebieski blask zalał okolicę. Dopiero wtedy Mel dostrzegła ciemną sylwetkę stojącą nieruchomo w jednej z bram. W cieniu tym było coś znajomego, coś, co napełniło ją niepokojem.

– Kolejny zły sen? – dobiegł ją cichy głos.

Potwierdziła z roztargnieniem. Sevrin domyślił się, że to nie lęk o siostrę zaprzęta teraz myśli Mel. Podszedł i położył jej ręce na ramionach.

– Spójrz tam – powiedziała.

Sevrin miał lepszy wzrok, a ponadto pomogła mu następna błyskawica. Cień poruszył się, objął rękoma ramiona,

przytupując dla rozgrzewki. Teraz już także Mel wiedziała, kim jest nieznamy o barczystej sylwetce i niezgrabnych ruchach.

Poczuła, że dłonie Sevrina zaciskają się jak kleszcze.

– Myślę – powiedział chłodno – że ktoś w końcu powinien dać mu nauczkę.

Mocniej przycisnęła czoło do szyby. Od wysiłku, z jakim próbowała przebić wzrokiem ciemność, rozboleły ją oczy. Czy człowiek, który stał na zewnątrz, przyszedł tu ze względu na nią? Mało prawdopodobne, choć sporo ludzi wiedziało już, że Melisandra przeprowadziła się do „Pióropusza”. Najpewniej polował na inną ofiarę, a burza, która rozpętała się tak nagle, zaskoczyła go i zmusiła do skrycia się w jednej z bram. Dziewczyna poczuła zmieszany z pogardą gniew. Peyre Fau był głupcem, ale głupcem niebezpiecznym.

Sevrin nałożył płaszcz i wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi.

Gdy Sevrin był już parę kroków przed bramą, w której ukrywał się Peyre Fau, chłopak wybiegł mu na spotkanie. Garbił się pod naporem deszczu, dłońmi chroniąc głowę przed ostrymi drobinkami lodu. Uśmiechał się, a w jego oczach była gorączkowa nadzieja.

Gdy jednak ujrzał twarz Sevrina, uśmiech znikł jak zdmuchnięty płomień świecy, pozostawiając po sobie jedynie dziecinne zdumienie. Chłopak otworzył usta, ale Sevrin nie pozwolił mu zadać pytania.

Chwycił go i wciągnął w jedną z uliczek, tak wąską, że nawet dziecko mogłoby, stojąc z rozpostartymi ramionami, dotknąć lewą ręką muru jednej kamienicy, a prawą drugiej. Brodzili teraz po kostki w mętnej wodzie. Deszcz oczyścił nieco uliczkę, ale i tak nietrudno było zgadnąć, że okoliczni mieszkańcy uważali to miejsce za coś w rodzaju śmietniska.

Don Peyre krzyknął coś, a szum ulewy zagłuszył jego słowa. Sevrin cisnął nim o mur. Chłopak zachwiał się, poślizgnął na czymś i z rozmachem klapnął w wodę. Sevrin podniósł go i zaczął bić, metodycznie i z zimną krwią.

Przez cały czas pamiętał, że Peyre Fau nie jest sam, że towarzyszy mu ktoś o posturze podobnej do niego samego, być może znacznie niebezpieczniejszy. I tylko tej świadomości zawdzięczał fakt, że mimo deszczu usłyszał zbliżające się kroki. Puścił chłopaka, który osunął się na kolana, a potem łagodnym ruchem wsparł czoło o ziemię w osobliwej, modlitewnej pozycji.

Tamtego drugiego istotnie z daleka można było pomylić z Sevrinem. Był wysoki, silny i zręczniejszy niż jego towarzysz. Na dodatek w rękę trzymał nóż.

Sevrin uchylił się przed pierwszym ciosem. Drugi rozciął mu skórę na ramieniu, ale chłód stłumił ból. Błyskawice pojawiały się teraz rzadziej, grad ustał, nawet deszcz padał coraz słabiej. Burza kończyła się równie niespodziewanie, jak się zaczęła.

Walka w ciemności z kimś uzbrojonym w ostry nóż to czyste samobójstwo. Teraz albo nigdy, pomyślał Sevrin. Ostatnia błyskawica, słaba już i krótka, ukazała mu sylwetkę przeciwnika szykującego się do ataku. Uskoczył w bok i silnym kopnięciem wytrącił mu nóż. Teraz przynajmniej mieli równe szanse. Tamten, ze zdrewniałą od ciosu ręką, i Sevrin, czujący, jak jego prawe ramię słabnie coraz bardziej.

Don Peyre otworzył usta i tym razem jego krzyk zabrzmiał w nocnym powietrzu głośno i wyraźnie jak krzyk ptaka. Napastnik odwrócił się, a właściwie chciał się odwrócić, rezygnując w połowie ruchu. Ale ten ułamek sekundy wystarczył. Lewą, sprawną ręką Sevrin trzasnął go w podbródek. Mężczyzna runął na plecy. Sevrin ukląkł i dla pewności chciał przyłożyć mu raz jeszcze, ale nieruchomość ciała zwróciła jego uwagę. Przyłożył dwa palce do szyi napastnika, szukając pulsu.

Mężczyzna nie żył.

Sevrin odwrócił się. Peyre Fau spoglądał na niego, a jego oczy w świetle księżyca, który wynurzył się zza chmur, połyskiwały srebrem. Sevrin poczuł gwałtowną pokusę, żeby skrócić temu chłopakowi kark. Martwe ciało, a nawet dwa, znalezione w tej dzielnicy to nic niezwykłego. A Peyre Fau widział jego twarz i może o wszystkim opowiedzieć, zapominając nawet, że on sam

z pewnością nie przyszedł tu w uczciwych zamiarach.

Don Peyre, jakby odgadując myśli Sevrina, cofał się powoli, nie spuszczać zaleźnionego wzroku z twarzy mężczyzny. Gdy już uznał, że oddalił się wystarczająco daleko, odwrócił się i odbiegł, niezgrabnie zgięty wpół, potykając się i rozchlapując wodę i błoto.

Sevrin nie próbował go ścigać.

– Nie żyje?

Melisandra, w niezapiętym płaszczu narzuconym pospiesznie na nocną koszulę i butach z rozwiązanymi sznurówkami, podeszła do ciała. Jedną ręką uniosła głowę zabitego, a drugą wsunęła pod gęstą czuprynę. Czaszka, której dotknęła, przypominała stłuczoną skorupkę jajka.

– Znam go – powiedział cicho Sevrin. – To Matèu d’Anglade.

Przytaknęła.

– Miał pecha. Upadł na jakieś żelastwo i rozbił sobie głowę.

Mówiła na pozór spokojnie, ale Sevrin podejrzewał, że dziewczyna w ten sposób stara się jedynie poradzić sobie z doznanym szokiem. Wolalby chyba, żeby Mel nie była tak opanowana. Mógłby wtedy spróbować ją uspokoić, jednocześnie zmniejszając własny niepokój. A tak milczeli oboje, każde z nich przekonane, że to właśnie ono powinno w tej sytuacji okazać się silniejsze.

Sevrin zdarł z trupa ciepły płaszcz i elegancki surdut, pozbawił go też butów. Wszystko to wyrzucił parę przecnic dalej, przekonany, że już wkrótce rzeczy te staną się własnością jakiegoś bezdomnego. Potem Melisandra sprawnie usunęła z ciała zabitego ostatnie wspomnienia.

Świtało, gdy pozostawili zwłoki Matèu d’Anglade’a w cuchnącym zaułku, na wpół nagie, pozbawione wszystkiego, dzięki czemu można by je zidentyfikować.

Dziewczyna skończyła zszywać ranę. Sevrin na próbę poruszył ręką i syknął z bólu. Mel odsunęła się, dłonią odruchowo potarła własne, całkowicie zdrowe ramię. Była blada i drżała lekko.

Sevrin położył się i owinał kocem. Przemókł do suchej nitki i wciąż czuł chłód.

– Nie spodoba ci się to, co mam do powiedzenia.

Mel ułożyła się przy nim, wystarczająco blisko, by w bladym świetle świtu widzieć jego twarz. Nie dotykała go, ale i tak nadał czuła jego ból, przytępiony, gdy leżał nieruchomo, ostry, gdy próbował poruszyć ręką.

Tym razem nie wywołało to w niej przyływu złości. Czuła tylko żal, że wciąż nie jest w stanie zamknąć się przed cudzym cierpieniem.

– Jestem skłonna zaryzykować. Mów.

– Myślę – powiedział Sevrin cicho – że pułkownika Delmaya zabił jego syn.

Oczy Mel zwęziły się wyraźnie.

– Miałaś rację, już mi się nie podoba.

– Pułkownik Delmay zginął wcześniej niż sądzono, nie rankiem, ale jeszcze poprzedniego dnia wieczorem – ciągnął Sevrin. – Wtedy, gdy służąca poszła już do swojego domku, bo w przeciwnym wypadku z pewnością słyszałaby strzał. Ojciec często dręczył syna, zarzucając mu słabość i tchórzostwo. Tamtego dnia don Flavian miał tego dość. Po zabójstwie pobiegł prosto do matki prosić ją o pomoc, a może nawet kobieta była świadkiem całej sceny. Tak czy inaczej, sytuacja była krytyczna. Pułkownik tuż przed śmiercią widział twarz syna i chłopakowi trudno byłoby wykręcić się od kary. I wtedy któreś z nich pomyślało o przyjacielu Flaviana, magu, który mógłby usunąć wspomnienia. Ghiyām już raz uratował Flavianowi skórę i Delmayowie liczyli, że i tym razem nie odmówi pomocy. Rano pani Delmay i jej syn zostawili ciało pułkownika w Zielonym Domu, a sami pojechali po Ghiyāma. Wcześniej najpewniej pani Delmay powiedziała służącej, że wyjeżdżają na pewien czas i że dzisiaj może zostać u siebie. W Domu Snów don Flavian porozumiał się w jakiś sposób z Ghiyāmem – prawdopodobnie poprzez jedną z tych karteczek z prośbami, dzięki którym kontaktowali się przez tyle lat. Ghiyām zabrał *beshmīn* i wyszedł na zewnątrz. Pani Delmay i jej syn zawieźli go do Zielonego Domu. Tam Ghiyām zrobił to,

czego od niego oczekiwano, a Flavian odwiózł przyjaciela. Po południu pani Delmay już zaczęła rozpowiadać, że martwi się o męża, którego od rana nie ma w domu. Wieczorem ciało pułkownika wylądowało w wodzie i prawdopodobnie na tym wszystko by się skończyło, gdyby nie dwa fakty. Po pierwsze: ktoś w Domu Snów musiał widzieć Ghiyāma niszczącego *beshmīn*, po drugie, Raverdy dowiedział się dzięki Nemanajczykowi, że ktoś usunął wspomnienia z ciała pułkownika, i podał to do publicznej wiadomości. *Soutzene* czytają okcytańskie gazety i skojarzenie tych dwóch faktów przyszło im z łatwością. Ghiyām został wezwany do Taghyi i poproszony o wytłumaczenie się. Wiedział, że nie może przyznać się, że pomógł Flavianowi z przyjaźni. Zrobił więc coś, co być może trudno zrozumieć komuś, kto nie jest Neahelitą.

– Przyznał się do zabicia pułkownika?

Sevrin skinął głową.

– Wiedział, że *soutzene* nigdy nie zaakceptują tego, że użył swych umiejętności, by pomóc zwykłemu Okcytańczykowi. Ale zemsta to co innego. Ghiyām znał historię tamtego powieszzonego chłopca. Mogę sobie wyobrazić, że Flavian opowiedział mu o tym w ramach czegoś w rodzaju uczciwości – jesteś moim przyjacielem i jesteś Neahelitą, więc powinieneś wiedzieć, co mój ojciec zrobił jednemu z was. Dla Ghiyāma nie miało to większego znaczenia. Po pierwsze, Anhe był *soutzhanem* nie więcej niż przez kilka minut życia, a po drugie, Ghiyām naprawdę lubił pułkownika Delmaya i nie chciał ściągać mu na głowę kłopotów. Ale gdy zaszła taka potrzeba, nie zawahał się użyć tej historii do własnej obrony. Aby uprawdopodobnić swoją wersję wydarzeń, wysłał do redakcji „La Vertât” list. Miałaś rację, ten anonim napisał ktoś obojętny, ktoś, kto pisał, bo niejako musiał to zrobić. A Ghiyām nie tylko nie poniósł kary, ale został otoczony szacunkiem. To człowiek ambitny i bardzo mu się to spodobało. Ale przez cały czas miał świadomość, że czynu, za który *soutzene* tak go podziwiają, dokonał ktoś inny, a Ghiyām nie chciał być kłamcą. Chciał naprawdę zasłużyć na szacunek. Poza tym, jak sądzę, *soutzene* przez cały czas oczekiwali, że skoro Ghiyām zabił jednego

winowajcę, to powinien ukarać i pozostałych.

Sevrin zamilkł i odetchnął. Mel patrzyła na niego uważnie.

– *Soutzene* mają doskonałą pamięć i Ghiyāmowi nie sprawiło żadnych trudności przypomnienie sobie nazwisk ludzi, którzy byli obecni przy egzekucji. Pierwszy zginął La Veilhe, prawdopodobnie dlatego, że Ghiyām znał go z prasy i wiedział, gdzie mieszka. Zdawał sobie oczywiście sprawę, że łatwiej byłoby zabić, używając widma, ale zależało mu na tym, by nikt nie zauważył różnicy pomiędzy śmiercią pułkownika Delmaya a śmiercią drugiej ofiary. Dopiero zabijając Gardilhe’a, pozwolił sobie na użycie prostszej metody. Nie chciał nikogo dręczyć. Nie czuł nienawiści i nie zabijał z zemsty. Był to, no cóż... jego sposób na wzbudzenie podziwu i szacunku.

Sevrin zamilkł i wyciągnął rękę, chcąc dotknąć policzka Melisandry. Zrezygnował, gdy uświadomił sobie, że zwiększył w ten sposób jej ból.

– Pomiąłeś jeden istotny fakt – powiedziała Mel. – Nemanajczyk mówił, że pułkownika zabił człowiek o duszy demona. Ani Flaviana, ani Ghiyām nie pasują do tego opisu.

– Mam duży szacunek do magii, Melisandro, ale trudno zaprzeczyć, że demony rzadko mówią prawdę. Nie zależy mi na tym, by oskarżać Flaviana. – Głos mężczyzny był teraz bardzo cichy i łagodny. – Ale to logiczne rozwiązanie, prawda?

Niechętnie skinęła głową. Gdzieś w rozumowaniu Sevrina tkwił błąd, ale podejrzenie, które zrodziło się w głowie Mel, było zbyt mgliste, by wypowiedzieć je na głos.

– Eli Vanel, czy to nazwisko coś ci mówi?

Sevrin zaprzeczył. Wydarzenia ubiegłej nocy pozostawiły mu na ramieniu głęboką ranę i mnóstwo złych wspomnień. Zabijał już ludzi, ale Matèu d’Anglade był pierwszym, którego twarz widział z tak bliska, pierwszym, który miał imię i nazwisko. Był zmęczony, ale i tak prawdopodobnie nie zdołałby teraz zasnąć. W ustach czuł niesmak, który od wczesnego ranka starał się splukać winem.

Isan Surges przeciwnie, w ten słoneczny, zupełnie niezimowy

poranek, który wstał po burzliwej nocy, wydawał się radosny jak szczygieł.

Sevrin przestawił fotel tak, by siedzieć tyłem do okna. Blask słońca raził go w oczy, a na domiar złego zaczęła go boleć głowa.

– A powinno – powiedział Surges. – Niedługo to nazwisko będzie na ustach wszystkich.

– Niby dlaczego?

– Ponieważ jest to człowiek, który zabił Delmaya i dwóch pozostałych.

– Bzdura – rzucił ostro Sevrin.

Sędzia śledczy zacisnął cieniutkie wargi i Sevrin zrozumiał, że nie powinien był tego mówić.

– Wybacz – powiedział. – Nie czuję się najlepiej.

– Rzeczywiście, wyglądasz fatalnie – zgodził się Surges, odrobinę udobruchany. – Wiem, rzecz jasna, że Vanel nie jest prawdziwym mordercą. Ale to nie ma znaczenia, bo to jego właśnie obciążymy winą.

– Nie bardzo pojmuję... Kim jest ten Eli Vanel?

– Eli Vanel jest, a raczej był, jednym z wielu czarowników mieszkających w Gouttenegre. Eksperymentował, wzywając demony, i skończył tak, jak kończyło wielu niewprawnych magów przed nim: rozszarpany na sztuki. Takie rzeczy zdarzają się od czasu do czasu.

Sevrin spróbował skinąć głową, ale zamarł w bezruchu, gdy igła ostrego bólu wbiła mu się w mózg.

– Vanela spośród innych magów wyróżniały niezbyt sympatyczny charakter i skłonność do ryzykanctwa – kontynuował sędzia śledczy. – Nie wystarczyło mu wezwanie podrzędniejszych demonów, nie, on próbował podporządkować sobie prawdziwą arystokrację tamtego świata. Podobno, aby osiągnąć ten cel, składał ofiary z ludzi.

– To prawda?

– Nie mam pojęcia. – Surges wzruszył ramionami. – Zdziwiłbym się, gdyby tak było. Ale ważne jest, że ludzie w to wierzą. Jeszcze za życia Vanela chodziły plotki, że to właśnie on zabił Delmaya, La Veilhe'a i Gardilhe'a. Ich śmierć miała być

częścią jakiegoś skomplikowanego rytuału przyzywającego Księcia Ciemności.

– Niezbyt przekonujące. – Sevrin skrzywił się ostrożnie.

– Ale chwytliwe. Ludzie uwielbiają takie proste i krwawe historie. Nie musimy nawet potwierdzać niczego oficjalnie. Wystarczy, że pozwolimy ludziom wierzyć w to, w co chcą wierzyć.

Sevrin milczał przez chwilę.

– Dlaczego? – spytał w końcu cicho.

Z ust sędziego śledczego znikł uśmiech.

– Ponieważ chcę, by w Quinson panował spokój, a ludzie mogli bezpiecznie spacerować po ulicach. A wiesz, co się stanie, jeśli powiesimy Ghiyāma?

Sevrin wolniutko skinął głową.

– Żaden Neahelita, a prawdopodobnie i żaden cudzoziemiec nie będzie mógł pokazać się w mieście. Ludzie zwrócą się przeciwko *soutzene* i innym magom, a oni zaczną się bronić. Damy im radę. A za jaką cenę?

– Ale Vanel Neahelitą ani nawet cudzoziemcem nie jest – skwitował Sevrin.

– Jest Okcytańczykiem, i to martwym Okcytańczykiem. Nie miał rodziny ani przyjaciół.

– Jednym słowem, doskonały kozioł ofiarny?

Surges pominął ironię milczeniem.

– A Cirile Ollier? – spytał jeszcze Sevrin. – On także zna prawdę.

Sędzia śledczy wzruszył ramionami.

– To przyzwoity człowiek. Myślę, że bez trudu uda się go namówić, by trzymał język za zębami.

– I najważniejsze: co z tym, który zabił naprawdę? Pozwolisz, by tak po prostu wymigał się od kary?

Surges zacisnął wargi, a jego drobna, okrągła twarzyczka nabrała groźnego wyrazu.

– Ghiyām powinien umrzeć – powiedział chłodno.

– Nieoficjalnie? – uśmiechnął się Sevrin. – Co za różnica, czy powiesz go w majestacie prawa, czy też każesz komuś strzelić mu w plecy? Efekt będzie ten sam. *Soutzene* ujmą się za

towarzyszem i tak czy inaczej będziemy mieć w mieście rozruchy.

– Niekoniecznie – zaprzeczył sędzia śledczy. – Wypadki zdarzają się nawet magom. Ghiyām po prostu któregoś dnia nie wróci do Domu Snów. Nikt nie będzie pewien, co się wydarzyło.

– *Soutzene* to nie głupcy. Śmierć Ghiyāma w tak odpowiednim momencie z pewnością wyda im się podejrzana.

– Co z tego? Nigdy nie będą mieć pewności. A ciało pogrzebiemy głęboko w morzu.

Pozostało jeszcze ostatnie pytanie. Sevrin zadał je, a sędzia śledczy odpowiedział.

Isabel przysypiała z głową wspartą na haftowanej poduszce, czując na twarzy bijący z kominka żar.

Jak dobrze być w domu, pomyślała. Mogła teraz wymazać z pamięci miniony rok i znów poczuć się jak mała dziewczynka. Oto mama i Marcelin kłócą się o coś. On spokojnie, ona szczebiotliwym tonem niczym dziecko doprawiające się jeszcze jednego cukierka. Dziwne, jak bardzo Marcelin spowaźniał. Powoli przejmuje kontrolę nad majątkiem, który odziedziczył po śmierci ciotki, i radzi sobie z tym doskonale. Za to Melisandra, która w domu bywa jeszcze rzadziej niż Isabel, za każdym razem wydaje się coraz bardziej gniewna i ponura. Teraz nie odzywa się ani słowem, a o jej obecności świadczy tylko rysujący się na tle okna cień, który Isabel widzi spod w półprzymkniętych powiek.

Głos matki oddalił się. Przez chwilę w salonie panowała cisza, przerywana tylko monotonnym skrzypieniem pióra ślizgającego się po papierze.

Potem Isabel usłyszała śmiech Melisandry, w którym niewiele było prawdziwej wesołości.

– Pisujesz liściki do dōny Roseny? Nie uczono cię, że zadawanie się z zamężnymi kobietami to grzech?

– Kto jak kto – odparł chłodno Marcelin – ale ty akurat nie masz prawa prawić mi morałów.

Isabel otworzyła szerzej oczy i ujrzała niecodzienny widok – własną siostrę zaczerwienioną aż po czubki uszu.

– Skąd wiesz? – spytała Mel.

– Wszyscy wiedzą. – Marcelin starannie złożył list. – No, może prawie wszyscy – dodał uczciwie.

– O czym mówicie? – Isabel usiadła na kanapie.

– Nieważne. Takie plotki nie docierają do Serieys. Lepiej spytaj Mel o to, kto jest poszukiwanym mordercą. Policja podobno już wie, więc powinna wiedzieć i ona.

Isabel przeniosła spojrzenie na twarz siostry.

Mel od rana dokładała wszelkich starań, by zachowywać się jak najnaturalniej, ale rezultaty były dokładnie odwrotne. Pod powiekami miała obraz nagiego ciała Matèu d’Anglade’a, obmywanego przez brudnożółtą deszczową wodę, a świadomość wciąż podsuwała jej myśl o tym, na co się zgodziła. Więcej – co sama zaproponowała. Chwilami miała wrażenie, że na czole nosi wielki napis „winna”, wypisany czerwonymi literami.

Właściwie dlaczego nie? – pomyślała. Podzielenie się choć częścią sekretu mogłoby przynieść jej ulgę.

– To musi pozostać między nami – zaznaczyła.

Isabel ograniczyła się do kiwnięcia głową. Marcelin porzucił na chwilę powagę i teatralnym gestem uniósł dłoń do serca.

– Nie miej pretensji do Isana Surgesa – powiedziała Melisandra. – To akurat był mój pomysł.

Sevrin szedł wymiecioną alejką, za to Mel brodziła w opadłych jesiennych liściach, z wściekłością rozrzucając je kopnięciami. Bładozłote zimowe słońce wisiało nisko na niebie, a wiatr targał nagimi gałęziami drzew i płaszczami spacerowiczów.

Skrećili w wąską alejkę wiodącą do strzelnicy.

– Mam prawo mieć pretensje do Surgesa – odparł Sevrin. – Nie powinien był godzić się na coś takiego.

– Dlaczego nie? Ghiyām jest dobry, nie sądzę, by którykolwiek z policyjnych jasnowidzów dał mu radę. Ale ja jestem lepsza – powiedziała Mel bez cienia skromności.

Miała na sobie buty do konnej jazdy, spodnie i zieloną kurtkę – wszystko nowiuteńkie, prosto spod igły. Wyglądała jak arogancki, bogaty dzieciak, który wybiera się na pierwsze w życiu polowanie. Było w niej coś zabawnego i wzruszającego jednocześnie.

Zgarnęła parę liści z ławki i usiadła.

– To nie wszystko, prawda? – spytał Sevrin. – Jest coś, o czym mi nie powiedziałaś.

Niechętnie skinęła głową.

– Kłopot polega na tym, że Ghiyām już wie, że jestem od niego lepsza. Nie będę w stanie dosięgnąć go w Domu Snów, bo cały budynek zabezpieczony jest zbyt silnymi zaklęciami. On próbował nawiązać ze mną kontakt, ale wtedy omal go nie zabiłam. Z pewnością nie zechce już spotkać się na tych samych zasadach. Mogłabym w ten czy inny sposób wywabić go z Domu, ale wtedy on będzie chciał walczyć ze mną... normalnie.

Sevrin zmarszczył brwi.

– To znaczy jak? Przy pomocy pięści, noża? Melisandro, czyś ty na głowę upadła?

Przez usta dziewczyny przemknął wymuszony uśmiech.

– No, nie jest aż tak źle. Nadal będę miała swoje zdolności i pewną przewagę. Mogę go wyczuć, gdy zacznie się zbliżać. Myślałam, żeby wziąć ze sobą strzelbę...

– A potrafisz czymś takim się posługiwać?

– Liczę na ciebie. Umiesz zabijać, widziałam tamtej nocy.

Spojrzał jej w oczy. Mel pierwsza odwróciła wzrok.

– Mam cię nauczyć czy po prostu zrobić to za ciebie? – spytał cicho.

Spuściła głowę i wzruszyła ramionami.

– Wszystko jedno – odparła.

– A jeśli odmówię?

– Poproszę Marcelina.

Spodziewał się takiej właśnie odpowiedzi. Mel wstała, włożyła ręce w kieszenie kurtki i skuliła się, chroniąc się przed podmuchami wiatru.

Sevrin zatrzymał ją.

– Powiedz mi jedno. Dlaczego chcesz to zrobić?

- Ghiyām zabił troje ludzi.
- To nie to samo.
- Może i nie, ale czy nie sądzisz, że o tym powinien decydować sędzia?

Na zaciętej twarzy dziewczyny pojawił się kpiący uśmiech, który Sevrin tak dobrze znał.

– Sędzia – rzuciła cierpko – tym różni się ode mnie, że ma papierek, który jeden głupiec dał drugiemu głupcowi.

Ghiyām zabił i powinien ponieść karę – taka była odpowiedź na pytanie Sevrina, a Mel mimo wszystko wciąż jeszcze wierzyła w sprawiedliwość. Ale niespodziewanie wyobraźnia podsunęła jej inny obraz: blada, wąska twarz Flaviana i jego dłonie o splecionych, szczupłych palcach.

– Powiedzmy też – dodała – że bardzo nie podoba mi się to, co Ghiyām zrobił Flavianowi.

Dòna Angeleta swoim zwyczajem zapukała lekko, zanim weszła.

- Wybacz, nie chciałam przeszkadzać.
- Nie przeszkadzasz – wymruczał Sevrin, nie podnosząc głowy znad broni, którą czyścił.
- Chciałam porozmawiać – powiedziała. – Ale jeśli brak ci czasu...
- Mówiłem już – Sevrin odłożył namoczoną w oleju szmatkę – że w niczym mi nie przeszkadzasz.

Wstał, przeszedł przez pokój i oplukał dłonie w miednicy. Dòna Angeleta wodziła za nim wzrokiem. Odezwała się dopiero, gdy spojrział na nią.

- Popiełam wielki grzech – powiedziała.
- Czemu więc rozmawiasz ze mną, a nie z księdzem?
- Ponieważ zrobiłam to dla ciebie.
- Nie rozumiem. Możesz wyrażać się jaśniej?

Nadal patrzyła mu w oczy. Sevrin zastanawiał się później, co takiego zobaczył w twarzy żony tego wieczoru. Nie musiał długo szukać odpowiedzi.

To było wyzwanie, lekko tylko zamaskowane pokorą.

– Powiedziałeś kiedyś, że nie pragniesz już mieć dzieci. Dziecko przeszkadzałoby ci, byłoby dla ciebie ciężarem. Więc gdy tylko się zorientowałam, zaraz poszłam do lekarza, by uwolnił nas od tego brzemienia. To grzech, ale biorę go na swoje sumienie. Dla ciebie.

Następnych kilka sekund na zawsze miało zostać wymazane ze wspomnień Sevrina. Tym, co zapamiętał, była jego żona padająca na kolana i purpurowa krew lejąca się z jej ust i nosa wprost na puszysty dywan.

– Angeleto, ja nie chciałem... Wybacz... – jękał się, bezsensownie próbując zatamować krwotok drżącymi dłońmi.

W oczach żony po raz pierwszy dostrzegł czyste przerażenie, bez domieszki tamtego cichutkiego zadowolenia z własnego bólu. Dòna Angeleta zrozumiała, że stało się coś, czego już nie da się odwrócić.

– Myślę – powiedział Sevrin, już spokojny – że najwyższy czas, byś wróciła do domu.

– Ale...

Położył na jej okaleczonych wargach palce, zlepione szybko zasychającą krwią.

– Nie mów nic, proszę. Dość już głupstw zrobiłem tego dnia.

Hrabia de Fontmartis próbował czytać, ale za nic nie mógł się skupić. Odłożył książkę – traktat historyczny, hrabia nie uznawał powieści ani poezji – na stolik i spojrzał na żonę. Isabel rzuciła mu znad haftu niepewny uśmiech.

Nie do takiego życia się urodziłem, pomyślał z goryczą.

Wciąż był młody i silny, chciał i mógł walczyć. A tymczasem nie pozostało mu nic poza wspomnieniami, którymi sycił się pomiędzy jednym pustym wieczorem a drugim.

Ten cudowny dreszcz podniecenia, jaki odczuwał przed każdą walką. I radość, którą zsyłał mu Bóg, gdy zwyciężał Jego wrogów.

A co dostał w zamian?

Nudne, światowe życie. Przyjęcia i bale, wieczorki i bankiety. Z poświęceniem wypełniał obowiązki, jakie nakładały na niego

tytuł i majątek, ale jego serce wciąż rwało się do tamtych dawno minionych dni.

Przyjęcia przywiodły mu na myśl gości, którzy ostatnio bywali w Serieys. A zwłaszcza jednego gościa. Miłe ciepło rozlało się w piersi hrabiego. Tak, zdecydowanie znów powinien zaprosić tę uroczą, o kasztanowych włosach panienczkę, która tak dzielnie radziła sobie po śmierci ojca.

Isabel wstała. Hrabia, nadal lekko uśmiechnięty, chwycił ją za rękę i przyciągnął do siebie. Dziewczyna uklękła, kładąc głowę na kolanach męża. Głaskał ją machinalnie, jak głaszcze się śpiącego kota.

Isabel, nieprzyzwyczajona do takich czułości, zaczęła powoli się rozluźniać. Od tak dawna była nieszczęśliwa, że uchwyciła się tego gestu jak tonący brzytwy. Gdy hrabia cofnął dłoń, podniosła głowę.

Hrabia patrzył w okno, a ona chciała, by spojrzął na nią, tak jak dawniej, z zachwytem i czułością.

Ale wtedy miała mu do zaoferowania swój urok i niewinność, nawet jeśli były to zalety fałszywe.

Teraz nie miała nic. Nic prócz powierzonej jej tajemnicy.

Melisandra łyknęła wina, choć nie miała na nie większej ochoty. W głowie zaczynało jej już lekko szumieć.

Od rana siedziała w tawernie „Pod Pióropuszem” niczym żołnierz na posterunku, zajmując wciąż to samo miejsce. Zmieniali się tylko jej rozmówcy. Każdemu z nich mówiła mniej więcej te same słowa. Tawerna Felise Justy była bardzo popularna i Mel mogła być pewna – zwłaszcza teraz, zimą, gdy wszystkie kawiarenki pod gołym niebem były pozamykane – że w ciągu dnia przewinie się przez „Pióropusz” ćwierć dzielnicy.

– Flavian Delmay – powtórzyła po raz kolejny. – Młody człowiek, który mieszka w Gouttenegre. Został niesprawiedliwie oskarżony, ale ja wiem, że nie mógłby tego zrobić. Chciałabym z nim porozmawiać. Niestety, nie mam pojęcia, gdzie go szukać.

Przypadkowemu rozmówcy słowa te niewiele mówiły, ale Mel

wierzyła, że zostaną zrozumiane, gdy dotrą do właściwych uszu.

Nie liczyła na to, że Flavian sam do niej przyjdzie. To byłoby zbyt wiele szczęścia. Miała jednak nadzieję, że młodzieniec, usłyszawszy o jej wątpliwościach, zacznie się wahać, a wtedy osłabnie chroniąca go bariera niechęci i Mel już bez trudu odnajdzie go przy pomocy magii.

A Flaviana należało znaleźć, i to szybko, zanim na jego trop wpadnie policja.

Flavian Delmay był bowiem kluczem do rozwiązania wszystkich zagadek.

Sevrin uważał, że pułkownika zabił jego syn, ale według Aleixandre Liala mordercą był ktoś, w kim ludzie widzą duże dziecko, uroczy i niebezpieczny jednocześnie. Człowiek o duszy demona, który ma na tyle instynktu samozachowawczego, by starać się nie wyróżniać z otoczenia, a jednocześnie nie może żyć bez opieki. Potrafi więc wzbudzać miłość, choć nie ma w nim ludzkich uczuć.

Flavian Delmay za nic nie pasował do tego opisu.

Guillem de Fontmartis ufał Sevrinowi. Ludzie często zarzucali hrabiemu konserwatyzm, nieumiejętność dostosowania się do zmieniających się czasów. Istotnie, hrabia z niechęcią patrzył, jak miejsce szlachetnie urodzonych zajmuje wzbogacone mieszczaństwo. Ale Joaquim de Sevrin był dla niego dowodem, że dobra krew zawsze pozostaje dobrą krwią. Urodził się w fatalnej dzielnicy, jego matka była ubogą analfabetką, a mimo to zdołał się wybić dzięki pozytywnym cechom charakteru odziedziczonym po arystokracji ojcu.

Sevrin nie potrafił odwzajemnić się hrabiemu sympatią. Nie przepadał za Guillemem de Fontmartis i był wystarczająco uczciwy, by przyznać to przed samym sobą. Zaufanie jednak, jakim tamten go obdarzał, nakładało na niego obowiązek i Sevrin przez te wszystkie lata, gdy pracował dla hrabiego, zawsze był wobec pracodawcy lojalny.

Aż do teraz.

Tym razem w odpowiedzi na pytanie hrabiego Sevrin przywołał na usta najłagodniejszy ze swoich uśmiechów, przyprowadzając go odrobiną kpiny.

– Drogi hrabio – odparł – nie sądziłem, że akurat pan dasz się nabrać na tak absurdalne plotki. Ludzie boją się i nic dziwnego, że wymyślają niestworzone rzeczy.

Napięcie na twarzy hrabiego odrobinę zelżało.

– Usłyszałem to od mojej żony. Przyznam, iż cała ta historia nie wygląda zbyt prawdopodobnie.

– Prawdopodobnie? – Sevrin roześmiał się. – No cóż, gdybym miał jakiegokolwiek dowody, że nasza quinsońska policja naprawdę zamierza coś takiego zrobić, zacząłbym poważnie się martwić. Na szczęście jednak myślę, że spokojnie możemy takie historie włożyć między bajki. Ufam stróżom prawa, którzy pilnują porządku w naszym mieście.

– Ja także. – Hrabia odwzajemnił uśmiech.

Melisandra ułożyła się wygodnie w fotelu i przymknęła oczy. Wyobraźnia raz jeszcze podsunęła jej obraz wydarzeń, które musiały rozegrać się w Zielonym Domu w połowie maja, w dniu, gdy zginął pułkownik Delmay.

Flavian zabija ojca strzałem w czoło. Na widok martwego ciała pani Delmay wpada w histerię, zaczyna krzyczeć. Na początku prawdopodobnie nie może w to uwierzyć. Może nawet jej gniew zwraca się przeciwko synowi. To przecież on jest winny. Stopniowo jednak kobieta uspokaja się. Kochała męża, ale kocha też syna, a ojcobójstwo to zbrodnia, którą karze się śmiercią. Płacze coraz ciszej. Flavian być może próbuje się tłumaczyć, a ona daje wiarę jego słowom. Pada nieuniknione w tej sytuacji pytanie: co teraz? Młodzieniec przyznaje, że strzelał, patrząc ojcu w oczy. Ostatnim wspomnieniem pułkownika jest twarz jego syna. Wreszcie któreś z nich wpada na pomysł, by poprosić o pomoc Ghiyāma. Pułkownik – zgodnie z tym, co mówił Sevrin – musiał zginąć wieczorem, tak więc pani Delmay i Flavian muszą czekać do rana. Co robią przez całą noc? Śpią? Mało prawdopodobne. Może więc siedzą

gdzieś razem, złączeni wspólnym sekretem, pilnując zamkniętych na klucz drzwi pokoju, w którym leżą zwłoki pułkownika.

Mel wzdrygnęła się lekko na ten upiorny obraz, pozwoliła jednak myślom biec dalej.

Dopiero rano jadą do Domu Snów. Sama droga zajmuje im ze dwie godziny, potem jeszcze muszą czekać, aż Ghiyām dostanie ich wiadomość i zdoła niepostrzeżenie wymknąć się na zewnątrz. Przy dużej dozie szczęścia do Zielonego Domu mogli wrócić koło południa. Pół godziny na wymazanie wspomnień pułkownika. Następnie Flavian odwozi przyjaciela, a ciało aż do wieczora leży w Zielonym Domu. Dopiero po zapadnięciu zmroku pani Delmay i syn znoszą je ze wzgórze i wrzucają do wody.

Taki przebieg wypadków był prawdopodobny, pomijał jedną tylko kwestię.

Co, u licha ciężkiego, robiła w tym czasie mała Paulina?

Nawet jeśli przypuszczać, że spała już, gdy zginął pułkownik, nawet jeśli przypuszczać, że nie zbudził jej strzał, i tak pozostawało pytanie, co zrobić z dziewczynką przez cały następny dzień. Czy możliwe jest, by Paulina nie zdawała sobie sprawy z tego, co się wokół niej dzieje? Nic nie wydało jej się niepokojące czy choćby dziwne? Nie widziała rozpaczy i przerażenia na twarzach matki i brata?

A może pani Delmay zdecydowała się zaufać córce na tyle, by wciągnąć ją w spisek?

Mel pokręciła głową. Trzyście lat to osobliwy wiek. Człowiek jest już na tyle dorosły, że nie da się zbyć byle łągarstwem, a jednocześnie wystarczająco młody, by chętnie wypłacać każdy sekret.

Przypomniała sobie podróż, kiedy to po raz pierwszy spotkała Delmayów, i tę przedziwną rozpacz, którą wyczuła w matce i synu. Rozpacz, która niepokoiła ją od samego początku. Co wydarzyło się w tej rodzinie, by doprowadzić ich do takiego stanu? Nie mogło dotyczyć to pułkownika – on zginął od kuli, nie od klątwy. Komu miał pomóc święty Crispin Cudotwórca?

I pytanie, które powinna zadać sobie już dawno – pani

Delmay była nieszczęśliwa, jej syn był nieszczęśliwy, a córka przez całą drogę do Quinson nie traciła dobrego humoru.

Czy możliwe jest, by duża już przecież dziewczynka do tego stopnia nie zdawała sobie sprawy ze stanu uczuć swych najbliższych? Zakładając nawet, że matka i brat specjalnie starali się ją chronić, mała powinna się czegoś domyślić.

Paulina nie była głupia, była tylko... dziecinna.

Odpowiedź na wszystkie pytania mogła być znacznie łatwiejsza, niż się wydawało.

Flavian Delmay nie pasował do charakterystyki zabójcy, jaką podał Aleixandre Lial, ale jego siostra – owszem.

Dlaczego pani Delmay nigdy nie spuszcza córki z oczu? Może boi się, że dziewczynka zrobi sobie coś złego, a może wręcz przeciwnie, obawia się, że mała zrobi krzywdę komuś innemu? Kto, nie dając nic w zamian, potrafi wzbudzić w drugim człowieku miłość? Matka kocha swoje dziecko niezależnie od wszystkiego. Pani Delmay z pewnością nigdy nie przyszło do głowy, że jej córka może być pomyłką natury, demonem w ludzkim ciele. Gdy zorientowała się, że Paulina nie ma sumienia ani ludzkich uczuć, pomyślała pewnie, że to jakiś rodzaj choroby.

A święty Crispin, o czym mało kto pamięta, potrafi leczyć nie tylko ciało, ale także umysł.

Wszystko się zgadzało. Pani Delmay kochała swoją córkę, a Flavian kochał matkę i w imię tej miłości chronił całą rodzinę. Flavian Delmay, niepozorny, cichy młodzieniec, który znalazł w sobie wystarczająco dużo siły i sprytu, by przez wszystkie te lata ukrywać prawdę.

Niezwykły człowiek, jak powiedział doktor Aleixandre Lial.

Peyre Fau siedział na ławeczce w galerii szermierczej zamku Serieys. Szczęk zderzającej się stali nieprzyjemnie drażnił jego uszy.

Zamknął oczy, usiłując przegnać z myśli obraz don Matèu leżącego w kostnicy wśród kruszonego lodu niczym ryba na straganie. Kobiety i mężczyźni poszukujący swych zaginionych

krewnych spacerowali wzdłuż szyby, przyglądając się ciałom, ale nie było wśród nich rodziców don Matèu. Oni także szukali swego dziecka, nie przyszło im jednak do głowy, że syn, którego mieli za dobrze ułożonego młodzieńca, mógł zginąć w tak podłej dzielnicy jak Gouttenegre.

Jedynym, który znał prawdę, był don Peyre. Ale on milczał. Ojciec Peyre'a uwielbiał syna i zrobiłby dla niego wszystko. Nie wybaczyłby tylko kłamstwa. Gdy dawał mu alibi, miał tylko jeden warunek – nocne wyprawy do Gouttenegre muszą się skończyć. A Peyre Fau złamał dane słowo. Tamtego wieczoru, gdy wrócił do domu, myślał, że będzie musiał przyznać się ojcu i poprosić o wezwanie lekarza. Ale następnego dnia ból zelżał, chłopak wbrew temu, czego się obawiał, kości miał całe, a wkrótce jedyną pamiątką po nocnych wydarzeniach pozostały rozległe fioletowe siniaki. Don Peyre zrozumiał wtedy, że Joaquim de Sevrin celowo bił tak, by sprawić ból, a jednocześnie nie okaleczyć przeciwnika. Świadomość ta przeraziła go niemal równie mocno jak wcześniej cierpienie.

Mocniej zacisnął powieki. W galerii zapanowała cisza.

– Twoja kolej, Peyre. – Z zamyślenia wyrwał go wesoły głos.

Loïs d'Azay, ciemnowłosy, zwinny dwudziestolatek, podawał mu szpadę, uśmiechając się przy tym szeroko.

Don Loïs wiedział o śmierci Matèu d'Anglade'a, ale nie przejął się nią zbytnio. Dla niego wypadki do Gouttenegre zawsze były tylko okazją do dobrej zabawy.

Hrabia de Fontmartis przyglądał się don Peyre'owi z zainteresowaniem.

– Coś cię trapi, młodzieńcze? – spytał.

Peyre Fau wzruszył ramionami. Loïs d'Azay włożył szpadę do kosza i usiadł obok przyjaciela. Miał na tyle przyzwoitości, by chociaż teraz przybrać poważny wyraz twarzy.

– Słyszałem, że policja znalazła już mordercę – powiedział don Peyre. – Czy to prawda?

– Tak, ale człowiek ten zginął, zanim go aresztowano – odparł don Loïs. – Po mieście krąży wiele plotek. Mówią, że ten czarownik składał ofiary z ludzi.

Czarownik. Słowo to, zaprawione nienawiścią, leżało na

języku don Peyre'a jak ziarnko gorczycy. A więc to już koniec. Mag poniósł zasłużoną karę, a podobni jemu nie odważą się już wystąpić przeciw uczciwym ludziom.

Powinien być zadowolony. Ale nie był.

Hrabia de Fontmartis usiadł z drugiej strony don Peyre'a.

– Ja sam słyszałem jeszcze ciekawsze plotki – powiedział z lekkim uśmiechem. – Moja żona, łatwowierne biedactwo, powtórzyła mi, że ponoć prawdziwym winowajcą jest pewien neahelicki mag, a policja zamierza zatuszować całą sprawę.

– O! – Oczy don Peyre'a rozszerzyły się. – A skąd pan wiesz, hrabio, że to nieprawda?

– Pytałem mojego przyjaciela, Joaquina de Sevrin. To człowiek, dla którego policyjne dochodzenia nie mają tajemnic.

– I pan mu ufasz? – parsknął śmiechem Loïs d'Azay.

Hrabia zmarszczył brwi.

– Nie widzę powodu, dla którego miałbym mu nie ufać – odparł chłodno.

Don Peyre i don Loïs spojrzeli na siebie porozumiewawczo.

– Choćby dlatego – powiedział Loïs d'Azay – że don Joaquim to kochanek Melisandry d'Aleume, a ona jest w połowie Neahelitką i czarownicą. Nic dziwnego, że Joaquim de Sevrin broni neahelickich magów. Dawno już musieli przeciągnąć go na swoją stronę.

Marcelin znał starszą kuzynkę na tyle dobrze, by wiedzieć, że coś się dzieje. Mel zastała go siedzącego w półmroku na schodach przed drzwiami jej pokoju. Z dołu dochodziły śmiechy gości, szcęk talerzy i zapach potraw.

– Nareszcie – powiedział. – Zastanawiałem się już, czy nie poprosić właścicielki o klucz.

– Dałaby ci? – Melisandra była prawie pewna, że także Felise Justy uległaby urokowi Marcelina.

Wpuściła kuzyna do pokoju. Rozsiadł się wygodnie na kanapie, wyciągając przed siebie nogi.

– Co ty planujesz, Mel? – zapytał niby swobodnie, ale jego oczy spoglądały na dziewczynę z napięciem.

Odpowiedziała lekkim uśmiechem.

– Ostatnio stałeś się tak rozsądny i odpowiedzialny, że aż boję się ci powiedzieć. Uznasz to za szaleństwo.

– Zaryzykuj.

Słuchał uważnie, nie przerywając ani słowem.

– Zabierzcie mnie ze sobą – powiedział, gdy Mel skończyła mówić.

Spojrzała na niego zdumiona.

– Dlaczego?

– Bo wiem – nie zastanawiał się długo – że jeśli nie pójdę z wami, to będę tego żałował do końca życia.

Powietrze było ciężkie od wilgoci. Zimne krople osiadały na włosach i rzęsach. Marcelin przeciągnął ręką po świątynnym reliefie przedstawiającym dwie smukłe postacie stojące pod promienistym słońcem, potem wytarł mokrą dłoń w kurtkę.

– Nie ma sensu dłużej czekać – powiedział. – Nawet jeśli ten człowiek dostał list Mel, to najwyraźniej nie ma zamiaru przyjść.

– Przyjdzie – zaprotestował Sevrin. – Ghiyām jest dumny, zjawi się choćby po to, by udowodnić, że się nie boi.

Wokół nich piętrzyły się na wpół zwalone mury, jakby dawno temu jakiś olbrzym wsunął swoją dłoń pod Miasto Snów i przewrócił je jednym ruchem. Słysząc było krzyki mew i szum kotłującego się morza. Ponad ruinami świątyni pojawiał się co jakiś czas pióropusz piany, a porywisty wiatr niósł słone krople w głąb łądu.

Jeszcze pół roku temu coś takiego wydawałoby się Marcelinowi wspaniałą przygodą. Teraz jednak miał już dość, ale wstyd mu było się wycofać. Powiedział kuzynce prawdę: żałowałby do końca życia, gdyby nie wziął w tej wyprawie udziału, ale jednocześnie miał nadzieję, że ten człowiek po prostu się nie zjawi. Mógłby wtedy wrócić do domu i do końca życia myśleć o tej wyprawie z sympatią, z jaką wspomina się szaleństwa młodości. I nie byłoby w tym jego winy. On przecież, przychodząc tu, wykazał się odwagą.

W oczach Melisandry, gdy widzieli się po raz ostatni, dostrzegł tę samą nadzieję. Tylko z twarzy Sevrina nie dało się niczego odczytać.

Mel zsunęła z głowy kaptur i rozpięła płaszcz, ale jej rozgrzane ciało nie czuło zimna.

Przymknęła oczy. Za plecami wyczuwała dwie iskry świadomości – jedna z nich, płonąca równo i spokojnie, należała do Sevrina, w drugiej dostrzegała lęk i zniechęcenie.

Potem gdzieś daleko, wśród ruin, pojawiła się trzecia iskra, nasycona głęboką czerwienią i magią.

Ghiyām zbliżał się ostrożnie. Wyczuwała jego niepewność, odrobinę strachu, w końcu rozczarowanie i złość.

– *Oszukałaś mnie* – zabrzmiał w jej głowie głos. – *Nie jesteś sama.*

– Owszem, jestem.

Odpowiedzią było pogardliwe parsknięcie.

– *Uważasz mnie za głupca? Zostaw swoich towarzyszy i przyjdź do mnie tak, jak się umawialiśmy, sama.*

Ghiyām zatrzymał się. Mijały minuty, nic się nie działo. Mel czuła tkwiący w mężczyźnie upór.

Podniosła się i przeszła do zrujnowanej świątyni. Pistolet, który niosła w kieszeni, obijał się o jej udo. Broń, zamiast dodawać jej pewności, sprawiała, że czuła się dziwnie nierealnie. Skinęła na Marcelina, a gdy podszedł, szepnęła.

– *Zaraz wrócę* – Odeszła, zanim zdążył zaprotestować.

Ghiyām uśmiechnął się lekko. Wyglądało na to, że jego cierpliwość zostanie wreszcie nagrodzona.

Mel podniosła z ziemi kawałek kamienia, brunatnoczerwony z jednej strony i różowawy z drugiej. Jaśniejszym końcem wyrysowała na murze skomplikowany znak. Posuwając się w labiryncie ruin, szybko straciła z oczu świątynię, gdzie zostali

Sevrin i Marcelin. Wiedziała, dokąd iść.

Drogę zagroził jej pełen szczyrb mur, szeroki i wysoki na półtora człowieka. Zakłęła i zaczęła wspinać się ostrożnie. Luźne kamienie osuwały się spod jej dłoni, a okrągłe noski butów z trudem znajdowały oparcie. Straciła równowagę i znalazła się z powrotem na ziemi. Coś zabrzączało metalicznie. Wyjęła z kieszeni pistolet i zrzuciła krępujący ruchy płaszcz. Gdy w końcu znalazła się na górze, była spocona i podrapana, a dłonie miała pokryte wilgotnym kurzem. Odbiła się i skoczyła, lądując pomiędzy sterczącymi z ziemi odłamkami kolumn.

Ghiyām czekał na nią kilkanaście kroków dalej.

Marcelin wbiegł pomiędzy ruiny i zaraz zawrócił, coraz bardziej zdenerwowany. Gdzieś z boku usłyszał pełen złości krzyk Sevrina. Melisandra zniknęła, jakby zapadła się pod ziemię.

Szukając jej, dwa razy minął wąską, krętą ścieżynkę wiodącą wzdłuż na wpół zwałonego muru. Za każdym razem wyrysowany na wysokości oczu znak mamił go, sprawiając, że w umyśle chłopca błyskała ledwo uświadomiana myśl: nie, tędy pójść nie mogła.

Czar trwał, dopóki w powietrzu nie zabrzmiał krzyk mewy, a zaraz potem pierwszy wystrzał.

Ghiyām wzdrygnął się lekko na widok broni, ale zaraz uświadomił sobie dwie rzeczy.

Dziewczyna miała w ręce pistolet, ale ze sposobu, w jaki go trzymała – daleko od ciała, jakby bała się, że prędzej zrobi krzywdę samej sobie niż komuś innemu – wywnioskował, że nie jest wprawnym strzelcem.

Po drugie, zrozumiał, że Ekhne–tai wcale nie przyszła tu po to, by go zabić. Przyszła, żeby usłyszeć odpowiedź na swoje pytanie.

Siedząca na kikucie kolumny mewa przyglądała im się z ciekawością.

Z drugiej strony Ghiyām wcale nie zamierzał lekceważyć Ekhne–tai. Chciał podejść na tyle blisko, by swymi długimi, silnymi rękami sięgnąć jej szyi i wydusić z niej życie. Zdawał sobie jednak sprawę, że im bliżej się znajdzie, tym większa jest szansa, że dziewczynie uda się go trafić.

– Dlaczego? – zapytała dokładnie tak, jak się tego spodziewał.

Spoglądała na niego wyczekująco. Zbliżył się pół kroku. Pistolet w jej ręce zadrżał i Mel cofnęła się odrobinę.

– Dlaczego co? – powiedział drwiąco, starając się zyskać na czasie.

– Dlaczego zabiłeś tamtych ludzi? Nie zrobili ci nic złego.

Z trudem powstrzymał się, by nie skrzywić się w odpowiedzi. Okcytańczycy trzęśli się nad każdym istnieniem, Neahelici rozumieli, że istnieją rzeczy ważniejsze niż ludzkie życie. Tamci byli nikim. Zabił ich, bo musiał, bez żalu, ale i bez radości, tak jak usuwa się z drogi przeszkodę. Nie pamiętał już ich twarzy i nie dręczyły go wyrzuty sumienia.

Taka była prawda, ale Ghiyām wiedział, że Ekhne–tai wcale nie pragnie od niego prawdy. Zrozumiał, że jeśli chce żyć, musi ją okłamać.

– Dlaczego? – powtórzyła. Spojrzała na trzymany w dłoni pistolet, a na jej twarzy odmalował się wstręt. Potem przeniosła wzrok na Ghiyāma. W oczach miała nadzieję. Uwierzyłaby teraz we wszystko.

Ghiyām desperacko próbował znaleźć odpowiedź, przekonującą albo nie, wszystko jedno. Ale w głowie miał kompletną pustkę. Zbliżał się powoli, a dziewczyna cofała się krok po kroku, aż oparła się plecami o mur.

– Mogę to wyjaśnić – wymruczał uspokajająco.

– Tak?

Skoczył do przodu, jednym susem próbując przebyć dzielącą ich odległość. Nie zdążył. Zamiast bólu, którego się obawiał, poczuł się, jakby ktoś z całej siły uderzył go pięścią w żołądek. Nie mogąc oddychać, pomyślał w zdumieniu, zginając się wpół.

Zobaczył jeszcze, że stojąca naprzeciw dziewczyna o pełnych cierpienia oczach powtarza jego ruch jak lustrzane odbicie.

– Tędy! – krzyknął Sevrin, a Marcelin, ufając starszemu mężczyźnie, pobiegł za nim bez słowa.

Ghiyām nie stracił przytomności, choć żałował, że tak się nie stało. Dopiero teraz poczuł potworny ból, wzmagający się jeszcze przy każdym, nawet najlżejszym ruchu. Przyciskał dłonie do brzucha, a gęsta, ciepła krew przelewała się przez jego palce.

Pod policzkiem czuł zimne błoto, a przed oczyma miał kępkę brązowej trawy i kosmyk ciemnych włosów Ekhne-tai. Zrozumiał, że jego ból musiała odczuć jak własny.

Zaciskając zęby, wyciągnął dłoń i szarpnął ją za włosy. Podniosła głowę, a w oczach, które na niego spojrzały, wciąż widział cierpienie.

Melisandra ukłękła i ubłoconą dłonią odruchowo poszukała upuszczonej broni. Wstała i rozejrzała się niepewnie. Chciała uciec przed bólem, jego i swoim własnym.

Poruszył ustami i dopiero za drugim razem udało mu się wydobyć z nich zrozumiałe słowo.

– Jesteś z siebie... zadowolona?

– Nie – odparła.

Poruszył lekko głową. Mel zawahała się, ukłękła na powrót i pochyliła nad nim.

– Niczego nie żałuję – wyrzucił z siebie i to wypowiedziane z pasją zdanie omal nie pozbawiło go przytomności.

Myślał, że Ekhne-tai cofnie się, ale ona nadal pilnie łowiła jego słowa.

– Masz jeszcze jedną kulę – powiedział już spokojnie i cicho. Szeptem mówiło mu się znacznie łatwiej. – Dokończ, co zaczęłaś. Chyba że – tu jego wargi wykrzywiły się w pełnym bólu, kpiącym grymasie – wolisz... poczekać, aż... tamci przyjdą i... zrobią to za ciebie...

Zamknął oczy. Dziewczyna prawdopodobnie odeszła, bo wokół panowała cisza. Było mu coraz zimniej. Tak właśnie musi wyglądać nadchodząca śmierć, pomyślał jeszcze, zanim

zabrakło mu słów. Zdawało się, że nie ma tu miejsca na nic poza bólem.

Po chwili zupełnie niespodziewanie poczuł na policzku ciepło oddechu. Ktoś przytulił się do niego i objął jedną ręką.

Drugą przyłożył mu do skroni chłodną lufę pistoletu.

– Myślałem, że to ty. O Boże, myślałem, że to ty – powtarzał Marcelin.

Melisandra powoli odzyskiwała przytomność. Ból był już tylko wspomnieniem.

– Usłyszeliśmy dwa strzały, a potem zobaczyłem, że leżysz na ziemi obok niego i... – Zdumiona Mel zobaczyła w oczach chłopaka łzy.

Sevrin okrył ją własnym płaszczem. Wyciągnęła rękę, by dotknąć jego policzka, mężczyzna ujął ją i na moment przycisnął do ust.

– Jak się czujesz? – spytał.

– Dobrze.

Fizycznie nic jej nie dolegało. Nadał czuła się nierealnie, niczym aktorka biorąca udział w teatralnej sztuce. Zabiłam człowieka, szepnęła do siebie, ale zabrzmiało to jak nic nieznaczące słowa w obcym języku.

Obojętnie patrzyła, jak Sevrin i Marcelin obciążają ciało Ghiyāma kamieniami, a następnie, rozhuśtawszy, rzucają je w morze.

Zły, przemarznięty i niezbyt już trzeźwy woźnica czekał na nich w miejscu, gdzie zaczynały się ruiny Miasta Snów. Wsiedli do powozu. Melisandra marzyła, by jak najszybciej znaleźć się z powrotem w Quinson. Wiedziała, że wkrótce nadejdzie chwila, gdy świadomość tego, co zrobiła, uderzy w nią z całą siłą, i chciała wtedy być sama, ewentualnie w towarzystwie Sevrina.

Zapadł już szybki zimowy zmierzch, gdy w połowie drogi do Quinson zorientowała się, że to jeszcze nie koniec.

Przez spowijające jej umysł odrętwienie przedarła się wizja, ta

sama, która latem zbudziła Merenmūt.

Krzyki mordowanych i ludzie, których twarze zasłaniały czarne maski.

I ogień, i krew. A także śmierć.

Podniosła dłoń do ust, tłumiąc krzyk. Zerwała się z siedzenia. Powozem szarpnęło. Mel straciła równowagę i osunęła się z powrotem.

– Co ty wyprawiasz? – syknął zirytowany Marcelin.

– Musimy wrócić! – krzyknęła – Zaraz! Natychmiast!

W półmroku błysnęły zdumione oczy chłopaka. Chciał coś powiedzieć, ale uprzedził go Sevrin, nakazując woźnicy zawrócić konie. W jego głosie było coś takiego, że przyjemne oszołomienie, spowodowane wypitym rumem, w jednej chwili wyparowało z głowy sługi. Poganiał konie, jakby ścigał go sam diabeł. Mel otworzyła okno i wysunęła głowę. Niebo było jednolicie czarne.

Może jeszcze nie jest za późno, pomyślała.

Wkrótce na drodze ujrzała osobliwy widok. Jeden z należących do *soutzene* powozów stał przechylony, opierając się o ścianę zrujnowanego domu. W świetle latarni na ziemi błyszcząły odłamki szkła, a konie, rżąc, szarpały się w uprzęży. Wokół powozu kręcili się ludzie. Mel rozpoznała Marię Natalenę.

Kazała woźnicy stanąć i spojrzała dziewczynie w oczy. Nie dostrzegła w nich nic poza lękiem i oszołomieniem. Jakaś kobieta próbowała uspokoić płaczące dziecko, huśtając je tak mocno, że wydawało się, iż lada chwila malec wypadnie matce z rąk. Z głębokiej rany na jej policzku ciekła krew. Pozostali błakali się tam i z powrotem jak stadko ogłupiałych gęsi.

– Co się stało? – Marcelin wysiadł z powozu.

Mel bez trudu domyśliła się odpowiedzi, ale nie traciła czasu na wyjaśnienia.

– Zostań i pomóż im – poleciła kuzynowi.

Skinął głową. Dziewczyna już miała kazać woźnicy jechać dalej, gdy powstrzymał ją Sevrin.

– Czekaj – powiedział. – Niech lepiej wezmą nasz powóz. Pobiegniemy. To ledwie parę kroków.

Stali na dziedzińcu Domu Snów naprzeciw barczystych mężczyzn w czarnych płaszczach. Blask pochodni odbijał się w ich źrenicach.

Najwyższy wysunął się do przodu, dwaj pozostali trzymali się pół kroku za nim, jeden po lewej, drugi po prawej stronie, niczym straż przyboczna. Wszyscy – jak domyślała się Mel – byli młodymi ludźmi z dobrych, bogatych rodzin. Przyszli tu, bo wierzyli, że tak trzeba, albo po prostu dlatego, że łaknęli jakiejś odmiany w nudnym życiu.

Sevrin objął Melisandrę. Kilkanaście stóp dalej dziewczyna widziała podobną, choć większą grupę: pięć zamaskowanych postaci otaczało Taghyę, Lauletzāy i Yanhsevite'a, którzy stali sztywno wyprostowani, opierając ręce na ramionach przerażonych dzieci.

– Co się tu dzieje? – zapytał Sevrin.

Stojący przed nimi mężczyzna popatrzył na nich pogardliwie i powiedział:

– Chcę tylko, by wydali mi niejakiego Ghiyāma, który musi ponieść karę. Jesteś rozsądnym człowiekiem, Joaquimie de Sevrin, a ja uważałem cię za przyjaciela. Przekonaj ich, a nikomu nic się nie stanie.

Równie dobrze mógłby zdjąć maskę i wystąpić z odkrytą twarzą. Przez jedną straszną chwilę Melisandra sądziła, że zrobił to, ponieważ Guillem de Fontmartis tak czy inaczej zamierza zabić wszystkich, którzy mogliby go rozpoznać. Szybko jednak zrozumiała, że się myli. Towarzysze namówili go, by tak jak oni założył maskę, ale tak naprawdę hrabiego chronił nie ten kawałek czarnego materiału, ale jego nazwisko, tytuł i majątek.

– Ghiyām nie żyje – powiedziała. – Ja go zabiłam.

– Kłamiesz – rzucił hrabia.

– Na własne oczy widziałem jego ciało – powiedział spokojnie Sevrin. – Jeśli chodzi ci o to, by ukarać mordercę, to się spóźniłeś.

– Kłamiecie obydwójce.

Mel roztrąciła zagradzających jej drogę mężczyzn i skoczyła do Lauletzāy. Szarpnęła ją za rękaw. Uzdrowicielka odwróciła głowę.

– To prawda, przysięgam! – krzyknęła dziewczyna.

– O czym ona mówi? – Hrabia podszedł do szarpiących się kobiet. Zamaskowane postacie wydały niechętny pomruk. W ich ruchach dało się wyczuć zniecierpliwienie. Nie przyszli tu, by prowadzić dyskusje. Przyszli tu, by zabijać. Hrabia jednym gestem powstrzymał towarzyszy.

Mel odetchnęła, całą siłą woli nakazując sobie spokój.

– Lauletzāy – zwróciła się do uzdrowicielki, bo to ją właśnie uważała za najrozsądniejszą osobę w Domu Snów. – Ghiyām wyszedł dziś po południu po tym, jak otrzymał ode mnie list. Spotkałam się z nim w Mieście Snów i zabiłam go. Jak mam cię przekonać, że mówię prawdę?

– Nie muszę z tobą rozmawiać – odparła Lauletzāy chłodno, Mel jednak doskonale wyczuwała jej strach. – Nie jesteś już jedną z nas.

Dziewczyna parsknęła gniewnie. Napięcie było tak silne, że drżała jak w gorączce, ale całą sytuację postrzegła zaskakująco jasno.

Wiedziała, że hrabia lada moment straci cierpliwość, a wtedy wszystko przepadnie. Spojrzała na Taghyę, który odwrócił głowę tym samym gestem co Lauletzāy. Yanhsevite cały czas patrzył w ziemię, obejmując ramieniem małego Yeu. Na twarzy chłopca malował się wyraz dziecinnego uporu. Starał się dzielnie spoglądać napastnikom w oczy, ale co chwila jego usta wykrzywiały grymas strachu. Stojąca obok niego dziewczynka nawet nie próbowała udawać. Płakała cichutko, tuląc się do Lauletzāy.

– Uwierzcie mi – powiedziała cicho Mel, wodząc spojrzeniem od jednej pobladłej twarzy do drugiej. Na karku czuła ciepły oddech hrabiego. – Pozwólcie im przeszukać Dom. Wtedy uwierzą. – Umilkła, po czym dodała szybko, mówiąc po neahelicku: – Djevra wiedział, że coś takiego może się wydarzyć. Może nawet tego chciał. Myślę, że to dla nas coś w rodzaju próby... Posłuchaj mnie! – Raz jeszcze potrząsnęła

Lauletzāy.

Miała wrażenie, że szarpie drewnianą lalkę. Uzdrowicielka milczała, nadal z uporem odwracając głowę. Melisandra podeszła do Taghyi i pięścią uderzyła go w pierś.

– Zrób coś! – krzyknęła.

– Dość tego. – Hrabia złapał ją za ramiona i odepchnął na bok.

Stał teraz twarzą w twarz z przełożonym Domu Snów.

– Prędzej umrę niż pozwolę im wejść do Domu! – Taghya spojrział hrabiemu w oczy.

Patrzył tak intensywnie, jakby chciał sięgnąć dna duszy mężczyzny.

Mel czekała, aż magia zacznie działać, a hrabia przerazi się stworzonej iluzji. Ale nic się nie wydarzyło. Guillem de Fontmartis wytrzymał spojrzenie *soutzhana*. Sięgnął do zawieszzonego na szyi medalika.

– Moc świętego chroni nas przed waszymi czarami – powiedział z pogardą.

Taghya przeniósł spojrzenie na szczupłą sylwetkę ukrywającą się za plecami hrabiego. Młody chłopak zaklął łamiącym się głosem, uskakując w przerażeniu. Wyciągnął pistolet, rozległ się strzał. Przełożony Domu zdążył jeszcze krzyknąć, nim upadł na ziemię.

Śmierć Taghyi zerwała ostatnie bariery i na dziedzińcu rozpętało się piekło. Mel odruchowo rzuciła się w przód. Ktoś trzasnął ją pięścią w twarz i dziewczyna upadła, tracąc przytomność.

Sevrin dopadł człowieka, który uderzył Melisandrę, powalił go na ziemię, wykręcił ręce, a potem złamał mu kark. Rozległ się jeszcze jeden strzał i Lauletzāy osunęła się w błoto tuż obok dziewczyny.

Ponad krzyki walczących wzbil się wysoki, dziecięcy krzyk.

– Puść ją – usłyszał Sevrin. – Nie będziemy zabijać dzieci.

Wyrwał jednemu z napastników nóż i poderżnął mu gardło. Nic więcej zrobić nie zdążył. Huknął strzał i Sevrin upadł.

Odzyskiwał powoli przytomność, a przed jego oczami tańczyły płomienie.

Na dziedzińcu Domu Snów palił się ogień. Siedem cieni uwijało się jak diabły przy palenisku, podsycając żar.

Sevrin poruszył się i syknął cicho.

– Lepiej leż spokojnie – ostrzegła Mel, okrywając go jego własnym płaszczem.

– Co oni mi zrobili? – wymamrotał.

Całą górną połowę ciała miał zdrętwiałą, jakby ktoś zanurzył jego klatkę piersiową i kark w lodowatej wodzie. Ale bolało tylko wówczas, gdy próbował się poruszyć.

– Masz w plecach dziurę wielkości monety – odparła, sztywnymi z zimna palcami odgarniając opadające mu na czoło włosy. A potem ścisnęła jego dłoń i dodała: – Nie krwawisz i nie czujesz bólu, kiedy jestem przy tobie, ale i tak potrzebujesz pomocy, i to jak najszybciej.

Gdzieś z boku rozległ się cichy śmiech. Sevrin wolniutko przekręcił głowę. Pilnujący ich mężczyzna uniósł pistolet i wskazał nim trzy rozciągnięte na ziemi ciała. Udał, że strzela, po czym znów zachichotał.

Taghya. Yanhsevite. I Lauletzāy.

Sevrin z wysiłkiem przełknął ślinę.

– Co z nimi? – szepnął.

– Im już nie mogę pomóc.

Chwył rękaw bluzki Mel i przyciągnął do siebie. Dziewczyna pochyliła się nad nim. Jego ból tlił się w niej jak płomyk lampy naftowej, który mogła dowolnie regulować. Ghiyām, gdy umierała wraz z nim, dał jej dar, którego tak bardzo potrzebowała. Odporność na cudze cierpienie.

– Jeśli przyjdą po ciebie – wyszeptał Sevrin – nie próbuj się bronić. Poproś o wybaczenie, powiedz, że żałujesz. Hrabia nie jest mordercą, zabijanie bezbronnych nie sprawia mu żadnej przyjemności... Jesteś wszystkim, czego nienawidzi, ale on przede wszystkim chce... abyś się przed nim ukorzyła... – Na jego ustach pojawiła się odrobina krwi. Mel wytarła ją dłonią; tą samą ręką przeciągnęła po swoich oczach, zgarniając łzy. Gniewnie zacisnęła usta.

- Nie mogę tego zrobić.
- Możesz. Tak powiedział Djevra.

Pilnujący ich mężczyzna nagle krzyknął ostrzegawczo. Mel podniosła głowę. Do płonącego na dziedzińcu ognia zbliżał się ostrożnie Yeu, ufny w swe magiczne umiejętności. Szedł powoli, niczym kot polujący na mysz. Strażnik krzyknął raz jeszcze.

Jeden z zamaskowanych mężczyzn odwrócił się, kilkoma ciosami powalił chłopca na ziemię i wbił mu nóż w pierś. Podniósł ciało, trzymał przez chwilę w ramionach i ze śmiechem rzucił w ogień.

– Dość! Powiedziałem, dosyć! – rozległ się pełen gniewu głos, zagłuszając krzyk Melisandry.

Chwycona silną ręką dziewczyna upadła na kolana. Strażnik zatkał jej usta. Z zazdrością patrzył na uwijające się przy ogniu postacie.

Jasnowłosa mężczyzna, ten sam, który przed chwilą krzyczał, odwrócił się w ich stronę.

- Przyrowadź ją tu – powiedział.

– Wiesz, jak wiele zła wyrządziłaś? – spytał hrabia Guillem de Fontmartis.

Stojący za Mel mężczyzna nadal wykręcał jej rękę. Hrabia ujął dziewczynę za podbródek i siłą odwrócił jej twarz w stronę ognia. Dym uderzył ją w oczy, wyciskając z nich łzy, a mdlący swąd palonego ciała wypełnił nozdrza.

– Widzisz, do czego doprowadziłaś! – krzyknął hrabia, zbliżając twarz do jej twarzy, a Mel zamknęła oczy. Nienawidzę go, pomyślała i przez moment zdawało jej się, że siła tej nienawiści wystarczy, by go zabić. – Nie zasługujesz na to, by żyć – powiedział już spokojniej.

Być może była to jej jedyna szansa. Przemogła sztywność ciała, wyrwała się i upadła na kolana.

– Wiem, że powinnam umrzeć – powiedziała pospiesznie, łykając łzy. – Zabij mnie, panie, jeśli uważasz, że w ten sposób zadośćuczynię krzywdy, które wyrządziłam. Albo pozwól mi

żyć, bym mogła naprawić zło. Byłam dzieckiem, gdy wybrał mnie Djevra, a ja poszłam za nim z chęcią, bo byłam głupia i nie miałam nikogo, kto powiedziałby mi, co jest dobre, a co złe. Teraz dopiero widzę, co zrobiłam, i żałuję z całej duszy, z całego serca. Oszczędź mnie, panie, a do końca życia będę pokutować...

Mówiła dalej, nie podnosząc głowy, a słowa, które z początku z trudem przepychała przez gardło, płynęły teraz swobodnie. Bała się o życie swoje i Sevrina, płakała i wiedziała, że to dobrze, bo w stojącym przed nią człowieku wyczuwała z początku tylko gniew, potem niechęć, aż w końcu cień niepewności.

– Wstań i spójrz na mnie.

Podniosła się, wycierając nos rękawem. Złość, którą czuła jeszcze chwilę temu, znikła. Pozostał tylko lęk.

– Pozwolę ci żyć, jeśli udowodnisz, że twój żal jest szczery.

– Co mam zrobić?

Hrabia wskazał księgi złożone w kącie dziedzińca.

– Spal je. Wszystkie. Wrzuć do ognia zaklęcia, z których korzystałaś, a uwierzę, że Bóg stworzył ci oczy.

Melisandra, niewiele widząc przez łyzy, wzięła do ręki pierwszy tom i cisnęła w płomień. Po chwili następny i następny. Hrabia patrzył na nią uważnie.

Nadal płakała, ale już nie ze strachu. Płakała, bo w ogniu leżała rozbita maska, która niegdyś była Okiem Boga, płakała, bo wokół widziała szczątki dzieł sztuki, które pamiętała z Domu Snów. Jadeitowe i kryształowe figurki rzucono w błoto, z mozaik wydarto drogie kamienie, malowane wazy i naczynia rozbito, a drewniane instrumenty i maski *taghe-rasāt* płonęły w ogniu.

Płakała, bo wszystko to było piękne i była w tym przeszłość – dziesiątki, setki i tysiące lat neahelickiej historii.

A Guillem de Fontmartis z satysfakcją przyglądał się czarownicy, oplakującej własne winy.

Kula, która utkwiała w plecach Sevrina, przeszła między żebrami i zatrzymała się tuż pod skórą na piersi. Będziesz mógł ją nosić na łańcuszku – śmiała się Mel, pokazując mu splaszczony kawałek ołowiu, na co Sevrin odparł, że już jedną taką ma i drugiej nie potrzebuje.

Melisandra zamieszkała u Sevrina. Ranny wracał powoli do zdrowia, ale nie wychodził jeszcze z domu i jedynym łącznikiem ze światem zewnętrznym, prócz służby, była Mel. Dziewczyna wracała czasem gniewna i nachmurzona, a Sevrin podejrzewał, że sąsiedzi muszą niezłe obracać językami. Mężczyzna, który oddalił żonę, by wziąć sobie do domu młodą kochankę, stał się tematem plotek całej dzielnicy.

Mel i tak znosiła ludzkie gadanie lepiej niż wiele kobiet w podobnej sytuacji. Niewybredne epitety, jakimi od czasu do czasu obrzucały ją szacowne sąsiadki, wzbudzały w niej jedynie złość, która szybko mijała.

Dreńczyło ją coś innego, znacznie poważniejszego.

– To koniec – powiedziała do Sevrina. – Djevra odszedł już dawno, a teraz zginęli najzdolniejsi neaheliccy magowie. Dzieci, które pozostały...

Odnalazła je tamtej nocy, skryte wśród ruin jak przerażone zwierzęta, i przyprowadziła, by ogrzały się przy tym samym ogniu, w którym płonęły ciała ich przyjaciół i wrogów.

– Co z nimi? – spytał.

– Zajęła się nimi pewna kobieta, zagorzała filantropka. Mówi, że jeszcze nie jest za późno, by wychować je w prawdziwej wierze, i że będą szczęśliwe.

– Nie będą.

– Nie, nie będą – zgodziła się.

Sevrin wiedział też, że w tamtych dniach Melisandra myślała o tym, by zabić Guillema de Fontmartis. Za śmierć *soutzene* i spalenie Domu Snów, a także za to, że widział ją klęczącą przed nim. Zastał ją któregoś wieczoru siedzącą przy kominku, ponurą, z zaciętą miną, jaką ostatnio zbyt często widywał na jej twarzy.

Miał nadzieję, że zdoła ją powstrzymać. Widział, jak Mel płacze nad śmiercią Ghiyāma, i nie chciał, by przeżywała to po

raz drugi, a jeszcze bardziej bał się tego, że tym razem dziewczyna cierpieć już nie będzie. Zanim jednak odnalazł właściwe słowa, Mel cisnęła w ogień śmiertelnie zaklęcia.

– Pora na kolację – powiedziała, wstając gwałtownie. – Pójdę pogonić służbę. Rozpuściłeś ich niemożliwie.

W milczeniu skinął głową. Nie rozmawiali o tym zdarzeniu ani tego wieczoru, ani nigdy.

Zagłada Domu Snów zmieniła miasto, jakby ten akt zemsty wyczerpał pokłady nienawiści, jaką mieszkańcy żywili do czarowników. Ciężki w kolorze zieleni i błękitu zaczął blednąć nad Quinson i życie powoli wracało do normy.

A pod koniec lutego, pięć dni po wydarzeniach w Domu Snów, umarła Isabel.

Stojący nad świeżo wykopanym grobem ludzie przyglądali się z potępieniem tej osobliwej parze: blademu młodzieńcowi w żałobnym ubraniu i dziewczynie w czerwonej sukni. Melisandra wiedziała, że Marcelin, na którego barki dóna Maria Loisa zrzuciła cały swój żal i cierpienie, przeżywa ciężkie chwile, ale współczucie dla niego było ostatnią rzeczą, o jakiej teraz myślała.

– Nigdy bym się nie spodziewał, że ona może odważyć się na coś takiego – szepnął Marcelin.

– Myślę, że większej odwagi potrzeba do tego, by żyć, niż żeby się zabić – powiedziała Mel. Przeraziły ją własne słowa, ale było już za późno, by je cofnąć. Nie mogła wybaczyć siostrze, że wybrała ucieczkę od bólu i poczucia winy, tak samo jak nie mogła wybaczyć sobie, że nie potrafiła jej pomóc.

– Ona się bała – przyznał chłopak. – Podobno zanim... zanim to zrobiła, połknęła pół fiolki pigułek nasennych...

Zamilkł bezradnie. Mel przymknęła oczy. Pod jej powieki łagodnie wsunął się obraz mrocznego pokoju. Drzwi są zaryglowane, przez szparę w zamkniętych okiennicach przesącza się światło zachodzącego słońca...

Isabel klęka na dywanie obok napelnionej gorącą wodą

miski. W dłoni trzyma nóż, ale boi się go użyć. Boi się bólu, cierpienia.

Boi się śmierci.

Placze, thumiąc szloch w rękaw nocnej koszuli, bo nie chce, by usłyszał ją ktoś ze służby. Zaryglowała okiennice, przekręciła klucz w zamku. By dostać się do sypialni, trzeba będzie wyważyć drzwi.

A jednocześnie w płaczu dziewczyny wciąż jest jakiś ślad nadziei, jakby wbrew wszystkiemu liczyła, że zdarzy się cud, że jej płacz usłyszy ktoś, komu będzie mogła zaufać, prawdziwy przyjaciel, który utuli ją, ochroni, naprawi jej życie. Ale nikt nie przychodzi z pomocą. Połknięte pigułki nasenne zaczynają działać. Isabel jest coraz bardziej otepiąta. Rozumie, że nie zostało jej wiele czasu. Trzymanym w prawej dłoni, ostrym jak brzytwa nożem nacina skórę na lewym nadgarstku – najpierw lekko, niepewnie, potem tnie głęboko, jednym desperackim, szybkim ruchem. Zranioną dłoń natychmiast wkłada do wody, chce jak najszybciej usunąć ją sprzed oczu. Woda w misce zabarwia się czerwienią.

Isabel klęczy przez chwilę nieruchomo, jak zwierzę w potrzasku, z zamkniętymi oczami.

Następnie ostrożnie unosi zranioną dłoń. Klująco jak igła ból biegnie od nadgarstka do łokcia, a po chwili rozlewa się, już tępy i pulsujący, na całą rękę. Isabel niezgrabnie chwytą nóż w palce lewej dłoni i próbuje przeciąć żyły na prawym nadgarstku. Śliskie od krwi, zdrętwiałe palce nie mogą utrzymać ostrza. Nóż ląduje na dnie miednicy. Dziewczyna próbuje go podnieść, ale sztywne palce, w których nie czuje już nic poza dojmującym bólem, drapią tylko po dnie. Zaczyna płakać. Kołysze się w przód i w tył, łkając coraz bardziej spazmatycznie, w końcu kładzie się na dywanie i zwija w kłębek.

Zabarwiona czerwienią woda z przewróconej miski wsiąka w dywan. Isabel odsuwa od siebie rękę, z której wciąż leje się krew, i zamyka oczy.

– Powinnam była wiedzieć – powiedziała Mel z goryczą,

dłonią wycierając spływające po policzkach łzy. – Powinnam się domyślić...

Podeszła do nich d'òna Maria Loisa, cała ubrana w czerń. Wyciągnęła rękę do Marcelina. Młodzieniec ujął ją pod ramię. Mel podeszła, chcąc objąć matkę, ale kobieta cofnęła się gwałtownie.

– Straciłam obie córki – powiedziała, pociągając nosem. Spojrzenie jej zapuchniętych od płaczu oczu zatrzymało się na stojącym kilka kroków dalej Sevrinie. Wykrzywiła usta w podkówkę i przeniosła wzrok na twarz Marcelina. – Zostałeś mi już tylko ty...

Zdezorientowany chłopak spojrział na kuzynkę. Dziewczyna lekko skinęła głową. Idź już, mówił jej wzrok, porozmawiamy kiedy indziej.

– Melisandro, pamiętasz, co kiedyś ci zaproponowałem? Wtedy, wiosną, w Ferratjol?

Dziewczyna ścisnęła w dłoni list, który przed chwilą otrzymała. Na stoliczku leżała paczka, przysłana wraz z listem.

– Pamiętam. Zaproponowałeś mi wtedy coś w rodzaju sojuszu.

Sevrin skinął głową i spróbował się uśmiechnąć. Wciąż był blady i sprawiał wrażenie słabego, ale w rzeczywistości odzyskiwał siły znacznie szybciej, niż można się było spodziewać.

– Cóż... propozycja jest nadal aktualna. Nie możemy zostać w Quinson. Ja straciłem pracę, a ty... – Urwał, po czym podjął cicho: – Moglibyśmy wyjechać, Mel. Na kontynent, może nawet do innego kraju. Prawdę powiedziawszy, myślę o tym już od jakiegoś czasu. Co ty na to?

W pierwszej chwili chciała zaprotestować, ale Sevrin miał rację. Niewiele już łączyło ją z Serralangue. Ludzie na ulicy nadal obrzucali ją wyzwiskami, Isabel nie żyła, a matka... Matki Melisandra tak naprawdę nigdy nie kochała. Właściwie żal by jej było jedynie Marcelina, którego szczerze lubiła.

Mimo to zamiast odpowiedzi wyciągnęła w kierunku Sevrina

list.

– Przeczytaj.

...wczoraj przyszedł jakiś mężczyzna, pił wino jak wszyscy goście, ale przez cały czas rozglądał się dokoła, mało sobie karku nie łamiąc. Siedział tak przez cały wieczór, coraz bardziej zły, a potem podchodzi do mnie i mówi wprost: Gdzie ta czarownica, co ponoć tu mieszka? No to ja do niego, że się wyprowadziłaś, nie powiedziałam dokąd, bo to nie sprawa obcych ludzi. A wtedy on dał mi paczkę i mówi, żebym Ci ją dała, jak Cię spotkam. Wyszedł, a jeden z naszych stałych gości zaraz do mnie przyskoczył, oczy mu błyszczą i pyta, czy ja wiem, z kim rozmawiałam. Wyobraź sobie, że ponoć to był sam Vigil Calà, ten słynny poeta. Ciekawe, czego on mógł od Ciebie chcieć? Przesyłam Ci tę paczkę. Może to coś ważnego.

Felise Justy

Sevrin oddał jej list, a Mel sięgnęła po pakunek. Zerwała sznurek i odwinęła brązowy papier. Wewnątrz był tomik wierszy.

– *Zgasłe świece* – wymruczała, spoglądając na okładkę. Przerzuciła kartki, najpierw pospiesznie, następnie raz jeszcze, spokojniej. Na marginesie jednego z wierszy, zatytułowanego *Kościół św. Otona*, znalazła ręcznie zrobiony dopisek: „wt.–pt., 5–6” i literkę „F”.

Była środa, pora zbyt późna, by stawić się na spotkanie, ale Flavian powinien czekać na nią jeszcze przez dwa dni.

Oton nie był zbyt popularnym świętym. W Quinson zbudowano mu tylko jeden kościół, dawno temu, na obrzeżach miasta. Kościół szybko podupadł, a ludzie mówili, że to z powodu jego kapłanów, którzy zamiast służyć Bogu, uprawiali czary. Teraz zostały z niego tylko ruiny, w których gnieździły się szczury i cuchnęło moczem. Na tym, co niegdyś było ołtarzem, jakiś dowcipniś dobrze znający miejscowe legendy

wymalował rogatą głowę kozła.

Ponad miastem niósł się dźwięk kościelnych dzwonów, wybijających piątą po południu.

Flavian zjawiał się punktualnie. Przez chwilę niepewnie mierzyli się spojrzeniem. Młodzieniec zmienił się, wyglądał zdecydowanie lepiej. Ściął włosy, a jego pociągła twarz, pozbawiona sąsiedztwa wijących się loków, nie sprawiała już wrażenia tak brzydkiej. Miał na sobie proste spodnie i płócienną kurtkę jak robotnik portowy. Zmęźniał i opalił się.

– Chodźmy stąd. – Dziewczyna wzdrygnęła się lekko. – To nie jest przyjemne miejsce.

– Ja ci wierzę – zapewniła Melisandra. Sevrin skinął tylko głową, jakby chciał powiedzieć, że on, co prawda, jeszcze nie został przekonany, ale ma wiele dobrej woli i gotów jest wysłuchać całej historii.

– Najlepiej będzie, jeśli zaczniesz od początku – zachęciła Mel.

Flavian przeniósł spojrzenie z płonącego na kominku ognia na twarze rozmówców. Melisandrę znał i lubił, Sevrina widział ledwo parę razy, ale rekomendacja dziewczyny wystarczyła, by mu zaufać.

Odetchnął.

– Myślę – powiedział – że od samego początku zdawałem sobie sprawę, że moja siostra jest... inna. Gdy się urodziła, sam byłem jeszcze dzieckiem, ale już wystarczająco dużym, by zauważać pewne rzeczy. Mama z początku zdawała się nie dostrzegać niczego. Kiedy Paulina była małeńka, często zapraszaliśmy gości, a ja miałem wtedy okazję porównać moją siostrę z innymi dziewczynkami i zawsze dochodziłem do tego samego wniosku: Paulina nie była podobna do innych dzieci. Przede wszystkim zawsze była bardzo odważna, niczego się nie bała, prawie nigdy nie płakała. Ojca to bardzo cieszyło, ale nawet on wkrótce zaczął podejrzewać, że coś jest nie w porządku. Do końca jednak nie chciał wierzyć. Całą prawdę znaleźliśmy tylko my – ja i moja matka. Paulina jest... może to dziwnie zabrzmie, jak aktorka, która dla własnego kaprysu wciąż

odgrywa różne role. Czasem całymi dniami potrafi udawać małą, słodką dziewczynkę, a ludzie, którzy ją wtedy widzą, zachwycają się jej urokiem. A potem nagle zabawa przestaje jej się podobać. Potrafi w środku niewinnej pogawędki wstać, szarpnąć rozmówcę za włosy czy uderzyć w twarz i usiąść, jakby nic się nie stało. Widziałem już takie rzeczy. Chciałem, aby Paulina jak najmniej wychodziła z domu, ale mama była temu przeciwna – uważała, że dopiero wtedy ludzie zaczęliby plotkować. Paulina miała sześć lat, gdy po raz pierwszy zobaczyłem, jak skręca kark przybłąkanemu kotu, z którym przed chwilą spokojnie się bawiła. Pomyślałem wtedy, że przyjdzie taki dzień, gdy moja siostra zabije człowieka. Miałem rację...

– Opowiedz o śmierci pułkownika – poprosiła Mel.

– Ojciec bardzo kochał Paulinę, znacznie bardziej niż mnie – powiedział Flavian. – Wieczorami często zabierał ją do swojego gabinetu i gawędził z nią. Nie wiem, co się stało tamtego dnia, nie widziałem tego i mogę się jedynie domyślać. Paulina pewnie poprosiła ojca, by pokazał jej parę pistoletów, które wisiały na ścianie. Wzięła do ręki jeden z nich i... – Młodzieniec wzruszył ramionami. – Ja i matka usłyszeliśmy strzał. Służąca wtedy była już u siebie. Paulina nawet nie próbowała się bronić. „Zabiłam go”, powiedziała tak spokojnie, jakby mówiła: „Zjadłam śniadanie”. „Dlaczego?”, spytała moja matka, płacząc. A Paulina odparła: „Nie wiem”. Co miałem zrobić? Wrzuciłem do ciepłego mleka parę pigułek nasennych i kazałem jej to wypić, żeby przynajmniej tej nocy mieć spokój. Ja i matka czuwaliliśmy do świtu, a rano pojechaliśmy wszyscy troje do Domu Snów. W dzieciństwie porozumiewałem się z Ghiyāmem przy pomocy karteczek z prośbami do boga. Potem, już jako dorośli, mogliśmy zwyczajnie pisać listy, ale czasem wracaliśmy do starej metody. Myślę, że po prostu nas to bawiło... Sporo czasu upłynęło, zanim Ghiyām zauważył moją kartkę i udało mu się wyjść na zewnątrz. Resztę znacie. Kochałem Ghiyāma jak brata, a on mnie zdradził. Gdy zginął La Veilhe, nie byłem jeszcze pewien, nie pamiętałem nawet, że ten człowiek pracował kiedyś z moim ojcem. Ale gdy zginął

Gardilhe, wszystko stało się jasne. Nie wiedziałem, co robić. Bałem się spotkać z Ghiyāmem, bo zdawało mi się, że wtedy ludzie wszystkiego się domyślą. I zdecydowałem się na coś, co powinienem zrobić już dawno temu. – Flavian uśmiechnął się blade. – Uciekłem z domu. Paulina jest szalona i nigdy nie będzie normalna. Moja matka jeszcze w to do końca nie wierzy, jeszcze próbuje jej pomóc. Ale ja nie mam złudzeń. Nie chcę spędzić reszty życia, opiekując się kimś takim. Może to tchórzostwo, nie wiem, ale ja już nie wrócę do domu.

– Co w takim razie zamierzasz pan zrobić? – spytał Sevrin.

Flavian, lekko zawstydzony, spuścił głowę.

– Mam bilet na statek, odpływający w przyszłym tygodniu. Wiedziałem, że Melisandra mnie szuka, ale nie chciałem się z nią spotkać...

Urwał. Sevrin lekko zmarszczył brwi.

– Dlaczego więc zmienił pan zdanie?

Flavian wszedł do apteki, tej samej, do której od czasu do czasu zachodziła jego matka. Miał nadzieję, że właściciel go nie rozpozna. Nie miał ochoty odpowiadać na pytania, gdzie się podziewa i dlaczego nie wraca do domu.

Zapłacił subiektowi, wcisnął zakupione medykamenty do kieszeni i już miał odejść, gdy z drzwi wiodących na zaplecze wynurzyła się korpulentna postać aptekarza.

– Panie Delmay! – zawołał.

Flavian zatrzymał się niechętnie.

– Spieszę się. – Spuścił głowę, jakby to miało uchronić go przed rozpoznaniem, które już nastąpiło.

– Chciałbym zamienić z panem dwa słowa. Ja... to znaczy... – Mężczyzna wyglądał na mocno zakłopotanego. Flavian pojął, że aptekarz nie zamierza bynajmniej wypytywać o jego sytuację rodzinną. Ta świadomość dodała mu pewności siebie. Podniósł głowę.

– Słucham – powiedział uprzejmie.

– Ja nie wiem, czy to ma znaczenie, może to nic takiego... Chciałem nawet iść do pana matki, ale jakoś się nie mogłem na

odwagę zebrać. A teraz, widzę, pan sam do mnie zachodzi, to myślę sobie: powiem, a co mi tam. No więc – aptekarz odetchnął i dalej ciągnął już nieco składniej: – chodzi o to, że jakiś czas temu zaszła tu mała panienka, znaczy się pana siostra. Pytam: co podać, a ona do mnie: truciznę, taką na szczury, co ją arszenik nazywają. Zacząłem się śmiać, bo myślę, że panienka żarty sobie robi, ale ona taka poważna i ciągle powtarza, że chce tę truciznę. No więc nasypałem panience do torebki trochę cukru, drobno zmielonego. Podziękowała i zapłacała. Myślę, że to musiała być jakaś zabawa, prawda?

– Ale to wcale nie była zabawa – mówił cicho Flavian. – Moja siostra naprawdę chciała kogoś otruć. Pojmujecie? Ona znów zabije.

„Mamo, niech ona zostanie na śniadaniu! Zaparzę jej herbaty!”. W głowie Melisandry zabrzmiał dziecinny głos, a przed oczami pojawił się obraz Pauliny, dumnie dźwigającej tacę z imbrykiem i napełniającej filiżankę.

W ustach poczuła smak zbyt słodkiej herbaty. Przełknęła zgęstniałą ślinę i odwróciła głowę.

– A pan zamierza po prostu uciec – powiedział Sevrin. Mówił spokojnie, ale słowa te i tak zabrzmiały jak oskarżenie.

Flavian wbił spojrzenie w podłogę.

– Nikt nie będzie chciał wierzyć, że dziecko mogłoby zrobić coś takiego. Zrozumcie... Poza tym to jednak moja siostra... I moja matka. Ona będzie bronić Pauliny... Nie mógłbym...

– Nie musisz tego robić – powiedziała Melisandra, tknięta nagłą myślą. – Wystarczy, że powiesz nam, gdzie jest kula.

– Jaka kula?

– Ta, od której zginął pułkownik.

Flavian zmarszczył brwi.

– Myślałem, to znaczy wszyscy myśleliśmy, że została w ciele. Pokręciła głową.

– Przeszła na wylot. Mówiłeś, że twój ojciec zginął w gabinecie? – Flavian przytaknął. – Może więc kula utkwiała w jakimś meblu. Znajdźmy ją, a będziemy mieć w rękę dowód.

EPILOG

– Co to? – spytał Sevrin, przyglądając się kartkom zabazgranym tajemniczymi znakami.

Rozpoznawał neahelicki alfabet, ale nie potrafił w tym języku czytać.

Zawieszona u sufitu kajuty lampa po raz pierwszy od wielu dni przestała się kołysać. Tego wieczoru morze było gładkie jak stół. Melisandra pomyślała, że Flavian, który wypłynął z quinsonskiego portu tydzień przed nimi, powinien już być na kontynencie. Możliwe, że kiedyś jeszcze go spotka, choć nie było to zbyt prawdopodobne. Życzyła mu szczęścia, gdyż uważała, że zasłużył na nie jak nikt inny.

– Tekst *taghe-rasāt* – odparła. – Sprzed tysięcy lat. A tu mam tłumaczenie, też po neahelicku, ale współczesne. Oczywiście nie jest dokładne, bo nawet aktorzy nie pamiętają już słowo w słowo, o czym mówi ta sztuka.

– Co zamierzasz z tym zrobić?

– Ten tekst został napisany tym samym językiem, co dawne zaklęcia. Pomyślałam sobie, że przy jego pomocy uda się rozszyfrować zapisy w księgach.

– Trudne zadanie.

Wzruszyła ramionami.

– Potrafię zdobyć się na cierpliwość, jeśli naprawdę mi na czymś zależy.

Mężczyzna uśmiechnął się lekko.

– Pamiętasz treść ksiąg, które spaliłaś?

Mel odpowiedziała uśmiechem, a potem głośno się roześmiała.

– Oczywiście, że tak.

...tak więc mieliśmy w Quinson następną sensację. A wydawało się, że to takie spokojne miasto! Proces Pauliny Delmay podzielił mieszkańców na dwie grupy, Jedni nazywali ją morderczynią i żądali jej śmierci, drudzy, znacznie liczniejsi, bronili z pasją. Zgadnij, która strona zwyciężyła? Dziewczynka w czasie całego procesu zachowywała się przedziwnie, zupełnie jakby nie zdawała sobie sprawy z grożącego jej niebezpieczeństwa. Nie powiesiliby jej oczywiście – jest na to za młoda – ale bądź co bądź, mogli ją zamknąć do końca życia w domu wariatów. Adwokat wymyślił zaskakującą linię obrony. Kula – mówił – żadnym dowodem być nie może. Pułkownik tak kochał swoją małą córeczkę, że umierając z ręki nieznanego sprawcy, wciąż miał jej twarz przed oczyma. Myślę, że sędzia za nic nie dałby się na to nabrać, gdyby do całej sprawy nie wtrącił się hrabia de Fontmartis. Przeciągnął na swoją stronę większość dziennikarzy i przy ich pomocy przeprowadził całą kampanię, by udowodnić, że mała Paulina to wcielenie wszelkich cnót. Tylko ludzie zupełnie pozbawieni zasad moralnych mogą rzucić tak ohydne oskarżenia na niewinne dziecko! – grzmiał. Myślę, że ta mała wkrótce po skończeniu czternastu lat zostanie następną hrabiną de Fontmartis. Moim zdaniem oboje są siebie warci. Ja na wszelki wypadek mam zamiar trzymać się od panny Pauliny Delmay z daleka. Nie chciałbym, aby któregoś dnia poczęstowała mnie herbatą z dodatkiem arszeniku. Pozdrowienia i pamiętaj, że zawsze możesz wrócić do domu – Twoja matka wciąż powtarza, że już wszystko Ci wybaczyła.

*Oddany Ci kuzyn
Marcelin de Rib*



W świecie zapominającym
o swojej przeszłości dawni
bogowie pragną ostatniej
szansy. Czy Melisandrze
uda się ocalić to, co było
– przed tym, co jest?
Pierwsze stopy już płoną...
Spróbuj sam odnaleźć
prawdę w niezwykłym
i doskonale opisanym
świecie powieści Anny
Kańtoch.



To, co przemija,
zawsze pozostawia
w nas ślad... Miejcie
oczy otwarte!



Patroni
medialni



korba.pl



www.fabryka.pl

Avatarae

Wyłączny
dystrybutor



www.fabryka.pl

Cena: 24,99 zł

ISBN 83-89011-31-X



9 788389 011312 >